

Wydawnictwo  
na cele dobroczynne samborskie.

## VI. ROCZNIK.

Nowa serya ilustrowana

wydana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

*(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)*

**Cena 1 złr. 50 ct.**

dla prenumeratorów przemyskich i samborskich, dla wszystkich innych  
przedpłucicieli, jakoteż dla nabywających dzieło po upływie prenumeraty  
1 złr. 80 ct.

PRZEMYSŁ.

CZCIONKAMI S. F. PIĄTKIEWICZA.

1882—1883.

**D R U K A R N I A**  
**S. F. PIĄTKIEWICZA**  
w  
**Prze my ś l u**

ulica Gimnazjalna l. 102  
naprzeciw kościoła OO. Franciszkanów i magazynu wojskowego

zaopatrzona w wielki wybór czcionek  
wykonuje wszelkie zamówienia  
wchodzące w zakres sztuki drukarskiej,

*jakoto :*

**DZIEŁA i BROSZURY**

wszelkiej objętości i w różnych językach.

powinszowania na imieniny i urodziny,

tabele biurowe i gospodarcze,

bilety wizytowe a la minute i polecające  
na kartonach modnych najgustowniejszych,

**a f i s z e**

rozmaitej wielkości w różnych barwach papieru i druku

i t. p.

—≡≡≡ po umiarkowanych cenach. ≡≡≡—

Posiadając maszynę pospieszną i prasę ręczną  
jest w stanie wykonywać wszelkie zamówienia  
odnoszące się do zawodu drukarskiego poprawnie,  
gustownie i w najkrótszym czasie.





Agaton Gillon

Wydawnictwo  
na cele dobroczynne samborskie.

---

# VI. ROCZNIK.

Nowa serya illustrowana

wydana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

---

*(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)*

---

PRZEMYŚL.

CZCIONKAMI S. F. PIĄTKIEWICZA.

1882.



Mag. 100 322 II  
6 (1882)

Biblioteka Jagiellońska



1002905235

Papier, kartony i papier okładkowy z fabryki czerlańskiej.

# Rzut oka na działalność literacką

Agatona Gillera

(z portretem tegoż).

Przez redakcję „Roczników samborskich.“

W czasach, w których materializm, walcząc w imieniu obrzydłej zasady „panem et circenses“ coraz więcej górę bierze nad wszelkimi szlachetniejszymi usiłowaniami a z pośrodku samego narodu wyłaniają się postaci reneгатów, oplwających wszelkie dążenia szlachetniejsze, oplwających całą świetną przeszłość Polski i wołających jawnie: „Precz z marzeniami!..“ w takich to czasach godzi się, podnieść zasługi mężów, których całe życie stanowi jedno pasmo poświęceń i ofiar, poniesionych dla ojczyzny.

W gronie zasłużonych narodowi mężów, w gronie wielkich publicystów i prozaików Polski jedno z najwybitniejszych stanowisk zajmuje Agaton Giller. Komuż nie byłoby znane imię tego męża, którego inicjatywie głównie Galicja a względnie Lwów ma do zawdzięczenia, że się życie literackie budzić zaczyna, o którym poprzednio miano zaledwie słabe wyobrażenie z wydawnictw pojedynczych księgarń lwowskich, pojawiających się efemerycznie i znikających także efemerycznie z horyzontu literackiego.

Postać Agatona Gillera już za życia należy do historii kraju, do historii jego literatury. Ubliżyłoby i mnie i jemu, gdybym się tłumaczyć chciał, czemu na czele „Roczników samborskich“ jako wizerunek dobrze zasłużonego krajowi pisarza umieszczam por-

tret męża, z którym mnie łączą ściśle długoletnie stosunki koleżeństwa i przyjaźni.

Żywot Agatona Gillera jest żywotem wszystkich tułaczów, wszystkich emigrantów. Walczyli piórem i ramieniem dla niezawisłości, dla wolności kraju. Pracowali nad jego odrodzeniem. Ulegli chwilowo przemocy, ale nie zostali pokonani. Walczą dalej „usque ad finem“ z wycieńczeniem ostatnich sił żywotnych, znienawidzeni przez zaprzańców rozmaitych kategorii i obrzuceni przez nich błotem, ale poważani i czczeni przez wszystkich prawych synów ojczyzny.

Agaton Giller urodził się w roku 1831. w Opatówku, gdzie też pierwotnie pobierał wykształcenie. Nie mamy zamiaru rozwódzić się drobiazgowo nad szczegółami życia jego, a ograniczymy się raczej na streszczeniu użytecznej jego dla kraju działalności literackiej. Przywiązany szczerze do ojczyzny, już za młodu dla niej doznał i wycierpiał rozmaite prześladowania. Uwięziony prawie w życia wiosnie, zagnany został na Sybir. Owocem przymusowego pobytu jego tamże jest praca zatytułowana: „Opis krainy zabajkalskiej.“ umieszczona w „bibliotece klasyków polskich“ Brockhauza.

Po wielu latach cierpienia ułaskawiony powrócił do Warszawy, aby na nowo pracować nad budzeniem życia umysłowego w narodzie. Owoce tej pracy widzimy w nowych dziełach, które wydawał. rozpoznajemy w kształceniu młodych i uzdolnionych pisarzy, których w świat literacki wprowadzał, oceniamy narreszcie w stosunkach przyjaźnych, które nawiązywał z mężami dzielącymi jego zapatrywania polityczne a następnie i wygnanie.

Powstanie z r. 1863. i wypadki poprzedzające je przerwały po raz wtóry jego czynność literacką. Jako wierny syn ojczyzny porzucił Giller wszystko. aby jej poświęcić swoje ramię. Znany jest jego udział w powstaniu jako członka Rządu narodowego. Upadek powstania spowodował wyjazd Gillera do Szwajcarii, ale wzbudził równocześnie w nim myśl pisania obszernej historii powstania.



Niezmordowaną pracowitość, ofiarność i poświęcenie tego męża charakteryzują najlepiej własne jego słowa, zawarte w liście z 14. października r. 1876. a wystosowane do mnie . . . „Nieuwierzysz Pan, jak często ulegam znużeniu przy pracy mojej i stanie zdrowia. starganego w czteroletniem więzieniu, sześćdziesięcioletniem wygnaniu, przygodach powstania 1863 r. następnie tułactwa na Zachodzie, biedach, prześladowaniach i trudach, w których zawsze jedyną nagrodą było zadowolenie sumienia ze spełnionego obowiązku względem Polski, którą nadewszystko ukochałem i której wszystko poświęciłem. Obecnie pracy mam nawał w „Gazecie Narodowej,” w „Rapperswyłu,” w „Ruchu literackim”, w dwóch warszawskich piśmiech, — a przy tem piszę „Historją powstania,” której będzie 10 tomów i wiele okolicznościowych rozpraw i książek . . .”

W Szwajcarii wydawał Giller założony przez niego dziennik „Ojczyzna.” który jednak — zdaje się — nie długo wychodził. Prawdopodobnie do pisma tego odnoszą się natchnione słowa poety Henryka Merzbacha, które niniejszem przytaczamy :

### Redakcja „Ojczyzny“

w odpowiedzi

tym co zwinąć to pismo radzą.

Zamknijcie wasze pismo ! Nie drażnić Moskali !  
Niech na trupach powstańców pastwią się bezkarnie !  
Niech nowy miecz krwią ciężki położą na szali,  
Na której przeważały narodu męczarnie !..

Rząd już jeden na stryczku — niech żyje rząd  
drugi !

Na bagnietach oparty, silny armat siłą ! —  
Kędy spojrzy — ma wiernych, gdzie zapłaci —  
sługi . . .

I niema śladu nawet, gdzie powstanie było !  
Zamknijcie wasze pismo . . . nie drażnić Moskali !  
Zwycięzeni nie żądać, ale prosić muszą !  
Nie przekleństwa, pokorą ofiara się zali . . . :  
Zagłuszyć trzeba duszę, by pozostać „duszą“ ! . . .

Wichrzycieli już niema!... Pod ich szubienicą  
Podajmy dłoń zwycięzcom — idźmy z nimi ra-  
zem!...

Sprzedano cię — więc zostań, Polsko, niewolnicą—  
Wyrwano serce tobie — więc pozostań głazem!  
Zamknijcie wasze pismo!.. nie drażnić Moskali!  
Niech świat widzi ich łaski i chrześcijańskie dary —  
Niech hymnem pokojowym ich waleczność chwali —  
I depce razem z nimi Wolności ofiary!...

Razem z Moskwą! To Polski odrodzonej hasło!  
Równość i Niepodległość i Wolność — czcze  
słowa!

To światło, co załtało — spaliło się, zgasło...

I dzisiaj tylko dla nas zimny popiół chowa...  
Więc zamknijcie wasz dziennik! Nie drażnić Moskali!  
— A my na to: — Nie bracia! Chcemy stać na  
straży

Grobów, z których potomność kamienie odwali —  
Chcemy pozostać sądem co karze zbrodniarzy...

Wasza wielka Caryca (tak historia głosi)

Marzyła raz wśród kwiatów carskiego ogrodu.

U wrót żebraczka drżąca od zimna i głodu,

Wyciąga dłoń wychudłą i o pomoc prosi,

— Ty zebrzesz?... O nie tobie ale mnie dziś  
zebrać!

Choć ja pani — ty sługa!... mój carski diadem

Za ciężki! Jam żebraczką, bo ma skroń zhańbiona!

Tobie głód nie ma prawa czci ludzi odebrać...

Świętszy łachman dziewiczy — niż carska korona!!!

Tak dziś woła do Moskwy, z krwią na czole  
bladym,

Polska, co kona!

. . . . .

Z Szwajcarii Giller w r. 1872. przyjechał do  
Lwowa, gdzie jego prace mu coraz większe koło  
wielbicieli i zwolenników zjednały. Pobyt jego i czyn-  
ność we Lwowie trwały rzeczywiście krótko, bo za-  
ledwie 6 lat, ale ten krótki perjod — jakże bogaty  
i obfitujący w prace literackie!

Powołany do współredagowania „Gazety naro-  
dowej” nie ograniczył się jedynie na tej czynności,

ale ustawicznie wydawał, lub sam, lub ze współudziałem innych literatów rozmaite pisma i dzieła. Za jedną z lepszych a samoistnych prac z tego okresu działalności literackiej Agatona Gillera uważać musimy jego „listy z wystawy wiedeńskiej,” umieszczone poprzednio w łamach „Gazety narodowej,” a następnie wydane osobno w dwóch tomach w formacie książkowym. Wydawnictwo to zatytułowane: „Polska na wystawie powszechnej w Wiedniu 1873 r.” a wyszło we Lwowie nakładem autora.

Rok 1874., rok ten pamiętny, w którym cała Polska, nie zostająca pod obuchem moskiewskim, uczciła zasługi jednego z największych swoich synów, nie zastał Gillera bezczynnym. Wszystkim znany jego udział w współredagowaniu „Sobótki,” poświęconej śp. Goszczyńskiemu, a opis życia wieszczą umieszczony w „Sobótce” przez Agatona Gillera, uważany być może nie tylko za jedną z najlepszych i najtreściwszych prac, w książce tej zawartych, ale w ogóle za jedną z najlepszych prac na polu biografii. Nie godzi się też pominąć milczeniem „Albumu rapperswylskiego,” na którego czele obok Kraszewskiego znowu widzimy Gillera. Były wydawca „Ojczyzny” a współredaktor „Sobótki,” w zastępstwie Kraszewskiego prawie wyłącznie przez długi czas pełnił funkcje redaktora przy tym albumie, a praca Gillera pod tytułem „Muzeum narodowe w Rapperswyllu,” umieszczona w „Albumie rapperswylskim,” również należy do najtreściwszych i najlepszych prac, w książce tej pamiątkowej zawartych.

Różnorodne te czynności literackie niezaspokoili jednak ze wszystkim potrzeb umysłowych męża przyzwyczajonego pracować bez przerwy. Aby się jeszcze lepiej przysłużyć literaturze narodowej, objął on kierownictwo literackie pisma, założonego pierwotnie we Lwowie przez księgarzy Gubrynowicza i Schmidta a wychodzącego w tygodniowych zeszytach pod tytułem „Ruchu literackiego.” Giller powiększył i wydoskonalił to pismo, redagowane początkowo dosyć nieumiejętnie. Za jego inicjatywą okazały się w „Ruchu” obok prac starych i znanych autorów prace młodych,

z których następnie niejedyn sobie imię w literaturze zdobył.

„Ruch literacki“ umieszczał powieści nie lada-  
jakie ale znanych już autorów jakoto : Kraszewskiego,  
Bałuckiego, Orzeszkowej i innych. starał się wydobyć  
z pyłu zapomnienia rzeczy odnoszące się do historii  
i literatury kraju, pamiętniki stare, wartościowe a nie  
każdemu znane, drukował listy Kościuszki i Słowac-  
kiego, umieszczał bodaj czy nie pierwsze prace lite-  
rackie G. Kohna, Klemensa Kołakowskiego, Idy Tei-  
bels, Maryi B., Izy i innych, w wstępnych zaś arty-  
kułach napisanych przez Agatona Gillera i Tadeusza  
Żulińskiego, nawoływał obywateli kraju do pełnienia  
obowiązków obywatelskich i wykazywał jasno jak na  
dłoni, w jakim kierunku pracować trzeba, aby być  
użytecznym społeczeństwu i z jakich wad zgangreno-  
wane to społeczeństwo wyleczyć się powinno.

Pismom reakcyjnym nie podobał się ton patry-  
archalny i pouczający tego pisma. Być może że po  
części z powodu ich denuncjacyj „Ruch literacki“ zo-  
stał zawieszony a redaktor jego wydalony z Galicji.  
Giller, którego los nieprzychylny z szczególną zawzię-  
tością przesładował, którego w osobie śp. Władysława  
Tarnowskiego pozbawił przyjaciela serdecznego, nie  
doczekał się nawet tej pociechy, żeby mu dozwolono  
dokończyć życiorysu przyjaciela, umieszczonego w  
„Ruchu.“

Obecnie przebywa Giller znowu w Szwajcarji,  
w muzeum rapperswylskim, którego zarząd mu po-  
wierzono, a gdzie znękany trudami i przeciwnościami  
rozlicznymi mimoto dalej pracuje pod hasłem Polski.  
W studjum polityczno - krytycznem zatytułowanem  
„O serwilizmie i o serwilistach“ występuje on prze-  
ciwko renegatom i zaprzańcom wszelkich odcieni,  
w „Wieńcu pamiątkowym półwiekowej rocznicy po-  
wstania listopadowego“ umieszcza życiorysy zasłużo-  
nych o dobro ojczyzny szermierzy dla niepodległości  
i wolności, prace zaś Gillera umieszczone w „Rocznik-  
ach samborskich“ zanadto znane są publiczności,  
abyśmy jeszcze z osobna omawiać je mieli.

Pisma centralistyczne niemieckie, nie sprzyjające  
sprawie polskiej nie szczędziły jego osoby; z szcze-

gólną zaś zaciekleścią i niegodziwością napadła go „Neue freie Presse“, obwiniając go nawet zupełnie bezpodstawnie o socjalistyczne zamachy. Uproszony przez Gillera o pośrednictwo w sprostowaniu tej potwarzy, rzuconej na niego w piśmie centralistycznym, nie uczyniłem na razie temu zawezwaniu zadość, ponieważ nie lubię, jak to mówią, „rzucić grochem o ścianę“ a powtóre bo sądziłem, że potwarz umieszczona w piśmie polakożerczem przeciwko prawemu Polakowi, temuż nietylko ujmy żadnej uczynić nie może, ale powinna się jeszcze przyczynić do zjedwania mu zwolenników i przyjaciół.

Kończąc krótką tę wzmiankę o działalności literackiej Agatona Gillera, sądzę iżbym nie mógł ją lepiej zakończyć jak własnymi słowami wypowiedzianymi przezemnie w liście z 27. lutego r. 1876, wystosowanym do redaktora „Ruchu literackiego.“ Myśli bowiem, wypowiedziane przezemnie w tym liście, charakteryzują poniekąd także nieustającą. mrówczą czynność Agatona Gillera. . . . „Człowiek jeden, aczkolwiek znakomity i wielki, nie jest jeszcze przez to narodem całym, ale zaledwie pojedynczem uosobnieniem myśli narodowej, która z nim jeszcze nie umiera, lecz od pokolenia do pokolenia się przechowuje. Pracujmy w naszym zawodzie wiernie i stale, tak jak ta mrówka pracowita, walczy z odwagą i wytrwałością przeciwko wrogom myśli narodowej, tak jak ten żołnierz waleczny, który się nie ogląda, ile to przyjaciół serdecznych koło jego boku padnie, a ta myśl wzniosła, której przedstawicielami my jesteśmy, nie zaginie, choć tysiące naszej armji duchowej strzałom śmierci ulegną!!!...“

Sambor, 30, października 1882.

# PORZĄDEK SPOŁECZNY

(z Zedlitz.)

Doszła mię wieść niespodziewana :

„Kochanku mój ! czy wiesz ? czy wiesz ?

„Małpa na posła dziś wybrana,

„Małpa to teraz wielki zwierz !“ —

„Ach ! niech tam małpa będzie postem

„I niech posłuje Bóg wie gdzie !

„I z orderami osioł osłem,

„Choć tłum go wielkim człękiem zwie !“ —

„Bądź ostrożniejszy, przyjacielu !

„Bo małpa mściwa, wszak ją znasz ?

„Do usług ma rąk płatnych wielu.

„A ty, hołyszu, cóż t y masz ? —“

„Że godność żadna mię nie zdobi,

„Tem chlubię się i temum rad :

„Gdzie zwierz na posła się sposobi.

„Tam niechaj wszystkich porwie kat !“ —

„Ach ! milcz ! zuchwałosc jakaż sroga !

„Pan orderowy — straszny wróg !“ —

„Małpę wybraliby na Boga,

„Lecz żyje jeszcze — stary Bóg !“

(Stacja Felsztyn-Głęboka, w wagonie, 7. wrześn. 1881.)

G. Kohn.

# Dwa Brytany i Wilk

przez

Narbrzana Bętkowskiego.

---

Szło dwóch brysiów potężnych ściegiem koło kniei  
Jeden zwał się Rozedrzej, drugi Grom-Złodziei,  
Aż strach na nich popatrzyć, łeb — jakby korcowy.  
Szyja — ot tak, pniak a pniak odziomy dębowy,  
Brzuch — gdyby u sędziego, wzduż — jak klacz za-  
prężna,  
Noga — jak pod podolskim złodziejem, potężna.

Obaj byli z dwóch kątów jednego podworca,  
Jednego pana krótko trzymali ich stróże,  
Z jednej ręki łańcuchy brali i obroże,  
Jeden kości ogryzać rzucał im dozorca;  
Sąsiedzi po łańcuchu, bliscy pochodzeniem,  
Bylito oba bracia rodem i ciępieniem;  
Obaj byli drapnęli dla swój wspólnej sprawy,  
Tylko jeden był szary, a drugi szarawy.

Kiedy idą tak borem, patrzy wilk z za krzaków,  
Widzi, że idzie w parze takich dwóch junaków.  
Rzekł sobie: diabli po tém, mina u nich dziarska,  
Byłyby zrazy śliczne, i pieczeń huzarska,  
Gdyby nie dwóch! —

— Ale tak, — jeden cię potrzyma,  
Drugi ducha wypuści, — bądź zdrow, wilka niema!  
Śmierć pewna; — lecz, ... niech żyje zdrada i obłuda!  
Spróbuję! może to tu jakos mi się uda, —  
Jak nie, -- to drapnę w knieje.

Wilk w bojaźni cały,  
Aż w ukośnych kolanach nogi mu zadrzały,  
Wystawia łeb z za krzaków z lekka i z ostrożna,  
Czyby zwabić z jednego na stronę nie można,  
I rzecze: — „panie bracie!” — nieśmiało i z cicha,  
Aby głosem donośnym nie rozbudzić licha,  
— „Panie bracie — na słówko! „... Brytan się za-  
trzymał,  
Drugi trochę popędził, — légl, i chwilkę zdrzemał.

Tu wilk rzecze: — Jam rzeźnik z tychtu oto  
krzaków,  
Pełno u mnie jest kielbas, szynek i przysmaków,  
Mam co jeść z łaski boskiej, jak mi Bóg na niebie!  
Panie bracie — na kąsek, proszę cię do siebie.  
Tylko bądź bez wymówki, łaskaw się potrudzić,  
Pański druh, słodko zasnął — jego szkoda budzić,  
On cię wlecze głodnego długo już po borach,  
Kto wie gdziebyście biegli o oschłych ozorach,  
Trzeba być nie wiem jakim, chcąc mu posłuch dawać,  
I z nim w głodzie i chłodzie wlec się i przestawać,  
„Żle, gdy kto swojej szkody przewidzieć nie umie!“  
... Pan brat, także rzeźnictwo podobno rozumie? —  
Pomówimy o sztuce. Miłato zabawa,  
Gdy się ćwierci rozbięra, rąbie i rozkrawa;  
Mogę się i przysłużyć ku miłej uciezce,  
I prócz tego, pozwolisz, na zaszczyt zawieszę  
W dostojność panu, — moja wspaniałość nie skryta, —  
Z łykiem order na szyi z OŚLĘGO KOPYTA.

Na te słowa, wydane w pół donośnym głosem,  
Grom się zbudził. Patrzy, — Żle! —  
Zwąchał pismo nosem;  
Rzekł: — To bydlę dopiero!! — o, to głupstwa  
płata!  
On-tu brata porzuci, a z wilkiem się zbrata.  
— Bracie, szczeknie, Rozedrzej! to wilk! — sam tu,  
bracie!  
Nie wierz zdrajcy, Rozedrzej! on się rzuci na cię!!  
Lecz Rozedrzej na brata charknął i zaszczekał,



Kły wyszczerzył, i swój nos na nitkę nawlękał.

Wilk się zaśmiał, w swym duchu, z głupca kilka-  
krotnie,

Pomyślawszy, że wkrótce nim o ziemię grzotnie;

— No, patrzcie, rzecz psisko, któżby tu chciał  
wierzyć,

Brat ze zbójcą na brata, gotów wnet uderzyć! . . .

„Czytelniku łaskawy! To bajki połowa:“

— A druga? . . .

— „Drugą przyszłość chwilkę  
w sobie chowa.“

\*

20. Maja 1849.

## Do spraw administracyjnych Galicji

z r. 1809.

(Dokument urzędowy.)

Do wszystkich Swieckich y Duchownych Zwierzchności wCyrkule Samborskim.

Z Dnia 25<sup>to</sup> t. M. weyszło do Miasta Cyrkularnego Sambora Ces. Krol. Austriackie Woysko z kawaleryi y Infanteryi składające się ktorego Dowodca podpisany Ces. Krol. Major Stan pierwszy Riczy przywrocil a ustanowione przez Rząd tymczasowy Woyska Polskiego Zarządzenia zniósł, y za nieważne uznał. A gdy ustanowieni od Woyska Polskiego Urzędnicy przed wkroczeniem jeszcze siły wojenney Ces. Krol. Austriackich ztąd oddalili się y mieysca swoje opuścili, a dawnego Rządu Urzędnicy do przeszłego Stanu Czynnosci powrucili, przeto wszystkim Dominiom, Magistratom y Dziekanom utriusque Ritus

odmiana ta do powszechney Wiadomosci y do jak nayprętszego ogłoszenia ztym dokładem podacie się; iż wszystkie od dnia 26<sup>o</sup> Maja R: t. az dotąd częścią przez Same Woysko Polskie, częścią przez ustanowionych od tegoz Woyska Urzędnikow wydane Rozporządzenia y poczynione urzãdzenia za Zadne y niewazne uznaiã się, y przez całą publiczność za nie-trwającã poczytane bydc maiã, ktorych odtąd więcey pod osobistã Odpowiedzialnością dopełniac nie nalezy.

Wrescie gdy rzeczone Ces. krol. Austryackie Woysko daley rozprzestrzeniać się będzie, przeto podacie się powszechna przestroga do Wiadomosci iż wprzypadku gdyby po mimo lepszego spodziewania, w Cyrkule tuteyszym gdzie uzbroieni Szlachta lub Poddani postrzezeni zostali, takowi bez Roznicy, Rangi, y Stanu natychmiast woyskowym sposobem ukarani zostaną. Przez tego maiã wszystkie Dominia, y Magistraty Narzędzia za nakazem bywszego polskiego Rządu do Uzbroienia się przysposobione natychmiast pod naysurowszã odpowiedzialniã do tuteyszey Ces. krol. komędy za Rewersem odstawić y nietylko Zaległe, y bieżące Podatki, ale takze y Liverunki tu do Sambora odwieść, inaczey bowiem takowẽ zapomocã tu stojãcego Wojska z wszelkã surowościã exekwowane będą.

Nakoniec przyłącza się Odpis wydany przez Jego Ces. krol. Mści komęderuiãcego Generała Arcy Xięcia Ferdynanda do Galicianow odezwy do wiadomości y Zachowania się.

Od Ces: krol: Urzędu Cyrkularnego w Samborze dnia 27<sup>o</sup> Czerwca 1809

Steiner mp  
Major

R a a b

od Jeneralmayor Stabe

L: S:

Tenze Cyrkularz iezd od Słowa do słowa odpisany, y daie się J Xiãdzom Parochom — J P: Szlachtom, iako tesz y Gromadom do wiado-

mości azeby to na Ambonie y w Gromadzie publikowano było y tego dopełnili co Rząd Austryacki rozkazuje z tym dokładem, azeby Hayduk na tymże samym Arkuszu Recipisowani — y nie przetrzymanem został, iednakową od Wsie do Wsie do nayprętszego pobiegą y Owiadomienia Forszpan — lub wyrzchowi Konie widane bydz muszą to iest od Gromade Kameralney.

Z : C : K : Ferwalterii Samborski

dnia 28go Czerwca 1809.

---

## Z POŻEGNANIEM.

---

Bądźcie mi zdrowi, bom ja tak mile  
I tak wesoło żył w waszem gronie,  
Niech te choć pamięć uwieczni chwile,  
Gdy wszyscy w inszej będziemy stronie.  
Z smutkiem was żegnam: bądźcie mi zdrowi!  
Wszyscy znajomi, szczerzy, serdeczni,  
A kiedyś — pamięć może opowi,  
Spędzone chwile może uwieczni!  
Może też błędząc po świecie w życiu  
Znów los nam poda zbliżenie,  
A może za kim choćby w ukryciu  
I pierś uroni westchnienie.  
O! wszak pamięci godna Szczawnica,  
Ojczyste wody, góry i lasy ;  
Godne pamięci promienne lica  
Was — me dziewczeczki, tak pełne krasy.  
To też wam wszystkim, polskie dziewoje!  
Na tle polskiego kraju kobierca

Nie szcędzą dzisiaj tu piersi moje  
Ni miejsc w pamięci — ni serca!

Szczawnica w sierpniu 1880.

*Stanisław Tomkiewicz.*

---

## MARZYCIEL.

---

Marzyłem w dni mych zaczątku,  
Marzyłem w młodości wiosnie,  
To miło, błogo, radośnie,  
To pieśń o smutnym znów wątku.  
    Świat rozwiął miłe marzenia,  
    Skróń w krwawe oplótl mi ciernie,  
    I odtąd śpiewam już wiernie  
    Li tylko ból i cierpienia.  
A przecież i boleść miła,  
Złudzenie słodkie nas mami,  
Gdy uwieńczona kwiatami  
Odżyje wspomnień mogiła.  
    O! odżyj, lube wspomnienie!  
    Kształt przyoblekaj i ciało!  
    Wszak wspomnień miłych tak mało  
    A takie srogie cierpienie!  
Przyjaźni nie skąp mi kwiatka,  
Niech się nim pieścę radośnie!  
Marzyłem w młodości wiosnie  
I marzyć chcę do ostatka.

*Sfnx.*

---

# Romuald Traugut.

WSPOMNIENIE

z powstańczych dziejów 1863 roku.

*Napisał*

**A. P.** z Żukowie.

„Z pomiędzy mas bez różnicy zdań i sądów w ostatnich wypadkach, któż nie skłoni głowy przed majestatem śmierci poniesionej dla Ojczyzny?

Najpotężniejszym świadectwem szczerości przekonań, jest poświęcenie się dla nich . . . można ubolewać nad następstwami jakie wywołały wypadki ostatnie, ale się nie godzi odmawiać poszanowania męczennikom. . . . I po dwakroć powtórzym to jeszcze, wolno jest boleć nad historią tych lat krwawych, ale ohydne byłoby nie uznać, że w tych tysiącach ofiar większa liczba postaci urosła do znakomitej potęgi ducha i charakteru.“

(B. Bolesławita. — Akta męczeńskie 1861—1866 stanowiące wstęp do dzieła p. t. „Pamiętka dla rodzin polskich.“)

---

## WSTĘP.

Dawne to lata jak polskie obszary  
Pod swoje berło zagarnęły cary,  
Jak zawiesiły ludowi biednemu  
U rąk i u nóg łańcuchy niewoli,  
Zatkały usta, by światu całemu  
Nie mógł powiedzieć, czyli go co boli.

Wówczas złożywszy zakrwawione dłonie  
Światu o Polski obwieściły zgonie.

I świat się Moskwy nie spytał na chwilę,  
Kto jej dał prawo do takiej grabieży —  
Dosyć mu było wiedzieć tylko tyle,  
Że Polska w grobie pogrzebana leży.  
Lecz sama Moskwa nie dawała wiary  
Tak nagłej, łatwej śmierci swej ofiary,  
Bo choć ją skula w okowy łańcucha  
Wiedziała, że jej nie wydarła ducha.  
Dlatego mądre despoty północy  
Lękliwe o swej zdobyczy utratę  
Tysiące zbirów do Polski wysłały;  
W nagrodę hojną dały im zapłatę,  
Dały bagnetów mnóstwo ku pomocy  
I swoje dzieło kończyć im kazały.

Ślepe narzędzia wszechpotężnych panów,  
Na wskrós znające wszelkie ich zachcenia,  
Zbrojne w piekielne pomysły szatanów,  
Umiały dalej wieść dzieło zniszczenia.  
Co dobrem, świętem było dla narodu  
Musiało zniknąć wśród zbirów pochodu.  
Za to stawały nowych więzień mury,  
Gdzie synów Polski brano na tortury;  
I rosły świeże po kraju mogiły,  
Co w sobie ciała męczenników kryły.

Tak długo naród w niewolę zakuty  
Jęczał i czekał wybawienia chwili,  
Bo wciąż mu jego prorocy wieszczyli,  
Że owe męki są czasem pokuty.  
Wreszcie przeppełnił się kielich goryczy —  
Za ciężko było pod ręką despotów —  
Więc naród powstał upomnieć się gotów  
O swoje prawa u moskiewskiej dziczy.  
Najprzód odgrzebał w krainie pamiętek  
Świetniejsze chwile z ubiegłej przeszłości  
I te otwarcie uczcił na początek.  
A postawiwszy na czele kapłany,

Złożywszy korne do modlitwy dłonie,  
Ukląkł i błagać jał Pana nad Pany,  
By stanął w jego Ojczyzny obronie,  
By nie dopuścił ostatniego zgonu.

Zdziwiona Moskwa zkaąd ten naród żyje  
Dźwigając tyle lat łańcuch u szyi,  
Zlękła się, żeby tam u niebios tronu  
Modłami dla się nie wybłagał cudu  
I uwolnienia od tak długiej męki.  
Każe więc wojsku wziąć bagnet do ręki,  
Stanąc naprzeciw klęczącego ludu.  
Lecz lud nie zważał na te zgraje wroga,  
Tylko gorąco modlił się do Boga.  
Takim spokojem jego rozjuszone  
Dzikie żołdactwo najeża bagnety,  
Wpada pomiędzy rzeszy zgromadzone,  
Morduje starców, młodzież i kobiety  
I kończyć modły zaczęte przeszkadza.  
Ale na jednym miejscu rozpędzony  
Lud się gdzieindziej skupia i zgromadza,  
Skargami boleść swą niebu tłumaczy,  
A kiedy wreszcie został przywiedziony  
Postępowaniem wrogów do rozpaczey,  
Pochwyił za broń i spróbował jeszcze  
Wyrwać się z pod stóp północy olbrzyma,  
Który go tyle lat w okowach trzyma  
A sądził że już godziny wybiły,  
O których jego mówiły mu wieszczce.  
Niestety darmo — zabrakło mu siły;  
Znowu zwycięzył dawny wróg zażarty  
I krwią tysiąca męczeńskich postaci  
Zapisał świeże polskich dziejów karty.

Jednemu z owych umęczonych braci  
Niosącym krew swą Ujczyźnie i mienie  
Kreślę to krótkie i skromne wspomnienie.

I.

Na dworze burza — wicher silny wyje,  
Gęsto kroplami deszczu w ściany bije  
Starego dworku wiejskiego w Ostrowiu.  
Błękity niebios w koło się odziały  
W grubą chmur szatę o barwie ołowiu —  
Za nią się miesiąc i gwiazdy schowały.  
A skrzydła wichru silnego u góry  
Czasem poszarpią ołowiane chmury,  
To znów się bawią pieszczołliwie z niemi,  
Bo je powoli muskają i gładzą  
I tak przed sobą gdzieś w przestwór prowadzą;  
Na dole drzewa pod tych wichrów władzą  
Pokornie czoła schylają ku ziemi.  
Śród takiej pory dwór Ostrowca stary  
Rzekłbyś że w nocną ożywił się burzę,  
Bo z niego głuche wylatują gwary,  
Bije blask światła przez okiennic szpary  
I jasne rzuca smugi na podwórze.  
Gwarów nie schwyci ucho, nie zrozumie,  
Bo je porywa silny wiatr, co szumi.

W koło nie widać nigdzie duszy żywej  
Oprócz dwóch ludzi stojących przy bramie  
Dworskich ogrodzeń, w nocy tak burzliwej,  
A oba strzelby zwiesili przez ramię  
I oba szable przypięli do boku.  
Chociaż deszcz pluszczy, żaden się nie ruszy  
Z miejsca, gdzie stanął nigdzie ani kroku;  
Tylko wyteęza słuch, nadstawia uszy,  
Czy co z falami wichrów nie przyplynie.  
I po cóż w późnej stoją tu godzinie?  
Łatwo to zgadnąć, że pewno na straży  
Tych, którzy w dworku Ostrowskiego sali  
Na jakąś tajną radę się zebrali.  
Oba czekają, czy się nie odważy  
Szpieg gdzie pod ściany przysunąć domowe,  
A szable, strzelby trzymają gotowe,  
By mu na wieki zamknąć niemi mowę.  
W obszernej izbie dworku postawiono



Długi okryty stół obrusem białym,  
Kół którego siadło mężczyzn grono.  
Widać tu starców z włosom posiwałym,  
Z twarzą licznymi troskami zoraną —  
Widać i młodzież gromadnie zebraną —  
Nawet kapłanów nie brak temu kołu.  
Uczta to pewno, bo puhar godowy  
Z winem dość często krąży koło stołu,  
Wszystkich umysły zagrzewa pospołu  
Do żywej, gwarnej pobudza rozmowy.  
Treści nie brakło, bo pod owe czasy  
Z grobu niewoli podnosić swą głowę  
Nasza Ojczyzna poczęła, i w nowe  
Poszła z tyranem północy zapasy.  
A wierny kraju syn, stary, czy młody,  
Jeżeli żelazo mógł dzierżyć w swej dłoni  
Szedł w pole walki i stawał do broni,  
By upragnionej dobić się swobody.

Właśnie też w dworku Ostrowskiego sali  
Młodzi i starzy, co siedli przy stole,  
Żywo i gwarno o tem rozprawiali —  
Może gotowi pójść na walki pole?  
Naraz ucichnął odgłos rozhoworu,  
Z kół swych gości wstał gospodarz dworu,  
Poważnie powiódł dokoła oczami,  
I temi do nich ozwał się słowami:  
„Rodacy moi! straszne to te lata,  
„Jak nam Ojczyznę z kart dziejowych świata  
„Dłoń północnego władcy wykreśliła;  
„Kraj cały w smutnej pograżony doli,  
„Myśmy okuci w kajdany niewoli,  
„A strzeże carskich bagnatów nas siła,  
„A bracia nasi?

Jedni pośród lodów  
„Sybirskich żyją we łzach i boleści —  
„I u tych dzikich na poły narodów  
„Są pośmiewiskiem. Biedni to tułacze  
„Ginący od swych zdaleka bez wieści,  
„Nad których zimną lodową mogiłą  
„Nikt nie uroni łzy, nikt nie zapłacze.  
„Sybirski tylko wichur z całą siłą

„Pieśń pogrzebową nad zmarłymi wyje  
„I grób osłania białą śniegu szatą.

„Iluż znów innych w ciemnych lochach gnije  
„Skutych w kajdany za więzienną kratą,  
„Przez którą rzadko promień słońca błyska,  
„Tam pokarm, jaki carski zbir im dawa,  
„Gorszy niekiedy niżeli psów strawa;  
„Tam pościel trochę zgniłego śmieciska,  
„Służalcy Moskwy z uczucia wyzuci  
„Oto codzienni więźniów towarzysze —  
„Tam braci do snu zgrzyt kluczków kołysze,  
„Gdy je zbir w zamku drzwi kaźni obróci,  
„Rzadko ktoś wolny w dom ztamtąd powróci.

„A iluż innych zaprzężonych braci  
„Do taczek, robi od świtu dzień cały,  
„Za którą pracę carski sługa płaci  
„Cięciem nahajki, gdy pod tem brzemieniem  
„Upadnie więzień przy taczkach omdlały.  
„Lecz po co mówić, o czem wszyscy wiedzą?  
„Po co rozjątrzać rany serc wspomnieniem,  
„Po co łzy ronić nad tych braci nędzą?  
„Bóg tam na niebie zliczył te ofiary,  
„Toż zesze pomoc do walki z tyrany,  
„Co nas tak gnębią; nawet światło wiary,  
„Co w sercach naszych świętym ogniem płonie  
„Chcieliby zgasić, wytracić kapłany,  
„Owych szermierzy w świętych prawd obronie.

„Bracia! gdy naród krwawej rękawicy  
„Dziś się nie waha rzucić do stóp cara;  
„Gdy orzeł biały z wolności sztandara,  
„Który zatknięto na polskiej ziemiicy,  
„Zda się unosić ponad niwy nasze  
„I na bój krwawy wzywać plemię lasze —  
„Bracia, to może wybiła godzina,  
„W której wolności wschodzić świt poczyna.  
„Może nakoniec straszna niebios kara  
„Ponad tyrańskim zwiśla tronem cara,  
„A rozpaczliwe męczenników jęki,  
„Co przez lat tyle o niebios sklepienia

„Biją, wzywając pomsty za cierpienia —  
„Może zjednały, że karzącej ręki  
„Potęgę Pan Bóg rozciągnie nad katem.

„A więc litością czyje drgają dusze,  
„Kto jeszcze umie lzy ronić nad bratem,  
„Gdy jęczy cierpiąc z rąk zbirów katusze—  
„Kto dzieckiem dawnych czuje się rycerzy,  
„Co bój za wolność wiedli całe wieki —  
„Niech twardy oręż ima do swej ręki  
„I staje w szereg za wolność szermierzy.  
„Wszakże jej pierwsze promienie zabłysły,  
„Bo krwawa walka rozpoczęta z carem,  
„A bracia nasi z ponad brzegów Wisły  
„Stoją skupieni pod wspólnym sztandarem.  
„Czyż więc rodzona siostra polskiej ziemi  
„Litwa, ma w tyle pozostać za niemi?” —  
Silne musiała na wszystkich umysły  
Wywrzeć wrażenie ta Trauguta mowa,  
Bo widać było, kiedy brzmiały słowa,  
Jak tu i owdzie drgnął który młodzieniec  
A twarz mu dziwny oblewał rumieniec,  
Jak tam z ocz starca jakiś ogień błyskał,  
Jak zębem zgrzytał i usta zaciskał,  
A gdy ostatnie o słuchaczów uszy  
Potężne słowo mowcy się obiło,  
Naówczas jedno tylko w każdej duszy  
Uczucie zemsty ku wrogom ożyło.  
I zewsząd chórem krzyczano wśród sali,  
Że trzeba ruszyć na wrogów Moskali.

Tak powiew skrzydeł wiatru rozdmuchiwa  
Iskry tlejące śród kupy popiołu,  
Nad którą w stos się ułożą łuczywa,  
Zrazu je płomień obiega od dołu  
I ognistymi kręgami oblewa —  
Później po bokach w koło stos odzieje,  
A kiedy nagle silniej wiatr zawieje  
Wówczas płomieniem jednym stos goreje.  
Zwolna poczęły wśród sali dokoła  
Pełne zapału ucichać już gwary,

Kiedy Kobryński powstał pleban stary,  
 I znów w te słowa do wszystkich zawołał:  
 „Bracia! gdy widzę, każdy życie swoje  
 „Gotów położyć na ołtarz ofiary,  
 „Idąc za wolność Ojczyzny na boje,  
 „Wszak wam wypada najpierw się naradzić,  
 „Kto was powinien do walki prowadzić?  
 „Kilka dni temu narodowa władza  
 „Ostatnie do nas przysłałszy wezwanie,  
 „Byśmy nareszcie zaczęli powstanie,  
 „Naczelnym wodzem Trauguta mianuje;  
 „Czyliż więc z waszą wolą się to zgadza?” —  
 — „Tak! niechaj nami on w boju kieruje“  
 Ozwał się jeden ze starszych w tem kole,  
 „Boż to niedawno temu jak z swej dłoni  
 „Moskiewskiej wreszcie mógł się pozbyć broni.<sup>1)</sup>  
 „Dziś czas pokazać, co zyskał w ich szkole,  
 „Jak się zwycięża swych wrogów i bije!“  
 A za nim cała wykrzyknęła wiara  
 Potężnym chórem: „Niechaj wódz nasz żyje!  
 „Niechaj nas wiedzie na zastępy cara!“ —  
 — „Serdeczne, bracia! składam wam me dzięki,  
 Rzekł Traugut „za ten dowód zaufania —  
 „Będę was uczył w karabinów rury  
 „Patrzyć i słuchać, kiedy dział paszczęki  
 „Nucać pieśń śmierci szatańskimi chóry.  
 „Dziś tylko wskażę wam miejsce zebrania.  
 „Za Antopolem <sup>2)</sup> jest knieja rozległa,  
 „Która precudny ostęp tam osłania,  
 „W koło otoczon olbrzymiami drzewy,  
 „A każde szczytem o niebios błękity  
 „Niby wyniosłem czołem dumnie bije.  
 „Spodem niskimi a gęstymi krzewy  
 „Wkoło ostępu cały las podszyty.  
 „Środkiem się kręto rzeczka Temra wije.  
 „Zanim z nas każdy zajrzy wrogom w oczy,  
 „Zanim żelazo swe w ich krwi zamoczy,  
 „Bezpieczne będą dla nas owe knieje;  
 „Nawet bezpieczniej ogniska tam błysną.  
 „Dym nas nie zdradzi, bo wiatr go rozwieje,  
 „Gdyby ciekawie chciał ponad drzew szczyty  
 „Wznieść się i nieba oglądać błękity.

„Ogni promienie — te się nie przecisną  
„Przez krzewy, które spodem las okryły  
„I ostęp jakby wieńcem otoczyły,  
„Tajemna, kręta a wązka drożyna  
„Przez gąszcze leśne w ostęp się przeżyna.  
„Nikt o niej nie wie — i tylko gajowy,  
„Co nad tą knieją z dawna trzyma straze,  
„Poznał ją często wychodząc na łowy;  
„Ostęp i ścieżkę każdemu z was wskaże.  
„A za dni kilka i ja już gotowy  
„Stanę rodacy! tuż na waszym czele,  
„Śród bojów życia twardego koleje,  
„Śmierć lub przynajmniej zwycięstwa nadzieję  
„Z wami do końca walk śmiertelnych dzieję.”  
Skończył. Tu z jego ostatnim wyrazem  
Powstało całych słuchających grono,  
A kiedy jeden przejął ich duch razem,  
Takową piosenkę chórem zanucono:

Hejże na boje! bracia rodacy!  
Ojczyzna nasza zawezwała nas.  
Pokażmy wrogom, że znów Polacy  
Podnieśli oręż do krwawej pracy,  
By z grobu matki zrzucić zimny głąz.  
Nie dbajmy o knut, Sybir, kajdany,  
W sprawie za kraj nasz wesprze nas Bóg —  
Gdy naród duchem zemsty owiany,  
Gdy na Ojczyzny wspomniawszy rany  
Stanie do walki, zadrży przed nim wróg.  
Dalej więc na bój! dalej więc na bój  
Poprowadź wodzu! swe szyki dziarskie.  
Niechaj nam z czoła krwawy cieknie znoj,  
Bo dziś już lepiej poledz za kraj swój,  
Niż dźwigać jarzmo niewoli carskie.  
A kiedy legniem, koledzy broni!  
Grób nam wykopią kiedyś pośród drzew,  
Kurhan usypią, co grób osłoni,  
Z wiosną wyrosły nam kwiat zawoni,  
Słowik żałobny zanuci nam śpiew.

---

II.

Właśnie już całkiem na niebie ściemniało,  
Ziemia się szatą okryła wieczoru,  
Gdy gdzieś zdaleka Ostrowskiego dworu  
Echo tententu koni się ozwało.  
Czuwano jeszcze w dworze, bo w tej sali  
Gdzie się przed kilku dniami tyłu razem  
Mężów ku wspólnej naradzie zebrało,  
Lampa nad stołem zwieszona się pali.  
Traugut tam z dziwnym oblicza wyrazem  
Powoli chodził po sali dokoła.  
Czasem wzrok smutny zatrzymał na żonie,  
Która w tej sali siedziała u stoła;  
Czasem na małej dziatwie, co na stronie  
Jużto szczebiocąc igrała wesoła,  
Jużto do ojca, do matki przybiega.  
Pieści się chwilę, tuli na jej łonie.

Błogie to czasy, te lata dziecięcia,  
Kiedy stanęło ledwie w progu życia,  
Gdy żadne z cierpień duszy nie dolega,  
Gdy myśl jak pączek wiosennego kwiecia  
Ledwie się budzić zaczyna z powicia.  
Pieszczoty ojca i matki pieszczoty,  
Na przemian łezki, wesołe szczebioty —  
Oto prawdziwie dziecięcia wiek złoty.

Traugut, gdy czasem spojrzął na swe dziatki  
Tak się z miłością tulące do matki —  
W licach mu żal się malował głęboki,  
I tylko westchnął i szybkimi kroki  
Salę przebiegnął znów po kilka razy.  
W tem się w podwórzu ozwał tentent koni.  
Traugut ku oknu podbiegł: „Ha! to oni!  
„Już nadszedli!” Takimi wyrazy  
Ozwał się, rzewny wzrok na żonę rzucił.  
Ona spojrzenie jego zrozumiała,  
Bo kiedy zwolna od okna powrócił,  
Bez łezki w oku od stołu powstała  
I temi słowy przemówi do męża:  
„Czas wam już ruszyć, gdy Ojczyzna woła.  
„Czas stalowego imać się oręza,  
„I harde katom naszym stawić czoła,

„Gdy głos: „do broni!“ brzmi w kraju dokoła.  
„Smutność, mój luby! rzucać żonę, dziatki,  
„Lecz się boleśniej słucha jęków owych,  
„Jakie co chwila po męczarniach nowych  
„Słyszym z ust Polski, naszej wspólnej matki.  
„Ona tym jękiem na was synów woła,  
„Byście szli kruszyć niewoli kajdany:  
„Więc czyja ręka kord udźwignąć zdoła,  
„Ten iść powinien do walki z tyrany.  
„Tam albo niechaj wśród gradu kul ginie,  
„Albo zwycięży, i w owej godzinie  
„Kiedy z laurowym wieńcem w dom powróci,  
„Niech hymn wolności Ojczyźnie zanuci. —  
„A my niewiasty zostaniemy w domu,  
„Za ojca, męża, brata lub kochanka  
„Będziem ślać modły do Pana nad Pany,  
„Wyglądać wieści każdego poranka  
„I skubać szarpie wam na wasze rany.  
„I chować będziem swych nieletnich synów  
„Na przyszłych naszej ziemi krzywd mścicieli,  
„Kiedy ich karmiąc wieścią waszych czynów  
„Ślady żywota dróg im się udzieli,  
„Po jakich kroczyć w przyszłości by mieli.“  
Kiedy ostatnich słów już domówiła,  
Takim jej dziwnym błysnęły wyrazem  
Oczy, któremi na męża rzuciła.  
Żeś w nich mógł czytać miłość i żal razem,  
Coby powstrzymać chciały w domu męża.  
Lecz że był wyższym głós ojczystej ziemi,  
Co synom kazał stawać do oręża;  
Szybko uczucia po licach przemknęły,  
Gdzieś w jej tajnikach serca utonęły —  
I znów się słowy ozwała takimi:  
„Więc i ty drogi! rzuć dziatki i żonę.  
„Za świętą sprawę, za kraju obronę  
„Zanieś krew własną na ołtarz ofiary.  
„Bo kto do korda wprawiał ręce swoje,  
„Uczył się bronią władać w lat rozkwicie,  
„Ten, gdy go wezwie Ojczyzna na boje,  
„By pod wolności jej stawał sztandary  
„Winien porzucić i spokój domowy,  
„Winien jej całe poświęcić swe życie.“

Traugut do głębi wzruszon temi słowy  
Z rozkoszą patrzył w swojej żony lice,  
W jej błyskające zapałem źrenice,  
Bo ileż drogą być mu dziś musiała,  
Gdy go tak słowem do czynu zagrzała.  
Choć ona w życiu była mu aniołem,  
Zawsze czuwała z swem pociechy słowem  
Na koralowych jej ustach gotowem  
Ponad stroskanem swego męża czołem —  
Choć tęskno rzucić tę, z którą mu chwile  
Po ślalach życia płynęły tak mile —  
To jednak teraz, gdy ich dusze społem,  
Na ów „do broni” głos ojczystej ziemi  
Razem się tony ozwały równemi —  
Weselej rzucić mógł domowe progi,  
Do krwawej walki stanąć z swymi wrogami!

A już i jezdni pośród brzęku stali  
Szabel, które im błyskały przy boku,  
Zwolna poczęli gromadzić się w sali  
Traugut z radością widną w jego oku  
Serdecznie wszystkich uściskał koleją,  
Witając przyszłych towarzyszków boju  
Ozłacanego zwycięstwa nadzieją.  
Do przyległego wszedł później pokoju,  
A kiedy wrócił po chwili do sali,  
Gdzie zgromadzeni na niego czekali,  
Już w pistolety i szable był zbrojny  
I do nich ozwał się takimi słowy:  
„Bracia! to dzisiaj raz ostatni może  
„Nad nami zwisa domu dach spokojny;  
„Odtąd tym dachem nad naszymi głowy  
„Będzie nam w nocy i we dnie sklep nieba.  
„Miękką murawą oto nasze łoże,  
„Gdzie będzie wiatrów powiewom potrzeba  
„Do snu kołysać nas po pracy krwawej.  
„A zgromadzone na niebios błękicie  
„Chmury roniące mokre łzy obficie  
„Twarze nam z bitew obmyją kurzawy.  
„Wśród trudów, znojów wieść będziemy życie,  
„Aż na Ojczyzny niebie kiedyś może  
„Zapalim jasną wolności pochodnię;



„Dla Moskwy ręką karzącą jej zbrodnie  
„Staniem się — w czym nas wesprzyj Wielki Boże.“  
Skończył i rękę wsparł na szabli swojej  
Tej wiernej odtąd towarzyszki boku,  
Co go na żadnym nie opuści kroku.

Tu wyszła żona z dalszych gdzieś pokoi,  
Dokąd na chwilę wybiegnęła małą,  
W ręce wyniosła jakąś chustę białą,  
Rozwinęła ją przed gośćmi na stole.

Po jednej stronie na tem płótnie białem  
W środku czerwone widać było pole,  
Na polu jeździec o marsowem czole,  
Dzielnej postawie, a wejrzeniu śmiałem.  
W żelazo kuty był od stóp do głowy  
A w ręce dzierżył nagi miecz stalowy,  
Niby do cięcia wzniesiony do góry.  
Siedział na rączym w pełnym biegu koniu  
I niby hasał po czerwonym błoniu  
Obok na tarczy orzeł srebrnopióry.  
Szpony skrzywione — skrzydła roztoczone  
Jakby do lotu w górną świata stronę  
Zechciał się zerwać z płótna niecierpliw —  
A w górę podniósł głowę i dziób krzywy.  
Może spróbować chciał swych skrzydeł siły  
I wraz się puścić na wyścigi z koniem;  
Jemu do lotu szlak powietrzny miły —  
Rumak by pędził był czerwonym błoniem.  
Niestety ani koń, ni orzeł biały  
Razem w zawody puścić się nie śmiały,  
Lecz na tem płótnie na zawsze pozostać  
Martwe bez życia i ruchu musiały.  
Cóż znaczy ptak ten, ta rycerza postać  
Co z mieczem zdaje się lecieć na bitwy?  
To orzeł Polski — a to pogoń Litwy.  
Z drugiej białego tego płótna strony  
Dwie tam postacie cudne widać było;  
Dwie na ich skroniach spoczęły korony.  
Nad niemi kształtem dużego półkola  
Dwanaście gwiazdek srebrzystych świeciło.  
Cóż te postacie znaczą — których czoła  
Blaskiem świętości jaśnieć się zdawały?

Nie trudno poznać owe święte lica,  
Wszakże to boża Marya dziewica,  
A na Jej ręku spoczął Jezus mały.  
To obraz Matki, co w polskiej krainie  
Na Jasnej-górze z tylu cudów słynie.

Po obu stronach po krajach dokoła  
To płótno ozdobił kwiat lub liść zielony  
Dziergany ręką Traugutowej żony.  
Ono ma służyć za sztandar bojowy.

Gdy Traugut podjął to płótno ze stoła  
Żona go temi pożegnała słowy:  
„Bądź zdrow, mój drogi! gdy lecisz na bitwy  
„Aby za wolność walczyć naszej ziemi,  
„Niechaj te godła Korony i Litwy,  
„Kiedy przed bojem nad braćmi powieje  
„Sztandar dziergany rękami mojemu,  
„Niechaj im wspomną ojców naszych dzieje.

„Ten sztandar nadto niechaj ci wspomina,  
„Że jest niewiasta, co kochając ciebie,  
„Myśleć o tobie będzie co godzina;  
„Zasyłać modły do Pana na niebie,  
„Ażebyś kiedyś mógł po wojnie zdrowy  
„Zwycięzcą wrócić jeszcze w próg domowy.  
„Ta Matka Boża, pod której obrazem  
„Staniesz wśród chrzęstu szabel i kul grania,  
„Niechaj cię płaszczem opieki osłania.“

Traugut ostatnim swej żony wyrazem  
Cały do głębi serca był wzruszony,  
Jednak na lica łza jedna nie spada,  
Tak całkiem stłumił rozrzewnienie w sobie.  
A żonę tylko swojemi ramiony  
Objął, uścisnął i gorący składa  
Jej pocałunek na ustach różowych.  
Po temu dziatki wziął na ręce obie,  
Długo po twarzach ich rumiannych, zdrowych,  
Ojcowskim, rzewnym czule wodził wzrokiem,  
Wreszcie uściskał i powolnym krokiem  
Z gośćmi na ganek wyruszył ze sali.

Niedługo potem zagrzmiał tentent koni  
Razem ze chrzęstem pomieszany broni —  
W końcu i jeźdźcy znikli gdzieś w oddali.

---

### III.

Skromny pokoik, pobielone ściany,  
Na nich tu owdzie wisi obraz święty;  
Tu Matka Boża z dziecięciem w koronie,  
A tam Zbawiciel na krzyżu rozpięty  
Z świętem w obliczu męczeństwa wyrazem.  
Lampa mdłym światłem od wieczora płonie  
Przed Częstochowskiej Maryi obrazem.

Czyjeż mieszkanie tu, gdzie każda ściana  
Godło ci wiary Chrystusowej stawia  
I skąd świętego życia spokój wieje?  
To kobryńskiego pokoik plebana.  
Właśnie kapłańskie pacierze odmawia  
Z postawy widać, że starzec sędziwy  
Mnogie pielgrzymki ziemskiej liczy lata,  
Płynąc po falach burzliwego świata.  
Już mu i skronie osłonił włos siwy.  
A jaka świętość niebiańska jaśnieje  
W obliczu tego zacnego kapłana,  
Gdy wzniosłe myśli słowa pokornemi  
Niby to jakąś szatą przyodzieje  
I takie przed tron Boga szle ze ziemi.  
Czasem tak myślą ku niebu uleci,  
Że szeptanego nie słysząc wyrazu;  
Wówczas posągiem wydaje się z głazu  
A tylko w oku njeziemski blask świeci.

Skończył nareszcie starzec swoje modły.  
Co myśli jego gdzieś poza świat wiodły  
I wolnym krokiem po pokoju chodzi.  
A choć już była północ niedaleka,  
Przecież mu senna nie ciąży powieka.  
Zapewne dzisiaj na kogoś on czeka,  
Bo dosyć często ku oknu podchodzi,

Baczną uwagę zwraca na podwórze,  
A gdy nic ztamtąd usłyszeć nie może,  
Od okna wraca niespokojny nieco  
I tylko westchnie — z westchnieniem ulecą  
Urwane słowa! „O Boże! mój Boże!”

Niedługo drzwi się boczne otworzyły,  
Co do pokojów dalszych, zda się, wiodą;  
Wszedł drugi kapłan. Twarz miał czerstwą, młodą,  
Wzrok pełen ognia i młodzieńczej siły,  
A szlachetności wyraz jaśniał z czoła.  
Smutnem coś okiem spoglądał dokoła,  
Potem czas dłuższy patrzył w starca lice,  
Jak gdyby zechciał jaką tajemnicę  
Wesołą dla się czytać w jego oku,  
A potem westchnął i te słowa rzecze:  
„Dzisiejszy wieczór tak długo się wlecze,  
„Tak dawno ziemia śpi już w nocnym zmroku,  
„A nasi bracia jeszcze nie przybyli,  
„I próżno czekam ich do tego czasu.  
„Radbym już ruszyć coprędzej do lasu,  
„By wolniejszemi odetchnąć piersiami,  
„Bo tutaj ciężko — bo tu każdej chwili  
„Słyszeć jak ołów wroga mi zagraża;  
„Bom dziś tak jego otoczon szpiegami,  
„Że się ma stopa nawet nie odważyć  
„Za progi domu wychylić w dzień biały,  
„By jej służalce carskie nie dojrzały.  
„Wszak kilku księży, co jak ja wołali  
„Do ludu, by pod powstania sztandary  
„Stawał, niósł życie na ołtarz ofiary,  
„Moskale w progi wieczności posłali!”

„A więc Justynie! Obawiasz się kary,”  
Łagodnie rzecze mu starzec sędziwy,  
„Za to, że ludu swego serca niwy  
„I światłem naszej rozświecałeś wiary,  
„I uczył kochać tę matkę, co żywa  
„W grób zakopana, a z grobu niewoli  
„Kiedy się dzisiaj na wolność zdobywa  
„I na swych synów woła, co ją boli;  
„Ty synów wzywasz kapłańskimi słowy,

„By bronić matki szli na plac bojowy?  
„Wzdrygasz się iż ci wróg za czyny owe  
„Wieniec męczeński nałoży na głowę?”  
Z lekkim wyrzutem te słowa plebana  
Nieco drasnęły uczucia młodziana,  
A błysnął ogień zapału mu z oka.  
„Plebanie! Ten, co tam mieszka nad nami  
„I czyta w sercu każdego z wysoka,  
„On świadkiem moim, czym ja przed wrogami,  
„Kiedym ludowi Ojczyzny niedolę  
„Stawiał przed oczy, wzdrygnął się czasami.  
„Wszak Polakowi wryto na czole,  
„Że go nie miną Sybir, ni kajdany,  
„Ni carskie knuty, gdy na Polski rany  
„Patrząc, śnić będzie, by zrzucić niewolę,  
„To jarzmo, w które wprzęgły nas tyrany;  
„Że gdy podniesie głos w swych praw obronie,  
„Wieniec męczeński włożą mu na skronie  
„Wcześniej, czy później doczekam się tego,  
„Może doczeka się i twój włos siwy  
„Losu nam synom Ojczyzny wspólnego.  
„Lecz kiedy dzisiaj ponad nasze niwy  
„Duch krwawej walki z tyranami wieje,  
„Rosną nam w sercach zwycięstwa nadzieje —  
„Gdy bracia spieszą na boje a w dali,  
„Kędyś tam, kędyś na przyszłości fali  
„Do nich jutrzienka wolności się śmieje  
„Po tylu latach strasznej piekiel męki —  
„Wszakżeby jeszcze moje młode siły  
„Braciom na polu bitew usłużyły.  
„Wprawdzie żelaza nie wezmę do ręki,  
„Orężnej walki nie będę wiódł z katem;  
„Lecz gdy zaświśnie kula, szabla brzęknie,  
„Gdy się otworzy do wieczności droga,  
„Wielu się z braci musi żegnać z światem,  
„Gdy ciało, ziemską ta powłoka pęknie  
„A duch popłynąć musi przed tron Boga.  
„Wszakże im będzie na tę podróż trzeba  
„I słów pociechy i bożego chleba.”  
Ledwie zakończył młody kapłan słowa,  
Coś wyrzec jeszcze chciał pleban wzruszony,  
Kiedy się nagle urwała rozmowa.

Wyrżą przez okno — od Kobrynia strony,  
Drogą, co prosto do probostwa wiedzie,  
Szybko tam jakiś oddział ludzi jedzie.

Niebios widnokrąg cały był zamglony,  
Gdzieniedzie tylko światła gwiazd mignęły,  
To otulone znowu w obłok szary,  
Co szybko kędyś w dalszy przestwór leci  
Z przed oczu obu patrzącymy niknęły.  
A miesiąc, ziemi ów towarzysz stary,  
Czy jeszcze nie wstał, że jakoś nie świeci,  
Czy znużonego podróżą sen zmorzył.  
I tak się wcześniej dzisiaj spać położył,  
Czy też z innymi wędrowcami nieba  
Na jaką ucztę iść mu było trzeba,  
I tak ochoczo zabawia się z niemi,  
Że i na dzisiaj zapomniał o ziemi —  
Dość, że zostawił ciemnem nieb sklepienie.  
Jeźdzców okrytych gęsto w nocne cienie  
Nie łatwo księża rozpoznać zdołali;  
Lecz że głośniejszem wciąż dudnienie było,  
Że się wciąż bliżej z pod kopyt iskrzyło,  
Widoczna, że do probostwa jechali.  
Niedługo potem przy zamkniętej bramie  
Jacyś się zbrojni ludzie pokazali.  
Każdemu wisiał karabin przez ramię,  
Każdemu szabla wisiała przy boku;  
Mundurów nie znać wśród nocy pomroku.  
Przy bramie jeźdzczy zsiadli ze swych koni,  
Każdy na sobie poprawił swej broni,  
I boczną furką, co otwarta była,  
Garstka tych ludzi w podwórze wstąpiła.  
Furtę przymknęli od strony gościńca  
I pod drzewami, co z boku dziedzińca  
W górę rozrosłe podniosły ramiona  
Jezdni swe konie do pni przywiązali.  
Na straży jeden pozostał z ich grona.

Tymczasem pleban ze światłem do sieni,  
Z licem swobodnem i pełnem radości  
Wyszedł, powitał tajemniczych gości,  
I wiódł ich w skromne za sobą pokoje.

A był to Traugut, co jadąc na boje  
Z towarzyszami zboczył ze swej drogi,  
By jak ci dawnych świętych walk rycerze,  
Co tchnęli duchem wiary Chrystusowej,  
Przed bojem krwawym poświęcić oręż  
Błogosławieństwo na żywot bojowy  
Z ust kobryńskiego odebrać kapłana; <sup>a)</sup>  
A do obozu wziąć za kapelana  
Księdza Justyna, z którym go wiązały  
Węzły przyjaźni zdawna skojarzone.

Szata nocnego mroku otulone  
Opodal mury kościoła drzemały;  
Z nim towarzysze drzemały omszone,  
Te stare lipy, co rzędem dokoła,  
Niby to bijąc pokłony, schylały  
Ponad świątyni dachem dumne czoła.  
Tam pleban swoich nocnych gości wiedzie.  
Z latarką pod płaszcz ukrytą, na przedzie  
Biegł dosyć chyżym krokiem pleban stary;  
Otwarł drzwi kruchty — otwarł drzwi kościoła —  
Przymknął, gdy wszyscy już w świątyni byli.  
Na środku klękli; znak Chrystusa wiary  
Każdy na czole i piersiach położył,  
A potem wstali, z pokorą ruszyli  
Do stóp ołtarza, przed którym dnie, noc  
Lampa bladawem światelkiem migoce.  
Pleban uklęknął i księgę otworzył,  
Szybko z kolei kilka kart przerzucił,  
Czytał modlitwy i wodą święconą  
Pokropił szable i sztandar bojowy.  
A kiedy skończył, znowu się odwrócił  
I od ołtarza nad klęczących głowy  
Błogosławieństwa krzyż w powietrzu kręśli;  
Westchnął — ku niebu korne przesłał myśli,  
Potem im szable i sztandar bojowy  
Oddał, takimi żegnając ich słowy:  
„Lećcie na boje, dzielne Polski syny!  
„Gdy was wezwała matka męczennica;  
„Niech wam wśród boju waszych przodków czyny,  
„Ich męstwo, dzielność, jak gwiazda przyświeca.  
„Na wspólny ołtarz nieście krew i życie

„Aby zwycięztwa pozyskać wawrzyny,  
„Gdy nad ojczystą ziemią rozniecicie  
„Światło wolności, na które lud czeka  
„Jęcząc w piekielnych męczarniach pół-wieka.”  
Tu wzniosł ku niebu i oczy i dłonie:  
„Boże Wszechmocny, który rządysz światem,  
„Wesprzyj nas, wesprzyj w Ojczyzny obronie —  
„Wszechmocną rękę wyciągnij nad katem.  
„Wesprzyj Maryo, co na Jasnej-górze,  
„Kiedy miotaly takie Polską burze,  
„Że się zdawało, że wśród nieszczęść sali  
„Wrogi jej imię z dziejów wymazali —  
„Wzbudziłaś w mnichu bohaterów ducha.  
„Gdyś gród opieki płaszczem osłoniła  
„I cudem o te mury Częstochowy  
„Wściekła potęga wroga się rozbiła —  
„W upadłe dusze wstąpiła otucha.  
„Znów z piersi mężów zabrzmiał krzyk bojowy—  
„Podniósł się naród już prawie złamany,  
„I otrząsł z siebie włożone kajdany.  
„Tak spojrzuj jeszcze, Matko litościwa!  
„Na nas, co cierpim piekielne katusze;  
„Dozwól, by rychlej ta chwila szczęśliwa  
„Świętej wolności błysła nam na niebie;  
„Pociesz zbolale cierpieniami dusze,  
„Matko litości! wołamy do ciebie!”  
Skończył; kolejno swojemi ramiony  
Objął każdego, do serca przyciska,  
Wszystkich serdecznie żegna rozrzewniony,  
Na posiwiąłych rzęsach łza mu błyska.

---

#### IV.

Jak okiem sięgnąć w którekolwiek strony,  
Sosnowe bory ciągną się dokoła;  
W dali się zdaje, że błękit zwieszony  
Na krańcach lasu całuje drzew czoła.  
Niebo precudne, bo od gwiazd tysiąca,  
Od migających blado ich promieni  
Błyszczący jakoby od drogich kamieni.



Na niem jak lampa świeci krąg miesiąca.  
U dołu świerki i sosny i jodły,  
Gdy je wiatr nocny kołysał, szumiały,  
I niby z sobą rozhowory wiodły,  
A niby jakąś tęskną pieśń śpiewały.  
A środkiem boru żółtym kryte piaskiem  
W różne się strony leśne drogi wiły ;  
Tutaj je miesiąc ozłacał swym blaskiem,  
Tam na nie cienie drzew się położyły.

Przy jednej z drożyn wysłany na czaty,  
Lekko otulon w ciemne cieniów szaty  
Żołnierz tam jakiś wolnym chodził krokiem.  
Szabla mu brzęknie od czasu do czasu,  
Karabin w blasku miesięcznym zabłyśnie ;  
A on to rzuci na drożynę okiem,  
To słucha tonów szumiącego lasu,  
To znowu cichą piosenkę zaświśnie.  
Nagle na drodze coś słyszeć się dało  
Niby głos ludzki, niby odgłos kroku,  
Z falami tonów lasu się mieszało.  
Słyszał to żołnierz w ciemniejszym drzew cieniu.  
Staął ; karabin zwisły na ramieniu  
Wziął w dłonie, szabli poprawił przy boku  
I czeka baczenie, do walki gotowy.  
Po leśnej drodze wśród miesięcznej nocy  
Szedł żyd coś mrużąc półgłównemi słowy,  
Rzekłbyś, że wzywa Jehowy pomocy.  
Poznać go łatwo po długiej odzieży  
I z długiej brody, co na piersi spływa,  
Z pejsów kręconych, którymi wiatr wiewa,  
I ze szeptanych półgłosem pacierzy.  
Poznał go żołnierz, więc skoczył do drogi,  
Staął przed żydem, prosto mu w pierś mierzy  
Błyszczącą swego karabinu rurę.  
Zadrzał żyd, zblednął wśród śmiertelnej trwogi.  
Żołnierz w nim topiąc wejrzenie ponure :  
„Szpiegiem — wykrzyknął — być musisz gdy  
w borze  
„Jeszcze się błąkasz o tak późnej porze,  
„Prawdę szczeremi wyznaj żydzie ! słowy,  
„Gdzie są tropiący nas zewsząd Moskale,

„A życie twoje na teraz ocale,  
„Ołów na wieki nie zamknie ci mowy.  
„Może od boru kędy stoją z bliska  
„I grosz ci marny przed oczy rzucili,  
„Byś w borze nasze przejrzał stanowiska;  
„A tyś się może nie wahał i chwili,  
„Byłeś za podły pieniądz judaszowy  
„Carskim słuźalcom wskazać nas gotowy.“  
Mówił a groźnie patrzył w szpiega lice  
I w nich chciał całą odkryć tajemnicę.  
Kiedy żyd z pierwszej ochłonał już trwogi,  
Odetchnął wolniej. A choć przed nim z bliska  
Mordercza rura karabinu błyska  
I żołnierz jeszcze topi w nim wzrok srogi —  
Gdy się dowiedział z groźnej jego mowy,  
Że on powstańcem i czaty odbywa,  
Strzegąc obozu, co w borze spoczywa,  
Spokojnie czapki uchylił z swej głowy,  
Sklonił się nisko, takimi się słowy  
Do grożącego mu śmiercią odzywa:  
„Stój przyjacielu! srodzy wam Moskale  
„Stoją w tym dworze, gdzieście wczoraj byli,  
„Za wasze przejście z dymem go puścili —  
„Lecz by im służyć nie przyszedłem wcale.  
„Wszak polska ziemia, co mię wykarmiła,  
„Wspólnym mię z wami węzłem połączyła;  
„A choć nie bronią, to czem innem może  
„W walce z tyranem żyd wam dopomoże.  
„Więc wskaż do wodza drogę, a wyjawię  
„Cel mej podróży, gdy się przed nim stawię.“  
Żołnierz nie bardzo coś szpiegowi wierzył,  
Groźno go jeszcze raz oczyma zmierzył,  
Potem na prawo pokazując z drogi  
Kazał przed sobą iść naprzód szpiegowi.  
Lekko ludzkiemi wydeptana nogi  
Wążka drużyna w głąb lasu się wiła;  
Tędy więc obaj szli ku obozowi,  
Gdzie się powstańców garstka rozłożyła.  
Idą w milczeniu, tylko pod stopami  
Sucha gałązka zachrupnie czasami,  
Bór jednostajną swoją piosnkę śpiewa,  
To znów na drzewie zbudzona ptaszyna

Porwie się ze snu, trzepoce skrzydłami,  
Siada na innych gdzieś gałęziach drzewa  
I dalej sobie drzemać rozpoczyna.

Niedługo potem przed sobą ujrzeli,  
Gdzie się już wążka kończyła drożyna,  
Jak tu i owdzie coś pośród drzew błyska;  
Wprost tam więc idąc w ostępie stanęli.  
Ostęp okryły dość gęsto drzew cienie,  
A w nim się wkoło dymiły ogniska.  
Gdzieniegdzie jeszcze migwały płomienie,  
Gdzieindziej tylko węgle się żarzyły.  
Z ognisk się wznosi dym nad las do góry,  
A oglądnąwszy tam niebios lazury,  
Ponad czołami sosen się rozchodził  
I tam powoli gdzieś znikał nad niemi.  
Tu przy ogniskach powstańcy na ziemi  
Znużeni twardym objęci snem spali.  
Blask ogni w szabel odbijał się stali,  
Od karabinów, bo pod śpiących bokiem  
Na pogotowiu przy każdym błyszcząły.  
Dokoła chodząc jednostajnym krokiem  
Straże nad braćmi śpiącymi czuwały.  
Tam dalej lance rzędem w ziemię wbite  
A przy nich konie siodłami nakryte.

Z boku ostępu pod wyniosłem drzewem  
Chorągiew w ziemię zatknięta sterczała  
I z lekkim wiatru nocnego powiewem  
Z boku się na bok kołysząc igrała.  
Dalej ognisko, gdzie płoną łuczywa  
Świeżo na pastwę płomieni rzucone;  
Tu z kapelanem wódz Traugut spoczywa.  
Lecz że to miesiąc dobrze się już chyli  
Ze szczytu niebios na zachodnią stronę,  
Obaj się razem ze snu przebudzili.  
Ledwie na czole znak krzyża zakreśla,  
Pierwszą ku niebu zwrócili się myślą.  
Ksiądz się do rannych już zabrał pacierzy  
I klęcząc jutrznię przy ogniu odmawia —  
Gdy żołnierz z czatów przybyły w tej chwili  
Z pojmanym szpiegiem prosto ku nim bieży

I przed swym wodzem Traugutem go stawia.  
Już żyd być musiał wodzowi znajomy,  
Bo lekkim głowy skinieniem go witał —  
Ledwo go krótko kilka słów zapytał,  
Otrzymał jakieś papiery od szpiega.  
Wówczas mu usta krasił śmiech widomy.  
Potem przy ogniu, gdzie łuczywo płonie  
Usiadł, wesołem okiem je przebiega.  
A kiedy skończył, ze szpiegiem na stronie  
Wiódł jeszcze jakieś dość długie narady;  
Po chwili znowu wrócił do ogniska,  
Szpiega na dalsze wysłał zaraz zwiady,  
I z wesołością, jaka z oczu błyska,  
Temi się ozwał do kapłana słowy:  
„Dziś jenerałem Rząd mię narodowy  
„Mianować raczył na Litwinów czele;  
„A że Moskale stoją od nas z bliska,  
„Z tą nową władzą zajrzeć w oczy śmieie  
„Dzisiaj im równo ze świtem dnia muszę  
„I nim się wieścią z mą bracią podzielię,  
„Wprzód o zwycięztwo z nimi się pokuszę.“  
Kiedy ostatnie wymówił wyrazy,  
Na alarm w trąbkę zadał kilka razy  
Przeciągłe echo odgłosu po lesie  
Wiatr od drzew do drzew coraz dalej niesie,  
Aż na ostatniej kędys jego fali  
Coraz słabnące skonało w oddali,  
Gdy nad ostępem to hasło zagrało,  
O uszy twardo śpiących się obilo,  
Rzekłbys, że władzę czarodziejską miało,  
Tak naraz wszystkich ze snu przebudziło.  
Każdy powstaniec karabin w swe dłonie  
Porwał i szablą zabrzęczał przy boku,  
A przeciw wrogom ku wspólnej obronie  
Myśl mogłeś czytać w rozspanem oku.  
Niejedni w pierwszej niby groźnej chwili  
Na ziemi czapki swoje zostawili;  
Z odkrytą głową, z bronią w ręku stali  
I tylko okiem wodzili dokoła,  
Dokąd ich trąbka znowu na bój woła,  
Skąd nadciągają szeregi Moskali.  
W tem z miejsca tego, gdzie sztandar powiewa,

Głos „do szeregu“ wodza się rozbrzmiewa.  
Widać go z szablą pod sztandaru bokiem,  
Jak po ostępie dumnym wodzi okiem,  
Przy nim ksiądz Justyn, przyjaciel serdeczny.  
Kapłan ten w całym obozie lubiany,  
Bo niejednemu już na żywot wieczny  
Udzielił chleba, lub opatrzył rany.  
Od takich usług jego nie wstrzymały  
Szable, ni kule, choć najgęściej grały.

Ledwo chwil kilka jak rozkaz wydany,  
A już w szeregach stanął oddział cały,  
Gotów na wszelkie Trauguta rozkazy.  
Wkrótce i sztandar podjęto ze ziemi,  
Ksiądz krzyż w powietrzu zakreślił nad niemi,  
A wódz takiemi przemówił wyrazy:  
„Za mną rodacy! bo gdy pocznie świtać,  
„Żelazem musim Moskali powitać.“

Rzekł i na czele powstańców zastępu  
Gdy trąbki w pochód po bokach zagrały,  
Ruszył wódz Traugut z leśnego ostępu.  
Za nim ochoczo ruszył oddział cały.

---

Już dobrze świtać na niebie poczęło,  
Kiedy na końcu sosnowego boru  
Wojsko po żwawym pochodzie stanęło.

Księżyc, co zaczął zaraz od wieczoru  
Zwykłą wędrówkę po niebios błękiecie,  
Nad powstańcami świecił przez noc całą,  
Już kresu drogi dobiegał o świcie.  
A kędy niebo od zachodniej strony  
Ze ziemią naszą niby się stykało,  
Wisiał nie jasny, lecz blade-czerwony.  
Czemu? czy długą wędrówką znużony  
Tak się czerwienił i blednął — czy z gniewu,  
Że dziś być nie mógł świadkiem krwi przelewu?  
Trudno to zgadnąć; lecz tarcza księżycza  
Teraz tak jasno jak w noc nie przyświeca,

A gdy tak nisko była, że już ziemi  
Dotknąć się miała krańcami swojemi,  
Chmurka na błękit niebieski wypływa  
I tarczę jakby zasłoną okrywa.  
I coraz wyżej po błękitcie mknęła,  
A gdy się wreszcie od ziemi odbiła,  
Czysty za sobą błękit zostawiła,  
Tarcza księżycy gdzieś w głębi zniknęła,  
I niebo bardziej zsiniało w tej stronie,  
Jakby ze smutku po księżycy skonie.

A tam od wschodu już niebios lazury  
Dołem się barwą oblały purpury,  
Wyżej ku górze nieco pobielwały.

Pod takim niebem tuż na krańcu lasu  
Idąc do walki stanął oddział cały.

Zdała w dolinie drzemie jeszcze sioło,  
Tylko psów wiernych od czasu do czasu  
Słysząc to hasło czujności, szczenie,  
Albo przeciągłe ranne kurów pianie,  
A zresztą cisza panuje w około.  
Czasem skowronek zbudzon gdzieś na roli —  
Na swych skrzydełkach ze ziemi podlata,  
Z piosenką płynie ku niebu powoli,  
Aż nagle w drogi połowie spostrzega,  
Że wstał zawczasie i że nocna szata  
Świat jeszcze cały dokoła zalega.  
A więc ku ziemi szybko znowu spada  
I kędyś pośród bujnych zbóż usiada.  
To czasem znowu chróściele drzemiące  
Gdzieś się półgłosem odezwą na łące.

Nieco za wioską od zachodniej strony  
Na lekkim wzgórkku widać było zdała  
Dzieło Moskali: duży dwór spalony.  
Gdzeniegdzie jeszcze błyszczą tam płomienie,  
Przy nich się kręcą jakichś ludzi cienie;  
A ku niebiosom płynie dymu fala  
Unosząc z ziemi na Moskala wroga  
Skargę boleści przed wielki tron Boga.

Tu owdzie nagie szkielety drzew stały,  
Czarne — bo barwa znikła z nich zielona,  
Gdy je niszczące płomienie oblały;  
Z boku ich nagie konary sterczały,  
Niby wzniesione ku niebu ramiona  
Jakby do niebios o pomstę wołały.

Chwilę powstańcy patrzyli w tę stronę,  
Nad którą ręką zbrodniczą tyrana  
Tak sroga zemsta była dokonana.  
Nie jeden z piersi westchnienie stłumione  
Dobyl lub zgrzytnął ze złości zębami  
Pałając żądzą zemsty nad wrogami.

W tem drogą z wioski przyspieszają kroku :  
Przybył do wodza ów szpieg dobrze znany  
I wiódł z nim chwilę rozmowę na boku,  
Niekiedy ręką wskazując na sioło,  
To znów na dworze spalonego ściany,  
Gdzie tu i owdzie płomień jeszcze błyska.  
Pewno Moskali wskazał stanowiska,  
Ich rozstawione placówki w około,  
Gdy wódz tak bacznie zważał jego słowa.  
A kiedy skończył, wódz swój oddział dzieli ;  
Przy nim ma jedna pozostać połowa,  
Z przodu się wroga zaczepić ośmieli,  
Gdy znowu druga osłonią lasem  
Tuż krańcem idąc, w największym spokoju  
Wioskę w dolinie okrąży tymczasem,  
Z boku Moskali stawi się do boju.  
Nim oddział na dwie podzielon połowy  
Ruszył, takiemi wódz przemówił słowa :  
„Bracia! widzicie ten wzgórek w oddali,  
„Którędy wczoraj przeszły stopy nasze ?  
„Dziś depce miejsce to stopa Moskali,  
„Wczoraj puścili z dymem dworskie mienie,  
„Dziś pobrzękują tam tylko pałasze  
„Sóldatów, co się pośród zgliszców wija,  
„A o ścian resztki których i płomienie  
„Pożaru całkiem rozgryźć nie zdołały,  
„Echa ich szabel tak szyderczo biją,  
„Jakby i zgliszczom nawet urągały.

„Za cóż dotknęła dwór ten taka kara,  
„Że go zmieniono w popiół i perzyny ?  
„Czemu się nad nim mszczą służalcy cara ?  
„Bracia, to z naszej spalono go winy.  
„Wszak dosyć wrogom wiedzieć było tyle,  
„Że się we dworze powstańcze oddziały  
„Śmiały zatrzymać ledwie małą chwilę,  
„Ażeby w zgliszcze zamienić go cały.  
„Więc naprzód! może my za czyn ten będziemy  
„Sprawiedliwości karzącej narzędziem.“  
I tutaj z szablą na swych szyków przedzie  
Stanąwszy, ruszył tamtędy, gdzie droga  
Prosto do wioski i do dworu wiedzie.  
Druga połowa oddziału tymczasem  
Chcąc wieś okrążyć rusza w pochód lasem.

Właśnie się wojsko już do wsi zbliżało ;  
Najprzód piechota szła po czterech rzędem  
Z Traugutem, głośnym dowódcą na przedzie ;  
A tuż konnica za nią stępem jedzie,  
Kiedy na krańcu wioski zatętniało  
I kilku jezdnych ku dworowi pędem  
Na rącznych koniach wprost drogą pognało.  
Ledwie mignęły przed powstańców okiem  
Ich spisy, brzękły im szable pod bokiem,  
Kiedy ich wioska zupełnie zakryła.  
Pierwsza kozacka pikietta to była,  
W ślad za nią nasi z pośpiechem ruszyli.

Cichość złowroga zaległa nad siółem  
I tylko skrzypną niekiedy drzwi chaty,  
Z nich postać jakaś zwolna się wychyli.  
Włos rozczochrany wisi nad jej czołem ;  
Okryta z lekka wieśniaczemi szaty  
Trwożliwie rzuci na drogę oczami  
I nagle zniknie zatrzasnąwszy drzwiami.  
To wieśniak biedny, w czas ze snu zbudzony.  
W połowie drogi już powstańcy byli,  
Gdy doleciały ich od dworu strony  
Trąbki wojennej urywane tony ;  
Tuż się i bębny ozwały po chwili,  
Snać się Moskale już z miejsca ruszyli.



Nagle ze straży, co idąc na zwiady  
Naprzód szeregom naznaczała ślady,  
Którędy pośród zabudowań sioła  
Bezpiecznie oddział przesunąć się zdoła —  
Pewną wodzowi już wieść przyniesiono,  
Że się w szeregi szykują Moskale,  
By naszym czoła nadstawić zuchwale.  
Żwawo więc naprzód wprost ku nim ruszono.

Ze wzgóрка, kędy stał ów dwór spalony,  
Do wioski droga szła przez czyste pole,  
Z boków jej rosły wysmukłe topole,  
A równolegle z nią od jednej strony  
Dworskie się łąki daleko ciągnęły  
Okryte w kwiatów różnobarwne szaty.  
Poza łąkami stały wiejskie chaty.  
Tu gdy szeregi powstańcze stanęły,  
Ujrzą jadące kozackie szwadrony  
Stępo przez łąkę wprost od dworu strony.  
W każdym powstańcu na ten widok w dali  
Żywiej po żyłach krew zaczęła płynąć,  
A każdy chęć miał zwyciężyć lub zginąć.  
W tem nagle Traugut dał swym znak z rozkazem,  
Aby kozaków przywitać żelazem.  
I wnet konnica tworząc szyk bojowy  
Przeciw kozakom wyruszyła żwawo.  
Ujęte długie lance w rękę prawą  
Ponad swych koni opuszczono głowy,  
I naprzód stępo, tęgim kłusem dalej  
Do krwawej walki powstańcy jechali.  
Jeszcze kilkaset kroków rozdzielało  
Nasze szeregi od jazdy Moskali,  
Gdy grzotne „hura!” z obu stron zabrzmiało,  
I wróg i nasi puścili się cwałem.  
Konie jak struny wyciągły się w biegu,  
Jeźdźcy się naprzód pochyliłi ciałem,  
Kiedy dopadał szereg do szeregu.

Tak z wierzchu góry poruszone głazy,  
Zanim się po niej aż w dolinę stoczą,  
Wprzód się obróćą zwolna kilka razy,  
Po drodze kilka zygzaków zatoczą,

Potem się coraz szybciej na dół suną,  
Aż wreszcie nagle wpośród biegu staną  
Gdzieś ponad stromo spadającą ścianą.  
Wówczas z szalonym pędem na dół runą  
I jak grzmot hucząc toczą się po górze.  
A kiedy wpadną, gdzie góry podnoże  
Gęsto się drzewy okrywa bujnemi,  
Wówczas dudnienie słyhać tylko ziemi,  
Czasem trzask drzewa, kiedy z pnia się wali.

Od wschodu, kędy niebo się rumieni,  
Właśnie wstawało słońce czerwonawe,  
Świat oblewając tysiącem promieni.  
Z początku zda się, że krańcami swemi  
Przez małą chwilę wsparło się na ziemi,  
Potem wstąpiło na niebios lazury  
I po nich zwolna płynęło do góry.

A tam na łące owi z naszej strony,  
Co z swych szeregów naprzód się wyrwali,  
Lecząc jak piorun ku ścianie ruchomej,  
Którą kozackie tworzyły szwadrony —  
Wniej tu i owdzie zrobili wyłomy,  
Biorą na ostrza swoich lanc Moskali,  
A gdy za nimi wpadła jazda cała  
Do dzikiej z wrogiem tocząc się rozprawy  
Łatwiej kozackie szeregi złamała.  
Piękny był obraz owej walki krwawej,  
Choć dziki razem, bo w walczących tłumie  
Człowiek człowieka szanować nie umie.  
Nad jezdnych tłumem rozległ się szcęk broni,  
A ziemia dudni pod kopytem koni.

Tu kozak spisa w pierś Polaka mierzy,  
Ten się na siodle nieco w bok uchyli  
I nagle laną swą w tej samej chwili  
W pierś kozackiego rumaka uderzy,  
Zarżało zwierzę i na bok odskoczy,  
Lecz raz popchnięte morderczem żelazem  
Runie na ziemię z swoim jeźdzcem razem,  
A zanim kozak mógł stanąć na nogi

Lanca zwycięzcy błysła mu przed oczy,  
Wysłała ducha w wiekuiste progi.

Tam inny z naszych szablę dzierząc w dłoni  
Silnie ostrogą ubodzie rumaka,  
Poskoczy naprzód, natrze na kozaka  
I o żelazo żelazem zadzwoni.  
Przez chwilę słyhać metaliczne dźwięki,  
Czasem się iskry posypią ze stali;  
W słońca promieniach patrząc gdzieś z oddali,  
Szable dwie niby błyskawic migocą.  
W tem broń wypada kozakowi z ręki,  
Z taką przeciwnik uderzył nań mocą.  
Kozak ucieczką chciał chwile żywota  
Przedłużyć — umknąć od morderczej broni,  
Lecz przeciwnika nie mógł ujść pogoni  
I cięty w głowę żelazem brzeszczota  
Cugle koniowi wypuścił z swej dłoni.  
Potem się chwilę trzymał jego grzywy,  
Wreszcie się stoczył na ziemię nieżywy.

Jakiś czas jeszcze trwała walka krwawa,  
W koło rozlegał się dziki szcęk broni,  
Huczała dzika tylu ludzi wrzawa  
Razem ze rżeniem pomieszana koni,  
Kiedy nareszcie złamani kozacy  
Poczną w nieładzie rzucać walki pole.  
Chwilę za nimi gonili Polacy,  
Ów zmykających wrogów lancą kole,  
Tamten pałaszem siecze a od cięcia  
Niejeden kozak padł w śmierci objęcia.

Wtem naraz widać, że od dworu strony  
Świeże kozackie ruszyły szwadrony,  
Dalej za nimi moskiewskiej piechoty  
Trzy im na pomoc wyruszyło roty.  
Ledwie to nasi zoczyli z oddali,  
Nagle przestaną już dalszej pogoni,  
W zbitą kolumnę w lot się sformowali  
I z pola walki nawróciwszy koni  
W odwrocie wiedli za sobą Moskali.

Gdy się na łąkach rozlegał szcęk broni,  
Ustał z drogi wódz Traugut tymczasem  
I nieco podszedł ku miejscu, gdzie z lasem  
Znów się zachodni stykał kraniec sioła,  
A kędy sady zielone dokoła  
Wieńcem domostwa sielskie otaczały,  
Tam się ustawił z oddziałem piechoty  
I w pogotowiu na Moskali czeka.  
Kompanja strzelców skryła się za płoty,  
Tuż kosynierów stanął pluton cały.

Tymczasem jeszcze od siebie z daleka  
Sotnie kozackie i nasi się suną;  
Lecz przestrzeń coraz to bliższa ich dzieli,  
A coraz groźniej ku sobie patrzeli,  
Wkrótce zapewne znów na siebie runą.  
Znowu szablami brzękną stalowemi.  
Powietrze ludzi napełni się gwarem.  
Chwilę dudnienie słychać tylko ziemi  
Jęczącej głucho pod koni ciężarem,  
Huk bębnow z boków moskiewskiej piechoty,  
W tem jazda nasza zbliża się pod płoty,  
Co naszym strzelcom służą za osłonę.  
Już słychać odgłos kozackiego znaku,  
Dźwięk trąbki, która grała do ataku,  
Gdy jeźdźcy nasi usuną się w stronę.  
Kozacy nawrzcć do płotu ich chcieli,  
Nagle ubodli koni ostrogami  
I z wzniesionemi nad głową szablami  
Jak strzała na nich cwałem polecieli.  
Już mała przestrzeń od naszych ich dzieli,  
Już, już na miecze zaczną bój na nowo,  
Gdy z ust Trauguta gromkie pada słowo:  
„Ognia!” i nagle za wodza rozkazem  
Kul kilkadziesiąt wypaliło razem.  
Ponad strzelcami zwiśla dymu chmura,  
Kule w powietrzu żałośnie zagrały,  
Zagrzmiało echo huku palnej broni,  
A tam gdzie sotnie kozackie leciały,  
Ile kul — tylu stoczyło się z koni.  
Chwilę kozacy wstrzymali się w biegu,  
Chwil kilka cisza panowała głucha,

Gdy znowu siwy wzniosł się dym z za płotu  
I znów im ołów świsnął koło ucha,  
Znów kilkadziesiąt trupów w ich szeregu.  
Wówczas znak trąbką dano do odwrotu  
I wnet kozackie sotnie przerzedzone,  
Cwałem się w dworu usunęły stronę.

Lecz bój nie ustał, bo właśnie piechoty  
Tuż za konnicą nadciągnęły dwie roty.  
Wkrótce w niewielkiej od naszych oddali  
Wraz się Moskale w szereg ustawili;  
Padł rozkaz, bębny ucichły w tej chwili —  
Naszych rotowym ogniem obsypali.  
Wzajem świsnęły kule z naszej strony,  
A że strzał każdy dobrze był mierzony,  
Więc ranił albo trupem kładł Moskali.  
Nad łąką w koło rozwlókł się dym siny,  
Tu owdzie ranny jękiem się odzywa,  
Inny już trupem, albo dogorywa,  
A pieśń pogrzebu grają karabiny.  
Moskiewskie rotę wciąż ogniem sypały,  
A coraz bliżej ku naszym podchodzą,  
Wciąż gęściej, celniej ich kule świszcząły; —  
A coraz więcej to powstańcom szkodzą.  
Już kilku rannych a kilku na wieki  
Świat pożegnawszy zamknęło powieki.  
Nagle moskiewskie umilknęły strzały,  
A gdy zrzędniała chmura dymu sina  
Widać bieżące szeregi żołnierzy;  
W ręku każdego rura karabina  
Lśniącym w oddali bagnetem się jeży.  
Pewno że stoczą teraz bój zacięty.  
Raz jeszcze naszych kul zagrały dźwięki,  
Gdy Traugut kosę porwawszy do ręki,  
Wiódł kosynierów pluton na bagnety.

Wkrótce szeregi na siebie uderzą,  
Nad tłumem dzikie rozległy się głosy  
Obok bagnetów zabłysnęły kosy.  
Każde ich cięcie krew wytacza świeżą,  
Traugut z ponurym oblicza wyrazem,  
Kiedy już dopadł Moskali tłum wrogi,

Gdy ostrze kosy nad głową zawinie,  
Spuści na karki, a za każdym razem  
Ranny lub trup się zwałił mu pod nogi.  
Nieraz tak kosą ciął po karabinie,  
Że z rąk karabin na ziemię wyleci,  
A gdy powtórnie znów kosa zaświeci,  
Wali się żołnierz moskiewski i ginie.  
Wódz ciągle dzielnie walczy na swych czele,  
O karabiny kosa groźnie dzwoni —  
A mężnie walczy drużyna przy boku,  
Stracili ducha już nieprzyjaciele,  
Nie mogąc dostać kosynierom kroku.  
Tej garstce co ich zwycięża i goni.

Lecz jakież znowu od czasu do czasu  
Huk strzałów wietrzyk przynosił od lasu?  
Tam drugi oddział naszych zaczajony,  
Gdy trzecia rota piechotnych Moskali  
Chciała otoczyć wieś od lasu strony,  
Znienacka do nich grad kulek wywali.  
I raz po raz szybko się sypały  
Z lasu rżęsiste a mierzone strzały.  
Takim objęta ogniem niespodzianie  
Rota moskiewska wśród przestachu stanie;  
A kiedy grad kul z lasu wypuszczony  
Żołnierzy trupem w jej szeregu kładzie,  
Zmięsza się nagle i cofnie w nieładzie.  
Tu się formują nasi w dwa plutony.  
Krzyknęli „hura!“, które wiatr po lesie  
Niby radośną wieść zwycięstwa niesie,  
I „hej! za wrogiem!“ Wśród takiej pogoni  
Który wpadł Moskal pod żelazo broni,  
Ten się ze życiem pożegnał na wieki.  
A ci, co mogli cało unieść głowy,  
Umknęli na ów wzgórek niedaleki,  
Na którym stali obozem przed bitwą.

Tymczasem obie powstańców połowy  
Strudzone walką i krwawą gonitwą  
Przy swoim wodzu znowu się skupiają.  
Traugut, by skończyć walkę jak należy,  
Odmienne szyki z swych ludzi utworzył.

W pierwszym szeregu długim strzelcy stają,  
Tuż plutonami idą kosynierzy,  
A jazdę całą po skrzydłach rozłożył —  
I tak wyruszył na czele oddziału,  
By ostateczne zadać Moskwie ciosy.

W tem z poza wzgórza poczną się pomału  
Wysuwać licznie jakieś nowe szyki  
I słychać bębnow liczniejsze odgłosy,  
Coraz huczniejsze żołnierstwa okrzyki.  
To właśnie wówczas Moskalom przybyły  
Na pomoc do tej walki świeże siły.

Nie zląkł się Traugut ogromnej przewagi  
Z jaką do walki stawał wróg widocznie:  
Lecz swoim hufcom dodawszy odwagi  
Śmiało ich z sobą prowadził w bój nowy.  
Nagle ze wzgórza rozlegać się pocznie  
Po stronie Moskwy huk karabinowy;  
A tuż i strzelcom naszym nad głowami  
Kula za kulą żałośnie świsnęła.  
Na huk powstańcy odrzekli strzałami  
I tak się nowa walka rozpoczęła.  
Przestrzeń, co strony walczące dzieliła,  
Chmurą sinego dymu się okryła.  
Ludzi nie widać, rzekłbyś, że w obawie  
O życie gdzieś się kryją bojaźliwie,  
I tylko huczy w tej dymu kurzawie,  
Słychać jak kule świszczą przeraźliwie.

Nagle na wzgórzu z poza Moskwy szyków  
Błysnęło kilka czerwonych płomyków  
I huk tak straszny rozległ się w tej chwili,  
Że nawet ziemia z przestachu zadrżała.  
To właśnie wówczas ustawiwszy działa  
Moskale kilka kartaczów puścili.

Tak bywa, kiedy zbierze się na burzę.  
Pomiędzy niebem, ziemią — przestrzeń całą  
Ciemnemi smugi deszczu się okrywa —  
Wśród niej się silny świst wichru odzywa  
A grzmoty jęczą ustawicznie w górze.

W tem jasna iskra zabłyśnie na chmurze  
I szybko po niej zygzakiem przebiega,  
A ledwie zniknie z przed oczu człowieka,  
Już się potężny huk gromu rozlega.

Kule przeniosły i pękły z daleka,  
Żadnego z naszych nie tknąwszy szeregu.  
Jedna się tylko zabłąkała w biegu  
I tuż upadła strzelcom za plecyma,  
Chwilkę się tarza i kręci po ziemi,  
Rzekłbyś, że pewno gniewa się i zżyma,  
Iż nie zdołała zdążyć za innemi,  
Że przeznaczenia swego nie dokona.  
Wreszcie podskoczy, jeszcze się obróci,  
Gdy nagle pęka z łoskotem i z łona  
Mnóstwo pomiędzy strzelców kul rozrzuci.  
A kogo dotknął ołów rozrzucony,  
Ten padł na ziemię trupem lub raniony.  
Trauguta, który stał za strzelców szykiem  
I śledząc Moskwy ruch, swymi dowodził,  
Nagle kawałek ołowiu ugodził.  
Zachwiał się ranny, kiedy mu z okrzykiem  
Trwożliwym kilku na pomoc przyskoczy.  
Ranę, skąd struga czerwona się toczy  
Wprawdzie zakryto, by krew zatamować,  
Lecz wódz tak osłabł, że nie miał już siły,  
Dalej w tej bitwie swem wojskiem kierować;  
Dał więc znak by się cofać ku lasowi.

Wówczas się szybko szeregi zwróciły  
Wprzód kosynierzy, strzelcy nieco dalej,  
A jezdni z boków, by byli gotowi  
Wstrzymać kozaków, gdyby zamierzali,  
Czy z tyłu napaść, lub z przodu w odwrocie  
Drogę do lasu zagrozić piechocie.  
I tak się z placu powstańcy cofali  
Z pośpiechem wprawdzie, lecz z zupełnym ładem.

Gdy Moskwa odwrót naszych wojsk zobaczy,  
W sześć rot natychmiast poszła za ich śladem  
I gęstym kul ich pożegnała gradem.  
Ze wzgórza słychać silny huk kartaczy.



Celnie się Moskwie nasz oddział odstrzela,  
A choć go garstka, wróg się nie ośmiela  
Napaść i wręcz się z nim żelazem zmierzyć.  
Już nasi weszli w porządku w bór gęsty,  
Jakby do twierdzy, kędy pewni byli,  
Że się nie waży nań Moskwa uderzyć,  
A jeszcze słyhać przed borem huk częsty.  
Tylko na placu bitwy zostawili  
Trupów i rannych. Między ostatnimi  
Także kapelan poległ obozowy,  
Co się wśród bitwy zajmował rannymi.

V.

Coraz to cięższe od ostatniej bitwy  
Dnie i tygodnie powoli mijały,  
Coraz to rzadziej pośród lasów Litwy  
Słyhać powstańcze i moskiewskie strzały.  
Jedni z rozbitków jeszcze w ręku z bronią  
Uzšli szczęśliwie przed wroga pogonią,  
I w Kongresówce z szeregi bratniemi  
Z Moskwą bój wiedli o kraju swobody,  
Inni umknęli z swej ojczystej ziemi,  
Z swem się ojczystem pożegnali niebem  
Szli za granicę, gdzie obce narody  
Życ im tułaczem pozwoliły chlebem.  
A inni jeszcze wracali do domu ;  
Ale za ledwie mogli pokryjomu  
Kilka dni przeżyć za własnymi progi,  
Gdy wpadły nagle, czujne jak psy, wrogi  
I jednych wloką w więzienne ciemnice,  
Drugich w północną szłą Sybiru stronę,  
A innym ołów albo szubienice  
Kładą na skronie męczeńską koronę.

Traugut wśród bitwy ostatniej raniony  
Nie mógł przewodzić dalej swej drużynie,  
Z lasów więc wrócił w swe domowe strony  
Z myślą, że ledwo czas jakiś przeminie,  
A sił i zdrowia przybędzie mu nieco,

Znowu wystąpi, braci swoich zbierze  
I na Moskali znów razem polecą,  
By walczyć o śmierć lub o rany świeże.  
A ledwo spoczął pod osłoną strzechy;  
Jak kania deszczu, czekał tej pociechy.

Kilka dni pośród rodzinnego sioła  
Przebył szczęśliwie dzielny wódz raniony,  
Otoczon całą troskliwością żony.  
Niewiasta owa ze sercem anioła,  
Z miłością tkliwej swej niewieściej duszy  
Słodzi mu chwile wśród domowych progów,  
Zanim je znowu opuści i ruszy  
Ze zakrwawionym stalowym orężem,  
Na czele braci bić Ojczyzny wrogów.

I dzisiaj właśnie o wieczornej porze,  
Kiedy boleści Traugut zaległ łoże,  
Ona przy łożu czuwa nad swym mężem.  
W rękę kawałek płótna trzyma białą  
I skubie szarpie; a tuż obok dzieci  
W owej jej pracy pomagając stały.  
U stropu lampa zwieszona się świeci.

W tem jakiś turkot choć w spóźnionej porze  
Nagle się ozwał i ucichł na dworze.  
Niedługo potem powolnym dość krokiem  
Ze smutną twarzą, niespokojnem okiem  
Pleban kobryński wstąpił do pokoju.  
Serdecznie starca wita wodza żona,  
Traugut w otwarte przyjmuje ramiona,  
A że był chciwym wieści z placów boju,  
Rad że zawitał gość w progi domowe;  
Ku tym też wieściom skierował rozmowę,  
Tutaj staruszek wzniósł ku górze głowę,  
Westchnął coś smutnie, potrząsł siwym włosem  
I takie słowa wyrzekł cichym głosem:  
„Snać nie wybiła wolności godzina,  
„Bo coraz gorzej idzie naszej braci,  
„Bo coraz więcej teraz ducha traci;  
„A stygnąć w walce jej zapał poczyna  
„W chwili, gdy Moskwa zwycięża nas bronią

„I gnieść zamysła znów tyrańską dłonią.  
„U nas w Grodzieńskim umilkły już strzały,  
„Bo wszystkie prawie rozbito oddziały.  
„Niekiedy tylko pośród nocnej pory  
„Nasze rozległe opuściwszy bory,  
„Kilku z rozbitków, twych bronii kolegów  
„Idą ostrożnie ubocznemi drogi  
„I tak zabłądzą w domu mego progi.  
„Tych się ukrywa przed oczyma szpiegów,  
„Wietrzących w koło wciąż nowe ofiary,  
„Wesprze i bożej poleci opiece  
„I pod ojczyście znowu szle sztandary.  
„Z nich jedni staną śród bratnich szeregów,  
„Inni wśród drogi wpadną w zbirów ręce.

„Lecz nie czas mówić o wypadkach wielu  
„Smutnych bolesnych, co nam ranią duszę,  
„Gdy na swych braci patrzymy katuszę;  
„W innym ja, wodzu! przybyłem tu celu.  
„Dokoła krążyć poczyna wieść głucha,  
„Żeś podczas twego oddziału rozbicia  
„Ranny szczęśliwie uszedł rąk Moskali  
„I szukasz w stronach rodzinnych ukrycia.  
„Łatwo wieść taka może dojść do ucha  
„Szpiega, a wówczas nic cię nie ocali.  
„Jedź do innego więc ze mną schronienia,  
„Abyś carskiego uniknął więzienia.“ —

„Dzięki wam, ojcze! za troskliwość waszą,  
Odrzeczcie Traugut niemocą złożony,  
„Mnie wprawdzie wrogów więzienia nie straszą,  
„Lecz chciałbym jeszcze mój oręż skrwawiony  
„Choćby raz ponieść i na braci czele  
„Gromić Ojczyzny mej nieprzyjaciele.“  
Wtem jakieś kroki, brzęk szabel złowrogi  
Gdzieś się za oknem odezwał. W tej chwili  
Wszyscy obecni trwożnie się zwrócili  
W stronę, skąd słyhać było kroki owe,  
Gdy drzwi się sali otwarły i w progi  
Trauguta, carscy żandarmi wstąpili.  
Postawy groźne, twarze ich surowe,  
A w ręku każdy swój karabin trzyma

I rzuca w koło dzikiemi oczyma.  
Na czele sprawnik, postać dzika, sroga,  
Istny typ owych bez serca Moskali.  
Co raz wyzuci z czci, wiary i Boga  
Ślepo szatańskie ukazy spełniali.  
Zaledwo stanąć mógł za progiem sali  
I po zbledniałych twarzach spojrzeć w koło.  
Zacisnął wargi, zmarszczył brwi i czoło,  
A dumnym naprzód postąpiwszy krokiem,  
Takie to słowa rzekł w szyderskim tonie,  
Mierząc Trauguta swoim dzikim wzrokiem:  
„Przecież nareszcie wpadłeś w moje dłonie,  
„Ty coś wzniosł sztandar buntu pośród Litwy  
„I śmiał podżegać ów nasz kraj spokojny  
„Z potężnym władcą Północy do wojny.  
„Myślałem, że za czyn ten pośród bitwy  
„W nagrodę wtłocząc w pierś bagnet stalowy,  
„Lub kula strzaska czaszkę twojej głowy.  
„Lecz tegoś uszedł, by wpaść w ręce moje. —  
„Tyś znać zapomniał, że w północnej stronie  
„Pan wasz i władca zasiada na tronie.  
„Przed nim Polakom bić czołem należy,  
„Milczeć z pokorą a słuchać ukazów.  
„Nie stawać w trupa od wieków obronie,  
„Nie buntowniczych imać się oręży.“  
Tych kilka w końcu szyderskich wyrazów  
Do głębi serce Trauguta ubodły,  
Zatrząsł się z gniewu a przez drżące usta  
Wypadły słowa: „Milcz służalcze podły!“  
Więcej rzec nie mógł, bo ręce Moskali  
Posłuszne swego sprawnika skinieniu  
Poczęły kuć go w żelazne okowy.

Żona Trauguta, co na boku w sali  
W niemem na wszystko patrzyła milczeniu —  
Kiedy się ozwał brzęk kajdan łańcucha,  
Rzekłbyś że nagle ocucił jej ducha,  
Bo w pierwszej chwili tak pełnej rozpaczny  
Rzuca się nagle pomiędzy siepaczy  
I chce przed nimi bronić swego męża.  
Lecz próżno słabe swe siły wyteża,  
Na bok ją przemoc odsunęła dzika.

Wówczas zawoła : „O Panie na niebie !  
„Czemuż pomocy nie ześlesz w potrzebie ?“  
A ręce łamiąc mówi do sprawnika :  
„Wszakżeś ty człowiek — wszak zapewne bije  
„Jak u nas w piersi twej serce człowiecze,  
„W niem się litości może trochę kryje !  
„Wszakże ty żonę mieć musisz i dzieci.“

„Tak jest“ — z uśmiechem jej sprawnik odrzeczę,  
„Ja mam i żonę — mam kilkoro dzieci,  
„O których losie myślę zawsze szczerze  
„Tak, że mi nigdy nie wyjdą z pamięci,  
„Żadna mię o nich nie dręczy obawa.  
„Ale bo mnie też ochota nie bierze  
„Błąkać się w lasach na kształt rozbójnika —  
„Ja się naszego staram słuchać prawa  
„I spełniać ściśle mój urząd sprawnika.“  
Tak podły Moskał niczem niewzruszony.  
Głuchy na słowa, łzy Trauguta żony,  
Wciąż się uśmiechał usta szyderskimi,  
A do plebana starca obrócony  
Rzeczę : „Ty także pójdziesz z nami, księżę !  
„Dawnom otoczył cię ludźmi moimi,  
„Co wysledzili, żeś czynnie swe dłonie  
„Nieraz przykładał ku buntowi obronie.  
„Za to cię słuszna nagroda dosięże.“  
Po takich słowach znów druga ofiara,  
Ten starzec siwy życiem skołatany,  
Musiał pozwolić, że służalcy cara  
Ręce w żelazne skuli mu kajdany.

I tak okuci pod strażą Moskali  
Obaj więźniowie ruszyli ze sali.  
Starzec mniej smutny szedł w ciężką niewolę.  
Nawet się zdało, że ją lekceważy,  
Taka pogoda jaśniała na czole ;  
Lecz straszny widać ból w Trauguta twarzy.  
Gdy żegnał żonę, żegnał dziatek swoje,  
Gdy go jej ręce za szyję objęły,  
Gdy w pocałunku usta ust dotknęły,  
Wówczas się zdało, że społem oboje  
Życie na ziemi zakończyć by chcieli ;

Że takby radzi duszą tam wzlecieli,  
Gdzie wieczne szczęście każdego człowieka  
Po trudach życia cnotliwego czeka.

Krótko bolesna owa scena trwała  
Dwóch żegnających się istot na wieki  
A rzewna, żeby wycisnąć zdołała  
Łzy rozczulenia z pod każdej powieki.  
I jeden sprawnik obojętnem okiem  
Patrzył na więźnia, gdy ten żegnał żonę,  
Dziatki opieki ojca pozbawione.  
A gdy powolnym za więźniami krokiem  
Wychodził z sali, to na jego licach  
I w błyskających szydersko źrenicach  
Igrała widno jakaś radość dzika.

Tak chyba cieszyć szatany się mogą,  
Kiedy raz duszę porwawszy grzesznika  
Wiodą ją nagle w otchłań piekła srogą.

---

## VI.

Widzisz te gmachy potężne Warszawy  
Silnymi w koło opasane wały,  
Na które trudno spojrzeć bez obawy,  
Tak spiżowemi najeżone działały.  
Gdybyś ich spytał, na niejeden krwawy  
Dramat u siebie już one patrzyły;  
Niestety milczą i nic nie powiedzą,  
Chociaż dokładnie wiele zdarzeń wiedzą.

I tylko naszej Wisły mętne fale,  
Które tych murów podmywają stopy.  
Rozgłośnym szumem nucą smętne żale,  
A wartkim pędem mknące coraz dalej  
Świadczą, że każda przeraża je zbrodnia,  
Jakiej w tych murach dopuszcza się co dnia  
Na synach Polski straszna dłoń Moskali.

I któż śmiał mury wznieść owego gmachu  
Dla wolnej niegdyś krainy postrachu?  
Oto je wzniosła ręka gnębieli,  
Dając im krótkie miano cytadeli.

Ztamtąd to co noc, gdy miasta mieszkańce  
Zamrużą wreszcie znużone powieki,  
Jeśli się zbliżysz cokolwiek pod szanice,  
Słyszysz podziemne jakieś głuche jęki.  
To wówczas Moskwa, gdy ją noc osłania,  
Chodzi od celi do celi więzienia  
I knutem do swych biednych ofiar gada,  
Chcąc z nich fałszywe wydobyć zeznania.  
Ależ nie zmienia i knut ich milczenia,  
Bo każda tylko jękiem odpowiada.

Ponad lochami gdzie jęczą więźniowie,  
Jest sala pewna, w której się gromadzą  
Na posiedzenia wojenni sędziowie  
I tam o losie swoich ofiar radzą,  
A zwykłym końcem obrad tego grona  
Jest stryczek, albo kula przeznaczona  
Dla tych co przed ich obliczem stawali.

I dziś trzech zbirów w progi owej sali  
Nowego więźnia z podziemia przywiedli.  
W koło przy stole sędziowie zasiedli;  
Przed nimi leży śledczych aktów plika.  
Przewodniczący w szlifach pułkownika  
Sam jeden tylko nie usiadł za stołem,  
Lecz stanął groźno z zachmurzonym czołem  
I dzikim wzrokiem mierzył swą ofiarę,  
Co stała przed nim na wszystko gotowa.  
Potem wziął jakiś papier i te słowa  
Dobitnym czytać rozpoczyna głosem:  
„Rok temu minął, jak w kraj ten spokojny,  
„Chcąc się zajmować niby jego losem,  
„Garść wichrzycieli wniosła pożar wojny.  
„W ludność wmawiano, że w niewoli jęczy,  
„Że otrząść winna kajdany ze siebie,  
„Odepchnąć rękę tego, co ją dręczy  
„I stanąć z bronią ku wspólnej potrzebie.

„Naówczas wielu nietylko z młodzieży,  
„Lecz i osoby nawet wiekiem starsze  
„Dały się uwieść, że walczyć należy,  
„Złamać przysięgę wierności monarsze.  
„Litwa spokojna, wierna panu swemu,  
„Gdy ją co chwila wzywano do broni,  
„Nie chciała wierzyć słowu kłamanemu,  
„Nie chciała podnieść przeciw władcy dłoni.  
„Lecz się znaleźli wkrótce i tam tacy,  
„Co nie szczędzili i trudów i pracy  
„Przy tajnym myśli zbrodniczych posiewie,  
„I pracowali tak długo tajemnie,  
„Aż rozdmuchali rokoshu zarzewie.  
„I Litwa z Polską powstały wzajemnie  
„Chcąc same nowe państwo tworzyć w świecie.

„Do takich ludzi ten więzień się liczy;  
(Tu na winnego swą ręką wskazywał)  
„Onto najpierwszy w kobryńskim powiecie  
„Szlachcie przedstawił cały plan zbrodniczy —  
„On i lud nawet do powstania wzywał.  
„Romuald Traugut, to jego nazwisko.  
„Kiedy tamtejsze czujne nasze władze  
„Coraz go więcej miały na uwadze,  
„On już nie mogąc dłużej siedzieć w domu,  
„Rozległe lasy obrał za siedlisko  
„I zbierał szajkę swoich pokryjomu.  
„W lasach siedliska wciąż zmieniał na nowe  
„Myśląc że władza śledzić go nie zdoła,  
„Czasem z swą szajką przechodził przez sioła,  
„Gdzie już na tyle stawał się zuchwały,  
„Że głosił jakieś rządy narodowe.  
„Lecz wciąż go wojska tropiły oddziały  
„W lasach, gdzie mieszkał jak zwierzyzna dzika,  
„Aż i dopadły wreszcie buntownika,  
„I szajkę z ludzi kilkuset złożoną  
„Natychmiast z bronią w ręku rozproszono —  
„On zdołał umknąć, lecz tydzień nie minął,  
„Jak go schwytano, by mu dać nagrodę.  
„Jeszcze i wówczas odzyskał swobodę,  
„Uciekł żandarmom w drodze i gdzieś zginął.  
„Długo szukano i śledzono znowu,



„Ale zabiegi przepadały marnie,  
„Dzień szczęśliwego nie nadszedł połowu,  
„A winowajca krył się gdzieś bezkarnie.  
„Dopiero kiedy we więzienne mury  
„Zdołałem jemu podobnych zgromadzić,  
„Z każdym surowe śledztwo przeprowadzić,  
„Naówczas kilku zeznało wyraźnie,  
„Że tutaj dawno tajny rząd istnieje,  
„Który nasiona buntu w kraju sieje  
„I całym ruchem kieruje powstania,  
„A że na czele tegoż Traugut stoi, <sup>4)</sup>  
„Odtąd poczęli śledzić ludzie moi,  
„Wszędzie pilnego dokładać starania,  
„Aż naczelnika podziemnego rządu  
„Zdołano stawić przed kratkami sądu.“  
Tu skończył czytać ów akt oskarżenia  
Dowolnie według zeznań tych spisany,  
Których codziennie wtrącał do więzienia,  
Głodził i chłostał, zakuwał w kajdany.  
I teraz począł wieść śledztwo surowe  
Ku winowajcy zwracając swą mowę.  
„Więc tyś jest Traugut, ów duch niepokoju,  
„Który tak ciężką popełniłeś zbrodnię,  
„Żeś przeciw Moskwie podżegał do boju  
„I okłamywał naród tak niegodnie?“

„Tak! jam jest Traugut,“ z powagą odrzecze  
Więzien stojący przed swym trybunałem;  
„Lecz mych przewinień z was nikt nie dociecze,  
„Nikt ich nie pozna, bo wy życiem całym  
„Dajecie dowód, żeście niewolniki,  
„Na których włożył car niewoli pęta,  
„Dał wam ukazy, życia przewodniki,  
„Ztąd wolność wszelka dla was niepojęta,  
„Nieznana ziemi ojców miłość święta.  
„I ja mam składać rachunek przed wami,  
„Czym i jak służył krajowi mojemu?  
„I wy moimi macie być sędziami?“ —  
„Milcz!“ — krzyknął gromko tu przewodniczący  
Cały od gniewu, oburzenia drżący  
I przerwał dalsze słowa mówiącemu:  
„Pamiętaj o tem, żeś dzisiaj stawiony

„Przed sądem ludzi, co rządzą twym losem ;  
„Im więc przed oczy dla swojej obrony  
„Nie rzucaj mrzonek i zuchwałym głosem  
„Nie ściągaj na się kary powiększonej.  
„Lepiej imiona wyjaw tych, co stali  
„Z tobą u steru podziemnego rządu ;  
„Tak łagodniejszy zyskasz wyrok sądu.“

„Nieraz stawałem przed wami w tej sali,“  
Spokojnie więzień swym sędziom odpowie,  
„Daremnie badać. Z was nikt się nie dowie,  
„Co w mojej piersi ukrytego leży,  
„Bo milczeć będę jak dotąd milczałem.  
„A obietnicy, którą usłyszałem,  
„Nikt pewno z waszych więźniów nie uwierzy.  
„Ja choćbym wierzył, to dla złagodzenia  
„Mego wyroku, nigdy nie wyjawię  
„W sposób tak podły żadnego imienia.“ —

„Ty nie wyjawisz!“ — śledczy sędzia krzyknie,  
„Od dziś mych ludzi nad tobą postawię,  
„Którzy cię dotąd knutem będą chłostać,  
„Aż wreszcie harda twoja dotąd postać  
„Od słów zuchwałych przed sądem odwyknie.  
„I dotąd będzie pracować ich ramię,  
„Dopóki twego uporu nie złamie ;  
„Póki wszystkiego nie zechcesz powiedzieć,  
„Czego od ciebie chce się sąd dowiedzieć.“

Głtaj ku sędziom więzień podniósł rękę  
I z namaszczeniem tak ku nim zawoła :  
„Wymyślcie dla mnie taką straszną mękę,  
„Jakiej i piekło wymyślić nie zdoła —  
„Nie szcędźcie żadnej dla ciała katuszy —  
„A bądźcie pewni, że do śmierci ona  
„Mego milczenia nigdy nie pokona  
„I nigdy mojej nie przełamie duszy.  
„Bo ile razy ja przed wami staję,  
„Nigdy za sędziów mych was nie uznaję,  
„Ale za katów, którym ja gotowy  
„Poświęcić ciało moje na ofiarę.  
„Nad niem to tylko wymierzycie karę ;

„A dusza pójdzie gdzieindziej w świat nowy,  
„Gdzie ten rachunek zda przed sądem Boga,  
„Którego nie chce zdać przed sądem wroga,  
„Oto ostatnie jest moje zeznanie.  
„Odtąd na każde wasze zapytanie,  
„Tylko milczenie za odpowiedź stanie.“  
Po tak stanowczej winowajcy mowie  
Dłużej go badać nie chcieli sędziowie,  
Lecz usunęli ze swego widoku ;  
Kazali znowu zamknąć do ciemnicy  
I oczekiwać zwykłego wyroku :  
Ołowiu albo stryczka szubienicy. \*)

Dwa dni od owej rozprawy minęło,  
Jak już skończono — widać — więźnia dzieło,  
Bowiem go odtąd więcej nie stawiono  
Przed srogie sędziów tych wojennych grono.  
Za to przysłano na trzeci dzień z rana  
Do jego celi więziennej kapłana.  
Zrozumiał Traugut znaczenie przybycia  
Tego człowieka w kościelnej odzieży,  
Zrozumiał, że to ostatni dzień życia,  
Gdzie się z sumieniem policzyć należy,  
Bo podpisali nań wyrok morderce.  
To też przywitał z uczuciem wdzięczności  
Tego, przed którym mógł otworzyć serce,  
Znaleźć pociechę na drogę wieczności.  
Ukląkł więc przy nim w pokorze i skrusze,  
By z ziemskich grzechów oczyścić swą duszę.  
I długo, długo tak klęczał na ziemi  
Czyniąc ostatnie przewinień zeznanie ;  
Powieki łzami nabrzmiały rzewnemi.  
A kiedy skończył ze ziemi powstanie,  
Tak do swojego rzeczce spowiednika :  
„Dzięki ci ojczy, że duszę grzesznika  
„W ostatniej chwili pojednałeś z Bogiem :  
„Za kilka godzin które szybko miną,  
„Pewnie już stanę za wieczności progiem,  
„A z moją śmiercią ostatnie sprężyny  
„Zbrojnego ruchu przepadną i zginą.

„Bóg jeden świadkiem, że nie z mojej winy  
„W ostatnich chwilach, gdy zorza wolności  
„Powoli gasła na polskim błękanie  
„Wróżąc już rychłe powstania rozbicie,  
„Kiedy wróg począł szaleć ze wściekłości,  
„Nad pokonanym mszcząc się krwawo ludem —  
„Wówczas ster rządu ująłem w me dłonie.  
„Czekałem, rychło sam Bóg jakimś cudem  
„Nie stanie w naszej Ojczyzny obronie,  
„Bom nie mógł wierzyć, by Pan wszego świata  
„Za tyle zbrodni nie ukarał kata  
„Z tą wiarą stałem do ostatniej chwili  
„Na czele ciężkiej narodowej pracy,  
„Krzepilem ducha tych, co już zwątpili —  
„Ale daremnie. Ulegli Polacy.  
„Moskwa znów może dyktować swą wolę  
„I grać jak dotąd w Polsce kata rolę.  
„Daremniem czekał i w mej piersi chował  
„Jakieś ratunku rychłego nadzieje —  
„Bóg się nad ludem biednym nie zlitował,  
„Znów w ręce wroga oddał jego dolę.  
„Dzisiaj ze świata schodzę i boleję  
„Nad biednej Polski okropnem zniszczeniem;  
„Przecież, choć widzę, że wszystko rozwiane,  
„Nie mogę umrzeć z zupełnem zwątpieniem  
„W tak świętą sprawę, jak jest Polski sprawa  
„Wierzę, że kiedyś będą odzyskane  
„Mego narodu pogwałcone prawa;  
„Bo póki jest Bóg Najwyższy na niebie,  
„Póty Ojczyzny Moskwa nie pogrzebie.  
„I choć dziś od nas oblicze odwrócił,  
„Na pastwę wroga okrutnego rzucił —  
„Znak to, że trzeba jeszcze byśmy dalej  
„Za winy ojców swych pokutowali.  
„Wówczas dopiero Pan Bóg kres położy  
„Naszym cierpieniom, gdy się przez pokutę  
„Sprawiedliwości wyplacimy bożej:  
„Boć kogo chłoscze Bóg, o tym pamięta,  
„Jak nas naucza nasza wiara święta.“

Więcej powiedzieć nie mógł, bo tymczasem  
Żołnierze przyszli do więziennej celi,

Więźnia bagnetów otoczyli lasem,  
Powiedli z sobą na stok cytadeli.  
Spokojnie poszedł wśród mnóstwa Moskali  
I skończył życie swe na szubienicy. <sup>6)</sup>

Tak w dawnych czasach spokojnie konali  
Pierwsi za wiarę naszą męczennicy.

---

## VII.

Gdzie dzieci moje?! spytać Polska może,  
Co wzniosły krwawy oręż w mej obronie,  
By mię z pod zimnej wydobyć mogiły,  
Gdy karta dziejów głosi o mym zgonie.  
Gdzież je, ach! gdzież je rozprószyłeś, Boże!  
Te syny moje, co wszelkiemi siły  
Chciały pokazać ludom tego świata,  
Że choć me ciało stargała dłoń kata,  
Ja przecież żyję i w rozpaczycy głosie  
Tym ludom niosę wieść o moim losie.

Gdzie dzieci moje?! które póki żyją,  
Póty nie będzie mieć wróg mój spokoju,  
Bo póki serca szlachetne ich biją,  
Będą gotowi wznieść oręż do boju.

Matko! dziś oni spoczęli na chwilę  
Strudzeni w walce z tyranem Północy;  
Lecz jak? zapytasz. Ot w zimnej mogile  
Jedni już leżą, drudzy w wrogów mocy.  
Pierwsi szczęśliwsi, bo zrzuciwszy z siebie  
Ziemskie odzienie, zamieszkali w niebie  
I straszną skargę na twojego wroga  
Zanoszą przed tron Wszechmocnego Boga,  
A kości owych szermierzy po zgonie  
Ukryłaś Matko i tulisz w swem łonie.  
Lecz drudzy? O nich posłuchaj ciekawie,  
Ja los ich straszny przed oczy ci stawię.

Zdała od Polski w drugiej części świata  
Jest na Północy kraj z imienia znany,  
Zkąd do nas czasem jęk bolu dolata,  
Jaki dobywa Polak tam zagnany.  
Kraj to rozległy, lecz pusty i dziki,  
Zwłaszcza, gdy zimy pokryje go szata,  
Kiedy się śniegu podniosą tumany,  
Wichry się ozwą echem swej muzyki.  
Tu owdzie patrząc widać bór z daleka,  
Gdzie swoje leże ma tylko zwierz dziki;  
Tamtędy stopa nie przeszła człowieka,  
Chociaż od wieków ten bór tam zarasta.  
Rzadko w tej ziemi spotkasz wsi lub miasta.

I cóż to za kraj, którego się lęka  
Uprawic ludzka pracowita ręka;  
Tak pusty — rzekłbyś, że nad nim spoczywa  
Jakaś okropna Wszechmocnego kara.  
Słuchaj! ta ziemia „Sybir“ się nazywa,  
Nad nią potęga rozciągnięta cara.

Mijają wieki, jak władcy Północy  
Kraj ten rozległy dzierżą w swojej mocy  
I w jego stepy od dawna wywożą  
Tysiące polskich ofiar swej dzikości.  
Tam to ich zimna północne wymrożą  
A owa ziemia pochłania ich kości.

W półdniowej części tej mroźnej krainy  
Piętrzą się dzikie Sajańskie wyżyny;  
Ich ściany szatą śniegu osłonięne  
A stopy borem sosen okolone,  
Z głów lodowego bije blask kryształu.  
Przez owe góry na wschód od Bajkału  
Jacyś podróżni wloką się pomału.  
Koń jeden ciągnie wózek dwukołowy,  
Na którym zasiadł woźnica tuż z przodu,  
Kierując koniem po drożynie z lodu;  
Z tyłu ktoś siedzi, lecz nie znać i głowy,  
Tak się zasłonił od silnego mrozu.  
Dwóch jeszcze ludzi idzie z boków wozu.

Widać wojskowi, bo zuchwałe miny,  
A na ramionach dzierżą karabiny.

Cóż to za ludzie, co w tak ostrej porze  
Włoką się zwolna przez to śniegów morze?  
Ten, co okryty futrzanemi szaty  
Siedzi na wozie, zapewne być musi  
Jakiś pan wielki, możny i bogaty,  
Śmiały, gdy kraj ten w zimie przejść się kusi.  
Ci dwaj, co idą przy wozie piechotą,  
Pewno przyboczną straż jego stanowią.  
Lecz nie! to Polak przez te stepy jedzie,  
Wraca z więzienia, które zwykle zowią  
W języku naszym: „katorżną robotą”.  
Dwóch go żołdatów przez te stepy wiedzie.  
W podziemnych minach jęczał on rok cały,  
Ciężko pracując dla cara bez płacy,  
A gdy się zdrowie i siły stargały,  
Car go uwolnił od dalszej już pracy  
I odtąd łaską monarszą go darzy.  
Wszak po spełnionym wśród katorgi czynie  
Dwóch mu żołdatów przydaje dla straży  
I szle by zwiedził sybirskie pustynie.  
Nie dość tej łaski. Car oko łaskawsze  
Zwrócił na więźnia z pod polskiego nieba,  
Bo mu mieszkanie wyznaczył na zawsze  
Pośród tej dzikiej krainy lodowej;  
A by mu tutaj nie zabrakło chleba,  
Car rubli kilka w miesiąc dać gotowy.

Jak więzień przyjął od cara łask tyle,  
O to nie pytaj. Spojrz mu tylko w oczy,  
Z których nie błysnie radość i na chwilę,  
A które jakiś wieczny smutek mroczy —  
Spojrz w twarz posępną bez życia wyrazu —  
A pewno poznasz i zgadniesz od razu,  
Że chyba marzy o zimnej mogile,  
I prosi Stwórcę, by go jak najprędzej  
Uwolnił z więzów i cierpień i nędzy;  
Bo nikt o innym szczęściu już nie myśli,  
Na kogo carska ręka ukaz skręśli.

Może spytacie, kędy kres podróży,  
Co za mieszkanie więźniowi posłuży?

Ledwo mil kilka od chińskiej granicy  
Jest wioska pewna a Tunka jej miano,  
Co pośród dzikiej stoi okolicy;  
W niej to więźniowi zamieszkać kazano.  
Wioska obszerna legła na kotlinie,  
Po środku której rzeka Irkut płynie.  
Dokoła wzgórze, dalej nagie skały,  
Coraz to wyżej i wyżej sterczały,  
Kończąc się ostro jak igły u szczytu  
I gdzieś sięgając aż niebios błękitu.  
Na wzgórzach ciemne lasy wybuchały,  
Na skałach osiadł lód, albo śnieg biały.  
A chaty widać rozrzucone w dole  
Pośród kotliny osłonięnej borem,  
Stojące smutnie jak smutny kraj cały.  
Ówdzie bieleje karczowane pole,  
Tam spocznie oko nad zmarzłem jeziorem.

Takie to wioski na miejsce wygnania  
Przeznaczył władca północnego tronu  
Tym, co stanęli pod sztandar powstania.  
Stu pięćdziesięciu polskich sług ołtarza <sup>1)</sup>  
Tu oczekuje ostatnich chwil zgonu  
I niemą boleść westchnieniem wyraża.

Car dla nich umiał wybrać okolice —  
On ich w podziemne nie zamknął ciemnice,  
Ni ich opasał wilgotnymi mury,  
Lecz znalazł miejsce, które dookoła  
Wzgórzami ręka obwiodła natury;  
Wyżej — rzuciła błękit na skał czoła.  
Przy drogach, jakie wiją się przez góry,  
Postawił strażę, by żaden wygnaniec  
Za zimny z głazów nie przedarł się szaniec  
I tak za życia pogrzebił ich na wieki.  
I myślał, że się nigdy już nie dowie  
O swoich synach polski kraj daleki;  
Bo choćby codzien wznosili tu jęki,  
Echo im tylko pośród skał odpowie.



Ba! nawet wichur rzadki gość w kotlinie,  
Co dzikie pieśni zwykle w górze wyje,  
Nie porwie echa, co o głazy bije,  
Ni ku ojczystej zanieś krainie.

Car swe ofiary zamknął w to więzienie,  
Które się wzniosło od przyrody ręki,  
Na to, by biednym przedłużyć cierpienie.  
Aby powoli konali wśród męki.

Tak w gęstym lesie schnie drzewo jabłoni,  
Gdy się z ogrodów zabłąka w tę stronę,  
Gdy je sklepienie u góry splecione  
Z samych gałęzi dzikich drzew osłoni.  
Sosny i jodły strzelą pod obłoki  
I ztamtąd dumnie patrzą w świat szeroki,  
Czasami, o czym? niewiadomo gwarzą  
A w dole jabłoni trzymają pod strażą.  
Biedna wygnanka ku górze się wspina,  
Lecz dzikie drzewa, co nad nią pospołu  
Zwarły się, tak ją przycisną do dołu,  
Że kornie czoło ku ziemi nagina,  
Wówczas na boki szle pęki gałęzi,  
Jak gdyby chciała owemi ramiony  
Swych nieprzyjaciół odgarnąć na strony.  
Lecz ją wstrzymują i tam na uwięzi.  
Tak opasana w koło w dzikim lesie,  
Choć widzi słońce, powietrzem oddycha,  
Przecież owocu nigdy nie przyniesie,  
Jej konar jeden za drugim usycha.  
Czasem ostatnim liściem wiatr szeleści,  
Niby ostatni drzewa jęk boleści.  
Jak owa jabłoni w dzikim lesie ginie,  
Tak giną więźnie zamknięci w kotlinie.  
Dziś wjeżdża świeża za ukazem cara  
W podwoje tego więzienia ofiara.

Łaskawie więźnia wpuściły tu strażę.  
Naczelnik imię zapisał do księgi  
I braci szukać więźniowi rozkaże.  
Ruszył schorzały, biedny ku dolinie.  
Do tych chat nędznych, pod których to strzechą

Niejeden Polak pośród nędzy ginie  
Z jedyną tylko w swej duszy pociechą,  
Że wreszcie wróci ku niebios krainie.

Na wieść co przeszła lotem błyskawicy,  
Którą przyjęła prawie każda chata,  
Gdzie jaki Polak mieszkał w okolicy,  
Że nowy przybył męczennik w te strony,  
Spieszą wygnańcy Litwy i Korony,  
By poznać swego i powitać brata.  
Każdy go ściska, obcy i nieznanym,  
Jakby z nim dawne, długie przeżył lata.  
Czemu?

Bo człowiek z Ojczyzny wygnany,  
Co się po obcej tułać musi ziemi,  
Słuchać słów obcych, obce widzieć twarze,  
Kiedy się zejdzie wreszcie ze swoimi,  
Napoi ucho w rodzinnych słów gwarze —  
Wówczas mu jakoś milej i lżej w duszy.  
Widok rodaków cierpiących w obczyźnie,  
Za jedną sprawę, miłość ku Ojczyźnie,  
Która go z nimi wiąże i kojarzy,  
Nawet mu gorzką łzę bólu osuszy,  
Za to ich bratnim pocałunkiem darzy.

W licznym wygnańców zebranych tu gronie  
Stał pewien starzec opodal na stronie  
I przybyłego przyglądał się twarzy.  
Nagle jak gdyby przypomniał coś sobie,  
Podszedł ku niemu i z współczucia łzami  
Na szyję ręce zarzucił mu obie,  
Temi na wstępie darząc go słowami:  
„Witam cię druhu! z mej strony rodzinnej,  
„Którego dawno w życiu opłakałem —  
„My w tym lodowym kraju się schodzimy?  
„Wszak ja sądziłem, że spocząłeś ciałem  
„W naszej ojczystej ukochanej Litwie,  
„Że dusza dawno gdzieś w niebios krainie.  
„Mnie powiedziano, że w ostatniej bitwie  
„Ległeś od kuli, kochany Justynie!“ —  
„Tak! ległem wówczas śmiertelnym postrzałem  
„W owej ostatniej walce ugodzony,

„Gdy opatrując rany, nachylony  
„Nad towarzyszem bolejącym stałem.  
„Nie pomnę później, co się działo ze mną,  
„Wiem tylko tyle, że we dwa tygodnie  
„Jam się zobaczył w wilgotną i ciemną  
„Każnię zamknięty i okuty w Grodnie.  
„Odtąd pamiętam, że mój gość codzienny  
„Był jakiś Moskal; snać lekarz więzienny,  
„Bo pisał często dekret na mą ranę.  
„Jam spełniał ściśle, co było spisane  
„I wreszcie niby odzyskałem zdrowie.  
„Odtąd nie miałem spokojnej i chwili —  
„Odtąd męczarnie — lecz któż je wypowie?  
„Wszak wy je znacie, boście przechodzili  
„Przez takie pewno jak i ja koleje.  
„Gdy noc ciemnością już ziemię odzieje,  
„Z hukiem i traskiem do mej kaźni wpadnie  
„Trzech carskich zbirów okrutnych gromadnie,  
„I dwóch po bokach a jeden na przedzie  
„Z sobą do sali sądowej mię wiedzie.  
„Tam mię badali. Jam zwykle ponury  
„Stawał nie rzekłszy na sędziów pytania  
„Jednego słowa. Oni złote góry  
„Obiecywali, bym plany powstania,  
„Organizacją przed nimi wyjawiał.  
„Uporniem milczał i wreszcie to sprawił,  
„Żem się doczekał po upływie roku,  
„Po strasznych mękach mych sędziów wyroku.  
„Katorgi dziesięć lat mi przeznaczono.  
„Zaraz połowę głowy mi zgolono, <sup>8)</sup>  
„A grzbiet mój w szare odziano łachmany,  
„Na plecach kwadrat przszyto czerwony,  
„Znak żem w zbrodniarzów poczet zaliczony.  
„Wkrótcem z ojczystą pożegnał się stroną.  
„Gdy mię kibitka przez litewskie łąny  
„W daleką północ unosiła cwałem,  
„Ja za Ojczyznę jak dziecko płakałem,  
„Wówczas na wieki z jej łona wyrwany.  
„Z Wilna, gdzie spotkał towarzyszków wiele,  
„Jak ja wyrwanych z polskiego narodu,  
„Którym się Sybir miał dostać w udziale,  
„Para uniosła nas do Moskwy grodu.

„Ztąd piesza droga. W dzień pod niebem gołem  
„Szliśmy do drąga parami przykuci;  
„Tuż nas kozacy otaczali kołem.  
„Łotry ze wszelkich uczuć już wyzuci,  
„Bo każdy wesół jakąś piosnkę nucił,  
„A jeśli więzień padał ze znużenia,  
„Zwykle razami nahajki go cucił.  
„Noc spędzaliśmy śród murów więzienia.

„Całe miesiące przez ziemie caratu  
„Znędziali tak my co dzień wędrowali,  
„Aż my nareszcie Sybir powitali.  
„Kilku wśród drogi zeszło z tego świata.

„Ja do katorżnej roboty sądzony  
„Wraz z kilkunastu braćmi mej podróży,  
„Długom szedł jeszcze w dzikie Wschodu strony,  
„Aż do Usolska, gdzie warzelnie soli.  
„Tu kark do nowej zgięliśmy obróży,  
„Tu żyli nasi konając powoli.  
„Krótko wam powiem życia tego dzieje:  
„Zwyczajnie wcześniej nim jeszcze zadnieje  
„I zanim straż wezwały do pracy,  
„W katordze wszyscy budzą się rodacy  
„I idą razem na poranne modły.  
„Tylko ich kroki do świątyni nie wiodły,  
„Tylko ich nigdy nie wzywały dzwony,  
„Jakie brzmią w Polsce z wież bożego domu.  
„Tam się modlili wszyscy pokryjomu,  
„Dzwonem był łańcuch u nóg zawieszony.  
„A takich modłów wśród murów więzienia,  
„Słanych codziennie z wieczora i z rana  
„Z całą pokorą do Zastępów Pana  
„Nikt nie mógł odbyć bez łez rozrzewnienia.  
„Ledwo na niebie ranne błysły zorze,  
„Każdy brał taczki lub kilof do dłoni  
„I szedł wśród brzęku kajdan na podworze,  
„Gdzie nas straż lasem otaczała broni  
„I wiodła z sobą do ciężkiej roboty.  
„Tam dodawała nahajka ochoty,  
„A jakiejś ulgi szukać było trzeba  
„W cichem westchnieniu przesłanem do nieba,

„Bo innej pewno szukałbyś daremno.  
„Tam to stargałem me zdrowie i siły,  
„A kiedy bliskim byłem już mogiły,  
„Car się rozkazał zlitować nademną  
„I tu do waszej przysłać mię doliny,  
„Lecz po to chyba, by ścisnąć twe dłonie  
„Jeszcze przed śmiercią, kobryński mój druha —  
„— Bo policzone już moje godziny —  
„I byś zapłakał jeden po mym zgonie.“

W kilka dni potem ów więzień schorzał  
Zakończył życie po tak długiej męce —  
A ponad grobem jego usypały  
Zimną mogiłę towarzyszków ręce ;  
Na niej znak krzyża polskiego zatkały.

---

## Objaśnienia.

---

<sup>1)</sup> Romuald Traugut urodzony w Szostakowie w powiecie brzeskim r. 1826. służył w młodych swych latach w wojsku rosyjskim. Jako pułkownik saperów pełnił przez cały czas oblężenia Sebastopola obowiązki głównego kasjera sztabu. Po skończonej wojnie krymskiej wziął dymisję i osiadł w swym majątku we wsi Ostrowcu w powiecie kobryńskim.

<sup>2)</sup> W tych to lasach zbierał się oddział Trauguta rzeczywiście. Wystąpił on po raz pierwszy do walki w miesiącu maju 1863. Cały przebieg działań wojennych tego dowódcy opisał szczegółowo Aramowicz w pamiętniku swoim zatytułowanym: „Ruch partyzancki województwa Grodzieńskiego.“

<sup>3)</sup> Wielką pobożnością i religijnością odznaczał się Traugut istotnie. Jako mały, ale bardzo znamionujący rys jego charakteru wspomnę to jedno, co wiem

z opowiadania osoby, żyjącej z nim w bardzo przyjaznych stosunkach, że przed wyruszeniem w lasy prosząc księdza o błogosławieństwo, nie zapomniał zarazem poprosić i o dyspensę od postów.

4) Po opuszczeniu dowództwa udał się Traugut na wezwanie Rządu narodowego do Warszawy, z kąd z początkiem sierpnia 1863 r. wysłany został za granicę jako komisarz nadzwyczajny. Już atoli w październiku powrócił, a widząc, że w czasie jego pobytu poza krajem Rząd narodowy uległ zupełnemu przeobrażeniu, obalił takowy i utworzywszy nowy z ludzi, dzielących te same przekonania, co i on, stanął sam u steru władzy kierującej powstaniem i wśród największych niebezpieczeństw pracował usilnie i niezłomnie aż do chwili aresztowania.

5) W marcu 1864. r. uwięziono Trauguta wraz z czterema innymi członkami Rządu narodowego, mianowicie: Krajewskim, Żulińskim, Toczyńskim i Jeziorańskim. Kilka tygodni przesiedział w cytadeli warszawskiej pod śledztwem. Stawiany przed komisją śledczą, do niczego się przyznać nie chciał i nikogo nie wydał. Odpowiedzi jego były zawsze tak stanowcze, że komisja śledcza zaniechała nawet zwykle używanych barbarzyńskich środków katowania i nie zastosowała ich do osoby Trauguta, pomimo, że nie szczędziła takowych przy śledztwie innych członków narodowej władzy.

6) Po dłuższem jednakże więzieniu sądy wojenne na podstawie zeznań innych uwięzionych osób, wydały nań wyrok śmierci, wykonany w dniu 5. sierpnia 1864 r. na stoku cytadeli warszawskiej. Wraz z nim powieszono i owych czterech wyżej wspomnianych członków Rządu narodowego.

7) W Tunce. wiejskiej osadzie położonej poza Bajkałem o jakie 5 mil od chińskiej granicy, zgromadzono na początku 1866. r. przeszło 150 osób z samego duchowieństwa polskiego. Ktoby się chciał bliżej zapoznać z życiem tych biednych wygnańców, tego odsyłamy do dziełka p. t. „Wspomnienie o duchowieństwie polkiem w Tunce“ przez E. z S., gdzie

nader miłutkiem piórem skreślił autor dzieje tych męczenników.

<sup>8)</sup> Skazanym więźniom politycznym na Sybir a mianowicie do kopalń gołą Moskale pół głowy, ubierając ich w odzienie zwyczajnego zbrodniarza z żółtym lub czerwonym płatkim przyszytym na plecach i tak okutych pędzą na miejsce przeznaczenia.



# Moje gwiazdy

z M. G. Saphira.

Tak była piękna! — z swym długim, czarnym, rozpuszczonym włosem. — Ostatnia noc letnia była tak piękną tą razą! Spuściła rzęsiście długie swe kędziory, jak gdyby chciała osłonić ziemię, dziecię swe, w tkaninę jedwabistą, jak gdyby chciała świat otulić ciemną oponą Izysy! Blade jak duchy i wiotkie obłoczki zmroku wydobywały się z pomiędzy splotów ciemnej kotary. W głębi widnokręgu świecił księżyc zapaśnik nocy, jak złote regarde-moi; przed księżycem pląsało tysiące gwiazd, by go odwieść do małżeńskiego łoża niebieskiego; jasna gwiazda wieczorna świeciła zpośród ciemności jak oko z łona rzes ciemnych, a droga mleczna opasywała czarne kędziory rozpostartej nocy jak wieniec z pączków róż białych.

Tak mi lubym ów blady owdowiały księżyc, gdy co nocy krąży w smutku w około ziemi, jak w około osłoniętego grobu miłości swej; gdy kroczy pomiędzy porozdzierane chmury ze spuszczonego smętnem okiem na ziemię; gdy się posuwa wiecznie blady i cichy, a uśmiecha się jednak zarówno życzliwie do każdego nędzarza jak i szczęśliwca; gdy się w dzień z swym bolem ukrywa i każdego wieczora znów okazuje.

Owej nocy również załaknąłem księżyc, i wyszedłem doń do Prateru na odwiedzinę; opuściłem towarzystwo wesole i huczne, a właśnie w godzinach upojenia i po ucztach obchodzi moje serce zawsze niemal cichą i świąteczną środę popielcową; wśród licznej a szumnej i wesołej uczyty Makbeta, wyłania



się ze mnie ciężka boleść jak duch Banka, i wskazuje palcem na próżne miejsce w sercu, i woła: „patrz tam!”

Gdy człowiek roztworzy na oścież wszystkie podwoje swoich pięciu zmysłów, by użyć w całej pełni uciech towarzyskich i rozkoszy upajających, wkrada się boleść nieznacznie, ukrywa się w zakątku serca i czeka, póki nie odejdą goście hałaśliwi, po czym wychodzi i przechadza się po sercu, które doznało już raz ciężkich bólów, odzywa się podzwitek upojeń wielkich, jak długie przebrzmiewające westchnienie.

Z taką więc gorzką a jednak słodką boleścią wyszedłem na łono nocy niezmierzonej, która była radośnie cichą, jak konanie człowieka na ziemi już zbawionego; przyroda cała była tak jasną i czystą, a powietrze poruszało się i powiewało tak błogo, jak się porusza i podnosi serce ludzkie po spełnionym dobrym uczynku. Patrzyłem w niebo gwiazdziste; prawdziwie bowiem dobry człowiek widzi za każdą gwiazdą drugiego i trzeciego, a w końcu samego siebie. Patrzyłem, by ból ułagodzić pod kojącym podmuchem nocy, by się z nim lepiej zapoznać i gorąco a tkliwie do serca przyłożyć, by się z nim tak zaprzyjaźnić jak z istotą, z którą musimy pielgrzymować ręka w rękę, póki nas nie skryje dół ostatni z pośród wszystkich dla nas kopanych dołów!

Ach! gdybyśmy wiedzieli, żeśmy wieczyście zespoleni z boleścią lub nieszczęściem, podnieśliśmy się na duchu i zawarlibyśmy z nią ugodę niedoli i poddania się; ale nam odejmują odwagę pobłyski światła dochodzące czasami do naszej ciemnicy nieszczęścia; serce nam upada wśród małych przemijających nadziei przerywających jedną wielką a długą beznadzieję; małe pociechy i nędzne mamidła obalają nielitościwie naszą wolę zrzeczenia się podczas bólu bezustannego, podobnie jak i szyba w oknie nie pęka pod wpływem silnego mrozu, lecz wśród przemian zimna i gorąca.

Ale siedziałem przed spuszczonej kratami nocy, i patrzyłem na się z tklivym smutkiem i mówiłem łagodnie i pocieszająco: „Serce cierpiące! chcę ci nasłać gwiazdy pocieszycielki, by cię podniosły i wzmocniły, by ci dodały siły i odwagi do długiej drogi

twego smętnie osklepionego żywota!" I z łona ciemności spuściła się jasna gwiazda, oblała mię świetlanymi promieniami i przemówiła: „Jestem szczęściem! Pociesz się, jestem szczęściem; chcę przed tobą rozścielić złoty kobierzec żywota i obstać drogę bytu wszelkimi przynętami pełnego użycia; oko twe światło pijące chcę pozyskać najpiękniej lśnąciami barwami; ucho twe chcę zapełnić najrozkoszniejszymi dźwiękami i tonami najmniejszymi, najlubieżniejszymi; zanim się poczucie pragnień twych z piersi wydobędzie, chcę je spełnić, a każdą chwilę bytu twego chcę tak przystroić w bogate szaty i kamienie szlachetne i kosztownymi przyprawami uwonić jak narzeczoną wschodu w dzień jej uroczystości weselnej!”

Popatrzyłem na gwiazdę, podczas gdy się serce me ani wzruszyło ani otworzyło, i odpowiedziałem: „Idź precz odemnie, obrazie migocący! mamono szczęścia! zwodnicza malarko, która przystrajasz wszystkie istoty w złudne szaty! kuglarko płasająca po cienkiej, kołyszącej się linie przypadku; komedjantko próżna ubrana w korony teatralne i wawrzyny z blaszek mosiężnych, co oszukujesz zdala barwami dekoracyjnymi; idź, nie tknę twych barw tęczy, które spłyną w czczych kroplach wody; dary twe musisz składać u pięciu podwoi zmysłów ludzkich, ale nie docisną się one do świętego i do niebios wznoszącego się przybytku serca! Idź precz!”

I zjawisko rozplynęło się, gwiazda przeleciała przez widnokrąg i zapadła w głąb.

Po niej przybliżyła się druga gwiazda i przemówiła: „Jestem sławą; skronie twe chcę przystroić wieńcem z zielonego wawrzynu; imię twe chcę włożyć w usta miliardów potomnych; pamięć po tobie chcę uczcić w postaci wotywki zawieszanej w świątyni dziejów.”

Serce moje ani się wzruszyło ani otworzyło, — spojrzałem na gwiazdę i przemówiłem: „Idź precz odemnie, wietrzniku nachmurny, frymarczniku bańkami mydłanemi, świąteczna szato duszy ziemskiej próżnej, co chcesz wynagrodzić obfite kwiecie drzewa żywota i owoc gałęzi jego wieńcem z suchych liści; twoja

czcza chwała nie posili uczucia spragnionego serca, które z wszystkich sił za innym sercem zdąża. Idź precz!”

I zjawisko rozpląnęło się, gwiazda przeleciała przez widnokrąg, i zapadła w głąb.

I przystąpiła do mnie trzecia gwiazda i odezwała się: „Jestem wyobraźnią. Chcę ci stworzyć świat odrębny, który oddam pod twe własne rządy. Świat ten chcę ci złożyć z barw tęczy i woni róży dziewiczej. Mont-Blanc i Hybla będą górami w owym świecie, Tempe i Chamouny dolinami, będzie tam jezioro Genewskie i Como, znajdziesz winnice węgierskie i pagórki Tokaju, uroczyska nadreńskie i równiny Saragossy, włoskie lasy oliwne i gaje Hesperyd, pieczary Vaucluse i Montmorency, wyspy Capri i Rügen, kąpiele Nizzę i Ischię; i nad tym dobozem osobliwości świata chcę ci rozwiesić niebiosa Hiszpanii z zorzami wieczornymi i północnymi Grenlandyi, z tęczami księżycowymi i światłkami igrającemi; a zorzę poranną świata owego osłonię okrasą lic dziewiczych, gdy je rumieniec miłości obleje; i chcę ci zaludnić świat ów postaciami Carlo-Dolcego i Tytanami Jana Pawła; a w lasach i zaroślach będzie pełno śpiewających słowików, a w górze będą ci skowronki nuciły; i chcę ci rozpiąć ponad światem owym niezmierną arfę Eola, by się z niej rozlegały podzwęki każdego tchnienia serca, każdego błakającego się westchnienia, jakby pod wpływem niewidomej ręki duchów, i ty masz panować nad owym światem, masz tam być nieograniczonym czarodziejskim królem, masz tam zrywać wszystkie cudowne kwiecie i wić je na około twych skroni szczęśliwych.“

Serce moje ani się wzruszyło, ani otworzyło, — spojrzałem na gwiazdę i przemówiłem: „Idź precz odemnie, pstry kolibrze, rajski ptaku, który nigdy nie postaniesz na ziemi. Przyjdzie wszechmocny, szyderski i cicho pochłaniający czas, i ten powyrywa z ciebie jedno pstre piórko po drugim, i zmiażdże twe lśniące perły szklane jedną po drugiej, i zetrze klepsydrą czarowny żar z lic twych, a gdy krew zziębła zacznie słabiej krążyć w mych żyłach, naówczas opadną twoje skrzydła motyle, a pierwszy śnieg, który mój włos

oszroni, zasypie twoją Mont-Blanc i twoje Tempe i Capri, i orłami unoszony faeton wyobraźni powlecze się po mrozem zakrzepłym stworzeniu w postaci niedosłyszalnych sanek! Idź precz!”

I zjawisko rozplynęło się, gwiazda przeleciała przez widnokrąg, i zapadła w głąb. I zbliżyła się do mnie inna gwiazda i przemówiła: „Jestem nadzieją, ponętą towarzyszką serca, zorzy porannej i wieczornej; ściany ciemnicy więziennej przystrajam obrazami, zamglonemu oku ukazuję światy rajskie, w duszę cierpiącego wlewam balsam pociechy, wpośród nocy stroskanego wznoszę dnie złote; mówię do bólu: „Bądź wesołym!” a do bezsennego oka: „Zamknij się w pokoju!”; łzę palącą przenikam chłodem pokrzepiającym; łożę chorego obsypuję pocieszającym kwiatem lotusu, a miłość nieszczęśliwą dotykam pocałunkiem duszy zwiastującym jej przyszłość pełną kwiecica!”—

Ale odpowiedziałem: „Odejdziesz, nie wzruszysz i nie otworzysz serca mego! Możesz być wprawdzie promieniem światła sercu skołatanemu, możesz ukrzepić swą rosą wędniejące pragnienie! możesz być słodką godziną cierpiących; kwiatem lotusu na grobie szczęścia i łzą perlącą się na zmiętem serca liściu nieszczęśliwej miłości! Ale twoje królestwo, nadziejo wszechmocna! znika, i twoja laseczka czarnoksiężka próchnieje i czar twój nicestwieje, i wszelka twa pociecha staje się bezwładną w obec serca, które poświęciło świeże, czerwone źródło, i najtajemniejsze drgnienie swego życia i najgłębsze wzruszenie istoty swej bezgranicznej miłości innego serca, a to serce zawiodło je, i to drganie miłości wewnętrznej zawiodło, i gorące bicie własnego serca zawiodło, i przysięga zawiodła, i zawiodły tysiące a tysiące chwil gorących utkanych miłością a wypełnionych jej przyrzeczeniami; naówczas, niebaczną nadziejo! stoisz przed sercem, u którego tętnice popękały, a chcesz zeń dźwięk wyklamany wydobyć, i stoisz naówczas jak wyszydzone warjatka; bo znikł czar twój, spełził połysk, bo nie zdołasz już nic podać takiemu sercu, któremu zawód doznany korzenie powygryzał; sercu, które się oszukało na innym sercu w największej świętości, w ufności, któremu już nic więcej dać nie możesz! Idź, biedna nadziejo!”

I zjawisko rozplynęło się, gwiazda przeleciała przez widnokrąg, i zapadła w głąb.

A teraz przybliżyła się inna gwiazda i przemówiła: „Pociesz się, jestem religją! Usta moje sieją pociechę, ramię użycza wsparcia, a pocałunek zwiastuje spokój. Niech się tylko uspokoi serce twe rozdarłe, niech tylko usta dośpiewają pieśni passyjne twej duszy, niech tylko oko oschnie z gryzących kropli kryształowych i niech się otrząsie z przybijających brzemion trosk, niech się tylko wytlą i wypłoną przemijające ogniki, a gdy się obnaży nieszczęście, ból, złość, zawód, owi skrzętni służalce duszy twej, gdy ci nic nie pozostanie z ziemskich uciech i wyczekowań, naówczas chodź do piersi moich, rzuć się w moje objęcia macierzyńskie, a otoczę cię jak noworodka pociechą i miłością. Jestem początkiem miłości, trwaniem jej i kresem. U mnie tylko znajdziesz przybytek wypoczynku, u mnie tylko jest arka przymierza spokoju: ja jedynie zleję w serce twe skołatane ostatnie pomazanie święte; chodź w moje objęcia!”

I teraz przeniknął wietrzyk wiosenny pierś moją, i zdało mi się, jak gdyby tchnienie ciepłe lodowatą pokrywą z serca strącało, i rozkiełznane na nowo i obudzone prądy uczuć mych wsączały się i wpływały radośnie z piersi mych w życie, i brzmiały i śpiewały radośną modlitwę rozlegającą się w zorzy zarumienionem stworzeniu.

*Maciej Wszelaczyński.*

---

## Śmierć żeglarza

z niemieckiego Bürgera.

---

Gdy legły dziatki w słodkim śnie —  
Mknie ojciec morzem w dal,  
Lecz matka budzić nie chce je . . . .  
Wre morze burzą fal.

„O! miłe dziatki — biada wam!  
Tej burzy rośnie moc;  
Wasz ojciec płynie głębią tam,  
Nie mija jeszcze noc.”

Toż czem na dworze silniej dmie,  
Jej serce mocniej drży,  
Jak fala z falą w wał się pnie —  
Ból rośnie w gorzkie łzy.

I huczy wiatr i gromu zgrzyt  
Widnokrąg ogniem skrzy;  
Gdy picrun mknie pod niebios szczyt,  
Wód gniewem morze drży.

Ku matce wionie chłodnym tchem...

Rozwarło okno się,  
To burza wściekła parciem swem  
Wyrzuca z wrzeczadź je.

I dziątek uśmiech słodki z snu...

Ktoś widać wita je?

To ojciec pewnie przybył tu,  
Całuski z ustek ssie.

„Okienkiem wchodzisz — oh mężu mój!

Twójż czuję chłodny wiew?

Okienkiem spływasz w powietrzny zwój —

Ni ciało masz ni krew.

„I gdzież to ciało twe?

I statku twego skład? ...”

„— Milcz żono, życie me!

Przeplływam teraz świat.” —

„— O mężu mój! o! porzuć już

To morze, Bóg bądź z niem!

Toć szczęście twoje całe złóż

Na dziątek łono z mem!” —

— „Iść muszę — wierza drży,

Tam strażnik woła: — czas;

Śród burzy tej żegnajcie mi,

Raz jeszcze widzę was!” —

Zaświtał dzień. Nad morza prąd

Wybiegła matka hen....

Po burzach żeglarz tam na ląd

Legł spocząć w wieczny sen.

Lwów, 4. marca 1882.

*Bronisław Zamorski.*

## Kochanie Zosi.

---

Oczęta miała urocze  
I liczko alabastrowe.  
A złotych włosów warkocze  
Wiankiem zdożyły jej głowę.  
Z koralu drobne usteczka  
I sama, jak mleczko, biała,  
Ładna to była dziewczeczka,  
A Zosia się nazywała.  
Niejeden sokół się wznosi  
Za pierzchającą ptaszyną:  
Bywało do chatki Zosi  
Co wieczór swaty zawiną;  
Ale każdego młodzianka  
Grochowy tam czekał wianek,  
Bo Zosia miała kochanka,  
A tym kochankiem był Janek.  
Któż nie znał Janka, sieroty,  
Co to tak umiał grać rzewnie?  
Wszak-ci on sływał z tej cnoty —  
(I w y go znaleźcie pewnie...)  
Co dzień, gdy z cichym powiewem  
Wieczorny pomrok zapadał,  
U brzegu rzeki pod drzewem  
Z skrzypkami swemi on siadał.  
Skrzypeczki owe po głosie  
Jankowa znała kochanka.  
Toż gdy zadrżały na rosie,  
Ona już biegła do Janka.  
A ten, bywało, gdy zoczy,  
Jak Zosia słucha w zadumie,

To tyle piosnek roztoczy,  
Ze słowik tyle nie umie.  
To jakąś żałość od ucha,  
To dumy wiedzie kozacze,  
A Zosia słucha i słucha,  
Smutno jej czegoś i płacze...  
To znowu czasem znienacka  
Tak mu się w skrzypki namota  
Melodja skoczna i chwacka,  
Ze tańczyć bierze ochota!  
Ale gdy zacznie czasami,  
Jako powiadał — o sobie,  
Kiedy zadzwoni strunami,  
Niby modlitwą na grobie —  
I łzawe zapatrzy oczy  
W gwiazdki, co w górze migocą —  
I kiedy żałość roztoczy  
Nad swoją dolą sierocą —  
To Zosia blada i drżąca,  
Jak kwiat pod szronem poranku,  
Przytula się doń płacząca:  
„Janku — szlochając — mój Janku!“...  
I tak dla Janka i Zosi  
Cicho szła wiosna za wiosną,  
Gdy słońko świeci, deszcz rosi,  
Tak cicho kwiatki dwa rosna;  
Ale gdy burza nastanie,  
Lub kosa świeśnie błyszcząca,  
Ileż to kwiatków na łanie  
Więcej nie ujrzy już słońca?!  
Minęły lata spokojne  
I przyszła wiosna z wojnami —  
Więc poszli chłopcy na wojnę —  
I poszedł Janko z chłopcami...

\*

\*

\*

Szumiała smutno, nieśmiele  
Żałobna brzoza na dworze,  
Trzy przeminęły niedziele,  
Płakała Zosia w komorze.  
Trzy przeminęły miesiące,  
Lecz ni z wieczora, ni ranka



U brzegu rzeki na łące  
Nie grały skrzypeczki Janka.  
Po upłynionem półroczu  
Kruk ponad sioło zawinał;  
Och, ileż go łzawych oczu  
Trwożnie pytało „kto zginął?” ...  
Przeszła już jesień i zima,  
Znów wiosna, śniegi znów tają —  
Lecz Janka niema i niema,  
Choć inni z wojny wracają ...  
Oj, skrzeczą sroczki przed chatą,  
Oj, przed Zosią tak skrzeczą:  
Na koniach strojnych bogato  
Od Stelka swaty tam lecą.  
Bogacz on, jakich dziś mało,  
W najdalszym znany zakątku —  
(I wam się pewnie słyszało  
O wielkim Stelka majątku ...)  
Zosia zawodzi stroskana  
I jasne kosy rozrzuci:  
„Matulu moja kochana,  
Matulu, Janek powróci! ..  
„Ja czuję jego przybycie;  
On żyje — serce mi mówi!...  
Matulu droga, weź życie,  
Jeno mię nie daj Stelkowi!...  
Lecz nie pomogły zaklęcia,  
Ni rączek załamywanie:  
Matka chce Stelka za zięcia,  
Więc Stefek zięciem zostanie.  
Stelka raili sąsiedzi,  
Stelka chciał ojciec upornie:  
A i ksiądz kazał w spowiedzi  
Rodziców słuchać pokornie...  
Toż niedalekiej niedzieli  
Stelkowi temu, drząc cała  
W mirtowym wianku i bieli  
Ślubną przysięgę szeptała.  
A dziwnie wtedy zmieniona  
I piękna była twarz Zosi —  
Tak lilja ścięta, gdy kona,  
Woń najsilniejszą roznosi...

Cichy był wieczór majowy,  
Kwiatki woniały dokoła,  
Gdy Stefka orszak godowy  
Gwarno powracał z kościoła.

W tem panna młoda stanęła,

W okół powiodła oczyma

I białą rączką skinęła

I wszystkich naraz zatrzyma.

Wzrok miała łzawy i dziki,

Twarz sina bladość oblekła.

Zwróciła oczy do rzeki

I drżącym głosem tak rzekła :

„Od wodnej zerwana fali

Melodja płynie po łanie,

Czy wy słyszycie z oddali

To ciche, żałośne granie ?..

„Patrzajcie, hen tam kalina,

Co krasne miała jagody,

Jaki szum straszny poczyna,

Korale rzuca do wody!...

„Matulu, och, ja się boję —

Mnie ciemno, straszno tu z wami!...

Czy wiecie, druchny wy moje,

Kto tam tak dzwoni skrzypkami ?...

„Czyje te dumy kozacze —

Czyja piosenka — posłanka —

Czy wiecie kto tam tak płacze ? —

Czy znacie wy granie Janka ?...

„W tej mgle, co płynie w oddali

Biała mi postać widnieje —

Och, jak ta skrzypka się żali!

Jak ta kalina się chwieje!...

„To on, to mój ten jedyny,

Com go na świecie kochała!“ —

I lotem szybkiej ptaszyny

Zosia ku rzece leciała.

Biegł za nią orszak godowy,

Lecz kiedy stanął nad brzegiem,

Już tylko wianek mirtowy

Spokojnie płynął z fal biegiem...

Niedługo z męztwa nagrodą  
Powrócił Janek z wojenki,  
Ale już odtąd nad wodą  
Same grał smutne piosenki.

I tak pokochał to granie,  
Że gdy siadł wieczór u rzeczki,  
To jeszcze słonka świtanie  
Witały jego piosneczki.

A ludzie we wsi szeptali,  
Że zawsze w blasku księżyca  
Do tej muzyki po fali  
Biegła Zosia — topielica...

Całą on przeżył tak wiosnę.  
Ale jednego poranka  
Ucichło granie żalosne

I nikt nie ujrzał już Janka, —  
Jeno skrzypeczkę rzuconą  
Znaleźli ludzie pod drzewem...  
Że się utopił mówiono,  
Ale już tego ja niewiem...

*Klemens Kołakowski.*

---

# Jaka szkoła, taki naród.

STUDIUM SPOŁECZNE

zestawił

Bronisław Zamorski.

---

## I.

Jako świat stary, tak starą jest szkoła w ludzkości. Pismo święte poucza nas że — „na początku była ciemnia, a duch Boży unosił się ponad nią.“ Skoro jednak z ciemni wyłonił się świat dnia Bożego i promienie światła okraśliły ziemię, powstało życie świata; a człowiek zaczerpnawszy tchnienia Bożego, z ukrytym w sobie skarbem myśli Bożej począł żyć dla „pracy w pocie czoła.“

Jedyną księgą, jaką człowiekowi Opatrzność przed oczy przedłożyła, był i nieodmiennie jest i będzie — właśnie ten świat Boży, na którym człowiek zrodził się, a z którego skarby wiedzy przez lat tysiące czerpie ludzkość i nieustannie czerpać będzie. Kto z tej wielkiej księgi świata chociaż odrobinę wyczytał niezdoła, tego oczy chyba widzieć nie mogą z przyczyny braku w nim życia myśli Bożej — ducha Bożego; taki już nic nie wie i nic nie widzi: ni Boga, ni świata, ni ludzkości.

Kto nie umie czytać w Bożej księdze świata, chociażby umiał czytać w książkach ręką ludzką pisanymi i tysiące takich książek wyuczył się z pamięci, zawsze ciemnym będzie i głępszym pozostanie od tego dziecięcia, które cieszy się widokiem matki i ojca,

pogodą dnia, zielenią łąki, świegotem ptasząt, plu-  
skiem wody i — jak mówi poeta, przeczuciem tego —  
„co słońce gasi, noc w gwiazdy krasi i niewidomy  
zapala gromy.“

Różnym i przeróżnym przedstawia się nam ten  
świat Boży — toż i w księdze świata różnorako są  
zapisane kary ręką Bożą. Szczęśliwy ten lud, który  
zdołał odczytać z tej karty, przy której go Opatrzność  
pomieściła, „p r a w d ę   z y w o t a.“ —

Inaczej odczuwa i pojmuje potrzebę ży-  
cia człowiek żyjący gdzie na wyspie pośród głębi  
wielkich a burzliwych wód morza, a inaczej ów ży-  
jący wśród równi bezleśnej stepowej; jeszcze inaczej  
patrzy na świat Boży ten, co żyje pod skwarnem nie-  
bem puszczy piaszczystej, a jeszcze inaczej ów pomie-  
szczony wśród zawiei śniegowych i lodowców strefy  
zimnej; zupełnie inaczej pędzi życie lud zamieszkały  
w uroczej krainie wiecznego lata, niżli ów którego  
siedzibą jest las olbrzymi w północnej Europie czy  
w Ameryce; toż ludzie żyjący wśród gór olbrzymich  
patrzac na te swoje góry, które skalistemi szczyty  
oko ludzkie i umysł ludzki a i serce aż hen daleko  
ponad doły i przepaście i wyżej aż ponad chmury i  
obłoki ku słońcu i ku niebu porywają — inaczej ży-  
cie pojmują, niż owi żyjący przy glebie urodzajnej  
płaszczyn.

W naszym kraju widzimy, że górale zdobywając  
swoje potrzeby życia z ciężką mozołą wśród skał, wód  
i kamienisk, na małym przestając nie opuszczają swych  
siedzib, bo im cuda przyrody inne szczytniejsze życia  
dnie nadarzyły. Myśli tam acz proste a wzniosłe, serca  
pocziwe, a praca ich twarda wyrabia hart ducha,  
dając tem silniejsze świadectwo przykazanej od Boga  
„pracy w pocie czoła“ . . . Gdy oto częstokroć dzieje  
się, że tam gdzie człowiek byle ziemi skibę odgarnął  
i garść ziarna rzucił — a już dziesięć i pięćdziesiąt  
garści dorodnego ziarna zbierze, tak mu lekką staje  
się praca i tak mu błogo w dostatku lekko nabytym  
życie upływa, że popada w ospałość i marnuje dary  
Boże lekko mu przychodzące. — Toż przysłowie na-  
sze mówi: — „Gdy trwoga, to do Boga;“ a podo-  
bno ten najczęściej myśli o Bogu, komu życie w cią-

głym harcie i w ciężkiej pracy toczy się i komu ten chleb powszedni nie dla tego jest drogi, że go lekko nabytem groszem drogo zapłacił, ale właśnie dla tego, że go zdobył sobie ciężką pracą. —

Zkąd się wzięła ta potrzeba pracy? Jużciż z konieczności. Bo ten, co zamieszkał step, dla własnej i drugich potrzeby wyhodowuje stada bydła i musi na rączym koniu przebiegać szerokie pola i uprawiać je. Inny mieszkający przy wodach zmuszony potrzebą, buduje sobie łódź czy okręt i płynie z narażeniem życia po fali bezdennych głębi w dalekie kraje dla pozyskania tego czego mu brak. Jeszcze inny hodując zwierze odpowiednie do chodu w głębokim piasku — wielbłąda, przedziera się przez puszcze piaszczyste, by dotrzeć do miejsc ludnych i urodzajnych dla uzyskania tych rzeczy, które mu są koniecznie potrzebne. Jeszcze inny przy jeziorach i morzach i rzekach żyjący nałowiwszy ryb, stara się je zbyć. Zaś kto przebywa w urodzajnych stronach świata, plony swe szle tam, gdzie ich innym nie staje. — I tak każdy szczerp ludzki, usadowiwszy się w części ziemi, przy której zrodzonym został, ma osobny cel życia od przyrody wytknięty w różnorakiej pracy, każdy ma nakreślone w księdze świata do spełnienia to, co mu jego kraj — jego ojczyzna z wyroków Opatrzności do spełnienia przekazuje.

Tak to widzimy, że różnorodność potrzeb i przeszkód tworzy charaktery ludzi i ludów, jednym przysparza tych a drugim innych przymiotów. Ci muszą z większym, inni z mniejszym wysileniem dokonywać swych zajęć; tych dostatek jest bogatszym a innych uboższym; ten musi przemyślać nad tym, ów nad innym przedmiotem... Tak wytwarza się, jak u pojedynczych ludzi tak i u pojedynczych ludów — podział pracy, a tem samem i podział różnorakiego mienia, stanowiska i zajęcia. — Toż widzimy i w każdym towarzystwie ludzkim, że czego pojedynczy człowiek się wyuczył, z tego też po największej części żyje, i jakiego stanowiska się dobił, takie zajmuje. Z takich pojedynczych usiłowań ludzkich wytwarza się różnica powołania i stanu: ten jest krawcem, ów lekarzem, inny sędzią, jeszcze inny

kowalem, mechanikiem czy rzeźbiarzem, rolnikiem i t. p. A jakie mienie przysporzyli ci różnych zawodów ludzie swoim rodzinom własną pracą, z takiego korzystają ich następcy — źle lub dobrze w miarę uzdolnienia i zrozumienia swego stanowiska.

Tak to mimo różnicy położenia różnorodnych ludów — ludzkość, człowiek, powołanym jest od Opatrzności do ukształcenia z towarzystwa ludzkiego „Bożej czeladki.” Już wedle księgi przyrody, księgi świata, musieli ojcowie tak przyuczać i przyuczają żyć młodsze pokolenie, jak im ich szkoła życia wskazywała i wskazuje; toż niezawodnie lepszym jest ten pierwotny prosty stan wiedzy dla każdego ludu, niżli gdyby temu ludowi fałszywa nauka stać się miała powodem nieposzanowania i zaniechania tego, co mu przyrodzonym jest od Opatrzności na byt i życie i cel dalszego doskonalszego ukształtowania się. —

Wedle podania ksiąg świętych — pierwszy człowiek, ulubieniec Boży miał wszystkiego podostatkiem a żadnej troski; gdy jednak z czasem było ich dwoje — on i ona — i on znalazł w niej towarzyszkę życia, mąż usiłował dostąpić większego szczęścia nad to jakie mu Opatrzność z razu nadała, i oto pierwsza troska człowieka wyrodziła się na ugruntowanie życia rodzinnego. Powiedzianem też jest, że w wieku dziecięcym żyła ludność w „nieświadomości dobrego a złego;” z czasem nastał wiek mękości, wyłoniła się potrzeba myśli, pracy i czynu. Toż dobra myśl, uczciwa praca i szlachetny czyn przysparzają dobro dla pojedynczego i dla drugich; zła myśl, licha praca i fałszywy czyn przysparza zło dla pojedynczego i dla drugich. — Otóż troska o byt wywołuje myśl, pracę i czyn, a dopiero wynik tych okazuje, czy użyte były na dobre czy złe. Zatem pojęcie dobrego lub złego wynikło z doświadczenia działania człowieka. Człowiek nieświadomy czy co źle lub dobrze działa, popełnia raczej ni złe ni dobre; dopiero dobrą myśl, więc przeświadczenie jego, że dobrze działa, wyradza pojęcie dobrego czynu — jak odwrotnie zła myśl jako przeświadczenie, że działa źle — tworzy pojęcie złego czynu.

W tem też widzimy, że aby człowieka poznać, należy baczyć na jego czyny, co nam przekazał Chrystus w słowach: „Po czynach poznacie ich.” —

Jak było przed wiekami, tak jest i teraz. Jak długo on lub ona (mężczyzna czy kobieta) żyją odłącznie od siebie, może jedno lub drugie nie troszczyć się o przyszłość; skoro jednak wyrodzi się w nich uczucie życia rodzinnego, i połączą się z sobą — następuje u mężczyzny konieczna troska o byt, o zachowanie i ubezpieczenie rodziny — zaś żona i matka troska się, jak wypielegnować i wychować istotę, z pod jej serca na świat przychodzącą. Tak więc on — mąż i ojciec winien dbać o dobro rodzinne; zaś ona — żona i matka o zdrowie i cnoty potomstwa. Skoro potomstwo w domu zjawi się, już od kolebki rozpoczyna się pieczołowistością rodzicielską wywołane wychowywanie potomstwa — szkoła w domu. — Ojcowie rodzin tworzą nawiązek ojców narodu; a tak przedstawia się nam obraz, że jakich przymiotów są pojedyncze rodziny, takim jest i naród jako ogół rodzin. Jaka troska o byt i dobro objawia się u rodzin, takie będą i usiłowania zespolonych rodzin, gmin, krajów, narodów czy ludów i państw. Jaki więc po sobie pozostawują ojcowie zasób myśli czyli celów pracy i czynu, taki spożytkowuje następne pokolenie; złe czy dobre po ojcach odziedziczone oddziaływa na następców nie w skutek przypadkowego trafu, ale w skutek wątku czynników po sobie następujących. Jeżeli więc ogół rodzin prócz wychowania domowego obowiązany jest i w publicznych szkołach kształcać swoje pokolenie, to takowe w miarę wychowania i ukształcenia tak fizycznego jak i umysłowego udzielonego w domu i w szkole, nabędzie tych przymiotów, jakie od rodziców i od nauczycieli uzyskało; a więc: jaką szkołę darzyli nas w domu i w uczelniach nasi wychowawcy i nauczyciele, takimi jesteśmy, zaś jakimi wychowamy naszych następców — na gorsze lub lepsze — ci także zostaną. Jakiem też wychowaniem darzą swoje potomstwo pojedyncze



rodziny i ogół tychże, takim staje się; tak więc jest: „Jaka szkoła, taki naród.”

Skoro żyjemy tu w kraju w warunkach o wiele lepszych niżli bracia nasi w zaborze pruskim lub moskiewskim, powinniśmy nietylko myśleć o kształceniu i wychowaniu następnego pokolenia, lecz zarazem i sami nieustannie i ciągle i coraz zawzięciej i skrzętniej pracować nie tylko na byt ale i nad udoskonalaniem pod każdym względem nas samych; a to dla tego, aby szkoła życia, jaką jeszcze my sami i nasi następcy dokonywać winni, miała cechę coraz doskonalszej i pożyteczniejszej pracy — albowiem czy to pojedynczego człowieka, czy ludzkość tylko o praca uszlachetnia, jak przeciwnie bezrobocie i próżniactwo tylko poniża i zbydlęca doprowadzając aż do zdziczenia obyczajów i nieochybnie do wszelakich zbrodni. I cóż mamy pod tym względem do czynienia, by coraz jaśniej było w umysłach tylu tysięcy mieszkańców naszego kraju pozbawionych wszelakiej nauki i jakichkolwiek moralnych czynników, a tem samem, abyśmy w miarę postępu innych narodów zdążali coraz to bliżej do ogólnego celu ludzkości — błogiej doli „Bożej czeladki?” Charakter takiego dążenia określić nieco bliżej, usiłowaniem jest niniejszego zestawienia.

## II.

Już Jan z Czarnolesia powiedział nam: „Służmy poczcziwej sławie, a jako kto może, Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże;” jeżeli zaś tej zasady większość obywateli owoczesnych trzymała się w Rzeczypospolitej, nie dziw, że w owej epoce mieliśmy „wiek złoty!” — Gdy zapytamy, z jakiej przyczyny zwano okres, w którym żył Jan Kochanowski, w dziejach naszych „wiekiem złotym?” — to znajdziemy odpowiedź w tem, że mieliśmy wielu wielkich ludzi wychowanych w dobrych uczelniach i w dobrej szkole życia. — Począwszy od królów a zakończywszy na stanie kmiecym, wszystko było uposażone w cnoty obywatelskie i nauczone jak zastoso-

wać swoją pracę „ku pożytkowi dobra wspólnego.“ — Dość wspomnieć, że tę epokę rozpoczął Mikołaj Kopernik i za nim idzie cały zastęp wielkich poetów i wielkich uczonych, że prawo elekcyi królów, pogrom krzyżactwa pod Tannenbergiem i Grunwaldem i pokój z temiż wieczysty zwany Toruńskim, unia Horodelska i unia Litwy z Rusią i z Polską, wolność wyznania i zachowania na ziemi polskiej tak zwanych „praw człowieka“ i wolność osiedlania się na ziemi polskiej każdemu dozwolona, garnienie się Czechów i Węgrów pod berło królów polskich — świadczą dobitnie, jako mężowie, w których Polska w owej epoce obfitowała, byli ludźmi godnymi epoki, w jakiej żyli. Z drugiej strony wielka ilość uczelni i drukarni, oświata posunięta aż do zagród kmiecych; dalej ogólny dobrobyt, niepomierne bogactwo wszystkich stanów... wszystko to było owocem, nie trafu, ale ukształcenia owoczesnej społeczności w Rzeczypospolitej. — Gdy zaś czasem cnoty obywatelskie zmalały do egoistycznych zachcianek, przesąd i ciemnota ogarnęła umysły, więc i zabrakło nam wielkich ludzi, i ni bohater z pod Wiednia Jan Sobieski, ni Zamojski, ni uczoney i na nowo odbudowujący nauki w Polsce Stanisław Poniatowski, ni zapędy szlachetne takiego Tadeusza Kościuszki, nie mogły naród podźwignąć z upadku; albowiem przeważał w nim ciemny i tem samem przedajny i lichy gmin nad kilkoma szlachetnymi i zdolnymi do poświęcenia i do bohaterstwa ludźmi; tak więc — skoro upadło racjonalne wychowanie w narodzie a nastąpiła buta i ciemnota stanu rządzącego, sama ustawa 3. maja 1791 za ledwie jeden rok trwająca, nie mogła naród podnieść; grzechem pierwotnym upadku Polski było wyrojenie się oligarchii, z nią upadek szkolnictwa, nastanie przesądów, a więc złe wychowanie społeczeństwa. Po takim upadku drugiego trzeba zachodu i wytrawnej pracy i niejedno złe usunąć i naprawić, zanim będziemy mogli zjednać dla się poszanowanie obcych i jaki taki lepszy byt dla siebie. —

Głośny do niedawna Gambetta przy pewnej okazji powiedział, że „naród nieznający swej przeszłości, nie ma racji bytu.“ — Gdy zapytam, czyli chociaż dziesiąta część społeczności naszej zna historję przeszłość swoją? — w odpowiedzi muszę wyrazić, że i na dziesiątą część nie zdobędziemy się, skoro na ziemi naszej są wielkie obszary, na których na 1000 żyjących obywateli kraju nie wiem, czy znajdzie się jeden umiejący jako tako czytać i pisać. — Czy w takich warunkach można śmiało powiedzieć w obec wymogów tegoczesnych nauki i tak zwanej „walki o byt,“ że mamy rację bytu? — Ktokolwiek z zimną rozwagą patrzy na obecny stan naszego ludu, na dziwną mieszaninę pojęć i dążeń nieco wykształceńszych warstw społeczeństwa, na coraz bardziej wkradający się niedostatek materialny we wszystkie warstwy i prawie zupełny upadek wszelkiego przemysłu w kraju, a tem samem z góry orzeknąć się dający upadek tak zwanej klasy średniej, więc mieszczaństwa i małomieszczaństwa... to dając odpowiedź na wyżej postawione pytanie, odpowie znów pytaniem, czy jest jaki zdrowo myślący obywatel w kraju, który w obec danych jakie dotąd mamy, mógłby twierdzić, że jesteśmy dość silni i przygotowani do samoistnego bytu? — Aby do takiego bytu przyjść, czegoż potrzeba? Niezawodnie wielu rzeczy, ale przede wszystkim — oświata. Jaka ta oświata ma być, będzie zagadnieniem tej rozprawy. —

Z góry jednak oświadczam, że przemawiam z tej zasady: iż można bardzo wiele pożytecznych omówić prawd, nie jedno tem samem dobrze skutecznich, chociaż nieprzyjmujemy na się charakteru naukowego ani szaty uczoneści. A ciemnego oświecić — to obowiązek ludzki, tem się bowiem spełnia, jak powiedział wielki uczonec, biskup francuski z Orleanu, Dupanloup — przykazanie Boże podane przez Zbawiciela: — „Kochaj bliźniego jak siebie samego.“ — Tem się otwiera ludowi drogę najszczytniejszą, a tą jest — miłość i poszukiwanie prawdy. Każdego uczciwego obywatela kraju raduje się serce, skoro widzi i słyszy, że lud

garnie się prócz do pracy machinalnej ręcznej, jeszcze i do nauki umysłowej; poznał to już lud, że dla jego dzieci nie starczy już zwykle abecadło, a dzieci — to przyszłe pokolenie, to rodzaj ludzki, to całe człowieczeństwo: to człowiek ani mniej ani więcej. Dziecię ma prawo do pieczołowitości wszystkich władz, do działań i dobrodziejstw wszystkich potęg na ziemi. Dziecię ma prawo do wszelkiego poszanowania, które winno znów oddawać komu należy. Wszystkie władze boskie i ludzkie: Monarcha, kapłan, ojciec, nauczyciel, urzędnik, rodzina, społeczeństwo, kościół — dla niego są ustanowione. Karność obyczajowa, nauczanie, literatura, umiejętności, religia, wszystkie nagrody pracy i cnoty, Opatrzność nakoniec — wszystko to tutaj na ziemi jest dla niego — dla dziecięcia, gdyż ono samo jest tutaj „od Boga i dla Boga.“ Dla tego wszystko na tym świecie powinno składać się na jego wypielegnowanie, wszystko powinno brać udział w tem wielkiem zadaniu i opiekować się niem.

Tak też jest. Dopomóż w jakikolwiek możliwy sposób do kształcenia przyszłych pokoleń, znaczy dopomagać ku wyzwoleniu z najstraszniejszej niewoli na świecie — bo z niewoli ducha, z której wszelkie zło w społeczeństwie wypływa. Dlatego też Niemcy zrozumieli ostatnie słowa Göthego: „Światła! więcej światła!“ — Od czasu bowiem zgaśnięcia Göthego po chwilę obecną — jakżeż olbrzymio wzniósł się naród niemiecki we wszelkiej gałęzi nauki, sztuki, przemysłu, rękodzielnictwa, handlu i t. p. Dla tego zyskali Niemcy na sile narodowej, i dziś są pierwszą potęgą w Europie, a może na świecie.

Naśladujemy w usiłowaniach naszych, w wytrwałej pracy około wspólnego dobra Niemców — a staniemy się tem, czem są dziś Niemcy; staniemy się może doskonalszymi, albowiem w dziejach ludzkości nic się nie powtarza, lecz przetwarza się na coraz lepsze i doskonalsze. —

Nawet są pewne dane już teraz wróżące nam lepszą dolę. Trzeba tylko chcieć, aby mózgi a wiele dobrego zdziały.

Wedle podań dawnych Greków, ruch gwiazd na niebie tworzy boską melodyę, a zasłyszane dźwięki tejeż rodzą w umysłach ludzi wieszczów, których głos porusza masy ku rzeczom boskim, wielkim, tworzy bohaterów i jeniuszów. — Z pieśnią na uściech bohaterowie dawnej Grecji szli w bój z wrogiem, w pieśni Homerowej zawarli Grecy najpiękniejszą część swych dziejów, pieśnią ubierali swoje zwyczaje, swą cześć bogom i swą rodzinną strzechę — z pieśnią wyrosła też dawna wielkość Greków, z pieśni czerpali natchnień do przeróżnych dzieł sztuki i nauki i stali się ojcami sztuki i wszelkich działów nauki powszechnej w ludzkości. — I nasz lud ubrał swoje zwyczaje, swoje uroczystości i modły w pienia; a pomimo nowoczesnej konwencjonalności i po dziś dzień — sędzę — najłatwiej trafisz u nas do serc i umysłów pieśnią. Nie dziw więc, że wszyscy szlachetni ludzie czuli i czują tchnienie niebios w poezyi, wierzą, że w melodyi narodowej mieści się harmonja odwiecznej prawdy, a nie mniej wedle słów Wincentego Pola — „w pieśni jest życia treść“, ma się rozumieć, nietylko osobników lecz i narodów. Nie mniej też wielką prawdę wypowiedział przed niedawnem Wiktor Hugo: — „Pomiędzy niebieskim porządkiem a ludzkim rozumem nigdy nic nie zdoła zburzyć równowagi.“ —

To też rozważając nad obecną chwilą bytu narodowego, uważając nasze dążności i wady i nasz ruch świata umysłowego, znalazłem wierny obraz tychże w „Psalmach przyszłości“ wielkiego wieszca naszego Kraszińskiego. Rozprawa niniejsza o szkole i narodzie wykaze, że kształcąc siebie i młodsze pokolenie grzeszylibyśmy, skorobyśmy zerwali z narodową tradycją, skorobyśmy zaniedbali, czerpiąc ze źródła nauk, szukać nauki w pieśni; słowem gdybyśmy zaniedbali tego piękna i tej prawdy, jakie mieszczą się w dziełach wielkich myślicieli i poetów naszych.

Nareszcie nie należy nam nigdy wątpić o sobie, ale raczej trzymajmy się w życiu społecznem, w pracy naszej społecznej i w szkole naszego gospodarstwa narodowego — zasady wypowiedzianej

wprawdzie przez obcego myśliciela i poetę, lecz pokrewnego nam duchem, Wiktora Hugo: „Miej nadzieję... dziś, jutro. zawsze miej nadzieję. Żaden podmuch nie zgasi nieśmiertelnego płomienia. Jesteśmy nowym Adamem i Ewą, idziemy ku harmonii i miłości... Bóg zwycięży wszelkie przeciwieństwa, nieszczęścia i plagi przez niewzruszoną harmonię światel.“ —

### III.

Przystępuję do założenia. Wiemy z życia, że najpotężniejszą dźwignią ku wydoskonaleniu pojedynczych jednostek społeczeństwa jest tak zwana „szkoła życia.“ Jest to wychowanie, jakie udziela towarzystwo dojrzałe dorostkom wchodzącym w życie towarzyskie ludzkości; ku czemu więc dąży ogół społeczności, jak się w życiu codziennem objawiają starsi, muszą aż do swej rzeczywistej duchowej dojrzałości tą samą drogą postępować młodsi; jeżeli więc społeczność istniejąca dąży naprzód, postęp tejże skierowanym jest ku lepszemu — to niezawodnie niezużyta, zdrowsza i silniejsza tegoż część młodszą stanie się tem doskonałszą... — Przeciwnie stanie się gorszą i podlejszą, gdyby obecna dojrzała część społeczności popadała w zwątpienie, ospałość, niemoc i upodlenie samej siebie. Zdaje mi się jednak, że idziemy ku lepszemu, skoro krząamy się ku rozbudzaniu światła w narodzie — światła, które nie tylko ma pośród nas powstać z szkolnych ław i akademickich rozpraw; lecz pragniemy światła takiego, któreby nas oświecało z woli nas wszystkich, ku którego roznieceniu możemy się przyczynić wedle własnych sił: codziennem życiem, słowem, czynem. — a przede wszystkim dobrą wolą. Światło takie nie tyle ma nas rozumniejszymi ile szczęśliwsiymi uczynić, ma bowiem milionom i milionom tak zwanych młodszych braci naszych, w ciemnościach ducha bezwiednie błakającym się, otworzyć drogę ku lepszemu, ma im wskazać, iż są tak dobrze obywatelami świata jako

i my, ma to światło uwidocznic im, łączność pojedynczego człowieka z wielkiem towarzystwem ludzkości a przede wszystkim narodu, i wydobyć ma lud nasz z tej wyłączności położenia nieszczęsnego, z niewoli ducha czyli ciemnoty, w jakiem obecnie bezwiednie pozostaje. Oto zadanie szkoły powszechnej — szkoły życia, jakie sobie ludzie dobrej woli nieuprzedzeni i niezawistni za cel do spełniania obrać powinni.

Wszystka część wykształcensa narodu, każdy pojedynczy obywatel kraju miłujący lud i ojczyznę, niech w tej mierze weźmie sobie do serca słowa Wiktora Hugo: „A ponieważ są ciemni, przeto są nielitościwi... i dla tego postanowiłem dla wszystkich dopominać się o chleb i światło.“ I jeżeli mamy mieć na przyszłość rację do lepszej przyszłości, jeżeli wolno nam marzyć o odrodzeniu ojczyzny; toiedzmy, że tylko przez odrodzenie ludu naszego dojść możemy do spełnienia pragnień naszych. Każdy szlachetny i nieuprzedzony a wykształcony, niech pomnąc na ten lud w upodleniu, w nędzy i poniewierce zostający, ma też słowa Wiktora Hugo zastosowane z pisma świętego na pamięci: „Łazarzu! Łazarzu! Obudź się! Czemu spisz w ciemnościach? Nie chcę, byś był umarły!“ —

Nauczyła przeszłość dziejowa społeczność obecną, że zmarnowanie sił żywotnych ducha wtrąciło naród w niemoc czyli w niewolę ducha; pomimo niezatraconych sił fizycznych, naród — nieświadom użycia swej siły ku lepszemu — błąkał się i błąka od dwu wieków po bezdrożach. Mimo ofiarności niektórych osobników z części wykształconej społeczności naszej, dążenia ku lepszemu gubią się pośród mas nieoświeconych ludu, który w bezwiednej ciemnocie pragną utrzymać ludzie złej woli, zwolennicy ciemnoty i niewoli, gasciele światła, ludzie, których w stosunku do Polski, do narodu tak przedstawia Krasieński: „Jakżeż straszne ich postacie... Tysiącami wściekłych ryków proszą ciebie o mord braci. Inni każą w imię cara wierzyć tobie, żeś ty mara! To upiory z cmentarzanej wyszły

nory — w oczach żądła, nie źrenice — pod żebrami serca nie ma — w miejscu serca wąż się zżyma. I wyłażą z piersi wszystkie hańby, wszystkie zdrady... Już się coraz bardziej zbliża tłum plugawy ten do Ciebie. Łańcuchami żmij złączeni, do twojego idą krzyża, co na wzgórzu, w czystym niebie. Już stanęli, wznoszą głowę — Plwają śliny swe nieczyste Na twe ciało promieniste... Oni ciebie by rozdarli... ci z przeszłości... ci umarli... Wszystkie światła chcą zwierzęta w zwierzę zmienić cię... U stóp świętych twej Golgoty wszystkie złości zgromadzone! Wszystkie fałszy i ciemnoty... Wszystkie czarne wieku duchy! — Ci z nożami — ci z łańcuchy... a chcą wszystkie... by się z ciebie Pozostała w dziejach świata Jakaś brudna tylko szata... I w sławiańskich niw pustyni Już na wieki było ciemno!" —

Z ustępu tego widzimy, jak mocno czuł poeta niegodziwość ludzi nadmieniających łatwowierność ludu ciemnego, ludzi złej woli i wrogów szczęśliwszej doli naszej. Mimo to lud nasz musi najczęściej ich słuchać, gdy mu niedbali o oświatę bracia, wyżsi wykształceniem i rzeczywiście zdolni do udzielania zdrowej karmy ducha, teje nie udzielają lub wcale żadnej udzielać przez kogokolwiek za potrzebne nie uważają. Nie dziw też, że często i ludzie najpoczciwsi grzeszą, gdy nie czują się częścią w narodzie, gdy nie przyczyniają się do powinności, jakie społeczność na nich wkłada. Tym sposobem bowiem otwiera się pole do działania ludziom, o których nam właśnie Krasiński wspominał, a którzy pragną, by u nas, a tem samem „w sławiańskich niw pustyni Już na wieki było ciemno; którzy „radzi by nas rozdarli.“ — I nie dziwię się wcale, że się coś podobnego udawać może w obec ogólnej do niedawna próżniaczki na polu oświaty narodowej, więc i ludowej; niezaprzeczenie tylko pośród ciemnoty ludów wyradza się waśń i nienawiść narodowa. Co tłumaczy Krasiński słowami:

„W piersiach nam, o Panie! Twoje strzały tkwią. My piekielni pókiśmy rozdzielni, ale biedni, gdyśmy w jedni — Twąśmy krwią, Twym obrazem! Miej, o Panie! miłowanie, gdyśmy razem!" —



Toż samo zwrócimy się pamięcią ku „Wiekowi złotemu,” gdy wiemy, że jesteśmy spadkobiercami nigdy nie zatraconej w obec nas przeszłości dziejowej wyznaczającej nam z okresu tego „unię Litwy z Rusią i Polską” — tem bardziej obywatele Rusi niech biorą na serce słowa namienione Kraszińskiego, skoro i w „Kraśzance Rusinom i Polakom na Wielkanoc 1882” ofiarowanej historyk i poeta nasz ruski P. A. Kulisz nas upomina: „Nieście, panowie bracia, wasze ofiary dla ratowania ciemnych ludzi od łatwowierności, obałamuconych hajdamacką filozofią.”

Tylko ciemnota a z niej wynikłe uprzedzenia tworzą niesnaski i gubią społeczność naszą. Brak wykształcenia zabija naród — bo niewczy siły umysłowe wielu milionów jednostek tegoż. Wiedzmy o tem i po stokroć zapiszmy to w pamięci, że spożytkować siły umysłowe narodu odłogiem leżące, uzacnić i podnieść takowe ku lepszemu — jest zadaniem obecnej chwili; niezapominajmy, że grunt chociażby najzdrowszy i najlepszej jakości potrzebuje szlachetnego posiewu, inaczej dziczeje, a im bujniejszy i silniejszy, tem łatwiej zdolen porastać w chwasty niepożyte, które im silniej rozrosną się, tem trudniej i mozolniej wytepić przychodzi takowe.

Niezapreczenie ludzie dobrej woli zawsze pragnęli i pragną ulepszenia naszej społeczności, wierzą, że tylko na tej drodze możemy siebie doskonalszymi, a tem samem szczęśliwsiymi uczynić. Mimo to na polu wychowania narodowego, przede wszystkim na polu wychowania mas ludu, dotąd bardzo mało lub wcale nic nie uczyniono. I oto patrzmy — gmin ciemny, a w wielu razach sam z własnej woli funduje uczelnie, sam radzi o szkole z własnej dobrej woli, gdyż przeczuwa owe światło, które z szkół przezeń fundowanych ma kiedyś błysnąć dla potomności — błysnąć musi. — Ileż to nieustannej pieczy i nieustannej pracy potrzeba, aby dzieci ludu pobierały po szkołach taką naukę, jaką rzeczywiście użyćby z czasem mogły dla własnego i ogólnego dobra; aby nauka udzielona po szkołach i szkółkach, zamiast coby miała

podnieść to nowe pokolenie ku lepszemu — nie wtrąciła takowe w bezden rozstroju narodowego, a tem samem zamiast ku odrodzeniu, nie rzuciła nas ku niechybnej zagładzie. Zdaje mi się, że czuwanie nad rodzajem nauki po szkołach i szkółkach, jest powinnością wszystkich rzetelnych obywateli kraju, a nieodzownym obowiązkiem szlachetnych nauczycieli. To też trafnie odzywa się do nas Krasiński:

„Wam pęta ducha żarły, a nie ciało. Bo lew martwy — ogrom leży a bez czucia. Jeszcze trzeba iskry z nieba a nie z ziemi do rozkucia marzącego w śnie olbrzyma... W koło was świat ciemnią... Wam przeznaczono wylać ducha na miliony! Ciałom w pracy rozdać chleba — duszom wszystkim myśli z nieba! Nic nie spychać nigdy w dół, lecz do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie. Tak Bóg czyni we wszechświecie, Bo cel światów szlachetnienie!”

Tak więc zadaniem naszym — „wylać ducha na miliony.” Niezaprzeczenie trudne i olbrzymie zadanie, na które wyczekują wiek cały a może znacznie dłużej masy upośledzone narodu; aby jednak zadaniu podolać, trzeba nam według słów Mickiewicza: „Tej żywej wiary, że będzie lepiej na świecie, i że my musimy się w naszej części do tego lepszego przyczynić. Wszelki kłopot i bieda na to dane, żeby je zwyciężyć, — zwycięztwo nie w tem jest, aby rozdać się, odeprzeć kłopot gniewem, albo odsunąć go jako zadanie trudne do rozwiązania.” — Z słów tych widzimy, że nam trzeba nietylko chwilowego porywu, jakiejś bezwiednej i małoważnej agitacji — ale wytrwałości i rozważagi i rzeczywistej pracy, na których społeczeństwu naszemu brak; a przecież tylko rozważnej, wytrwałej i uczciwej pracy przysłuży błogosławieństwo Boże i obfity plon. Ku takiej pracy niezmordowanej i nigdy niezaniechanianej niech mi posłużą słowa, jakimi przed niedawnem we Lwowie młodzież żegnała swego nauczyciela Ochorowicza:

„Chcemy los własną pokonać dłonią,  
Walką, wśród której wodzem jest stałość,

Walką, wśród której praca jest bronią,  
A sprzymierzeńcem wytrwałość! —  
My chcemy walki co świat oświeca,  
I w której duchy nam zmeźniają,  
Walki, dla której świat jest miłością,  
Zimna rozwaga — nadzieją!...  
Chowajmy w duszy dźwięk bratniej pieśni  
I bratnich uczuć ognisko!  
A gdy czas, spieszmy — zagrzeni wiedzą —  
Sokolim lotem do pragnień szczytu;  
Bądźmy dla wspomnień — złotą skar-  
bnią,

Dla gromów — skałą granitu!" —

Od lat kilku woła cały kraj: — „Oświaty! Oświaty dla ludu!“ — W sejmie uchwalają znaczne stosunkowo sumy na szkoły. W radzie państwa we Wiedniu uzyskują dość znaczne kwoty na akademie. Pojedyncze gminy łożą wiele na budowlę i zakładanie szkół, do których i rząd przyczynia się w większej lub mniejszej części. — Zbierano nawet po całym kraju składki na fundusz krajowy szkolny stanowiący sumę 100.000 złr. — Więc zdaje się dosyć już uczyniono, pocóż więc jeszcze coraz głośniej słyszymy nawoływanie: „Oświaty!“ — Pocóż więc zakładają się czytelnie ludowe, tworzą się towarzystwa „Oświaty ludowej“ i „Towarzystwo kółek rolniczych“, uchwalone w rocznicę ustawy 3. maja w r. 1882. — Albowiem mimo uniwersytetów, akademii technicznych, gimnazjów i ufundowanej przez Monarchę w Krakowie Akademii umiejętności, mimo wreszcie ustawy szkolnej uchwalonej przez sejm krajowy i rady szkolnej krajowej — na fundowaniu i budowaniu szkół i innych zakładów nam poprzestać nie wolno, lecz przy wytrwałości i z wiarą w dobrą sprawę, że ta nie upadnie i nie może już upaść — należy nam dążyć ku temu, że nareszcie lud sam weźmie pracę około odrodzenia narodowego na swe barki, gdyż tylko wtedy społeczność nasza uczuje się szczęśliwszą i pocznie się prawidłowo i gruntownie uporządkowywać. Inaczej (a dzieje się to po części i teraz) po szkołach będą się działy nadużycia, prowadzące umysły młodociane, zamiast na lepsze, na wcale

zgubne tory; zamiast pielęgnowania po szkołach narodowych uczuć i narodowych cnót — gotowi niepowołani mistrze (jak to powiedział P. A. Kulisz) zaszczepiać u młodzieży „hajdamacką filozofię.“ — Nie dość jest założyć szkółkę i w tej drzewko naszczepić; ale daleko większej trzeba staranności i pieczy, aby wyrastające w szkole drzewko wyrastało prawidłowo, aby je ochronić od dzikich wyrostów i uszkodzeń, aby ogrodnik któremu szkółkę powierzamy, miał dobrą wolę wypielęgnowania tylko szlachetnych pędów u drzewek w tej szkółce znajdujących się — albowiem zdarza się niestety, że mimo zaszczepiania przez ludzi dobrej woli szlachetnych latorośli — niepowołana ręka złej woli człowieka wyniszcza szlachetne pędy, a najstaranniej wypielęgnowuje u młodzieży dzikie wyroście. — Dopiero generacja wychowana starannie, u której tylko szlachetne pędy rozkrzewią się, podoła dalej sama czuwać nad własnym dobrem, nad własnym odrodzeniem; albowiem lud nasz wedle słów Krasieńskiego: „Nie pożogi, ani trwogi ma światu nieść!... A wszelka zwycięstwa godzina bić w sercu Boga nad światem zaczyna, nim tu narodom na świecie uderzy; więc przed Boga stanąć narody wprzód muszą, nie z rykiem z wierząt — lecz z anielską duszą!“

Jak nauka ma być udzielaną, a raczej jak społeczność nasza kierować się ma ku lepszemu i kształcić nawzajem — nie jest to rzeczą tak zagmatwaną, by jej ogół nie odczuwał i łatwo nie rozumiał, chociaż wykonanie jest dość trudne.

Czytamy n. p. ręką Henryka Szmita „W sprawie ulepszenia szkół ludowych“ skreślone słowa: „Rażące ubóstwo kraju, wzrost nieustanny demoralizacji między ludem wiejskim, która zatrważające przybiera rozmiary i coraz liczniejsze zbrodnie i występki, które z dniem każdym zwiększają liczbę mieszkańców więzień tutejszych, dają człowiekowi troskliwemu o dobro kraju wiele do myślenia i wzniecają słuszną obawę. Głównym źródłem złego jest ciemnota ludu, a zaradzić mu można ulepszeniem tylko wychowania publicznego, szczególnie w szkołach początkowych, z których każda winna być ogniskiem, noszącym świa-

tło po wsiach i miasteczkach." Niezaprzeczenie Szmitt ma słuszość, lecz jeszcze za mało wypowiedział, prócz światła bowiem d b a ć n a m n a l e ż y u m ł o d z i o d o m o w e i n a r o d o w e c n o t y. Nadto, chcąc mieć dobre szkoły i dobrze wychowaną generacją młodszą, należy też, aby powszechność ustawy sankcjonowana przez monarchę a uchwalana przez sejm — szczerze i nieustannie popierała; lecz w epoce tak uwydatniających się dążeń materialistycznych, w której omal każdy, jak mówi Szmitt hołduje zasadzie: *Prima caritas ab ego* — (co wypada po polsku rozumieć — „bliższa koszula ciału“) i dba przede wszystkim o własne korzyści i już w młodości bierze rozbrat z ideałami jako bezpożytecznymi mrzonkami, więc trudno o ludzi apostołskiego ducha, gardzących zbytkami i uciechami świata i znajdujących najwyższe szczęście i zadowolenie w dopełnieniu wielkiego obowiązku moralnego, obowiązku szerzenia światła i dobrych cnót pośród ludu... Należy więc do powszechności chociaż częściowo garnąć się do pracy około oświecenia i umoralnienia ludu. Tu na pierwszym miejscu widzimy duchowieństwo, nauczycieli i posiadaczy ziemskich. Nie chodzi o to, by ogół znał ustawy szkolne,łożył na szkoły, kupował sobie, że tak powiem, nauczycieli i tych, chociażby najdoskonalszych i najdosłateczniej uposażonych pozostawił na odosobnionem stanowisku mentorów ludu; podobne założenie chybiłoby celu. Gdy bowiem w obec szkolnictwa ogół pozostanie obojętnym, to szkoły nieutrzymają się na wysokości zadania; szkoły bowiem w każdym narodzie, a przede wszystkim u nas, uważane być mają jako świątynie ducha Bożego, który w postaci żywej nauki spływa w tychże na umysły i serca ogółu. Gdy tedy szkoły przodownicy w narodzie omijać będą, gdy dalej są żywioły u nas niezaprzeczenie wrogie rzetelnej oświacie ludu a tem samem wszelakiemu prawidłowo urządzonemu szkolnictwu; gdy nadto książki szkolne są jeszcze u nas dla pojęcia młodzieży niestosownie dobierane, a po największej części zbyt zawile, niedokładnie i niezrozumiale układane, co gorsza częstokroć polszczyzną lichą na obcych wzorach zepsuta

pisane, gdy nadto język narodowy ruski bywa coraz to potworniej poniewieranym i koszlawionym przez znaczny zastęp zaprzańców narodu zamieniających tenże bądź co bądź w zaślepieniu swoim piękny język ludu ruskiego na jakiś żargon niezrozumiały ogółowi przybierający coraz to wyrazistsze znamiona moskwicyzmu, gdy z tej przyczyny zapewne lud nie zaznający dobrodziejstwa szkoły dla swojej dziatwy, od tejże stroni, gdy nadto duchowni — mianowicie po wsiach — w bardzo wielu miejscach zaniedbują udzielania nauki religii po szkołach, ba nawet lud od szkoły odstręczają — przeto należy tak władzom dotyczącym, jako i każdemu rzetelnemu obywatelowi kraju, strzedz czystości i jędrności nauki w szkołach, wiązać się z prądem wychowania narodowego o ile możliwości najściślej, i że tak powiem — pracować należy pospołu z nauczycielstwem wedle wszelkich możliwych sił, szczególnie w chwili obecnej przełomu na coraz widniejszy i pomyślniejszy tor, gdzie już nie chodzi o chleb powszedni dla nauczyciela, lecz o poparcie moralne i spożytkowanie nauki na rzeczywiste dobro narodu.

W tej mierze rzucam tu kilka dalszych myśli:

Wiedzieć należy, że pierwiastek narodowy nie jest jakąś bezmyślną ideą, ale jest odwiecznego Twórcy wszechistnienia dziełem i objawia się w pewnych narodowi właściwych dążnościach, w charakterze, w mowie i zwyczajach narodu: poza temi niema pojęcia narodu. W tej mierze wyraża się Kraśiński w przedmowie do swego „Przedświtu“ w te słowa: „Świat już dzisiaj pojmuje ku czemu garnie się historia; wie, że nią rządzi mądrość Boża, i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawa, które Bóg jej nadał! Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi są narodowości, w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. Czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie: rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć

ludzkości, bo byłyby to wtedy jedność bez różnaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność — tylko martwa jednostka.“

Do umartwienia narodów i doprowadzenia ludów i narodowości aż do kresu martwej jednostki, podążają zazwyczaj potęgi zaborcze despotyczne; nie-jedenkroć wysilają się takie rządy na ciężkie zbrodnie w obec podbitych i uciskanych ludów przez długi czas, przez wieki całe i dłużej, byle je przerobić na swój pomysł lub wygubić doszczętnie; lecz robota taka nie udaje się, bo jest przeciw naturze, przeciw porządkowi Opatrzności, dzieje się bowiem wręcz przeciwnie— narody pozostają — a kolosy uciskające marnieją same w sobie i giną. —

Mam tu na myśli carat Rosyjski, którego cią-głem dążeniem jest zmoskwicić Ruś, Litwę i Polskę — pomijam już inne ludy na wpeł dzikie, nie mające na sobie jeszcze cechy cywilizacyjnej, urobionej mowy i towarzyskiego bytu, jak n. p. Korjaki, Czukcze, Tunguzy, Samojedy, Kirgizy, Kamczadale, Ostjaki i t. p. Być może, że caratowi udaje się owe nawpół dzikie koczujące ludy przerabiać w Moskali (choćaż i tu jeszcze powątpiewać należy, gdyż pewna charakterystyka odrębności rasy bądź co bądź musi pozostać), lecz — jak niepodobna było Prusakom zniemczyć Szlązaków przez lat 500 od macierzystego społeczeństwa oderwanych; tak niepodoła carat zmoskwicić ni Rusi, ni Polski, ni Litwy, — choćażby w Galicyi na wpeł moskiewskich pism drugie tyle fabrykowano i niewiem jak już ciemny lud bałamucono, choćażby drugie tyle ludu padło w celu zschyzmatyczenia Podlasia, choćażby przypuszczam w Warszawie car biały jakie lat 100 osobiście rezydował i nawet w myśli zabraniał modlić się po polsku... Wszystko to nie przyda się na nic, gdyby nawet jeszcze z jakie kilka sotni Suworowów i Murawiewów urzędownie po ukazu wymordowywały na wszelki możliwy sposób z jakie parę milionów dzieci i matek polskich, ruskich i litewskich.

Znamy się na tych srogich eksperymentach, patrzyliśmy się na germanizatorskie zabiegi przez wiek omal cały, lat paręset niemczono Morawy, Czechy i Szlązk, tyleż Dalmację i Sławonię, nie brakło wszela-

kich możliwych sposobów zaguby ogniem i mieczem. . . wszystko przeszło — dziś nowy stan rzeczy nastąpił, i to co uważano za rzecz już zupełnie dokonaną z podziwem zwolenników ucisku i katowania wszelakiego — każdy organizm narodowościowy żyje i broni swojej cechy odrębności i swego bytu tem silniej i wytrwalej, jak niegdyś; indywidualności narodowościowe uważane przed niedawnem za umarłe — dziś żyją pełnią życia narodowego i przy swobodzie działania konsolidują się i doskonalą się... Co większa, pod sprawiedliwymi rządami Monarchy, w Rzeszy Rakuskiej — w Austro-Węgrzech — krzewi się idea przyszłości, jedyny racjonalny i możebny rozwój społeczński w Europie na podstawie braterstwa ludów. — Tak więc zgnije sam w sobie caryzm tatarsko-hajdamacko-moskiewski... Narodowości pozostaną i przystąpią do federacji ludów. Czego świadkiem za Jagiellonów był w Polsce „Wiek Złoty“, to krzewi się dziś pod berłem Habsburgów i przybiera coraz to wyrazistsze kształty. — Runęła fałszywa nauka fałszywej filozofii, że „tylko silne rody mają rację bytu“... Każdy ma rację bytu skoro raz jest, a szczytem ukonstytuowania się państwowego są właśnie narodowości doznające wspólnego dobra i ochrony tegoż dobra, manifestujące właśnie swoją siłę i pełnię życia — „rozmaitością i zgodą zarazem.“—

Boleć tylko trzeba, że tyle braci naszej musi jeszcze jakiś czas przecierpieć w urzędowej mordowni caratu moskiewskiego, musi jeszcze niejedno przeboleć i przetrwać.... Tam też całą zaletę wychowania synów uważają matki i ojcowie w słowach Mickiewicza :

„Wczesnie mu ręce okręcaj łańcuchem,  
„Do taczkowego każ zaprzęgać wozu,  
„Aby nie zbledniał pod wroga obuchem,  
„Ani się spłonił na widok powrozu.“—

#### IV.

Pierwszym warunkiem wychowania narodowego jest utrzymanie w społeczności ducha narodowego. Z utratą bowiem języka, z utratą wiary i obyczajów



naszych utracilibyśmy byt, spotęgowałibyśmy tylko barbarzyński stan, w jakim pozostaje jeszcze wiele ludów na ziemi, a w szczególności w Europie w Rosyi. W społeczności ludów wznieslibyśmy samowolnie sztandar nihilizmu, który jest zaprzeczeniem wszelkiego postępu w ludzkości, bowiem uczy, w nic nie wierzyć i wszystko niszczyć; stanęlibyśmy pospołu w szeregu okropnych zbrodniarzy, jakich niegdyś widzieliśmy na ziemiach naszych w Krzyżakach, Mongołach i Tatarach, na kresach ukraińskich w osobach Chmielnickiego, Gonty, Żeleźniaka i innych tego rodzaju hajdamakach, a jakich mamy jeszcze tysiące na oku w zbirach moskiewskich; toż także na narodzie na pozór najucywilizowańszym, na Francuzach widzieliśmy, których przewrotne idee nowoczesnej pseudo-nauki rzuciły na tor wręcz przeciwny cywilizacyi. Naród francuski upadł, bo obyczaje narodu zostały zapomniane, wiara sponiewierana, pielęgnowanie użytecznych umiejętności u gminu zaniedbane; miasto rozwijania cnót obywatelskich, wpajano w umysły nieszanowanie stosunków społecznych i rodzinnych, uczono niweczyć moralność u ludu, orzekając, że — „człowiek a zwierzę... to jedno.“ Za tem poszło nieszanowanie narodowych świętości, które oszukany i ciemny lud nie wahał się niszczyć ogniem i łupieżą; toż nauka, jaką nam podawano, nie była prawdą Bożą, ale szaleństwem obłąkania. Tak mieliśmy nie jeden przykład bardzo pouczający, że zła szkoła, złe wychowanie, albo też zaniedbanie wychowania, i tem samym spaczenie charakteru narodowego — zbydlęca społeczność do tego stopnia, iż ta jak n. p. u Francuzów nie umiała się zdobyć na odparcie wroga a okradała się sama z zasobów obrony, zdradzała własną sprawę (jak to samo miało miejsce u nas w czasie upadku Rzeczypospolitej Polskiej) i w zniszczeniu siebie samej szukała chwilowej karmy rozpasanych namiętności jako społeczność zdziczała, zostająca bez wszelakich praw ludzkości, bez idei Boga, bez cnoty.

O takiej to społeczności odzywa się Krasieński:  
„Rzeczpospolite szatańskie i północny knut — wy-

trącają się nawzajem, świat rozpięty w pyle — dziki, podły, dumny, zapadł w krew i błoto... porwał się do noża. Bratobójczo się przewala, wije na kształt gada — podnosi i pada, aż znękany — czci Moskala!... Pragnęli wolności a Boga nie znali, po ziemiach ich kości, ich prochy na fali; a żyjących, co zostali, samo życie boli... bo w niewoli... I po nocach słycać ryki rozrzynanych ciał na cześć Molochowi. Tak panują ludzie nowi! Jak z Tarpejskich skał wzdą przez dziejów wschody — zepchnięte narody. I zlatują do ciemności coraz głębiej — dalej; bo chcieli wolności, a Boga nie znali." —

Tylko nieobeznany z dziejami człowiek może nie wiedzieć, iż koniecznym warunkiem doskonalenia się ludzkości jest: ciągła dbałość o zachowanie narodowości i ciągła dbałość o zabezpieczenie jej. Ci więc, którzy względami fałszywej cywilizacji ludząc, doradzają wyrzeczenia się narodowości, wiary, obyczajów — tworzą z ludzi, jak mówi Krasiński: „Plugawe trzody, a nie narody”; tacy też gwałcą prawo natury i wtrącają rażone fałszywym przekonaniem umysły nieochybnie w stan zupełnego zwierzęcenia. O takich też ludziach mówi Krasiński:..... „Tyrany... chcą wszetecznym przewrotem..... siostrę gilotynę ślubić z knutem bratem! Rozdeptać kościoły, Pomieszać plemiona, Sumienia anioły Wygnać z ludzi łona!... Taki sennych zbudzi nie na ludzi, sennych zbudzi na zwierzęta!” —

Człowiek nie jest li tylko sam w sobie i dla siebie stworzonym. Jak sam siebie nie stworzył, tak sam sobie nie wystarczy; jest bowiem częstką nieskończoności, mogąc pojąć nieskończoność; powinien więc wiedzieć, iż jego myśli, jego czyny i jego życie są dążeniem w nieskończoność. Krasiński mówi: „Duch w postępowym locie — leci w wyższą stronę, za nim przeszłości zmierzchające tonie — przed nim rozwarte wszechbezmiarów błonie! Przed nim świat wszystkim — czas — przeszłość bez końca, piętra z dróg mlecznych i dnie z lat tysiąca; a dalej, wyżej, nad niemi, za niemi, ten co jest wszystkim i wszystko obleka, duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka, cel początek i nieba i ziemi, ten który zawsze i wyżej

i dalej niedoścignięty nad wszystko się pali: spokój — a jednak razem siła tchnąca. Blask najwyższego z duchów, ducha słońca! On — jak myśl w świecie mieszka i jak byt wieczysty, — a my wszyscy i wszędzie jegośmy obrazem, żyć musim nieśmiertelnie, z nim żyć musim razem, i jak on nas stworzył, tak my tworzyć dalej, i z wnętrza nas samych wyprowadzać światy, by pruć mu, jak nam uprządl, wiadomości szaty.“

Paszkowski mówi nam: — „O ile obawiam się religij, które za cel mają ujarzmienie ludzkości, o tyle jestem przekonany, że czy to człowiek czy naród, gdy Boga odrzuca, kuje sam na siebie kajdany, i to kajdany najstraszniejsze, bo kajdany dla ducha: ogłasza sam siebie Bogiem i ginie przez pychę, niemoralność, bezrozum.“

„Człowiek, jeżeli się rzeknie pragnień anielskich — mówi Pascal — spada niżej od zwierzęcia.“ — „Gdyż, takie jest prawo odwieczne, którego nie odmienim — mówi Trentowski — zwierzęciu dozwolona nieruchomości, człowiekowi nakazany postęp, człowiek czy naród, gdy nie postępują ku lepszemu, cofają się, marnieją, giną.“

W tem więc leży całe zadanie w wychowaniu ludu; by zachować ten lud w jego wierze, w jego społecznych cnotach, w jego znamieniu językowym, w jego obyczajach i zwyczajach, a uszlachetnić go wiedzą i siłą charakteru; wtedy lud ten stanie się rzeczywistą siłą narodu. Oto co Krasiński nam mówi: „Nie wolności dotąd człowiek — to wolności wstało zwierzę! Lecz czas łuskom odpaść z powiek, czas już przejrzeć Boga wołę. Czas anielski podjąć trud, czas odrzucić wszelki brud i tem samem znieść niewolę!“ — „Jedna prawda boska czynna — to przez miłość przemienienie. Z tego ślubu jeden duch, wielki naród silny sam, jedna wola, jeden ruch. Toż z bawienie tylko tam.“

Gdybyśmy lud oświecać chcieli li na obcych wzorach, w obcej mowie, jak to czynią wrogowie nasze; lub w mowie jakiejś nowo kreowanej, z umysłu ku prznarodowieniu tworzonej, jak to czynią w Galicyi mo-

skalofile... na taki wypadek po pewnym przeciągu lat, społeczność nasza rozchwieje się i przypadnie pod obuchem obcych napływów, obcych idei, obcego języka, obcych obyczajów... a z czasem i obcej wiary. — Nadzwyczajnej czujności wymaga się ze strony ludzi dobrej woli, szczególnie w wschodniej Galicyi — na szkolnictwo i na propagandę niektórych umyślnie utworzonych towarzystw, czyniących w skutek niedbałości nas samych nadzwyczajne postępy na rzecz zmoskwicenia ludu; z szajki tej wyszli przecie owi, którzy — wychowani na naszym chlebie, w naszych szkołach — nie wahali się przyłożyć ręki do mordów i pożogi i zaguby własnych braci na Podlasiu w imię schyzmy i moskiewszczyzny; a czynili to, nie z przekonania, lecz za lichy grosz! —

Kraśiński mówi: „Niczem Sybir, niczem knuty i cielesnych tortur król; lecz narodu duch zatruty — to dopiero bólów ból!“ — Więc trzeba, aby naród żył wedle zasad narodowi właściwych, by nie przestaczał się w dziwołaga; lecz by pozostał tym szlachetnym utworem Bożym, jakim jest — tylko udoskonalonym prawdą wiary i nauki. Tem samym, by miał w pamięci, iż się jest w sąsiedztwie innych ludów, a więc, że się jest na zewnątrz obywatelem świata — członkiem ludzkości, a u siebie w domu — bracią; że zatem naród za miły grosz lub z poduszczenia wyrodków społeczeństwa, ni swego języka, ni swej wiary zaprzedać na rzecz obcego wroga (choćby niewiem jak potężnego) nie może, bo zatracając z namiona swej indywidualności, traci obywatelski byt pośród świata — pośród narodów, traci swoje ja, swoją istność, jednym słowem — dopuszcza się na sobie zbrodni samobójstwa. —

Jeżeli w wychowaniu społecznym brakuje jeszcze jednego ważnego czynnika, to zwykle w tych kołach, gdzie ten czynnik został zaniedbany, wyrastają dzikie chwasty i wyrosty zagubiający własny naród, własny byt, — Komu tego czynnika brak, traci cechę człowieczeństwa, jest pasożytem ludzkości służącym każdemu za narzędzie ku wszelakim złym czy dobrym czynnościom; staje się kosmopolitycznym pionem, a w razie

wykształcenia umysłowego silnie działającym propagatorem zaguby ludzkości. Jaki materiał z takich indywiduów na plagę ludu wyrasta — dość wspomnieć rzemiosła zwykle takim ludziom towarzyszące, jak: Bezżeństwo, nierząd, stręczenie do nierządu, kradzież, rozbój, komuna, nihilizm, bezwyznaniowość, lichwa, giełdziarstwo, oszustwo, szpiegostwo, bezwstyd, fałsz, zdzierstwo i t. p. — Dziwnie wyglądałoby więc u nas nasze wychowanie, gdyby nam brakło najświętszego uczucia przez Bóstwo udzielonego t. j. miłości. Miłości prawdy, cnoty, miłości ludu, n a r o d u i Ojczyzny. — „Miłości, mówi Paszkowski, której siła rozdziela się na wszystkie świat ludzki; miłości, która cieszy się powszechnem szczęściem, boleje gdy drudzy boleją.“ — Jednym słowem: „miłości bliźniego.“ —

Nie rozumiem, czylibyśmy to nazwali dobrem wychowaniem u człowieka, któryby patrzył z zimną krwią, gdy jego brata mordują i męczą zbroje, a co gorsza, gdyby ten człowiek urągał jeszcze męczonemu przez zbrojów. Takiego człowieka nazwalibyśmy co najmniej — nikczemnym. (Gdy w dyecezyi Chełmskiej unitów mordowali Moskale za wiarę, widzieliśmy unitów, mianowicie księży, w Galicji z zimną krwią przypatrujących się tej mordowni — nawet aby sprawa Moskałom gładziej poszła, synowie księży unickich z Galicji w liczbie przeszło 80 udali się w dyecezyę Chełmską jako pomocnicy zbirów moskiewskich; gdy łupież i mordy spełniano, i wielu z Chełmskiej dyecezyi do Galicji się schroniło, metropolitalny konsystorz unicki odmówił przyjęcia księżom unickim wygnanym z Podlasia, i nie wahali się niektórzy pseudo-przedstawiciele Rusinów, publicznie urągać się z męczeństwa braci swojej na Podlasiu). Boleje nas, że samowładny zastęp, właśnie ten, który dąży do wynarodowienia i zmoskwicenia Rusi, kwalifikujący się do „hajdamackiej filozofii“ i do owych ludzi wyżej powołanych — z przyczyny ciemnoty ludu naszego baszuje przez swe organa i przez swych zwolenników po Galicyi i wygubiając wiarę i narodowość u ludu, przebakierza gwałtem Rusinów na Moskali. —

Naród taki, który urąga nieszczęściu drugiego — tylko z przyczyny ciemnoty ducha, jako wyrosły pośród ciężkiej niewoli lub nawykły do ciągłej usłużności despotycznym zachciankom jakiego satrapy — cara — z podobnymi wadami, rażącymi uczucie ludzkie, jeszcze teraz w XIX. wieku w społeczeństwie ludzkim w Europie istnieć może. Każdy inny naród, wyrosły pośród społeczności oświeconej i wolnej — jako dobrze wychowany — nie zna takiej zawiści, lituje się niedoli ludów, gdziekolwiek te żyją i jakkolwiek się zowią, lituje się nawet nad wrogami, którzy czyhają z przyczyny egoizmu wynikłego z ciemnoty i braku poczucia „miłości bliźniego“ na jego zgubę. — „Gdy prawdziwa oświata ogarnie z czasem ogół społeczności ludzkiej — mówi historyk Rotteck — ustanie nienawiść między ludami, ustaną wojny i niewola; ludzkość zażywać będzie szczęścia powszechnego.“

## V.

Wypada mi też podnieść niektóre zgubne teorie dla dobra ludzkości i pojedynczych narodów. Tego te tak zwani oddawna i niedawna realiści i materjaliści, inaczej pozytywiści, jako wynik głębokich pozornie studyów nieopartych jednak na prawdzie udowodnionej, narzucają młodym umysłom i zarażają takowe zubożeniem ku wielkim wzniosłym celom ludzkości, zaś stawiają obraz szczęścia wchodzącemu w świat młodzikowi tylko w tem, aby dbał o swój chleb powszedni i swoje wygody, Takich teorii wynik przedstawia Wiktor Hugo w tych słowach: „Posiadam dom, mam co jeść i pić, mam wszelkie wygody, ubranie, okrycie i mnóstwo innych przyjemności. Doprawdy, największe szczęście jest moim udziałem.“

Mania pozytywizmu i materjalizmu doszła nawet do tego kresu, że już w poezji znajduje wielu tak zwaną „szkołę materjalistyczną,“ ba zdarzyło mi się słyszeć z ust bardzo poważnego doktora, że się już urodziła „poezja nihilistyczna.“ — Słyszałem też od

profesora filozofii straszne absurdum: — „Zasady wiary pozytywnej.“ Widziałem księgę sporą napisaną przez jakiegoś tajemniczego Anglika krezusa, której nie wahał się tłumaczyć znany z prawości Polak i na pożytek narodu swego wydać, zawierającą — ni mniej ni więcej tylko — „Religię fizyczną, przyrodzoną i płciową.“ — Słyszałem poetę, mówiącego mi, że wszystko co pisze pochodzi z „szkoły realistycznej.“ Znam malarzy, którzy o sobie twierdzą, że są „realistami.“ — Znam profesorów z szkół ludowych i średnich, którzy z lubością przy każdej nadarzonej sposobności wykładają młodzieży — „Teorię Darwina.“ — Nawet polityka nasza zesłała na jakichś „materjalistów“ vel „realistów“ i „idealistów.“ — Znałem też księdza, który mi dowodził, że — „Bóg jest najczystszej wody realistą.“ Słyszałem i czytałem krytyki wielu powieści, dramatów, trajedyi i komedyi, tudzież dzieł historycznych, dzieł rzeźby, malarstwa i muzyki i t. p. Co drugie słowo znalazłem: — „Twórca dzieła jest ze szkoły materjalistycznej... Kształcił się w kierunku realnym... Jest pozytywistą zupełnym.“...

Dość już nareszcie tych przytoczeń. Pytam jednak każdego trzeźwo myślącego człowieka: — Czy podobna kołowacizna pojęć i wyobrażeń nie znamionuje nam przypadkiem skarłowacenia generacji obecnej? —

Gdy zapytałem filozofa „pozytywistę“, co uważa w filozoficznych dociekaniach jako pozytywizm, i jaka to jest jego „wiara pozytywna“ — plótł mi przeszło godzinę „koszałki-opałki“... aż zwróciłem jego uwagę, że nauka myślenia jest coś wręcz przeciwnego od pojęcia wiary, nie mniej — że ni wiara, ni myśl, a jedynie prawda dowiedziona może być pozytywną. — Gdym poetę zapytał, z jakiej szkoły był Mickiewicz piszący „Tadeusza“, a Pol piszący „Pieśń o ziemi naszej“, skoro tak plastycznie, tak naturalnie i tak zarazem idealnie pięknie przedmiot upoetyzowany przedstawili? — nie umiał mi na to odpowiedzieć. — Gdy mi powiedział jeden znakomity malarz, że Siemiradzki jest malarzem realistą, odważyłem się zrobić uwagę, że Siemiradzki w „Świecznikach Nerona“ przedstawił nam ideał czysto abstrakcyjny, ideę chrześcijaństwa i Polski. Nie zdołał mię malarz o swoim widzeniu

rzeczy przekonać. — W muzyce — pozytywizmu czy realizmu — wyszukują chyba ludzie, którym realnie zające chodzą po głowie.

Politykom zowiącym się realistami i pozytywi-  
stami powiedziałem raz, że najgrubszym realistą był  
w mojem pojęciu wiary: Chrystus jako twórca kościoła  
chrześcijańskiego; Kościuszek powołujący lud pod broń  
przeciw wrogom Ojczyzny; Dąbrowski idący z stwo-  
rzonymi przez się legionami do Polski, by ją zdobyć;  
Promieniści w Wilnie, za których pobudką mamy o-  
becnie tak piękną literaturę; Milan, który zdołał Ser-  
bów wydobyć z niewoli; Puszkina, Bestużewa, Murawiew  
i Rylejew, którzy podminowali despotyzm caryzmu  
moskiewskiego przez „kramołę nieustającą“ w Rosyi;  
Garibaldi i Cavour, jako twórcy zjednoczenia Włoch;  
Bismarck jako twórca zjednoczonych Niemiec, i dla  
tego, że — „co mówi, tak działa, a co działa, tak  
mówi;“ Gołuchowski, który wyrugował germanizację  
z Galicji, którego zamiar wprowadzenia w życie Ja-  
giellońskiej Polski przez dynastję Habsburgów urze-  
czywistniać się poczyna; Czechy, których zatracona  
narodowość odżyła; Koszuta i Deak, którym Węgry  
zawdzięczają dzisiejszy swój byt i Napoleon, który  
cywilizację francuską postawił na świeczniku Europy. —  
Zaś do idealistów chybabym zaliczał wszystkich opor-  
tunistów terażniejszych, Gambetystów, Darwinistów itp.  
i tych wszystkich, którzy sądzą, że — patriotyzm lu-  
dów musi się opierać na pełnych żołądkach, pełnych  
kuflach i pełnych kieszeniach — albowiem tą drogą  
nigdy do celu, choćby najsztzytniejszego nie dopro-  
wadzą. —

Wytrawna nauka, nieoparta li tylko na pozornem  
dostrzeganiu, ale na rzeczywistem badaniu ustroju lu-  
dzkości i świata, nigdy od lat tysięcy nie przyszła do  
tej nędznej definicji, iżby człowieka — tak co do ciała  
jak i jego twórczej myśli i ducha — uznawać zwie-  
rzem; a co gorsza, by mu — zamiast przydawać jego  
ustrojowi ducha właściwe cechy poświęcenia, miłości  
i dążności ku coraz lepszej doskonałości, jego postęp  
niczem niepowstrzymany w jego rozwoju społeczeń-  
skim — jednym słowem, by — ujawszy człowiekowi  
cechę piętna Boskiego — przydawać brutalny zwie-



rzęcy egoizm i nic więcej. Urojeniem jest bowiem tych nowoczesnych niby uczonych, że człowiek powstał nie z szlachetnej myśli Bożej — lecz koniecznie z małpy, że zatem będąc tylko małpą, istotą zwykłą zwierzęcą, powinien zaznawać w zasadzie jedynie zwierzęce popędy... Obcemi mu więc powinny być miłość bliźniego, szlachetność charakteru, praca. Nie powinien znać miłosierdzia i poświęcenia w imię dobra obecnych i przyszłych pokoleń. Po prostu należy mu dbać tylko o byt swój osobisty i nic więcej, zatem trzeba mu dbać głównie o zdrowie własne ciała, aby dość siły miał do borykania się z słabszymi, których w imię zachowania własnej egzystencji wymordować i powyjadać może jako niepotrzebne pasożyty na świecie. Z tej samej zasady należałoby matkom niemowlęta nie dość silne zabijać; także z tej samej zasady syny skoro wyrosną już na silnych mężów, a sędziwych ojców uważać będą jako niezdarów zniedołężniałych — niech ich pozabijają. Ponieważ wedle tej okropnej teorii w naturze — „tylko rody silne mają rację bytu“ — więc, w imię ochrony własnej, rody a względnie narody silniejsze mają obowiązek wygubiania słabszych, „wszystko to z tej także dzikiej definicji, że — „tylko siła brutalna w przyrodzie panuje, więc tylko rody silniejsze w świecie egzystować mogą.“ — W dalszej definicji różnorakich zastosowań, powiedziana też jest zasada, że „w życiu społecznem ludzi nie należy nadal zachowywać towarzyskiego życia, ale co na kim obrażesz, złupiesz czy podstępem zdobędziesz, to twoje tak długo — pókiś dość silny utrzymać coś zdobył w jaki bądź sposób; używaj z tego co posiadać możesz, gdyż w świecie siła brutalna i przemoc mają tylko obywatelstwo — prawo jest jedynie dla silniejszego;“ ostatecznie „w imię zachowywania rodu ludzkiego, szanowanie rodzinnych stosunków usunąć należy, tem samem zagubić indywidualność rodów i narodów,“ tak dalece nawet, że „ni ojcowie ni matki nie mogą mieć świadomości o swoim pokoleniu, gdyż związek małżeński jest zbrodnią, gniazdo rodzinne zbrodnią — a dowolne obcowanie cnotą.“ —

Oto pokrótce zeszkicowane zgubne zasady głoszone przez pseudo-uczonych, tak zwanych filozofów

szkoły materialistycznej, jak n. p. dociekania Darwina, Häckla, Malthusa i innych, lekkomyślnie przyswojone młodemu pokoleniu. —

Tymczasem wedle zdania ludzi rzetelnej nauki, opartych w swem dociekanii, że tak rzekę, na rachunku i prawdzie, jak n. p. Kopernik, Galileusz, Kepler, Niuton, Arago, Humboldt, Śniadecki, Gołuchowski, Trentowski... W świecie nie masz przewagi, lecz jest — „powszechna równowaga,” w tej „najmniejsze i największe zarówno waży;” zatem „bez wagi małego nie może się obejść wielkie i największe, a tem samem małe i najmniejsze dorównowazą wszechistnieniu.” — „W przyrodzie nie masz walki o byt, nie masz przewagi, balansowania; lecz jest powszechna równowaga i harmonia, jest powszechna ku sobie ciężenie, bez którego świat nie mógłby egzystować. — Tem samem w pojęciu przyrodzenia nie masz prawa silniejszego, nie masz brutalnej siły, „jest tylko Boska siła tworzenia się” — mówi Humboldt. —

Gdy zejdem na tor zwykły ludzkiego życia, również długo nie będę potrzebował zbijać bałamutne wywody panów — małpozwarzy. Chciałbym też widzieć matkę, któraby zabijała niemowlę dla urojenia tam kogoś, że przyszło na świat „niedość silne.” Wszak wszelki zwierz — a chronią swój płód nawet żmije najjadowitsze — pielęgnuje takowy jak najtroskliwiej. Również gdzie znajdziemy owych synów mordujących własnych ojców w imię zasady, że tak czynić należy „dla chronienia egzystencji rodu ludzkiego.” Pytam się też, acz możliwą jest jaka społeczność ludzka zorganizowana i wykształcona, któraby nie szanowała stosunków moralnych i fizycznych krwi, a żyła ohydniej niżli najplugawsze zwierzęta? — Widzimy od lat tysięcy, że się tak nie dzieje, jakoby chcieli owi nowomodni wielcy filozofowie i naturaliści; mimoto ród ludzki pomnaża się i postępuje naprzód. Pojedyncze ludy, mające dziejowe obywatelstwo, popadają od czasu do czasu w chwilowy zastój lub dysharmonijny wyskok,

dzieje się to jednak i najczęściej właśnie z przyczyny zaniedbanego wykształcenia, z zbytniego egoizmu (jakiemu szkoła „małpozwierzy“ hołdować każe), lub z anormalnych stosunków zewnętrznych. —

Zwierzęta egzystują w wiecznym zastoju, jakimi były przed laty tysiące, takimi są w swym życiowym ruchu po dziś dzień — brak im bowiem twórczej siły ducha. Za jaką więc cenę, zapytać chciałbym, jako ultra egoistów, namienionych pseudouczonych — ród ludzki zeszedł do rzędu małp, te zaś jako nasi prapradziadowie uważane być mają; nie mniej dla czego twór człowieka ma być koniecznie kością z kości małpiej, i czyli podobne dochodzenie przydało się na co lub z czasem przydać może; w ogóle czyli doprawdy podobna blaga w obecnym rozwoju umiejętności może się zwać nauką? — Panowie ci pisząc teorie i brednie nieoparte na dowodach — zowią się materjalistami lub realistami i pozytywistami; pozytywizm zaś jest pojęciem prawdy udowodnionej, a materjalizm czy realizm nie może tworzyć urojonych ni też stawiać nowych nieistniejących materii — lecz brać je tak jak są. Jakimże więc sposobem dochodzą owi panowie w swych zagadnieniach do rojenia o materjach nieistniejących, tem samym niepopartych udowodnieniem; i dla czego pragną wprowadzać w towarzystwie ludzkim przemiany na jakie i najdzikszy hajdamaka nie zechciałby się pisać, ni też takowe nawet między plemionami najdziksze w ludzkości nie są praktykowane?

Teorie wyżej przytoczone nie mają naukowej podstawy, a co gorsza, zdradzają brak poczucia doskonałości człowieczeństwa; widocznie była to tylko oschła spekulacja, która doprowadziła do kołowacizny i ogłupiania siebie i drugich, która, miasto przed oblicze Boga, zaprowadza na przepaście czysto zmysłowe pełne kału... Podobne teorie „uświęconej przemocy,“ czy tam „siły przed prawem“ przyczyniają się do krzewienia despotyzmu, do niewoli ducha; gdyż w takim razie wszelka nauka i oświata na nic się nie przydadzą... Życie ludzkie zrównane z życiem zwierzęcem poró-

wne a może niższe jeszcze niż gadów, tygrysów i bezrogów — więc bez wszelkiego interesu i postępu, jest w pojęciu tak liche i nudne, że doprowadza do zupełnej zatury szlachetnych cech ludzkości. Na takich teorjach budując przyszłą ludzkość — zeszlibyśmy z czasem na dzikie hordy godne mienia ludożerców; jeżeli zaś mi ktoś zarzuci, że jeżeli dziś nie jesteśmy ludożercami, to niedowodzi jakobyśmy kiedyś w przeszłości w ojcach naszych niemi nie byli; na to tłumaczę się, że jeniusz boski człowieka — jako kruszec szlachetny, jako złoto, w ogniu — oczyścił się z kału przewagi materyi, i dąży olbrzymiemi kroki coraz bliżej ku Wszzechmądrości, tem samem nie ma potrzeby powracać do ludożerstwa. — Dzieje ludzkości świadczą o tem, że nie inaczej — tylko myśl i praca były zawsze górą nad materją; toż siłą ducha ujął człowiek siłę materyi, i zaledwie gdzie kolos brutalnej siły chciał ludzkość gnieść, sam w sobie zmarniał i ludzie pozornie zgnieceni, właśnie spotężnieli na bohaterów ludzkości. — Wolność ducha ludzkiego pólpu z niezmiernym skarbem wiedzy — oto droga ludzkości, oto łączność z nieskończonością, owe „nieustanne szlachetnienie, odłączające ród ludzki od trzody chlewnej lub zgrai robactwa plugawego; toż boski jeniusz Jezusa Nazareńskiego za przyczyną dwunastu żywej wiary i dobrej woli ludzi, przy niezachwianej wytrwałości i z zupełnem oddaniem się sprawie — zdołał pokonać niewolę ducha i pogańskie bałwany na ziemi, zdołał czynnik „miłości bliźniego“ postawić miasto siły brutalnej, a tak zdobyło chrześcijaństwo do swego grona ludzkość. —

Na lepsze poparcie tego, com tu przedłożył, przytaczam jeszcze niektóre myśli Williama Cannigh: „Nic bardziej nie opóźnia postępu towarzystw ludzkich, jak zbyt poziome wyobrażenie, jakie mają wykształceni przemożni o naturze ludzkiej. Człowiek ma również duszę jak i ciało, o tem powinni by przedewszystkiem pamiętać ludzie. Tak długo jak tego nie pojmują i nie są tem głęboko przejęci, będą w błędzie. Prawda użyteczna a praktyczna, według pewnych profesorów mających wziętość, zależy na tem, aby wie-

dzieć, że mamy naturę zwierzęcą i aby ją zrobić głównym przedmiotem naszych zajęć; aby nauczać, że mamy usta, które trzeba napelnić, członki okryć, że żyjemy na ziemi i powinniśmy ją uprawiać, że mamy zdolność z bogacania się i że te zdolności są środkiem do wielkości towarzystwa! Nie mam najmniejszego uszanowania dla podobnych zasad, nie znam innej mądrości jak tylko tę, co odkrywa człowieka jemu samemu i co uczy, aby uważał wszelkie instytucje i całe swe życie jako środki do rozwinięcia i pobudzenia w nim zapału żywiołu duchowego! Wszelką politykę, co nie uznaje tej prawdy, uważam za nędzotę; mąż stanu, nie mający na względzie tych środków, co by wpływały na ducha narodu, niegodnym jest dotknąć się ani jednej sprawy ludzkości...”

„... Nazywam wolną tę duszę, co uszła z pod panowania materji. Nazywam wolnym tego ducha, co z zazdrością czuwa nad swemi prawami i swemi zdolnościami umysłowemi; co nie uznaje żadnego człowieka swym panem; co nie zadowolnia się wiarą bierną; co przyjmuje światło z kądkolwiek ono mu przychodzi; co przyjmuje nową prawdę jak anioła zstępującego z nieba; który pomimo radzenia się drugich zapytuje się przedewszystkiem wyroczni, jaka jest w nim samym i posługuje się nauką, jaka mu przychodzi z zewnątrz, ażeby nią podniecić i zapalić siły umysłowe w sobie. Nazywam wolnym ten rozum, co nie daje się porwać potokiem wypadków; ale działa według swych własnych natchnień, według niewzruszalnych zasad, jakie z rozwagą i dobrowolnie przyjął. Nazywam wolnym ten rozum, co nie jest niewolnikiem opinii ludzkiej, i co zanadto siebie szanuje, aby być narzędziem i niewolnikiem sobie podobnych, czy oni są w wielkiej czy w małej liczbie. Nazywam wolnym tego ducha, co opiera się panowaniu przyzwyczajenia i nie przykuwa się do oznaczonych reguł — ale oddaje się coraz nowszym i wznioślejszym u-

siłowaniom i wierzy w nieskończony postęp. —

Że teoria tak zwanej „walki o byt“ i „przewagi siły brutalnej“ nie ma racji bytu w ludzkości, a jest tylko dążność do bytu jednostek pojedynczych i zespolonych — dowodzi również i ta okoliczność; wszędzie gdzie społeczność ludzka o tyle umysłowo wykształciła się, by przyjąć rządy konstytucyjne, tam na pierwszym miejscu są stowarzyszenia, te małemi zespolonemi siłami zaradzają częstokroć olbrzymim potrzebom i przyczyniają się głównie do rozwoju społeczeńskich ulepszeń. Również gdzie oświata, tam wielkie dobrodziejstwa wypływające z wolnych instytucyi są widoczne i nieocenione: otwierają wolne pole zdolnościom człowieka i oddają go jego dowolnym środkom, zmuszając go do pracowania nad swem własnem szczęściem.

Oswobadzając rozum od wszelkich zapór — dopomaga się sile oryginalności i rozwojowi myśli. Oswobadzając religię — dozwala się duszy wznieść wolnie ku Bogu. Uwalniając przemysł od wszelkich ścieśnień — podnieca się umysły do wynalazków i przedsięwzięć, a wiedzy poddaje się świat materialny. — „Wolne instytucje — mówi Cannigh — żywią szlachetne uczucia, swobodę, odwagę i uszanowanie siebie samego.“ — Ród ludzki nie może więc pozostawać w bezwiednym zastoju, a prąd oświaty nie popchnie go ku „brutalnej przemocy“ i narodo- lub ludożerstwu.

Nie rzecz to nowa, co tu powiedziano. Trentowski mówi: „Zwierzę nie dba o przyszłość, bo żyje li tylko w cieknącej chwili i nie zna różnicy między wczoraj a jutrem. Dla niego jedynie jest dzisiaj. Za ledwie tedy zwierzę wykarmiło przychowek, zapomina go wnet, opuszcza i zostawia opiece losu. Dobrze jeśli Opatrzność Boska dalej nad nim czuwa. Człowiek zaś ma rozum, ogląda się przeto na przyszłość pokolenia i usiłuje temuż zapewnić szczęście. Kto tego nie uczyni i pozwala dzieciom wyrastać dziko jak młodej trzodzie, jest zwierzem. Zaczem koniecznym obowiązkiem jest

rodziców, chcących być ludźmi, troszczyć się o przyszłe szczęście dzieci. Miłość dzieci jest prawem natury. Ojciec lub matka, którzyby jej nie znali, byłiby podlejszymi od najpodlejszego żywiątka.” —

Gdy zapytam, jakim sposobem możemy zapewnić szczęście przyszłemu pokoleniu — znachodzę odpowiedź w słowach Trentowskiego: „Nie dość jest dzieciom zostawić skrzynię złotem ciężarną, z którejby potem czerpały środki do życia; gdyż człowiek nie dla pasienia się tylko jest przeznaczony, gdyż kto li dla użycia świata żyje, nie wart boskiego powietrza, którem oddycha... Chcąc dzieckom zapewnić szczęście, trzeba je dobrze wychować! Bowiemy dzieci nasze są przyszłą Ojczyzną — przyszłą ludzkością. Działając na nie, działamy na świat następców, na przedświat czyli świat, na którym już żyć nie będziem. Jak więc dzieci nasze wychowamy, takimi będą, a więc obrońcami lub zdrajcami Ojczyzny, ludzkości ozdobą lub hańbą. Ozdoba ta lub hańba spadnie w końcu na nasze głowy, bo nie kto inny, lecz my byliśmy pierwiastkową jej krynicą. W takim razie pamiętajmy, chwała nam lub hańba przed Bogiem i jego sądem — i chwała nam lub hańba w obec nas samych...”

Nie zapominajmy też słów Krasieńskiego: „Zmartywychwstaje się z pod gromu, a nie z martwychwstaje się z pod sromu.” —

Chcąc zdać sprawę z tego, co tu mówiliśmy o szkole i narodzie, streszczam rzecz słowami Trentowskiego :

„Wychowanie w narodzie i w rodzinie przede wszystkim powinno mieć zawsze za cel niezbędne trzy warunki: — Światło, religię, narodowość.”

„Światłem w pojęciu — jest mądrość ludzkości, dążąca do dalszego rozwoju ducha — do doskonalenia się postępowego,”

„Jednak światło bez religii jest głową bez serca, jakąś czaszką trupią zbutwiałej białości, oczy rażąca, czupurna, jakiej góry łysej śniegiem tylko i lodem błyszcząca. Znamy pisma Woltera, Wolneja — z przeszłego stulecia. Znamy też i obecnych odmawiających boskiego tchnienia ludziom, i dla tego wołamy: — Uchowaj nas wielki Boże od takiej mądrości!” —

„Znamy dawnych Jakóbinów, widzieliśmy nowoczesnych socjalistów i mieliśmy straszny obraz nihilizmu — toż wołamy: — Uchowaj nas Boże od podobnego czasu i od podobnych ludzi!...”

Krański mówi też o takich pseudouczonych: „Taki... sprośnościami hydnej dumy pomieszał rozumy, sieje kłamstwo i ciemnotę — zmieni zbrodnię w cnotę. Bohaterów on przekaci na trupach ich braci... On przyuczy dzieci małe wierzyć w mord jak w chwałę. Wezmą sztylet mdłe panienki jak różę do ręki... Jak on będą piekłem całym — nie niebem, — Ojczyzną!...”

Gdy zapytam — „ażali jest światło bez narodowości?” — znachodzę odpowiedź w Trentowskim: „Gdzie takie światło ogarnia umysły, staje się śmiercią narodu. —

Gdy zapytam — „cóż jest światło bez religii i narodowości?” — to mówi Trentowski: „Takie światło jest spekulacją samolubnego szatana materialisty — kosmopolity jakiego, giełdźiarza lub łotra. —

Mówi też Trentowski: „Wiemy, że pojęcie Bóstwa jest cechą wszechludzkości. Zatem religia jest wszech miar świętym probierzem — jest ideą Boga. Zatem religia bez światła — jest obrzydliwym widmem ciemnej wiary... jest to pogański fanatyzm; niezapominajmy więc, że religia nie mogąca znieść światła, nie jest dziełem Boga, gdyż nie może być tchnieniem wiekuistej światłości. Wiara wszelka oparta na ciemnocie nie doskonali ludzkości, nie jest boską, gdyż Bóstwo — jako słońce na niebie — nie lęka się żadnego



świecznika na ziemi. — Religia bez narodowości jest skarbnicą niewoli ludów — tak samo, jak religia bez światła i narodowości jest przyczyną bezbożności ludu i ogólnego obyczajów zepsucia." —

Gdy mówimy o narodowości, to wiemy, że narodowość jest żywotem całego narodu w każdej jego jednostce. — Czem więc jest narodowość bez światła? — I na to znajdujemy odpowiedź w Trentowskiego słowach. „Narodowość taka — straszno wymówić — Ojczyznę zgubiła! I niestety taką to narodowość mamy po dziś dzień, i dla tego — żyjem wprawdzie, ale życiem paralityka! I dla tego przekleństwo na wieki wieków patryotycznym niewiadomcom, przekleństwo fanatykom niemającym pojęcia o rzeczywistym bycie narodu, i przekleństwo krzykaczom tamującym spokojne życie ludu." —

Mówi też Krasieński: ... „Kto przemieni w zbrodnię mękę — ten przeklęty! Tego straszna gna pokusa: ni mu rozwój światów znany, ni objawion mu duch święty, ni pamiętan duch Chrystusa; on bez myśli, on bez serca — w Boga skarbcach nic nie kupi, on nieszczęsny i on głupi, jak kat kaźden i morderca!"

Nareszcie mówi Trentowski: „Narodowość bez religii staje się gniazdem najokropniejszego teroryzmu i nieporządku społecznego, którego głównym celem — mord, łupież i rozpasanie obyczajów. Tem samym narodowość bez światła i religii nie może już istnieć, gdyż jest martwicą konającego ludu, jest jedną z najokropniejszych śmierci w ludzkości; taką śmiercią giną tylko narody rozbestwione, zdziczałe, tarzające się w kale bezwiednej ciemnoty."

Łącząc wyrzeczone tu pojęcia w jedno, widzimy — jako: Światło, religia i narodowość pospołu, gdy będą celem wycho-

wania w narodzie; możemy się spodziewać lepszej i szczęśliwszej przyszłości dla następców, tylko te troje razem — a nie pojedynczo — wpajane w społeczność naszą, są w stanie podnieść naszego kraju Łazarza — nasz lud; tylko wszystko troje razem rozkrzewiane w umysłach i sercach młodocianych ludu, wskrzeszą zamarłą siłę w narodzie i poprowadzą tenże ku lepszej doli. Ale nie powinniśmy znać światła, religii i narodowości bez postępu, gdyż mówi Trentowski: Kto nie czerpie tchnienia zbawczych rad z przeszłości, by dążyć w szczęśliwszą przyszłość — kto więc nie zna postępu, ten nie zna prawa ciągłego doskonalenia się; czy to człowiek czy naród, będzie urągowskim społeczeństwem ludzkiego; zmarnieje do szczytu.”—

Z zestawienia powyżej postawionego zaznaczam, że czynnikiem udoskonalania się społeczności naszej są dane, które w narodzie tkwią... Światła pragniemy i o nie się dobijamy; religijność tkwi głęboko jeszcze w masach ludności naszej — pomimo, że ją złej woli Judasze i wartogłowy gwałtem wyrugować z serc naszych i zaciemnić pragną; narodowość rozkrzewia się może najslabiej i natrafi na zapory u mas ludu przez prądy — z jednej strony moskwicyzmu, z drugiej strony apatyj u ludzi dzierżących poczucie nawet poniekąd gorące narodowości a nie troszczących się o wpajanie tejże w masy pożądające już teraz obywatelstwa w narodzie i w świecie.— Tak więc wykształcając nowe pokolenie na podstawie tych trzech danych, i w masach ludności nie należy zapominać o szkole życia narodowego; czy to w szkole czy w życiu społecznym świętą mamy powinność, w ciągłej działalności utrzymywać rozwój i postęp światła, religii i narodowości. Prawda, że rozwój takiej pracy społecznej wymaga wytrawnej siły, więc niech nam w tej mierze dodają wiary i otuchy słowa Krasińskiego: „Niech was darmo nie przestrasza, że dziś podłość górą wszędzie; z wiary

waszej — wola wasza, z woli waszej — czyn wasz będzie!”

Aczkolwiek wiele nieprzyjających żywiołów nas gniece; aczkolwiek bają nam o jakichś „strażach pożarnych” wśród nas powstałych, i niejeden w zwątpieniu upadł już lub zabląkał się na manowce tamujące mu powrót do ogniska życia narodowego — ogół gramoli się jak może, ma wolę i działa, i ma wiarę w lepszą przyszłość. — Jeżeli w zadaniu, które tu zestawić usiłowałem, postawiłem w nagłówku słowa: „Jaka szkoła, taki naród” — uczyniłem to z tą myślą, że wszystko co sobie sami wytworzyć i zdziałać usiłujemy jest szkołą dla przyszłego pokolenia, które na wzorach działalności naszej pouczać się musi i wprawiać do czynu; tak więc jako sami siebie wzajem pouczamy — takimi jesteśmy; złe czy dobre zdziałać od nas zależy, bo i los nasz w naszym jest ręku. Z jakiej szkoły społecznej wyszliśmy — takimi jesteśmy, z jakiej wyjdą nasi następcy — takimi będą...  
J a k a s z k o ł a , t a k i n a r ó d !” —

---

## Co jest wiekotrwałe?

---

My zaginiem, a z nami ślad  
Czynów męztwa i ducha,  
Wszystko srogi wytłucze grad,  
Zaleje zawierucha;  
Lecz ofiar naszych słodki plon  
Zostanie się na wieki,  
By konającym umilić skon  
I żywym podać leki.

Jabłonowa pod Kołomyją, 24. Lipca 1882.

G. Kohn.

# MŚCIWOJ II.

## KSIAŻĘ OBOTRYCKI.

Poemat z X. wieku

przez  
Hankę.

---

### Przedmowa.

Prosta — a szczerą miłość ojczyzny, i gorące przywiązanie do dziejowej przeszłości naszej jedynie, skłoniły nas do ujęcia wierszem losów jednego z bohaterów ostatniej karty, — w tak mało niestety nam znaną księdze, historii Sławiańszczyzny przedchrześcijańskiej. — Historia ta, nie mająca —, prócz niejasnych i szczupłych podań cudzoziemskich kronikarzy, i kilku bajecznych, narodowych tradycji, — żadnych prawie źródeł, może się przecież poszczycić dość licznym zastępem dziejopisarzy, którzy ją opracowywali na podstawie badań krytycznych.\*) Mało jednak dotąd zdołała rozbudzić interesu i zajęcia w szerszych kołach, — tak rażno ku oświacie i cywilizacji postępującej społeczności naszej. — Nie będziemy tu badać powodów — tych objawów obojętności dla dziejów przedhistorycznej naszej przeszłości, gdyż to przechodzi zakres naszego przedmiotu; pozwolimy sobie

---

\*) Początkowe dzieje Sławiańszczyzny i Polski przedchrześcijańskiej, były opracowywane na podstawie krytycznych badań przez: P. J. Szafarzyka, J. Lelewela, W. Maciejowskiego, A. Bielowskiego, K. Szajnochę.

jednak podnieść doniosłość korzyści, jakie zaznajomienie się z przeszłością i badanie jej dziejów przynoszą dla przyszłości, czy to jednostki społecznej, czy jednego narodu, czy też całej ludzkości. Nie próżno powiedział jeden z myślicieli naszych: „Przeszłość — to mistrzyni przyszłości.“ My zaś słusznie możemy dodać: — Przeszłość dziejowa. — to skarbiec narodu, to obraz jego duszy i serca, to zwierciadło jego dziejowej przyszłości. — Aby jednak dojrzeć i wydobyć z przeszłości to co tam ręka Opatrzności dla nas ukryła, co tam na czystej glebie ducha narodowego dla nas wyrosło, trzeba wczytać się w nią pilnie od pierwszej jej karty okiem rozumu i serca, śledząc objawów życia czysto narodowego, badając ich powodów, dopatrując skutków. — A któraż karta dziejów świeci większą czystością narodowego ducha? — która drga silniej rodzimém, narodowém uczuciem, od karty niemowlęcych dziejów każdego narodu? — kędy występuje on bardziej przed oczyma naszymi w swęj pierwotnej nagości, niestrojny jeszcze szatą cudzoziemskiej cywilizacji, i nieskażony — towarzyszącém jej zawsze, cudzoziemskim zepsuciem? —

Znajomość karty tej jest w poglądzie na dzieje narodu tém, czém znajomość abecadła w nauce czytania; bez niej — wejrzenie na życie narodu pozostanie zawsze tylko problematycznym sądem, bez niej — i terażniejszość, i przyszłość dziejowa, być muszą dla nas nigdy nierozwiązaną zagadką, — a losy nasze wynikiem ślepego tylko trafu.

Jeżeli więc tak wielką doniosłość ma dla każdego narodu znajomość najrańszej jego przeszłości historycznej; o ileż większą musi mieć dla nas, którym wydarto terażniejszość bytu politycznego, którym kazano zapomnieć dziejowej przeszłości, abyśmy i przyszłości bytu narodowego kiedyś zrzec się mogli. — Zaiste! dobrze obmyślana polityka; bo tylko uskutecznienie pierwszego może dać rację bytu i prawo następstwa drugiemu. Tylko Polak, który zapomniał przeszłości swego narodu, może zwątpić o jego przyszłości; lecz kto zna dokładnie i źródłowo przeszłość naszą, — kto umie czytać, co duch narodowości pol-

skiej wypisał na pierwszej i ostatniej swego dotychczasowego istnienia stronicy; — ten nie przestanie wierzyć w przyszłość dziejową naszej ojczyzny i nie przestanie kochać i czcić jęj wspomnień dziejowych. Wspomnienia te są nadto dla nas skarbcem żywój, serdecznój, wzniosłój, choć prostój, a nieujętej dotąd piórem poezyi, która drga w całém życiu naszych dawnych Sławian, a często błyska niezwykłą dramatycznością w losach ich bohaterów.

Taką to dramatycznością nacechowane jest także życie księcia obotryckiego, Mściwoja II., którego dzieje ujęliśmy niniejszym poematem.

Życie całę naszego bohatera przedstawia dziwnie tragiczny obraz ówczesnego pasowania się nadelbiańskiej i nadodrzańskiej Sławiańszczyzny z moralną potęgą i tyranią Zachodu. — Młody książę utęsknia naprzód do spokrewnienia się z swymi, cudzoziemskimi zwierzchnikami, potem — wzgardzony przez nich, wraca z goryczą w sercu do współrodaków, staje wraz z nimi do boju przeciw temu światłu, które dla naszych Sławian ogniem płonęło zniszczenia i kończy w tój walce szaleństwem, w które wtrąciła go zaboronna groza własnego opierania się niepojętej, orężem i cudami porażającej potędze. — Osnowę do utworu naszego wzięliśmy z dzieła Karola Szajnochy p. t. „Bolesław Chrobry,“ dopełniając je szczegółami, czerpanymi z innych prac tegoż autora. —

Celem naszym przy podjęciu niniejszej pracy była jedynie myśl, aby choć chwilowo zwrócić oko i serce rodaków ku tój zamglonej, a tylu skarbami bogatej, przeszłości naszej, okazaniem im kilku obrazów, odśpiewaniem kilku akordów zgasłego jęj życia.

Świadomi jesteśmy licznych usterek i niedoskonałości naszego utworu, — mimo to jednak podajemy go publiczności, kierowani myślą, iż może właśnie choć ta niedoskonałość pobudzi zdolne i wprawniejsze pióra do zajęcia się z lepszym skutkiem podobnym przedmiotem, czerpanym w tój, tak jeszcze mało nam znanój księdze, zamierzchłej narodu naszego przeszłości.

Jeżeli więc nasza opowieść choć w jednym umyśle żywsze zajęcie się narodową przeszłością roz-

budzi, jeżeli choć jedno serce uczuciem szczerój miłości ojczyzny ożywi, jeżeli choć jednego ducha — jednym czynem szlachetnym na glebie dobra narodowego natchnie; — nagrodzeni będziemy sowicie za trud, jaki około tej drobnój podjęliśmy pracy, błogosławiąc chwilę, która dała nam do niój natchnienie.

---

## WSTĘP.

---

A wy przebaczcie, co pieśń usłyszycie,  
Jeżeli za słabe będą gdzie jej tony,  
Jeżeli odmienniej zaśpiewa w niój życie,  
Lub czasem zadrzy głos — bolem strojony;  
Bo brzęk okowy, co nam piersi cieśni  
I łza w téj piersi, — to akord méj pieśni.

Z. S.

## I.

Ojcze rodu Sarmatów! coś lacką ziemię  
Zawsze sławą rozświetlał — w potęgi swój cieniu,  
Coś ją we krwi ubielił jako anielicę,  
Na swém ją światowładném piastując ramieniu;  
— Gdyśmy święte już dzieło synowskiej Twój męki  
Dopełnili tu wiernie i w grobie polegli,  
Zmartwychwstania czekając z Ojcowskiej Twój ręki,  
Gdyśmy duchem w otchłanie przeszłości odbiegli,  
By — gdy Polski młodzieńczej obmyte już zmazy,  
Przodkom nieść zmartwychwstanie, — niż my zmar-  
twychwstaniem;  
W ustach naszych pieśń niechaj na Twoje rozkazy  
„Alleluja!“ nam głosi anielskiem śpiewaniem!  
Ty sam wiedz w te otchłanie Twych słowa kapłanów,  
Zwiastowania cherubów — dnia życia i chwały,  
Ty sam głos przez ich usta hymn chrobrych Tytanów;  
Nieśmiertelności Polski hymn — i hymn Twój chwały!  
I w mym niechaj dziś duchu Twe światło zadnieje,



Jak zadniało nad Polski niemowlęcem życiem ;  
Pomazańców Twych gwiazdą niech skroń mi roztleje —  
I niech serce uderzy Twojém boskiem biciem !  
Niech mię wiedzie Twa wola i wspiera Twa siła  
Dziś w otchłani przedświtu, gdzie światła nie płoną,  
Kędy matka w kolebce chrztem krwi się wkupiła,  
Jako córą świetlana na boskie Twe łono.

II.

Wy mię bracia słuchajcie ! bo dla was ofiarą,  
Pieśń zwiastuję — o Polski niemowlęcych czasach,  
O krwi święcie przelanej za wolność jój starą,  
Pieśń o synach jój chrobrych i krwawych zapasach. —  
Bo choć przodki te nasze wyrosły przy pługu,  
Wykarmione swym miodem i swoją wolnością,  
Ziarna chleba i cnoty ojców, na swym smugu  
Uprawiały pokojem, krzewiły miłością ;  
Gdy im wdarł się łupieżca w ojczyste ich sioła,  
Gdy im jarzmo chciał wtłoczyć krwi tyran niesyty,  
Lub gdy płonął obelgą na dumne ich czoła, —  
Jak lwy walczyć umiały i mścić się Lechity...  
A Pan lud ten ukochał, jak lud Izraela ;  
Wszystkie pęta mu kruszył i wszystkie łązy koił,  
Tylko kiedy chuć zemsty swawolą wystrzela,  
Jako ojciec karzący, — dłoń własną nań zbroił.

---

Pieśń pierwsza.

---

Lecz nikt nie może nieumiłowany  
I tą miłością na dół nie ściągnięty  
Pójść... Nawet wielkie duchy i szatany —  
I dla nich nawet świat formy zamknięty,

Dopóki anioł jaki krwią rumiany  
I w myślach swoich nieczystych przeklęty  
Nie ukocha je... i grzechu martwice  
Nie zaklnie przez chęć — grzmot i błyskawice.

(*Juliusz Słowacki.*)

I.

Z cieniów zmierzchłej przeszłości, już gniazdo Lechowe  
Wyplęnęło ku światłu w lot orlém swém życiem,  
A we krwi Europy starój drży znów nowe  
Tętno siły, młodzieńczém słowiańskich serc biciem.  
Lecz wnet Otto, pan dumny, cnym dzieciom wolności  
Krwawe jarzmo narzuca i dumny kark zniża;  
Światu, — jak namaszczeniec lśniąc szatą świętości,  
Bo kajdany i jarzmo — kowane w kształt krzyża...  
Ale wolny Sławianin, co w gajach święconych  
Dotąd nawykł oddęchać szczęściem i swobodą,  
Dziś — wśród domostw zgorzałych, wśród pól spu-  
stoszonych —  
Gardzi wiarą, co chrzci go krwią pierwěj niż wodą.  
Bo wraz — miecz i pożoga, i wiara doń nowa  
Szła. — Więc choć dziś lud zbrojna ujarzmia potęgą,  
W sercu — starym cześć bogom, — wrogom zemstę  
chowa,  
I krzyż zrzucić, zgnieść jarzmo tajemnie przysięga.  
W Polsce Mieszko, pan mądry, miłością rodzica  
Koi rany i błędy przebacza dziecięce,  
I lud swój światłem wiary łagodnie oświeca.  
By mu wolność zgotować, dziś skronie książęce  
Woli ugiąć — przed chciwym czci, ziemskim półbo-  
giem,  
Nim Chrobry, lud potężny i w światło, i siłę,  
Na bój wielki powiedzie z sturamiennym wrogiem.  
Lecz gdy już Lachy Bogu i monarsze miłe,  
Prócz męstwa, prawej wiary jaśnieją pochodnią,  
Kryje ludy sąsiednie — ciemna noc pogaństwa,  
A Sławianin ucieka przed gwiazdą przewodnią  
W puszcze — ciemne, jak wzgarda dla Niemiec ka-  
płaństwa.

## II.

Nad obotryckim ludem pokrewnym Polanom,  
 Panował książę Mściwoj — wśród szczęśnych szczęśliwy,  
 Niechętny obcym bogom i ludom i panom,  
 Miłujący swe przodki i ojczyste niwy.  
 Młody władca po ojcu odziedziczył miano,  
 Po całej swój ojczyźnie sławiańskiej — urodę  
 Bo równego młodziana dotąd nie widziano:  
 Niby gwiazda sławiańska, niby orłę młode. —  
 Wyniosły, smukły, silny jako dąb sarmacki,  
 Lica męstwo i duma okrasza swobody,  
 Jakby kwiat dziko wzrosły, w wolności, — kwiat lacki,  
 Z ust mu dobroć łśni słodka, jak sławiańskie miody.  
 Oko modre, jak Wisły zwierciadlane fale  
 I tak smętne jak one, lecz tyle tam siły,  
 Jak u orła w źrenicy, gdy siedząc na skale,  
 Patrzy na laszą ziemię — i lasze mogiły....  
 Czoło śnieżnym łśni blaskiem, jako Tatrów szczyty,  
 I tak jak one dumne, jak one wyniosłe  
 I jak one w słonecznym wieńcu tkwią w błękity,  
 W kędziory złotych włosów wspaniale obrosłe.  
 — Takim był Mściwoj drugi; — a dusza młodziana  
 Chociaż dumna — szlachetna, i wolna, i wzniosła;  
 Żądzą sławy, wielkości, — przemożnie skowana,  
 I w poddaństwo u serca płomiennych władz wrosła.  
 A to serce gorące, miłośnym płomieniem  
 Wiedzie go aż w książęcia germańskiego progi,  
 Gdzie piękna Adelajda — niebiańskim wejrzaniem  
 Dumne skronie Sławiana chyli pod swe nogi.  
 A ta żądza wzniesienia się sercu sprzymierza  
 I czarem pożądania wyżynę oświeca,  
 Gdzie błyszczą piękna krewna dumnego rycerza,  
 Bernarda, księcia Sasów krasna synowica. —  
 Tak więc serce, chuć sławy, niby dwa tyrany,  
 Wszystkie prą jedną myślą czyny, przedsięwzięcia.  
 Mściwoja, zakutego w te dwoje kajdany:  
 Być krewnym, posiąść krewną niemieckiego księcia.  
 A lud płacze, że w panu swym ojca utracą,  
 Że Sarmata sam jarzmem poddaństwa się plami,  
 Że krwią synów wolności wróg się ubogacą,  
 I tak nuci proroczno — smętnemi pieśniami.

\*

\*

\*

„Latał sokół wysoko nad sokole plemię,  
Wolnem skrzydłem — nad wolną unosił się ziemię,  
I szeroko świat objął oczyma wolnymi,  
Aż ujrzał krasny owoc na Teutonów ziemi.  
Hej! hej! młody sokole! srogaż twoja dola,  
Gdyż ci milsza nad wolność u obcych niewola!  
Nie pięknież twojej ziemi róże i jagody,  
Żeś gwoli obcej dziewczki zbawił się swobody?  
Nie słodkieć miody ojców, nie wielkieć ich bogi,  
Że za szczęściem i sławą gonisz między wrogi?  
Takżeś już z swój miłości wyzuł matkę ziemię,  
Że krwią jej, krwią sokolą, sępie tuczysz plemię? —  
Zostałeś nam już z ojca — ojczymem dziś srogim  
Że nas panom i bogom zaprzedać chcesz wrogim?  
Czyż ci w skrzydłach sokolich osłabła tak siła,  
Że cię nędzna gołąbka u stóp swych złożyła?  
Czyż ci tak już zciemniały sokole źrenice,  
Że widzisz być gwiazdami ogniki, błądnicę?  
Hej! hej! nie lśni tak gwiazda w przyszłości swój sile  
Ale błyski grobowe na twojej mogile....  
O! i strzeż się owocu, co tak zmysły bawi,  
Bo choć słodki, — myśl zbląka i serce zakrwawi,  
A te chwwały błyszczące i bogi, i pany, —  
W ostre ciebie i lud twój zakują kajdany. . .  
Oj! serce, serce! czemuś tak się zwielmożniło,  
Żeś nas ojca i pana od razu zbawiło?...  
Hej! ty cudza ptaszyno, coć wolność nieznana,  
Czemuż zbawiasz nas razem i szczęścia, i pana? —  
Cóż ci ludy sławiańskie wolne zawiniły?...  
Czyż cię na naszą zgubę czary uzbroiły,  
Czyś bronią w rękę bogów niewidzialnej kary,  
Że nam więzy gotujesz i klęski bez miary? —  
O przekłety ten dzionek co ci żyć oznaczył!  
Bogdajby zginął Mściwoj, niż ciebie zobaczył!  
Spocząłby łzami oblan, w swe urny książęce,  
A lud wolny — do boju miałby wolne ręce.  
Lecz gdy książę się obcym dziś kłania tyranom,  
Wolim zginąć, niż walczyć przeciw własnym panom.  
Hej! ty ptaszę sarmackie! rzuć złudne mamidła,  
Wróć do gniazda, niż w zgubne uplątasz się sidła!  
Patrz! oto twoja ziemia, lud osierocony,  
Twojej spragnion miłości i twojej obrony.

Patrz! oto bogi ojców odciągają karę —  
 Wracaj! błąd ci przebaczą, wrócą łaski stare.  
 Wracaj! wracaj sokole! wracaj lackie ptaszę!  
 Powróć nam twoją miłość, powróć szczęście nasze!“ —

Ale ksiązę nie słucha, — lud błaga niewczesnie,  
 Ksiązę głuchy i zimny. — Lud we łzach się taje,  
 Ksiązę kraj swój opuszcza. — Lud jęczy boleśnie,  
 Ksiązę bogi mu obce, — panów obcych daje. —  
 Lud milczy, bo mu skargi zabrakło już w łonie,  
 Ksiązę łyzy mu i rany, chrztu zdrojem zmyć każe. —  
 Lud posłuszny, przed krzyżem korne chyli skronie,  
 Sercem czci stare bogi i stare ołtarze. . . . .  
 Lecz więcej niżli bóstwa swęj ziemi, macierzy,  
 Ukochał we Mściwoju i ojca, i pana ;  
 Wolój się niebu, niżli księciu sprzeniewierzy,  
 Więc chrztem się zlewa ziemia, łąą ludu skąpana.

### III.

Już mury Brandenbura\*) snu anioł i cienia  
 Spowił czarnym całunem w pijane swe skrzydła,  
 Senne dachy kołysząc pieśniami złudzenia,  
 Cierpiącym śląc przed oczy rajskie malowidła.  
 Wszepochotężny czarownik! na jego zaklęcie  
 Ostyga żarem myśli rozogniona głowa,  
 Duch zraniony pierś krwawą w rajskim kąpie świcie,  
 I żądz, czynów i pieśni zamiera osnowa.  
 On w swoje szlaki rozum, fantazyą człowieka  
 Wiedzie, niby piastunka na pasku dziecinę,  
 A ciało kajdanami martwoty obleka,  
 A zmysły w mglistych ułud unosi krainę.  
 I wszystko mu poddane; jedna tylko władza  
 Dumnie czoło mu stawia i kruszy okowy  
 Ogniem nieugaszonym, co ją blaskiem zdradza,

---

\*) Brandenburg, — główne miasto w marchii wseho-  
 dniej, stolica biskupia i siedziba margrabi Teodoryka,

Gdzie on tkwi w łonie, do snu nie utulisz głowy.  
O! bo kędyż jest piastun i na którym świecie,  
Co skrzydłem snu ochłodzi serce rozgorzałe,  
Co miłość ukołysze jak kwilące dziecię,  
Co senny spokój natchnie w łono rozbolałe?!  
Jako łono dziewicy, co w złotej komnacie,  
Niby piękno natury wśród sztuki piękności,  
Biała, jak anioł Boży, w ciemnej nocy szacie,  
Bezsenna i bolesna w przedświcie młodości.  
To krasna Adelajda,\*) teutońskiej kwiat ziemi  
Niby posąg z marmuru, w oknie swej alkowy  
Czuwa jedna wśród sennych, z oczyma łzawemi,  
Piękna razem i smutna — niby kwiat grobowy.  
Z nad ramion włos jej kruczy wznoszą wiatru fale,  
W oczach czarnych jak węgiel ogień ogniów płonie,  
Jakaś modłą drżą cichą ust drobnych korale,  
Siła woli i duma wieńczą białe skronie.  
Dłońmi ciśnie drobnymi wciąż łono swe drżące  
Tajemnym niepokojem, tajniejszym pragnieniem,  
Na gład zimny oparła lice gorejące  
I dal ciemną, nieznaną wciąż mierzy spojrzeniem.  
Szata biała, przejrzysta jej kibić osłania,  
I lśni martwa i smętna w zadumie swęj czarnej,  
Niby drżąca w obłoku gwiazdeczka zarania,  
Niby biała lilija gdzieś wśród mgły cmentarnej.  
A w koło niej tak ciemno i pusto i głucho,  
Jak w otchłani rozpaczy, jak w grobie sieroty,  
Ni blask nieba, ni ziemi nie błyszczą otuchą,  
Ni westchnienie nie głaszy milczenia tęsknoty,  
Ni anioł, ni duch matki samotnej nie strzeże,  
Ni słowik jej nadziei wśród gaju nie śpiewa,  
Ni wiosna jej swem kwieciem czoła nie ubierze,  
Ni rosą nad sierotą nie zapłaczą drzewa! . . . .  
Lecz nagle wśród tej ciszy jakaś głucho wrzawa  
Drży w przestworzu powietrza i w uchu dziewicy;  
Zrazu jak niewyraźny gwar tylko powstawa,  
Lecz wnet grzmi już pod ziemią echem nawalnicy,  
I już brzmi gdzieś w pobliżu, wyraźnie i głośnie,

---

\*) Adelajda, synowica Bernarda, księcia Sasów i Teodoryka, margrabi Wschodu, o której rękę ubiegał się Mściwoj II., książę Obotrytów.

Aż nagle tuż, — tuż z rzeniem rumaka zmieszana  
Muzykę jego kopyt zwiastuje donośnie,  
Co pod zamku krużganki niesie swego pana...  
I dojrzeć już wśród nocy ciemnego spowicia,  
Jak pod oknem otwartém konny rycerz stawa,  
I jak wzrok wznosi w górę z pod hełmu okrycia,  
I jak dziewczę swe obie mu dłonie podawa. —  
A on dłonie te drobne pochwycił z zapalem,  
I do ust je przyciskał i pieścił na łonie —  
Niemy chwili lubością, niemy słów nawałem,  
A brzemienno miłością, co mu w sercu płonie. —  
I nie tak szczęśny więzień, gdy rzuca kajdany,  
Nie tak wita podróżny wśród puszczy krynicę,  
I nie tak grzesznik wita swój raj odzyskany,  
Jak witał szczęśny Mściwoj swą oblubienicę.  
A ona cała wzrokiem w kochanku swym tonie,  
Pochylona tak z okna jakby spaść doń chciała,  
I tam na tém stalowém zawisnąć mu łonie  
I tam ochłodzić ogień, którym pierś tak pała,  
I tam ukoić burze, co tak szarpią serce,  
I tam zrzucić ten ciężar, co tak duszę gniecie,  
I z nim uciec od ludzi, — bo ludzie morderce,  
I z nim uciec od świata, — bo straszno na świecie...  
Długo w siebie patrzyli, jakby tém spojrzeniem  
Chcieli wszystko powiedzieć i wszystko ukoić,  
Przyszłość całą pokonać z ciemnym przeznaczeniem  
I tém spojrzeniem jednym na wieki się spoić.  
Lecz dźwięk z wieży wnet przerwał tę ciszę na-  
tchnienia,  
Głosząc bliskość poranka, brzmiąc wrogo nad niemi;  
I przerwał chwilę szczęścia, chwilę upojenia,  
Może ostatnią chwilę radości na ziemi.  
I rzekł Mściwoj: „Zazulu moja! czas już krótki,  
„Jam tu przybył bogaty i silny nadzieją,  
„Byś ty mi zwiastowała moich poselstw skutki,  
„Z wiarą, że one szczęściem nad nami zadnieją,  
„Lecz te łzawe źrenice i ta lic twych bladeść.  
„I ten smutek u ust twych, ta troska u skroni, —  
„Czyż może mi zwiastować nadzieję lub radość?  
„Czyż nie wróżbą niedoli to drżenie twój dłoni?  
„Ha! ty milczysz, by słowem nie ranić mi duszy.  
„Lecz oczy twoje mówią i podają czary,

„Czary trucizn i bólów wieczystej katuszy . . . .

„Ha! to bogi sławiańskie dopełniają kary

„Na mnie. — O! bom ja zbrodzień, jam wolnych mor-  
derca ;

„Ciebiem jedną ukochał, a twoją miłością

„Podłym stałem się płazem i głazem bez serca,

„Tyś mi się stała bogiem, — a bogi nicością!

„Lecz te bogi sławiańskie, które depcą w pyle,

„Strasznie mścić się umieją swych sądów pochodnią ;

„Dziś mię dłoń ich dosięga w swój potęgi sile, —

„Bo tak kochać nie wolno! — miłość taka zbrodnią!“ . . .

— „Przestań! — nie rań tak dusz tych, co dosyć już  
krwawe,

„Nie ściągaj chmur z oddali, nim gwiazda twa zgaśnie,

„Nie susz źrenic boleścią, dokąd jeszcze łzawe,

„Nie nuć pieśni pogrzebu, zanim szczęście zaśnie!

„Pieśnią skargi przedwczesnej nie kuś sępich szponów,

„By nam spadły rozszarpać dwóch dusz gniazdo święte,

„Z dwóch serc przędzy usnute, dwóch żyć pełne plo-  
nów. —

„Patrz w południe! — tam krwawo, — krwi łuny po-  
częte.

— „Ty nie widzisz!? — Ja patrzę mój duszy oczy-  
ma. —

„Widzę! — stosy ofiarne płoną jaśniej słońca,

„I słońce zaćmiewają, — jednak światła nie ma.

„Bo dymy krwi i stosów noc tworzą bez końca! . . .

„Wojna zażęgła pożar w południowej ziemi ;

„Z dębów ziemi germańskiej zaborczy stos wznosi,

„By w nim spłonął lud wolny z ramiony silnemi,

„Co dumy i chciwości jarzm obcych nie znosi. —

„A — aby nie zgasł pożar przed czasem bezpłodnie,

„Chcą aby ksiązę wolnych, — swej ziemi swobodę

„I lud swój rzucił w krwawą przemocy pochodnię,

„Jeśli chce Adelajdę otrzymać w nagrodę.“ \*)

— Tu dziewica zamilkła, — Mściwoj nie rzekł słowa, —

Stał martwy niby posąg, lecz lica młodziana,

Wymowniejsze w tej chwili niżli każda mowa,

---

\*) Wojna Niemiec przeciwko Włochom za Ottona II. 982. r., do której zażądano pomocy księcia Obotrytów Mściwoja II. obiecując mu w nagrodę rękę synowicy Bernarda, księcia Sasów



Burzą walki wrą wściekłej, którą pierś wezbrana  
Najpierw pobladł i zchmurniał, jak od trucizn czary,  
Potém warem się oblał stopłomiennej walki,  
Potém błysnął w źrenicy blask świętj ofiary ;  
Znicz jěj tli mu już z czoła — jak z czoła westalki,  
Z ust ma już upaść święte poświęcenia ziarno,  
Duch wolny orłem skrzydłem ma się wzbić wysoko,  
Gdy wzrok padł w białą postać owitą w noc czarną,  
Topiącą w jego sercu łzą skąpane oko. —  
Wrogaż łza ta dla ciebie, obotrycki ludzie ;  
Ona dla cię zgasila w piersi twego pana  
Ogień wielkiej ofiary, co zapłonął w cudzie,  
Ogień wielkiej miłości, co czynem wezbrana !  
Wrogać' postać ta biała, sławiańska ziemico ;  
Ona w krwawy dzień śmierci, w dni długie niewoli,  
Zawiśnie ponad tobą morową dziewicą,  
Jako anioł zniszczenia i anioł niedoli! — . . . .

— Mściwoj ogniem zapłonął, wznosił w górę prawicę,  
Oczy wznieść chciał ku niebu, lecz jakby strwożony,  
Wnet spuścił je i utkwil w teutońską dziewicę,  
Jakoby w niej dla siebie — chciał szukać obrony  
Przed swoim własnym duchem, przed ziemią, przed  
niebem,

Co nań groźnie spogląda swą cichą potęgą,  
Przed piekłem, co go pęta słodkich trucizn chlebem,  
Przed niczułej przyszłości tajemniczą księgą! --

A piersią rwie mu ogień dziki i namiętny,  
I jakoby skruszywszy wszystkich władz potęgi,  
Przez usta z serca potok słów płynie mu mętny,  
I przekleństwo, i groźba těj strasznej przysięgi:  
„Przepadnij ziemio moja! przepadnij mój ludzie!  
„I ty lacka wolności i ty lacka wiaro,  
„I ty cnoty czcze widmo, w krwawych ofiar złudzie,  
„I ty — boga wiecznego sprawiedliwa maro!!!  
„Przekleństwo wam dziś niosę moją wściekłą duszą,  
„Przekleństwo wściekłym czynem przyniosę wam  
srozsze,

„Piekłu duszę zaprzędam podłości katuszą,  
„Ale wydrę od piekła, co nad wszechbył drozsze!  
„Różana jutrznio moja! patrz! widzisz mię jeńcem.  
„Wszystko depcę, co czciłem — klnę samego siebie,  
„Samym sobą pogardzam, — patrz! jam potępięncem,

„Jam podlejszy od gadu! — a wszystko dla ciebie!  
„Węże cierpień rozszarpia rozbolełą duszę,  
„Lecz nim słońce raz trzeci wzbudzi światło swoje,  
„Ja lud wolny powiodę przez śmierć i katuszę,  
„Wolnych — przeciw wolności, — za wroga. na boje  
„Przysięgam ci! na zbrodnię. której tyś zapląta,  
„Przysięgam ci na miłość, — na cierpienia moje,  
„Ale weź rozbrat z łzami i łzą smutku szatą;  
„Wszakże moje cierpienia wystarczą za dwoje! ..  
„Bądź zdrowa! — daj mi rękę, — daj lica liliowe!  
„Jeszcze ja dzisiaj czysty, lecz wkrótce do ciebie  
„Wyciągną się me dłonie krwią bratnią pąsowe...  
„Ale nie drzyj tak strasznie, wierz we mnie i w siebie!  
„Bo gdy ty będziesz moją, niechaj drżą twe stryje! —  
„Nim skroń jeszcze strudzoną na twój piersi złożę,  
„Wprzód podłość z duszy wolnej w krwi wrogów  
obmyję,  
„A w mój ziemi królestwo swobody założę! —  
„A ludu mego skruszę germańskie kajdany,  
„A łany spustoszałe sam chlebem zasieję,  
„Lud cierpi za nas długo; my zgoim mu rany,  
„I wolność mu i szczęście znów błogo zadnieje.  
„A ja znów będę czysty przed tobą i niebem....  
„Więc żegnaj mi, gołąbko! — daj uścisk na drogę!  
„A nim wróci twój Mściwoj, nadziei żyj chlebem.  
„Odpędzaj złe przeczucia, — myśl odpędzaj wrogą!“ —  
I wsiadł na koń i strzałą znikł w zamku dziedzica —  
Zorza niebo na wschodzie rumieni zaraniem,  
A dziewica wciąż sercem ściga oblubieńca,  
A noc zesła jój w smutku z téj zorzy świtanie.

## Pieśń druga.

Nic nie żałuję, choć gorzkie łyżę leję,  
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję....

(Adam Mickiewicz.)

I.

— O miłości! — któż zbada g'woli przeznaczeniu,  
Jakiemu dał cię Stwórca na tej ziemi przecie?  
Jestżeś ludziom ku szczęściu, czyli ku cierpieniu?  
Mniejże — czy więcej złego jest z tobą na świecie? —  
Tak przeróżne dla różnych przyprawiasz napoje,  
W przeróżnych życia czarach — według boskiej  
miary. —

Lecz gdyby na dwie szale złożyć dary twoje,  
Przeważyłyby szczęścia, — czy boleści czary? ...  
Tak rozmaite czyny z woli ludzkiej rodzisz, —  
Ale któż je policzy; — tyle cnót i zbrodni, —  
Kto zgadnie, czego więcej na tej ziemi płodzisz;  
Czyli złego płomieni — czy dobra pochodni? —  
I gdyby ten co dał cię tu, — znów wziął do siebie,  
Gdyby na naszej ziemi cię więcej nie stało.  
Czyżby od nas w przybytku twego podniebie  
Więcej z tobą radości — czy łez uleciało? ...  
O kapłanko czarowna dwóch bożyszczy wrogich! —  
Powiedz na to odlotu twego głuche hasło,  
Z tych — którymś westalką tutaj, — ogni mnogich,  
Więcejby zniczów szczęścia. — czy bolu zagasło?  
Więcej zmilkło wesela czy żaloby pieśni,  
Co dźwięczą w życiu ludzkim ze strun twojej lutni? —  
Czy — więcej tych, co z tobą tu bardzo boleśni,  
Czy tych, co tu bez ciebie zostaliby smutni? —  
Powiedz! jakie ty plony ślesz czynów w niebiosy —  
Czyli psalmy wdzięczności, czy hymny wesela?  
Czy te jęki rozpaczy, — czy skarg dzikich głosy?  
Czego przecie ty Panu ślesz najwięcej z wiela?  
Powiedz! — lepiejż czy gorzej nam z tobą na świecie?  
Powiedz! — ha! milczy, — tajne widać sądy boże;  
To ja zapytam serca. — może powie przecie,  
Powrócę do swój pieśni i wyśpiewam może — ...

II.

Ponad sławiańskich ludów rozległą dziedziną  
Lato ognistém słońkiem gore wpośród nieba;  
Toć wesele i praca rażniej ludziom płyną,

Bo nastały miesiące i miodu i chleba. —  
Toć, — bogato, i strojno, i gwarno i żwawo  
Dźwięczy życie na ziemi, wre nadziei siłą ;  
Czemuż, młody Mściwoju ! nad twoją dzierzawą  
Zawładła cisza głucha, jakby nad mogiłą ? —  
Czemu wraz ją odbiegły wesele i praca ?  
I nikt piosnki nie nuci, nikt życia nie stwarza,  
I nikt zboża nie zbiera, co łany ozłaca, . . . —  
A tak pusto i smętnie, jakby wśród cmentarza ? —  
I chociaż plon dojrzały ręki ludzkiej czeka,  
Choć łąki w kwiecie, lipy się złocą tak pięknie,  
Jak okiem sięgnąć — nigdzie nie zajrzeć człowieka ;  
A nawet rzadko pszczoła wśród gaju zabrząknie,  
Rzadko piosnką weselszą zaświegoce ptaszę,  
Rzadko wiatер zaszumi, nawet, — między drzewa,  
A jaskółka się trwożna ukrywa w poddasze,  
A skowronek aż w chmurkach gdzieś swą piosnkę  
śpiewa.

Bo na ziemi piosenki rolnika nie słyszy,  
Bo tu pusto i cicho jak pomiędzy groby,  
To snać cała natura zlekła się tój ciszy  
W ludziach, — i cała ciszą umilkła żaloby.  
Tylko czasem dziecina zakwili wśród siola,  
Lub błysnie z okien chaty blada twarz kobięca,  
Podobna do bladego zarazy anioła ;  
Taki wzrok ma ponury i tak smętne lica. —  
Nie igrają tu dzieci, nie nucą tu matki,  
Nie swawolą wesołe i hoże dziewoje,  
Bo dzieci sierotami, — spustoszałe chatki,  
Bo męże i młodźce — tyś wywiódł na boje,  
Młody ksiązę, — na wolnych wrogom ku pomocy,  
Gwoli twój dumie, gwoli miłości dziewicy, —  
A dziś na swoje księstwo wróciłeś sieroce,  
Boś ich wszystkich pogrzebał wśród obcej ziemy, \*)  
Wszystkich, wszystkich oddałeś ceną dziewy jednej,  
To i serce masz smętne, i pochmurne czoło —  
Teraz wśród wdów i sierot twój krajiny biednej,

---

\*) Wojna Ottona II. z Włochami, do któręj i Mściwoj z swęm wojskiem się przyłączył, zakończyła się bitwą pod Basantello, w któręj Niemcy stanowczą klęskę ponieśli, a 1000 rycerzy Mściwoja na placu boju poległo.

I dnie ci wśród płaczących nie płyną wesoło.  
 A jednak ciężar, co ci tak przytłoczył serce,  
 Nie stłumił w niem pożaru, co ci życie pali;  
 Bo choć lud twój w mogile, choć kraj w poniewierce,  
 Ty — dumnych żądz polotem ścigasz raj w oddali,  
 I spieszno pędzisz pośły pomiędzy Teutony  
 Z przypomnieniem obietnic, z żądaniem nagrody —  
 I téj tak krwią i zdradą zapłaconej żony,  
 Którąś tak umiłował dla twój ziemi szkody. —  
 O spiesz się, młody książę! pragnienie cię piecze,  
 A poczekasz na postów nim powrócą z dali, —  
 Spiesz się niż obietnica z pamięci uciecze  
 Brandenbura dziedzicom, którzy ci ją dali.

### III.

Głucho w ziemi Germanów, ponuro w ich grodach,  
 Pusto w pysznych świątyniach, straszno w borach  
 ciemnych,

Odkąd cesarz na strasznych upoił się godach  
 Krwią swych wiernych wasali, a oni w podziemnych  
 Łóżach twardo posnęli, — bo ukołysani  
 Pieśnią mordów wojennych z pod bram Basantelli, —  
 I więcej za swym panem nie poszli poddani,  
 Tak ciężko popod niebem italskiem posnęli —  
 Tylko snąc do swój ziemi swe duchy posłali  
 Z pozdrowieniem do rodzin, czy z pieśnią tęsknicy,  
 Czy ze skargi wyrzutem, co niemo się żali  
 I cały kraj utula w posępnej mgławicy?  
 Bo tak cicho w domostwach, jak w trupów mieszka-  
 niu.

A kościoły tak łzawe, jak groby bez krzyża,  
 Bo tak w siołach posępno, jak w duchów wygnaniu  
 I straszno — jak gdy anioł pomoru się zbliża.  
 A grody tak ponure, jak umarłych miasta;  
 Bo i starzec pochmurny, i smutne pachole,  
 I dziecina płacząca, i łzawa niewiasta. —  
 Wszystko zdaje się razem płakać na niedolę.  
 Nawet i cesarz Otto drugi na swym dworze,  
 Ugiął czoła dumnego pod ciężarem troski,  
 I swobodnie jak wprzódycy ucztować nie może,

Tak go widać zadławił ostry topór włoski.  
O! bo krwawe żelazo, co broni wolności,  
Ciężka ręka, co mści się krzywd na krzywdzicielach,  
I straszna bywa kara zaborczej srogości,  
Gdy tyrani dłoń pańską poczują w mścicielach. —  
A ty, Ottonie! Chrysta hołdując świętości  
Słowem — czynem urągać poszedłeś morderczym  
Jego prawu pokoju — i prawu miłości;  
Toć nad sługą gniew boży zawisł przemieszczym  
A dziś zaczemż ci smutno? — czy za łaską Pana,  
Czy za wierną z twój winy poległą drużyną?  
Czy ci dumę tak pali ta wojna przegrana,  
Czy może tobie tęskno za włoską krainą?  
Czy żal ci twój upadłej światowładnej siły?  
Czy ci widmem przyszłości świeci blada trwoga?  
Czy się i inne ludy swych krzywd nie pomściły  
Teraz, kiedy ci moc twą skruszyła dłoń Boga?! —  
Bo już Sławianin skrycie krwawe więzy targa  
I w upadku ciemniejszy swój wolności szuka;  
Tylko z kraju Mściwoja nie brzmi żadna skarga,  
Lecz do bram Brandenbura jego poseł stuka. —

#### IV.

A Brandenburg ponury. — Jakby straszna chmura,  
Co nad miastem widnokrąg zakrwawia od doby,  
Niosła wróżbę zagłady — niby mordów córa,  
Niby z kurzu krwi bratniej — kir bratniej żałoby.  
To jakaś dziwna trwoga dzierży mury miasta,  
Głuchy smutku niepokój patrzy z każdej twarzy,  
Z każdej duszy — widziadło niedoli wyrasta,  
W chmurnych świeci żrenicach, drżeniem serca gwarzy. —  
Lecz chcesz wiedzieć, kto z smutnych tutaj najsmu-  
tniejszy,  
I kto z wszystkich płaczących najwięcej tu łzawy,  
Kto najczarniej żałobny i najboleśniejszy,  
Kto najjaśniejsz tu czysty i najkrwawiej krwawy? —  
Chcesz wiedzieć? to chodź w zamku książęcego  
progi,  
Kędy przepych i władza w potęgę się zwały  
Ponad skronią despoty — jak dwa wielkie bogi,

Jedynie, którym książę się kłania zuchwały, —  
A w tym zamku, gdzie miłość zda się być przeklęta,  
Znajdziesz serce, co żywi uczucia gorące,  
Lica od łez pobladłe, pierś żarem wyschnięta  
I usta bolem nieme a skargą nie drżące. —  
To usta Adelajdy. jęj pierś i jęj lica.  
I oczy, co spłakały krasę i swobodę;  
Bo wciąż kocha, i tęskni, i cierpi dziewica,  
I wciąż żyje, by pragnąć, — pragnie na swą szkodę.  
O! biedna ty książęca, smętna krasawico!  
Ni ci ból kto ukoi, ni łez się pozali!  
Tyś sierotą, choć możnych książąt synowicą; —  
To ci życie jak słońko jesienne się pali,  
Co tak zimne i blade, choć niby tak jasne,  
Nie grzeje go nadzieja, szczęście nie rumieni,  
A ile łez przyćmiewa, — to serce wie własne,  
Tożś cała jak kwiatek wiosenny w jesieni.  
Lecz dziś jakiś ci promyk z białego łni czoła,  
Niby przedświt nadziei rumieni ci lica,  
Niewidziany od chwili, gdy swego sokoła  
Raz ostatni teutońska żegnała dziewica. —  
Dziś cała twoja postać nowém życiem żyje,  
I to we łzach się tulisz do stóp Zbawiciela,  
To kędyś w dal wyciągasz ramiona i szyję,  
To jakaś myśl tajemna wzrok ci uwesela. . . .  
Cóż to, czy Mściwoj przybył? — czy przybędzie  
może  
Nocą, jak niegdyś popod okna swęj kochanki?  
Bo tak ślesz wciąż wzrok trwożny w zamkowe po-  
dwórce,  
Gdzie jakieś posły obce wstępują w krużganki. —  
Czemuż ścigasz ich okiem? czy te obce stroje,  
Czyli mowa przybyszów ciekawość twą nęci?  
O nie! wszak słów tych dźwięki znają uszy twoje,  
A ten strój jeszcze w twęj się nie zatarł pamięci.  
Poznałaś mowę Sławian i strój Obotrytów,  
I przeczulaś w heroldach wysłańców Mściwoja,  
Toż duch twój się z przepaści do niebios rwie szczy-  
tów,  
Bo powodem poselstwa — biała ręka twoja.  
Więc w ślad za przybyszami czarne twoje oczy  
I biały duch ulata, a kiedy podwoje





A my nie znieważajmy uśpiania świętości,  
 Nie chciejmy ni podsłuchać, ni zbudzić dziewczęcia,  
 Lecz dośpiewajmy w duszy modły i miłości,  
 I idźmy na pokoje Brandenburgu księcia. --

## V.

Od złota i od stali lśnią pyszne komnaty,  
 Od złota i od stali w nich strojni rycerze,  
 Radzą jak przyjąć posłów, co przybyli w swaty;  
 Czy zerwać ze Sławiany, czy wznowić przymierze.  
 Więc sam margrabia wschodni, Teodoryk dumny,  
 I wszyscy razem pańscy poufni wasale,  
 I ksiązę Bernard saski, co zwią go „rozumny“,  
 Zasiedli już od dawna wielką obrad salę. —  
 I gwarzą, lecz snać sporne być muszą te gwary  
 Bo nie wiodą do końca przedługięj narady,  
 Tylko coraz głośniejsze, żywe słyhać swary!  
 A margrabia i ksiązę nie poskromią zwady,  
 Bo oni sami groźne rozdzielili zdania. —  
 I podczas gdy Bernarda zemsta Sławian trwoży  
 I już do uiszczenia przyrzeczeń się skłania,  
 By uniknąć jęj skutków; — margrabia sie sroży  
 I z obawy ksiązęcia nierycerskieję szydzi,  
 Chcąc Sławian upokorzyć i osłabić wzgardą,  
 Bo w dotrzymaniu umów klęskę kraju widzi  
 Od Sławian, co już śmiało wznoszą głowę hardą. —  
 A więc długo brzmią swary, długo dźwięczą zbroje,  
 Aż gdy północ z zamkoweję ozwała się wieży, —  
 Cisza wszystko owładła, a w komnat podwoje  
 Wezwał giermek w poselstwo przybyłych rycerzy. —  
 Weszli; — ni strój ich drogi, ni ciężka zbroica  
 Zdobi, — tylko swoboda i duma na czole,  
 Którego ołowiana nie gniecie przyłbica,  
 Tylko dusza przez oczy wyziera sokole. —  
 Dusza wolna i harda, tylko z ramion siła,  
 A z liców im odwaga widnieje Marsowa.  
 Weszła Sławian drużyna, dumnie się skłoniła,  
 I dumnie oczekuje zapytania słowa. —  
 I nie długo czekali, bo margrabia Wschodu  
 Wnet wysłańców Mściwoja w te słowa zagada:

„Cóż przywiodło tu sługi sług naszego rodu ;  
„Nowa prośba zuchwała, czy zuchwalsza zdrada ?  
„Czy przyszlście za klęski italskie po karę,  
„Czy żebrze przebaczenia przez was Mściwoj hardy,  
„Czy jakiej nowej łaski ? — Łask przebrał już miarę,  
„I dziś mu dać nie mogę już nic krom pogardy  
„I przebaczenia, gdy nań zasłuży pokorą,  
„Posłuszeństwem należnym, poddańczą wiernością ;  
„Kiedy nasze rozkazy będzie spełniał skoro,  
„A rozkazy cesarza ze czcią i wdzięcznością. —  
„To — nieście swemu panu i idźcie w pokoju,  
„A nasza nad wiernymi sługami opieka  
„I przed wami nie zamknie dobrodziejstw swych  
zdroju. —

„Niech Mściwoj wasz czci panów i rozkazów czeka.“ —  
To rzekłszy Teodoryk zamilkł, a wyniosły  
Wzrok jego spoczął dumnie na posłach Sławianach,  
Lecz dumniejszém wejrzeniem odparty go posły  
I słowem, co drży groźbą po zamkowych ścianach :  
„Chciejcie Panie! — z rozumu i z cnót sławni wielu  
„Że wam sam powód naszych odwiedzin rozwiążę,  
— Rzekł rycerz wiekiem starszy, — „bo nie zgadłeś  
celu,

„W jakim nas tu przysyła Obotrytów książe.  
„Nie po to, by z rąk waszych brać nowe okowy,  
„Nie po to, by bić pokłon za jarzmo niewoli,  
„Nie po to, by zuchwałój, podłych słuhać mowy,  
„Ani po to, by mścić się krzywdy, co nas boli,  
„Ani po to, — by słuhać obelgi tyrana ;  
„Ale po dotrzymanie warunków umowy,  
„I po rękę hrabianki dla naszego pana,  
„Którą mu książęcemi przyrzekliście słowy.“ —  
Powstał z miejsca margrabia, pierś gniewem się wznosi,  
Krew wre dziką wściekłością, wzrok groźbą się żarzy,  
I odpowiedź Sławianom temi słowy głosi,  
A szyderstwo mu patrzy i z mowy i z twarzy :  
„Nad Sławiańskich psów hordy, Germanów książe  
„Zbyt wysoko wzniesione, by kiedy ta warczy,  
„Mogli baczyć, a gdy się rwać poczną szczenięta,  
„Jeszcze bicza i smyczy nań panom wystarczy.  
„To wam, a Mściwojowi, gdy tak się zuchwali,  
„Rzeczcie, iż na kark dumny swój — sam łańcuch kuje

„Niewdzięcznością i pychą; i rzezcie mu dalej:  
„Niech zbytnio w dumnych chęciach sobie nie sma-  
kuje,

„Bo i prośbą i groźbą tylko chłostę wskóra,  
„Niech otuchą się próżną darmo nie podsycą,  
„Bo wielkich książąt krewna, wielkich rodów córa —  
„Nie dla psa sławiańskiego, — teutońska dziewica!”

— Skończył, — lecz nim pogardy i obelgi słowa  
Jeszcze zamkowych sklepień połknęły kolumny,  
Oburzeniem zadrzała siwa pośła głowa,  
I spojrział; — aż się uląkł Teodoryk dumny  
Tego wzroku, zbrojnego i w siłę i w wzgardę,  
Tego wzroku, co wróżbę strasznej zemsty chowa,  
Tego wzroku, co znaczy tylko Lachy harde. —  
I spojrział poseł Sławian, i takie rzekł słowa:  
„Gdy orzeł spi na gnieździe, a sęp ostrze szpony  
„Na płód jego, złowróźnie wprzód nad nim za-  
kraka,

„To nie strwoży się orzeł, lecz tylko zbudzony  
„Ujrzy zradne zamiary drapieżnego ptaka,  
„ I gniewem się zasroży, i zemstą zapłonie,  
„I raźniej w orlich skrzydłach lot orli poczuje,  
„I ukarze zuchwalca, i w wolnych obronie  
„Walcząc krwią sępią —, sępie szpony zafarbuje.  
„To nie cieszcie się bardzo, dumny Niemców panie,  
„Bo nie zadrzy przed groźbą waszą Sławian książę,  
„Lecz się zbudzi do czynu, do zemsty powstanie,  
„I wnet więzy niewoli swym braciom rozwiąże,  
„I wnet pomści obelgę i krzywdę zapłaci,  
„I krwią waszą o prawa upomni się swoje!...  
„Tymczasem ja was żegnam, — wracam do swych  
braci.”

— To rzekł i bez pokłonu opuścił podwoje. —  
I milcząc Obotryci dosiedli swych koni,  
I milcząc opuścili Brandenburga progi,  
I milcząc groźnie jadą po germańskiej błoni,  
A nikt nie śmie ich wstrzymać, ni zawrócić z drogi.  
Lecz w zamku brandenburskim, z wielkiej obrad sali  
Wraz z dumnym wyjściem posłów uszło i milczenie,  
I nowy spór wśród panów, i swar wśród wasali  
Głośną wrzawą zamkowe zatrzęsły sklepienie.  
I długo słyhać z zamku odgłosy niesnaski,

A echo ich ponuro przez gród płynie cały,  
Aż znów ciszę przyniosły ranne słońca blaski.  
A tak krwawe, jak gdyby krwi wróżbą być miały. —

## Pieśń trzecia.

Waż pierś mą scisnął, — serce me obwinął.  
Myśli me kasał i zemstą napawał....

(*Adam Mickiewicz.*)

### I.

Był chrobry ród Lutyków, Obotrytom bliźni,  
I sąsiednia ich ziemi, Lutycka ziemica ;  
Błękitna Odra niwy krainy tej żyzni,  
Macierzystą Sławianom jej święta stolica,  
Sławne miasto, — Riedegast od Wszechsławian zwane,  
Choć w mury niewarowne, i w baszty nie strojne,  
Potężne, — bo potęgą czci ludów owiane  
I opieką wszechwładną ich bożyszczy zbrojne, —  
Tam to, — jarzmem niemieckiem ścigane Sławiany  
Biegły kryć zemstę wrogom — i swym bóstwom wiare,  
Tam biegły zbroić ramię na możne tyrany,  
Tam biegły błagać niebios ciemieżcom o karę. —  
A kto otwarł swe serce dla ziarna podłości,  
Komu pieniądz niemiecki nad wolność był miły,  
Ten stronił tego grodu, — jak zbrodzeń — świętości,  
I jak morderca stroni swych ofiar mogiły,  
Lecz komu jarzmo panów i ich łask kadzidło  
Piersi wolne przygniotły obelgą ciemieżstwa,  
Komu życie w usługach tyranów obrzydło,  
Komu zemsta zbroiła ramię siłą męztwa; —  
Ten dążył w święte mury Riedegast, stolicy,  
Tam na ołtarze bogów niósł krwawe obiady,  
Stamtąd wołał na braci swój chrobrej ziemicy,  
I zapalał do krwawej ciemieżcom zapłaty,

A gdy z świętego miasta po sławiańskich siołach  
Bratni głos taki rozbrzmiał się w imię wolności,  
W imię zemsty i sławy —, na dumnych wnet czo-  
łach,  
Jak od słowa zaklęcia, grom błyskał srogości;  
Serca mężne zbroiły pierś męztwa puklerzem,  
Bratnie dusze i bratnie łączyły się dłonie,  
Aż splotło się żelazne, a krwawe przymierze,  
Z hasłem wolności w ustach, — z żądzą zemsty w ło-  
nie.

## II.

W to miasto wiary Sławian i Sławian wolności  
Przybył dziś chrobry Mściwoj w swych losów rozterce,  
Gdy mu dusza bolała od Niemców podłości,  
Gdy od ich wzgardy dumne zawrzało mu serce.  
I jakby z snu błogiego zbudzon orzeł młody,  
Jakby z napoju słodkiej wytrzeźwion trucizny,  
Przejrzał obelgę, — w łonie znicz uczuł swobody,  
I poznał się być synem zelzonej ojczyzny.  
I jak lew poraniony tygrysiemi szpony,  
I jak Sarmata wzgardy skaleczon orężem,  
Zapłonął żądzą zemsty na dumne Teutony,  
A serce swe skrępował nienawiści węzłem. —  
Już braciom w świętym mieście swe głosi zamiary,  
Wzywa Sławian pod sztandar wiary i wolności,  
I zapala do pomsty za krzywdy bez miary,  
I do boju w obronie ich bogów świętości. —  
A tłumy zewsząd spieszą do Lutyków grodu,  
Jak Izrael na rozkaz spieszył Mojżeszowy,  
A takie męztwo w piersiach Sarmackiego rodu,  
Jako w ludzie, co walczył ramieniem Jehowy. —

## III.

Pod okopami miasta roją się w namiotach  
Liczne ludy, przybyłe na hasło swobody;  
Młodzież żwawo w wojennych ćwiczy się obrotach,  
Dalej gwarzy starszyzna, — wśród nich Mściwoj młody,

A przed nim z Brandenburga przybyli rycerze,  
Posłowie od margrabi i księcia Bernarda. —  
Bo gdy Mściwoj podnosi wolności przymierze,  
Przyjaźnią się maskuje — i trwoga, i wzgarda, —  
I posły księciu Sławian zwiastują przychylnie,  
Że łask — saskiego pana — mu niosą dowody,  
Że za krewkości chwilę przeprasza usilnie  
Margrabia, i — oddaje dla uraz nagrody  
Rękę swęj synowicy sławiańskiemu księciu,  
Byle ten nadal wiernie służył cesarzowi,  
I pozostał w wielkiego dzieła przedsięwzięciu,  
By lud ciemny prawemu wrócić kościołowi.  
— Wysłuchał Mściwoj posłów i chwilę w milczeniu  
Głuchęj pozostał ciszy, — jak chmura ciężarna —  
Szalonej burzy gromem, — a tylko w wejrzeniu  
Księcia pali się duma i zawiść ćmi czarna.  
Wreszcie powstał i oblókł oblicze w pogardę,  
I podniósł czoło straszne w swojej groźby sile,  
I rzekł: — „Jakież to dziwo, że te pany harde,  
„U których ja zebrałem, kalając się w błocie.  
„I we krwi moich braci wśród szału ślepoty,  
„Co niedawno u stóp swych deptały mię w pyle,  
„U których ja zebrałem w zdradzie i podłocie,  
„I wyzebrałem tylko jałmużnę sromoty, —  
„Że te pany dziś do mnie przychodzą w żebraki, —  
„I dają krewną książąt dla psa sławiańskiego? —  
„Cóż to się stało? — Czy pies już straszny wam taki,  
„Że idziecie się w prochu do stóp korzyć jego? —  
„Ha! — wiem ja, — co mi godność w waszych o-  
czach wraca,  
„To, — zem wrócił na drogę i czci mej i cnoty,  
„Żem rzucił złudzeń marę, co podłość ozłaca,  
„I że z oczu mi bielma opadły ślepoty. —  
„Wdzięczen wam za cześć jestem, coście mi dziś dłużni;  
„A więcej jeszcze wdzięczen za obelgi słowo,  
„Z któreście dość wczesnie zdążyli usłuźni,  
„By rozum, cześć i władzę wrócić mi na nowo. —  
„— Lecz ta cześć moja właśnie, chociaż mię to boli,  
„Jarzmo wasze mi kruszyć, — mścić obelgi każe,  
„Ta cześć, zgody z Niemcami dotąd nie pozwoli,  
„Dokąd krzywd ludu mego — krwią waszą nie zmażę.  
„A ten rozum mi jasno wskazuje w tej dobie,  
„— Że szkoda krewnej książąt, — dla psa sławiańskiego;

„Toć dla książąt niemieckich chowajcie ją sobie,  
„Lecz wiedzcie, — że psy pilnie swęj własności strzegą.  
„— A kiedym ja psem dla was, — to jak pies wam  
szczeknę,

„— Krwi waszėj się napiję, — i wydrę, co moje,  
„I jak pies was ugryzę, — i jak pies się wścieknę!  
„To idźcie się gotować — z psem wściekłym na  
boje! —

„Bo nie chcę być drugi raz godnym waszėj wzdardy,—  
„I słów słusznėj obelgi zasłużyć nie życzę,  
„Więc przeciw hardym siłą, — idę męztwem hardy,  
„— A zemsta będzie krwawą, — za krzywdy zbro-  
dnicze!“ —

Rzekł, — i posły odprawił, i pozostał blady  
Chwilę w czarnej zadumie i w niemėj zgryzocie, —  
A że mu serce boli, — widne z lica ślady, —  
I wzrok, — myśl swą i serce utopił w tęsknocie  
Na chwilę. — Aż się ocknął, i ogniem rozplonął  
I swą bratnią drużynę otuchą znów darzy,  
A widać, że i tęskność i smutek, — pochłonał  
Już zapał, co mu błyszczący i w oku i twarzy.

#### IV.

Stanął książę wśród tłumów, — i gromko zawoła :  
„Sławianie ! w imię bogów skrzywdzonych straszliwie,  
„W imię wolności, co wam rozbłyska dziś z czoła,  
„W imię jarzma, co kark wam przygniata zelżywie,  
„W imię męztwa, co ogniem ze źrenic wam bucha,  
„W imię ziemi ojczystej, co dźwiga kajdany ; —  
„Dzisiaj syn waszych książąt, — głosu bogów słucha,  
„I wzywa was do zemsty na podle tyrany! — . . .  
„— Toć w głosie moim słyszcie waszych bogów wolę,  
„I płacz waszych niemowląt, — i niewiast żałobę,  
„I jęki waszych braci — zabranych w niewolę,  
„I głos skargi tych ofiar, co kryją dziś groby! — . . .  
„I głos, co pomsty woła z pod ojców mogiły,  
„I jęk waszėj ojczyzny, i rozkaz książęcia! —  
„Zbierajcie więc odwagę, — i gromadźcie siły, —  
„I za mną w imię zemsty krwawego zaklęcia!!!“ —  
Tu przestał, — i nad tłumy jasnym mieczem błysnął,

Lecz tłumy — tylko szmerem oddźwiękły wahania.

— I jakby duch niewiary nad nimi zawisnął, —

Lud ku rozkazom księcia leniwo się skłania.

— I wyszedł mąż czią braci najstarszy i laty,

Rosły i silny jeszcze, choć z lica sędziwy;

A włos srebrny do ramion, i lśniące miał szaty,

I na czole myśl dumną, i w oku grom żywy. —

I stanął przed księżęciem, — i ugiął kolano, —

I ze czią mówić począł nieugiętym głosem :

„Przebaczcie, — że choć dzieciom słuchać ojca dano

„Tylko, — one się w trwodze frasują swym losem,

„I boją się go, panie — w wasze złożyć ręce;

„— A chociaż męztwo w sercu, nie ima dłoń broni

„Na zaklęcia, — rozkazy i hasło księżęce. —

„Przebaczcie, że lud sercem od was dzisiaj stroni.

„Przebaczcie! — a przebaczyć dość będzie wam snadnie,

„Gdy wspomnicie, że to tak nie bywało zawsze;

„— Lud na wasze skinienie cisnął się gromadnie,

„Los swój we wasze dłonie składał najlaskawsze,

„I wam wszędy z ufnością powierzał swą dołę.

„— To gdy dziś wam niekorny, pomnijcie, czy kiedy

„Lud w krwi, lub łzach przez waszą nie kapał się

wolę,

„Bo może on niewiarą zachłysnął się — — wtedy?”... —

— Tu Mściwoj przerwał chmurno śmiałą starca mowę :

„Wyznamę — rzekł — żem zbłądził, choć nie z dobrej

woli;

„Niech gniew i pomsta bogów spadnie na mą głowę,

„Niech oni sądzą serce i to co je boli!... —

„— Bo niebu, — nie poddanym błędy księcia są-

dzić, —

„A ja dziś wam z méj woli — me winy spowiadam :

„Zdradziłem was i bogów, — toć musiałem zbłądzić,

„Lecz dziś na ołtarz zemsty moje błędy składam,

„— A w tém, coście mi rzekli, nieba widzę karę

„Najcięższą, — bom w méj krzywdzie i zemście sa-

motny.

„— Mówcie, za jakąż cenę kupię waszą wiarę,

„Za jaką cenę zerwę ten rozdział sromotny

„Między ojcem i dziećmi? — O! powiedzcie dzieci,—

„Nie pożałuje Mściwoj w swéj doli rozterce

„Niczego. — Jeżeli śmierć ma w was wiarę roznieci,



„To umrę, — ale swoje powróćcie mi serce!” —  
Tu mówić nie mógł dalej, bo tłumy dokoła  
Do stóp jego się cisną ze łzawem błaganem. —  
A starzec, co wprzód mówił za lud cały, woła:  
„Przysięgnijcie nam Panie! — a przy tobie staniam.  
„— Bo nam tylko ku tobie zaniemogła wiara,  
„Ale wierność została poddańcza i sławna,  
„Ale miłość została serdeczna i stara,  
„Ale odwaga w duszy pozostała dawna!” —  
I podniósł Mściwoj ramię, i umilkły głosy,  
I stanął blady, martwy i niemy, i srogi,  
I oczy i prawicę swą podniósł w niebiosy,  
I przysięgł im, i wezwał na świadków swych bogi. —  
A z ust ludu zabrzmiały radosne okrzyki,  
A niebiosa szkarłatnym zaświeciły blaskiem,  
I grzmot ozwał się głuchy, — a wśród téj muzyki  
Słowo: „Zemsta!” zabrzmiało, — i piorun padł z trzas-  
kiem

Tuż przed stopy Mściwoja. — I cisza nastąpiła  
Na niebie i na ziemi, — a księżę się cieszy,  
Że z nieba dobrą wróżbę mu doła przysłała,  
I już na trzeci ranek mścić krzywdy swe spieszy.

## V.

Straszno — boleścią ducha w kir stroić niedoli,  
Straszniej serce o skałę roztrzaskać rozpaczy,  
Lecz najstraszniej, gdy dusza się zemstą rozboli,  
I gdy myśli obłędem — pierś żarem uraczy, —  
I gdy rozliczne krzywdy i długie zgryzoty,  
W jednej chwili oświeci pamięci promieniem,  
I gdy wszystkie lat długich — rany i sromoty  
W jednej chwili odczuje piorunném cierpieniem,  
I kiedy tém cierpieniem cały duch się wścieknie,  
I szarpie serce własne, bo krwi taki głodny,  
Że tam mu tylko dobrze, — kędy ona cieknie;  
Więc w krwi i łzach się pławi, — krwi i łez niegodny. —  
Tak dzisiaj lud sławiański na swoje tyrany  
Do zemsty powstał cały, — jak j e d e n mąż krwawy,  
Nienawiścią płonący, odwagą odziany,  
Wściekłości szalem gnany na wrogów dzierzawy. —

Nim Niemcy obumarłe na długo swe siły  
U murów Basantelli, do życia znów wskreszą,  
Już wszystkie ludy Sławian ich jarzmo zrzuciły,  
Już wspólną zemstą gnane, na bój wspólny spieszą.  
— Już padła w Hawelbergu biskupia stolica,  
Już osada niemiecka, co tej twierdzy strzegła,  
Wycięta mściwym mieczem, już cała ziemica,  
Co napaści krwiożerczych najeźdców uległa,  
Krwia płynie, łuną świeci, czerni spustoszeniem. —  
I mnogie w kraju Sławian Teutonów załogi  
Pogrzebał młody Mściwoj, naznaczył zniszczeniem ;  
I padły domy boże pod pogańskie nogi,  
I padły sługi pańskie pod zbrodniczym ciosem, —  
I nim trzy dni minęło, padły liczne wrogi  
Sławian, w wolnej ich ziemi, — strasznej zemsty lo-  
sem. —

A gdy najbliższe Mściwoj oczyścił dzierzawy  
Już od plagi Germana i od plagi krzyża,  
Gdy nasycił już żądzę i zemsty i sławy,  
Ku murom Brandenbarga swój oręż przybliża.  
— Tam pędzi go pragnienie, — tam pędzi tęsknica,  
Bo tam ściga swe szczęście w stunadziejnym świecie,  
Bo tam czeka go we łzach teutońska dziewica, —  
A ona droższa jemu nad wolność i życie....

## VI.

Są na tej ziemi dusze, co już od powicia  
Noszą znamię cierpienia i znamię niedoli,  
Co tylko w roli ofiar wchodzą w dramat życia,  
Co zda się już poczęte w tęsknicy niewoli....  
Bo na tym całym wielkim i tak ludnym świecie  
Nie mają swęj ziemicy, — nie mają rodziny ;  
To im wieczna tęsknota jarzmem ducha gniecie,  
To wiecznie tylko cierpią — nie za swoje winy, —  
Jakby dla dopełnienia miar sprawiedliwości,  
Za szczęście serc występnych, za zbrodnie bez kary,  
Trzeba było tych cierpień, tych łez niewinności,  
Tych aniołów ofiarnych — bez woli ofiary....  
Takięj duszy, języka nie zrozumiają ludzie,  
I jej żadna nieznana, tego świata mowa,

A gdy szczęście jój błysnie, to tylko w ułudzie,  
Bo dla niój tu miast słońca, — noc wschodzi gro-  
bowa.

Bo taka dusza, — bożą skazana już ręką,  
Bo gdy zapagnie, wiecznym jój bolem pragnienie,  
Bo gdy pokocha, — miłość jój wieczną jest męką,  
Bo kiedy cierpi, — wiecznym jój grobem cierpienie.  
Takiój duszy to losem i tyś zarażona,  
Nieszczęsna Adelajdo!, — pięknnością błyszcząca,  
Serce twoje złamane i dusza zraniona,  
Boś tu wiecznie samotna — i wiecznie cierpiąca...  
Dla cię miłość tu pierwszém zakwitła pragnieniem,  
A z niego ci zrodziła się wieczna tęsknota,  
A ta tęskność ci życie oplotła cierpieniem,  
A to cierpienie grobu otwarło ci wrota! — ...  
Bo gdyś już przeboleła rozłączenia rany,  
Gdyś przełamała rozpacz, zwyciężyła trwoję,  
Gdyś przeplakała przez cię — cios braciom zadany,  
Gdy przyszłość zaczynała już kwiecić twą drogę,  
To ci dni twe przecięła twych losów zawilość,  
Bo łzy smętku odkradły krasę z twego lica,  
I blask źrenic twych czarnych pochłoneła miłość  
I czarnej zaprzedała cię śmierci tęsknica. —  
A dziś, kiedy kochanek cię darzy zbawieniem,  
Gdy już szczęście ci niesie w serdecznym zachwycie,  
Ty leżysz w ciemnym dole, pod zimnym kamieniem,  
Tak ciężkim, — jak ci całe było ciężkie życie. — ...  
— O! biada ci Mściwoju, o biada tu tobie!  
Już nie wskresną dla ciebie te zgasłe źrenice,  
Już głosu twego dźwięki nie wzbudzą jój w grobie,  
Już szczęściem nie zadnieją zmroczone jój lice. —  
I cała twoja miłość, odwaga i męztwo  
Za słabe, — by dać mogły kochance twój szczęście,  
Za słabe, — by odniosły nad grobem zwycięztwo,  
Za słabe, — by rozerwać ze śmiercią zamęcie. —  
— Biada ci, Adelajdo! — bo życie tve łzawe,  
Choć krótkie, — dwom narodom przyniosło niedolę  
I przez ciebie w dwóch krajach płyną rzeki krwawe,  
I przez ciebie lud wolny upada w niewolę. —  
— A chociaż ty czysta, — to biada tu tobie!  
Bo rozstałaś się z życiem u nadziei progę,  
A z tym, kogoś kochała — nie złączysz się w grobie,

I nikt nad twą mogiłą nie modli się Bogu...  
— A choćes ty tam w górze, zbratana z Anioły,  
Spełniwszy swój ofiary na ziemi powinność,  
Z tym, co ci to był drogim, nie złączysz się społy,  
Bo cię dzieli od niego twój duszy niewinność. —  
Spłynełas tu na ziemię jako anioł kary,  
Żyłas jako łez anioł, — i anioł miłości,  
Zgasłas jak cień pokuty, — jak płomień ofiary,  
Szczęśliwas, — jeżeli szczęście ceną niewinności. —

## VII.

Kiedy człowiek, co nie zna świętego nic w niebie  
Wszystko, co miał na ziemi świętego utraci,  
Gdy wszystko co tu kochał, co tu czcił, pogrzebie ;  
— Wieczną duszy zarazą — tę stratę opłaci. —  
Bo wraz — kiedy mu gwiazda zagaśnie przewodnia,  
Węzeł cały ze światłem łączący go — pęka,  
W sercu z cieniów rozpaczy wylega się zbrodnia,  
I wiecznem zionie piekłem jego duszy męka.  
— Tak czuł, — tak cierpiał Mściwoj, gdy wieść go  
dobięła,  
Nim jeszcze Brandenburgu zdołał ujrzeć mury,  
Że ta, do której spieszy, już wiecznym snem legła,  
Że jój grób już samotny, gład wieńczy ponury.  
— Zrazu ksiązę oniemiał, zbezwładniał jak dziecę,  
I kirem nieměj, — głuchěj się okrył żałoby,  
Nie modlił się, bo w bogi nie wierzył na świecie,  
Nie wierzył, że istnieje życie poza groby...  
I ani łzy w żrenicy, ani w głosie skargi,  
Ani jęk, ulży bolu, i życie w nim wzruszy,  
Ni mu jedném przekleństwem nie zadrgają wargi,  
— Bo boleść dzika, — w dzikiěj rozsiadła się duszy...  
To dziko zrywa więzy ostatniěj czułości, —  
I grzebie ją w ostatniěj nadziei mogile,  
Dziko odziera serce wraz z wszystkiěj świętości,  
I powstaje już wściekły w swěj dzikości sile. —  
To jeżeli wprzódy wrogiem był Niemcom mścicielem,  
Dziś stał się już zbrodniarzem z duszą dziko srogą,  
Jeżeli był tego światła mściwym gnębicielem,  
Co dla Sławian niszczącą płonęło pożogą ;

Dziś stał się synem cieniów, — potworem człowieka,  
Potworem Sławianina, — nawet w mściwym gniewie;  
To też straszna cię dola — ludu krzyża! — czeka,  
Straszniejsze plony zbrodni, — na mordu posiewie.

### VIII.

Już o strasznym pochodzie margraf uprzedzony  
I Volkmar, biskup możny, uszli ze stolicy,  
I Brandenburg potężny został bez obrony,  
A do bram jego srodzy ciągną napastnicy. —  
— Pierwsze na ranne modły ozwały się dzwony,  
I głucho i żałośnie brzmia w chmury uścisku,  
I w bramy świątyń pańskich — lud płynie strwożony,  
Jakby na odgłos śmierci i wróżbę ucisku...  
I w tej chwili, jak gdyby na hasło zniszczenia,  
Wali się w bramy miasta Mściwoja huf dziki,  
I szerzy krwawe, straszne dzieło spustoszenia  
Wśród pochodni pożogi, — wśród jęków muzyki.  
— Najpierw upadły Pańskie kapłany święcone,  
I gdy w żywych nie staje zbiegłego biskupa,  
Już ręką poganina groby znieważone,  
Bo z grobu wywleczono biskupiego trupa  
Dodila, — i z szat zdarłszy, rzucono szyderczo  
Znów w tę samą mogiłę. — A Pańskie kościoły,  
I ołtarze odarto prawicą morderczą,  
A całe świetne miasto zmieniono w popioły.  
I wszystkim lud wyrznięty, pogrzeban gruzami,  
I tylko jeden wielki grób z świetnej stolicy...  
A Mściwoj znaczy ślad swój dzikiemi zbrodniami,  
Pomnikiem wieńcząc krwawym grób oblubienicy. —

### IX.

Gdy już Brandenburg upadł w gruzach swęj wielkości,  
Hordy wojsk Mściwojowych wyruszyły dalej,  
Ogniem karmiąc, krwią pojąc głód swojej wściekłości,  
Niszcząc, mordując wszystko, co w drodze spotkali  
Należnego Teutonóm, lub Teutonów Bogu. —  
Więc padły możne twierdze i święte kościoły,

Padły święte kapłany w Pańskich świątyni progu,  
Padły na trupy panów — pałaców popioły.  
— Wreszcie na sławne mury miasta Starogrodu\*)  
Nadciągnęła ta burza zbuntowanych chuci,  
I krwawym deszczem spadła wśród zbrodni porodu; —  
Bo już śludzy zakonni jak by było zakłuci  
Nożami, — leżą martwi w liczbie sześćdziesięciu,  
A Odar zakonników — święty przełożony,  
Po strasznym na znak krzyża swój czaszki rozcięciu,  
Z mózgiem mieczem dobytym, — skonał umęczony.  
— I wszyscy prawowierni Chrystusa wyznawcy,  
I starzec siwobrody, i słaba niewiasta,  
Strasznój śmierci wydani; — bo dziecy oprawcy  
Z związanymi rękoma od miasta do miasta  
Pędzą ich poprzód sobą — nie znają litości,  
Wymyślając tortury i męki bez miary,  
Aż śmierć mniej niżli ludzie zacięta w srogości,  
Snem wiecznym z mąk wybawia nieszczęsne ofiary.  
— A Mściwoj — jak zwierz dziki co gdy zakosztuje  
Krwi, — krwawym tylko łupem nasyca się chętnie,  
Bolem i krwią pijany, — z rozkoszą morduje,  
I coraz nowych zbrodni szuka wciąż namiętnie.

## X.

Już w całej Sławiańszczyźnie niemieckie załogi  
Zburzone w gruzach leżą, — a Pańskie świątynie  
Wszystkie z ziemią zrównane, — a pogańskie bogi  
Czczone na ich popiołach, gdzie chrześcian krew płynie  
Na ołtarzach ofiarnych, a niemieckie trupy  
Na żer krwiożerczych zwierząt i ptaków wydane,  
Zdobią swemi kośćciami — buntowników łupy.....  
I nim wojska cesarskie na odsiecz wysłane  
Nadciągnęły z obroną, — już Mściwoj zwycięzki  
Wpadł na Hamburg,\*\*) stolicę biskupią podpalił,  
I do szczytu niedoli podniósł Niemców klęski

---

\*) Starogród czyli Oldenburg, osada niemiecka w Sławiańszczyźnie, gdzie najwięcej było chrześcian.

\*\*\*) Hamburg, osada niemiecka — i stolica biskupia w Sławiańszczyźnie zachodniej.

— Lecz tu pod ręką Bożą — i sam się obalił. —  
— Bo gdy pożar już skrył się pod płaszcz popieliska,  
Gdy zwycięzca krwią ofiar szał zemsty nasycy, —  
Z chmurnych niebios upada wśród pogorzelska,  
Olbrzymia, rozpostarta, ognista prawica.  
I w oczach wszystkich — znowu ulata nad chmury:  
Więc strwożone Sławiany w proch twarzą upadły,  
A Mściwoj stoi jeden, choć wzrok ma ponury,  
Choć cały tajną grozą, jak marmur pobladył.  
— On nie zląkł się, nie strwożył, — ale tą jasnością  
Wytrzeźwiał z szału bólu i szału wściekłości,  
I raz pierwszy na siebie spojrzął z przytomnością  
Od chwili, gdy się upił ogniem namiętności.  
— I spojrzął. — i zobaczył — oczyma tej duszy,  
Jaką miał, nim się swoim obłąkał cierpieniem, —  
Przeszłość i terażniejszość i przyszłość katuszy,  
I uczył ponad sobą tajnym serca drzeniem,  
Niewidomą potęgę, której on był wrogiem,  
A która niepojętym go ściga orężem,  
I poraz pierwszy zadrżał i zląkł się przed Bogiem  
Ten, co przed żadnym nigdy nie strwożył się mężem...  
— I uczył coś, co treścią nie było już serca,  
I na gruzy padł, czuciem tem dziko pijany,  
I tarzał się wśród trupów krwawego kobierca,  
A lud jęknął, że księżę ma rozum zbłąkany. —  
Bo czyny jego — treścią przestały być woli.  
A mowa jego — treścią przestała być myśli.  
A nad ludem znów jarzmo zawisło niewoli,  
Bo do bram już Hamburga — zbrojni Niemcy przyszli,  
A Sławianie strwożeni obłąkaniem księcia  
I cudem objawienia wszechpotężnej woli,  
Bezsilni i bezwładni — na kształt niemowlęcia,  
Sami się znów Germanom dają do niewoli. —

## XI.

— I tak zgiął bohater — czasów przedślonecznych  
Wolnej Sławian ojczyzny, — i w grób swęj wielkości  
Zabrał wolność swęj ziemi i braci walecznych,  
— A zgiął, że był wielkim w duchowej słabości.  
Zgiął, że się własnemu opętać dał sercu,  
Że przebrał miarę zemsty, — i miarę srogości,

Że nie stanął zwycięzcą — na zwycięztw kobiercu,  
Że wprzód — zapragnął sławy, niżeli wolności...  
— I tak upadł lud wolny, — mąż zginął potężny;  
Lecz nie przestach, — nie siła ich zgmiotła tyranów,  
Bo nie umiał przed wrogiem Sławianin drzeć męźny,  
Lecz padł od gromu Pana wszystkich ziemi Panów...  
Lecz padł przed niepojętą nadziemską potęgą,  
Przeciw której się zbroił, — nie znając jój siły,  
Lecz padł pod kary Pańskiej sprawiedliwą księgą,  
Którą ojcowskie dłonie — swawolę karcily. —  
Lecz nie rozpaczaj wolny — wolnej ziemi ludu!  
Upłynie czas pokuty, i prysną kajdany,  
A ten, co w grób cię złożył, — mocą swego cudu  
Wskrzesi w dzień zmartwychwstania swój lud uko-  
chany.

I zmartwychwstaniesz w Panu, sławiańska drużyno!  
I ty mojej ojczyzny wolności przeczysta,  
Gdy dni snu śmiertelnego dla ciebie upłyną —...  
To z win swoich obmyta — wskrzesiesz w imię  
Chrysta!...

— I choć ci grób przykryto niewoli kamieniem,  
I choć kamienia strzegą tyrany — mocarze,  
Ty zmartwychwstaniesz Bożem wzbudzona ramieniem,  
— A Pan skronie twe swoją potęgą namaże!!!..

\* \* \*

— A wy coście mi braćmi, i coście mój pieśni  
Z dobrą słuchali wołą, uwierzcie w me wróżby!  
I bądźcie zawsze silni, — kiedyście bolesni,  
I nie oddajcie woli — w żądź szalonych służby! —  
Lecz kochajcie! — jak wasi kochali przodkowie  
Swoich bogów, — swych braci i wolność swój ziemi,  
I bądźcie tacy męźni, jak wasi ojcowie,  
A kiedyś — i swobodą zrównacie się z nimi.

6. kwietnia 1882.

KONIEC.



# Polskie kwiaty

do

**sióstr na wygnaniu.**

---

Kwiaty powędły na Polskiej niwie —  
Z dymem nadziei znikła ich woń —  
Rosy kropelki spadły trwożliwie  
W zwątpienia toń . . . .

Wyście powędły nie w lat podróży —  
Nie wonnych marzeń zabite snem . . . .  
Wyście złamane, biedne, wśród burzy,  
Przed życia dniem!

Słowik nie śpiewał do waszych wdzięków —  
Kochanek nie śnił u waszych nóg . . .  
Wyście złamane wśród bratnich jęków —  
Wasz wianek — głóg . . .

Kwiaty powędły na Polskiej ziemi —  
Ale cnót waszych została woń:  
I naród z czasem obwiąże niemi  
Swą dumną skroń ! . .

1871.

*Henryk Merzbach.*

## Monolog księżycyca.

Biedny ja księżyc tu na tym błękanie!  
Czy to nie lepiej królem nocy nie być,  
I takie świetne nie prowadzić życie,  
Niż jednej nocy spokojnie nie przebyć?

Cóż, że me koło po niebie się toczy;  
Kochanki gwiazdki tak przy mnie się kupią;  
Gdy, zamiast w piękne im zaglądać oczy,  
Wciąż patrzeć muszę na tę ziemię głupią?

Zniósłbym to jeszcze, choć mię bardzo nudzi,  
Że tylko jedno wciąż tam widzę żądze;  
Bo już przywykłem do głupoty ludzi,  
Jak się mozolą, żeby mieć pieniądze.

Lecz to mię męczy, — to mi życie truje,  
A nawet często wystrasza za chmury:  
Gdy mi wierszoklej coś tam deklamuje,  
Lub jak pies do mnie zawyje do góry! —

Cóż sobie myśli ten tłum ich przebrzydły,  
Że ja dlań tylko mam oczy i uszy:  
Iż mię tak swemi napada wierszydły  
Bez myśli, treści, bez serca i duszy?

A nadto jeszcze i zarozumiałe  
Do takiej ze mną pnie się zażyłości,  
Jakbym z nim pijał „kochajmy się“ stale,  
I gryzł z Parnasu wyrzucane kości. —

Czasem się trafi, lecz rzadko, i taki,  
Któremu promień Boży bije z czoła;  
Ale cóż z tego? — to często biedaki.  
Że prawie każdy o chleb do mnie woła.

Naród, którego on synem, nie wspiera,  
Bo dziś grosz tylko coś znaczy w narodzie,

A wieszcz, przez Boga naznaczon, wyziera  
Pomocy mojej o chłodzie i głodzie;  
I chociaż śpiewa o przeszłości dziejach,  
Nie jeden woli na bank subskrybować,  
Lub mienie topić w żelaznych kolejach;  
Niż wieszcza wesprzeć. — woli bankrutować.  
Cóż mu pomogę? — wszak ja sam choć jasny,  
Gdyby nie słońce, — głód bym musiał znosić;  
Gdybym miał o czem prowadzić stół własny,  
Mógłbym go czasem na obiad zaprosić. —  
Lecz trudna rada, gdyśmy oba chudzi,  
Ja ni nakarmię, ni go nie ogrzeję;  
Niechże dla siebie śpiewa, nie dla ludzi,  
A zresztą w Bogu pokłada nadzieję.  
A ja za obu będę prosił nieba,  
By na nas chciało zwrócić wzrok litośny:  
On, by bez troski miał kawałek chleba.  
A mnie nie męczył — rymoklej nieznośny.

*Mikołaj Bołoz Antoniewicz.*

---

## But artysty.

Zdarzenie prawdziwe.

---

Serce artysty! zaiste obfite to źródło dla powieściarza. Ale że i but artysty może autorowi pegaza doświadczającemu, strzemię potrzytać, obaczycie:

W Wiedniu jest przedmieście zwane Stary Wiedeń. Jest tam kościół Paulanów na samym czele dwu rozchodzących się ulic. Po lewej stronie idąc z miasta jest dom nowy trzypiętrowy ogromnie wysoki a po za ten dom idzie uliczka takuteńka jak nasza we Lwowie, co to starą komorę z piekarską ulicą łączy; ledwie na dwa łokcie, dwu ludzi razem nie przejdzie.

W domu tym mieszkała na trzecim piątrze wdowa po nadwornym aktorze, Francuska, której nazwisko brzmiało coś niby: Kasza!

Miała trzy córki dorosłe, z których najstarsza była kaleką, średnia miała już kochanka a najmłodsza — podlotek z zadartym noskiem, skakała, śpiewała i grała po całych dniach, bo się kształciła na śpiewaczkę i nie znała jeszcze tej durnej ograżki, co to ją ludzie zowią kochaniem!

Mieszkali sobie z frontu a z boku mieli do wynajęcia „dla panów kawalerów“ pokój, którego okna ogromne szły w ciasną uliczkę, więc mimo ogromu mało światła dawały. Pocziwa Polonia rzemiosła Apellesa właśnie szukała stancyi a wyczytawszy na kartce, skoczył szanowny artysta na schody, i w mgnieniu oka stanąwszy u trzeciego piątra ostatnich drzwi zadzwonił.

— Kto tam? — zapytał słowiczy głos i otworzyła najmłodsza panna Kaszańka i zadarła zadarty nosek, zmierzyła śmiejącym ślipaczkiem błękitnym i zapytała, czem może służyć. Polonia — artysta wyprostował się jak kogut na śmieciach i objawił życzenie oglądania pokoju. Wpuściła go więc, wskazała pokój do najęcia i puściwszy tam bohatera przymknęła mówiąc:

— Niech pan ogląda, ja mamę zawołam. —

Artysta wszedł, ale akurat jemu tam w głowie było pokój oglądać! Najsamprzód się odwrócił i spojrział w dziurkę od klucza, gdzie zobaczył śliczny, błękitny ślipaczek; bo panna Paulina należała do ciekawych istot. Paulinka uciekła a artysta mimoto że pokój widocznie był ciemnym i na pracownię najniezdatniejszym, postanowił nająć go i za chwil kilka najął.

Mieszkał więc w ciemnym pokoju obok jasnych oczu i miał ciemno w oknie a jasno w duszy, i co usiadł przy trójnogu i począł barwy z pęchlerków dusić i na barwisku rozrabiać, przekonywał się, że za ciemno w pokoju; więc rzucał robotę i myślał o jasnych oczach. A kiedy to powoli, powoli panna się oswoiła z sąsiadem o tyle, że się nie żenowała żartować i roześmiać i podskoczyć, to ich bywało dwoje skacze:

ona w jednym pokoju a jego serce w drugim za ścianą, gdzie istotnie czasem mało ze skóry nie wyskoczyło. A wieczorkiem szarą godziną, kiedy siadła do fortepianu i zaśpiewała — nie nauczycielowi śpiewu, nie ludziom, ale tak jak słowik sama sobie, serduzkowi swojemu i przeczuciu swemu; wtedy artysta nasz zataczał się od kąta do kąta lub omdlewał z upojenia duszy i było mu ciasno w kamizelecze i fraczku i rozpiął je, i było mu ciasno w pokoju, i było mu ciasno na ziemi. Serce bowiem jego stawało się eksplodującą petardą lub bombą uczuciami ogromnie nabitą. Z tej to przyczyny okno jego w wąziutką uliczkę wychodzące było ciągle otwartem.

Upłynęło kilka tygodni, a przez cały ten przeciąg czasu artysta nasz pracował niezmiernie sercem i wyobraźnią, ale ręce wypoczywały, a barwisko i kieszki zaschły jak pińczowski kamień. Jednakowo praca nie była bezowocna. Paulinka wiedziała już że on ją kocha, a on wiedział, że ona także niekoniecznie jeżem się sierdzi ku niemu. Że ona zaś wiedziała o jego sentymentach, rzecz bardzo naturalna, bo on się o to starał; ale że on już mógł poznać zbliżanie się jej słabej chwili (bo trzeba wiedzieć, że każda kobieta bez wyjątku przynajmniej raz w życiu ma słabą chwilę, gdzie los swój zdaje na łaskę lub niełaskę jakiego niewdzięcznika!) — to go bardzo mile zadziwiło. Nie wiedział bowiem nieborak, że Niemeczki i ogółem zachód choruje często na elektromagnetyzm serca już za młodu; w elektryce zaś wszelki kruszec mianowicie złoto i srebro wielką rolę grają: polscy panowie zaś od czasu Ossolińskiego Jerzego, posła wielkiego do Rzymu za bardzo bogatych słyną, a każda Polonia zagranicą tak suto wygląda, że jej powszechnie tytuł „pana grafa“ przystoi.

Owóz więc i naszego artystę sądząc po poduszce włóczką haftowanej, po kołdrze jedwabnej (którą mu matka ze starej sukni uszyła), po pantoflach, czapeczce i cybuchu z bursztynem, zresztą po dwu pierścionkach na palcach — i po próżnowaniu, osądzono za polskiego grafa; co tem podobniejszem było, że miał bogatych imienników. Wesoly jego współtowarzysz zawodow parnasowskich, z figłów potwierdził panią Kaszę

i panny Kaszanki w ich podejrzeniu, więc nieraz wygadywały się z dumą, że u nich jakiś młody hrabia polski mieszka i w Paulince się kocha. Naszemu artyście było to bardzo na rękę, bo mu drogę torowało. Sama bowiem matka nadarzała im sposobności, zapraszała go, nawet gry proponowała, przy których jak wiadomo średnie klasy Wiednia niemilosiernie się całują... wreszcie dopomogła mu wpływem swoim macierzyńskim do... pierwszego całusa honorowego za fanty! — (Ein Kuss in Ehren kann Niemand verwehren!) — Oh! te całusy! całusy! iluż to ludzie przez nie marnie ginie! bo to dokąd się niepocałują, jeszcze jako tako, jakże się cmokną! przepadło wszystko, wygnani z raj! — Doznał tego nasz bohater, bo mu głowę zawróciło do reszty, i o niczem już nie myślał tylko o niej. A tu panna coraz śmielsza, coraz żartobliwsza, coraz weselsza, a śpiewem dokazuje nad nim co sama chce. —

Zaspiewawszy pewnego ranka na dzień dobry piękną aryę „Czy znasz miłości tęsknotę, czy znasz ty boleść kochania?“, tak rozczuliła adonisa swego, że się zerwał, zebrał i wyleciał z domu jak oparzony, aby serce przewietrzyć na świeżem powietrzu. Służąca pani Kaszy, która jemu także posługiwała korzystając z tego zebrała się do porządku; zamiotła, posprzątała i czyściła garderobę jego. Czyniła to w przedpokoju, a panny Kaszanki wychodząc miały czas zlustrować ją. Opatrzyły, pochwały i nuż próbować na sobie. Pokazało się, że nasz artysta miał ten sam wzrost i tuszę co jego ukochana, t. j. że był malutki, a Paulinka w sukniach jego wydała się ślicznym chłopczykiem swawolnym. Tyr tyr tyr, chi chi chi — między sobą, uradziły się mu wypłatać. Przychodził on zwykle popołudniu do domu. Po obiedzie więc przebrały się Paulinka i siostra jej starsza w suknie męskie — ta w swego narzeczonego, tamta w suknie bohatera naszego, zasadziły kapelusze na głowę i posłały służące oznajmić mu, że jacyś dwaj panowie chcą się z nim widzieć. Wychodzi a one ku niemu z otwartemi ramionami: Ah przyjacielu kochany! jak się masz? i chcą się niby całować z nim. Zakochani zwykle bywają trochę odurzonymi, i je m u się

to stało. Nim się opamiętał i zdecydował, dziewczęta parsknęły śmiechem i w nogi, a on za nimi. Ale już zapóźno! nie chciały powtórzyć przywitania i ani się zbliżyć nie dały do siebie. Nadarmo bohater nasz prosił, błagał, zaklinał, na darmo chciał w końcu przemocy użyć, nie pomogło; udało mu się tylko własnego surduta kołnierz pocałować zamiast łabędziej szyjki Pauliny.... czem tak sobie zirrytował gorącą krew kawalerską, że siadł w kącie, sparł głowę i nie słyszał z całej rozmowy pani matki nic tylko jeden wyraz „żeńić się.“ Wyraz ten przedarł piorunem czarne duszy obłoki a ugrzązł w sercu. O niczem nie myślał tylko o tem, i zaczął mówić o tem. Pani Kasza jakby ją miodem smarował i na sto koni sadzał, zezwala natychmiast, mówiąc że córki jej mężów same sobie wybierać będą, a w duszy cieszy się, że będzie miała zięciem bogatego polskiego grafa i ekwipażem córki jeździć będzie. Paulinka rumieni się i w żart obraca, lecz nieodmawia i zdaje na matkę, ale w duszy uwija hrabiną po Warszawie i Krakowie i widzi mnóstwo pięknych oficerów ułanów polskich, klęczących u stóp jej i błagających wzajemności. Artysta zaś tak piękny temat rozrobił w duszy i utworzył z niego w wyobraźni cudną kompozycję, której główna grupa przedstawiała Paulinkę pierwszą śpiewaczkę opery wiedeńskiej, jak jej dyrektor wypłaca dziesięć tysięcy rocznej gaży; w tylnej zaś grupie w półcieniu sam artysta szanowny umizgający się do koleżanek sławnej, bogatej i kochanej żony swojej. Przekonawszy się o dobrem ugrupowaniu tego obrazu duszy pobiegł artysta na dyrekcję policyi po paszport. Był bowiem dobrym synem i chciał jechać do rodziców po błogosławieństwo i cokolwiek pieniędzy. Rodzice zaś jego biedni cieszyli się o sto kilkadziesiąt mil i wystawiali sobie, jak tam ich Władysławek maluje za granicą, jak on się tam pilnie uczy... i prosili Boga za niego i składali każdą złotówkę, którą sobie od koniecznych potrzeb życia ujmowali. Ojciec jego bowiem był bardzo biednym pisarzem grodzkim w królestwie i pobierał 300 rubli na rok. Policja nie wydała paszportu żądając od akademii pozwolenia wyjechania. Udał się więc do akademii, nagadał, nakłamał i dostał. Przyszedłszy do siebie, po-

kazał swej przyszłej teściowej. Ta się przelękała i pyta dokąd jedzie, a on jej odpowiada. Teściowa rozradowana odgaduje: Więc pan jedziesz uporządkować interesa? Rozumiem. A gdzie będziecie mieszkać, w mieście, czy w dobrach?

— W dobrach? — pomyślał artysta, w jakich dobrach? więc głupia Szwabka myśli w istocie, że ja mam dobra? więc to dla tego mi taka przychylna... więc... więc... więc... — i cała czerniawa wąpień obsiadła duszę jego i gnioła ją brzemieniem boleści. Tak się zmartwił, że upadł na łóżko i leżał i sapał i wzdychał i włosy rwał i zatykał sobie uszy, kiedy Paulinki głos przez ścianę zabrzmiał: „A znasz ty miłości tęsknotę a znasz ty boleść kochania?” — W okropnym stanie przy otwartem oknie przeleżał noc całą nierozebrany!!! i tylko buty zdjął sam nie wiedząc kiedy. Nad rankiem dopiero zasnął, a zbudziwszy się chciał czempredziej wyjść z domu, aby nie słyszeć śpiewu Paulinki. Wstaje więc, bierze buty i chce się obuwać; w tem fortepian dźwięknął, Paulinka preludje zagrała, a artysta zelektryzowany chciał ręce załamać, ale buty w ręku. W roztargnieniu więc postawił na otwartem oknie, które szło w wąską uliczkę. Tej chwili zakwiliła słowiczym głosem: „Znasz ty miłości tęsknotę?”... a artysta załamał ręce i zapłakał: „Oh znam, znam! zanadto znam!”... i zakrył sobie twarz oburącz i oparty o okno stał i słuchał i płakał i wzdychał, jednym słowem był w miłosnej rozpacz! A tu na nieszczęście było 26go Sierpnia, a jemu pieniądze przysyłano pierwszych dni miesiąca, więc naturalnie złamanego szeląga nie miał przy duszy, aby pójść i do kata zapisać tę całą sprawę, albo zabirbantować, które to uczucie bezwładności finansowej tem bardziej rozpacz jego podwajało. Nurzał się więc w czarnych myślach, a samobójstwa pomysł piekielną iskrą błyszczał czasami w odmęcie dzikiej rozpacz. Nagle śpiew przerwany... zamieszanie... szmer... głosy...! Artysta się ocknął... Co to jest? może zemdląca? może ją pieśń własna zabiła? pieśń boleści, pieśń miłości! — W przedpokoju coraz głośniejsze... jakies hałasy, jakies cos niezwykłego — zbliżają się ku drzwiom, pani Kasza wzbrania... ktoś się napiera, bierze za klamkę..



odmyka. Hausmajster czerwony od gniewu i klnący piekielno i siarczysto wchodzi do pokoju, trzymając w rękę but!

— Tysiąc saperment! багаż i plunder! płac pan natychmiast za trzy szyby, które pański but zbił, płac pan trzy reńskie, bo zaraz z butem na policję pójdę! co to jest, butami rzucać z trzeciego piętra i szyby tłuc? to porządni ludzie tak robią? na to trzeba chłopca od Świętej Anny! — (Akademia malarska w Wiedniu jest u Św. Anny, a ponieważ tamże i szkoły malarskie są zarazem, więc Wiedeńczycy zowią uczniów akademii „Annabuben,” t. j. „chłopców od Św. Anny.) —

Gdyby grom był trząś obok, gdyby granat był pękł w kieszeni jego lub rakietą Kongrewska w kapeluszu utkwiała, nie byłby artysta bardziej osłupiał jak na tę perorę hausmajstra. Stał przerażony i nic nie mówił, i nie wiem coby się było stało, gdyby pani Kasza nie była w to weszła i zagadała stróża: — Chodź! ja ci zapłacę a nie rób hałasów. Czy się dorozumiała że artysta nie przy pieniądzach co że być może, jako żona artysty dramatycznego dobrze wiedziała, czy to wzięła na karb zakochania w jej córce i roztargnienia, dość że załagodziła ten interes. Ale ponieważ artysta nieoddawał natychmiast i ponieważ zaczął stronić od niej, więc myślała, myślała i bodaj czy się niedomyślała prawdy. To tylko wiem, że jak się za dwa tygodnie szanowny Apellesa współzawodnik dla zbytnej ciemności pokoju wyprowadzał; to ani pani Kasza, ani panny Kaszanki nierozpaczały nad stratą polskiego hrabiego, który miał ich dom uświetnić i dochody wzbogacić. A wszystkiego ów but narobił, który trącony plecyma artysty w chwili ostatniej rozpacz, spadł i kołując na dół, trzy ogromne szyby zbił. Artysta zaś zdarzenie to miłośne i smutny jego koniec opowiedział później żonie swojej i ciekawym.—

Działo się w Wiedniu r. 1840.

*Bonifacy Arbuzowski.*

## Paż królowy.

---

Jedno życie znam —  
Jedno serce mam,  
Z niem przez pola, lasy, rowy  
Płsam zawsze lekki, zdrowy,  
Zawsze chyży,  
Zawsze świeży.  
Wietrzyk niesie mię,  
Wiotkie kwiaty gnie.  
    Pod listeczki róż  
    Chronię się od burz ;  
    Tam ja słucham słodkie pienia,  
    Miłość wonną, snów marzenia,  
    Aż mię zbudzi  
    Głos marudzi,  
    Bąków, pszczoł i much,  
    Lub zły inny duch.  
Wnet zlatuję w dal ;  
Tam na łące bal —  
Słowik śpiewa między wrzosem —  
Tysiąc kwiatków między kłosem —  
Pilnie czeka  
Mię z daleka —  
I aż słodycz tchnie,  
Widzieć wówczas mnie.  
    W towarzystwie dam  
    Lubię bywać sam ;  
    Tej do buzi, tej do uszka  
    Pocałunek od serduszka  
    Daję mile  
    Każdej chwili —  
    Aż umęczon tak  
    Lgnę na senny mak.

Lecz coż to za żak?  
Idzie mi na wspak!  
Z siatką w rękę, lekko, z cicha,  
Tu podchodzi... hej u licha!!  
Taż to zdrada!  
Trudna rada:  
Trza umykać ztąd,  
Kryć się w inny kąt...  
Ależ bo on wciąż —  
Sunie się jak wąż —  
Czy oszalał —, czy się znudził?  
Tak mię zmęczył, tak już strudził,  
Że u licha  
Do kielicha  
Skryć się muszę wnet  
Jak pod ziemię kret.  
Jedno życie — — strach!  
Jedno serce — — krach!!...  
Przebóg! przebóg! — jam już w sieci..  
Co on zrobi ze mną przecie!?  
Czy umorzy  
W tym tu worze,  
Lub powiesi gdzie?...  
O mój złoty śnie!...  
W pierś już szpilkę wbił  
Z całych swoich sił  
I do ramek pamiątkowych,  
Gdzie motylków mnóstwo płowych,  
Za szkłem zamknął,  
Bym nie umknął. —  
Ach! jak straszny cios,  
Żegnać tak swój los!!!

*Marceli S..... ze Śniatyna.*

---

# AFORYZMY

przez  
Narbrzana Bętkowskiego.

---

## II. \*)

Ludzka przyjaźń częstokroć jako wiatr się zmienia ;  
Trwała słodycz spokoju wstaje w nas z sumienia.

\*

Szukasz szczęścia w bogactwie jak wiecznego zdroju,  
Gdy to w sobie takiego ani zna ustroju.

\*

Nie przystoi ci z dumą drugich spotykanie,  
Kiedy nie wiesz co z szczęściem dziś się wieczór stanie.

\*

Kiedy każdy z osobna walkę podejmywa,  
Moc zwycięzcy ich złączy w więzów swych ogniwa.

\*

Mija rok, jak godzina, tak i życie mija ;  
Wartby się zastanowić, co na później sprzyja.

\*

Dla mnie to jest na świecie niewymowną kaźnią,  
Gdy zły chciałby się człowiek szczyścić mą przyjaźnią.

\*

---

\*) Zob. Rocznik V. Samb. za r. 1881. str. 77.

W mojem dziele i pracy widzisz stronę ciemną :  
Szkoda, żeś sam nie zrobił, — lepiej, i — przedemną.

\*

Żyć z twardymi i złymi, żyć z przeciwnikami,  
Zacna to, bohaterska cnota nad cnotami.

\*

Są, co w sobie spokoju, w duchu swym nie mają,  
Owoż przezco i drugim nigdy go nie dają.

\*

Kto nie chciwy, lecz prawy, — choć świat nim pomiata,  
W głębi duszy najlepszym jest zwycięzcą świata.

\*

Bywa mądra ciérpliwość, lecz i głupia bywa ;  
Mądra zbiera korzyści, głupia je przegrywa.

\*

Kto tém gardzi, co głupiec jak najbardziej ceni,  
Świat zwycięża, i panem się nad króle mieni.

\*

Ten najświetniejszy tryumf z wiedzy swój odnosi,  
Kto nie walki spotęża, lecz w świat pokój wnosi.

\*

Świetna szata w niewielkiej cenie wtenczas bywa,  
Gdy spodloną istotę człowiek nią okrywa.

\*

Zemsta, jakaś przyjemność wściekła, złudna, zwodna,  
Sprzeczna boskiej miłości, człeka nie jest godna.

\*

Nie zda się, prócz na tyle o przeszłości mówić,  
Ile, aby na przyszłość złego nie ponowić.

b

Człek ma siłę dodatnią i ujemną w sobie,  
Jedna wspiera go w życiu, druga kładzie w grobie.

Rozum, siła dodatnia; — głupstwo zaś ujemna; —  
Jedna światłem jaśnieje, druga wiecznie ciemna.

\*

Rozum nigdy źle czynić bliźnim nie pozwala;  
Czyniąc źle, sam od szczęścia człowiek się oddala.

\*

Złego dary nie ujmiesz, lecz podniećsiz żaru,  
Serce tylko szlachetne bywa wdzięczne daru.

\*

Jeśli serce masz prawe, źródło czystej duszy,  
Wszelki stwór cię zwierciadłem do porządku wzruszy.

\*

Ziemia i niebo, boska wszelkiej wiedzy księga;  
Kto chce wiedzy ogromu, niechaj z niej zasiega.

\*

Nikt jak człowiek wyniosłych szczytów nie owładnie;  
Nikt tak nigdy jak człowiek nisko nie upadnie.

\*

Gdy chce, może się człowiek w duszy stać aniołem,  
Gdy chce, może być diabłem, z lucyferem wspołem,

\*

Wola wiedzie człowieka gdzie świętości wrota,  
I gdzie podłość bez granic, — wola i ochota.

\*

Zacna dusza, źle widząc, sama w sobie gani;  
Podła, słowem nagany drugich tylko rani.

\*

Nie dośćto dobrych zasad się wyznawcą głosić,  
Lecz je pełniąc usilnie, w sercu trzeba nosić.

\*

Słowo umysł rozbudza. sprawia zrozumienie,  
Ale przykład ostatnie daje rozjaśnienie.

Nie nauczy, kto drugich w prawo zwraca oczy,  
W prawo drogę wskazuje, a sam w lewo kroczy.

\*

Człek ma prawo spisane w sercu i rozumie;  
Zły lub głupi go czytać nie chce, lub nie umie,

\*

Człowiek prawo ma w sercu, pismo dane z nieba;  
Zły, kto sam się nie strzeże, ale strzedz go trzeba.

\*

Przed spisaniem, praw czystych w sercu leży wiedza,  
Dobry swym je postępkim zawsze sam wyprzedza.

\*

Źle, gdy władza tkwi w ręku nieprawego człeka,  
Bo się odeń wyroku słusność nie doczeka.

\*

Jest zaszczytną waleczność, ale w słusnej sprawie;  
W niegodziwej jest hańbą, i urąga sławie.

\*

Dobrze cierpieć, czekając na nieba łaskawsze,  
Ale nic już gorszego, jak cierpieć na zawsze.

pisano 21. stycznia 1882.

## Aforyzm staropolski

nieznanego autora

podał

Narbrzan Bętkowski.

Dobrego, czas naprawi; złego jako żywo;  
A co ma być osęką, zaraz rośnie krzywo.

# Nasze budowle pamiątkowe w Galicji.\*)

## I.

### Cerkiew św. Jura w Drohobyczu,

z litografią

wykonaną podług fotografii Zygmunta Freya w Drohobyczu.

Pomiędzy pomnikami architektonicznymi w kraju naszym mamy dwa rodzaje budowli czysto-rodzimych. Rzymsko-katolicki świat nasz szczyli się stylem tak zwanym nadwiślańskim (romańsko-ostrołukowym), a świat grecko-katolicki stylem ukraińskim (byzantyńsko-drewnianym).

Oba style przysły do nas z południa; pierwszy drogą na Rzym, drugi na Konstantynopol, gdyż oba są dalszym ciągiem stylów starożytnych — greckich i rzymskich, azatem stylów klasycznych.

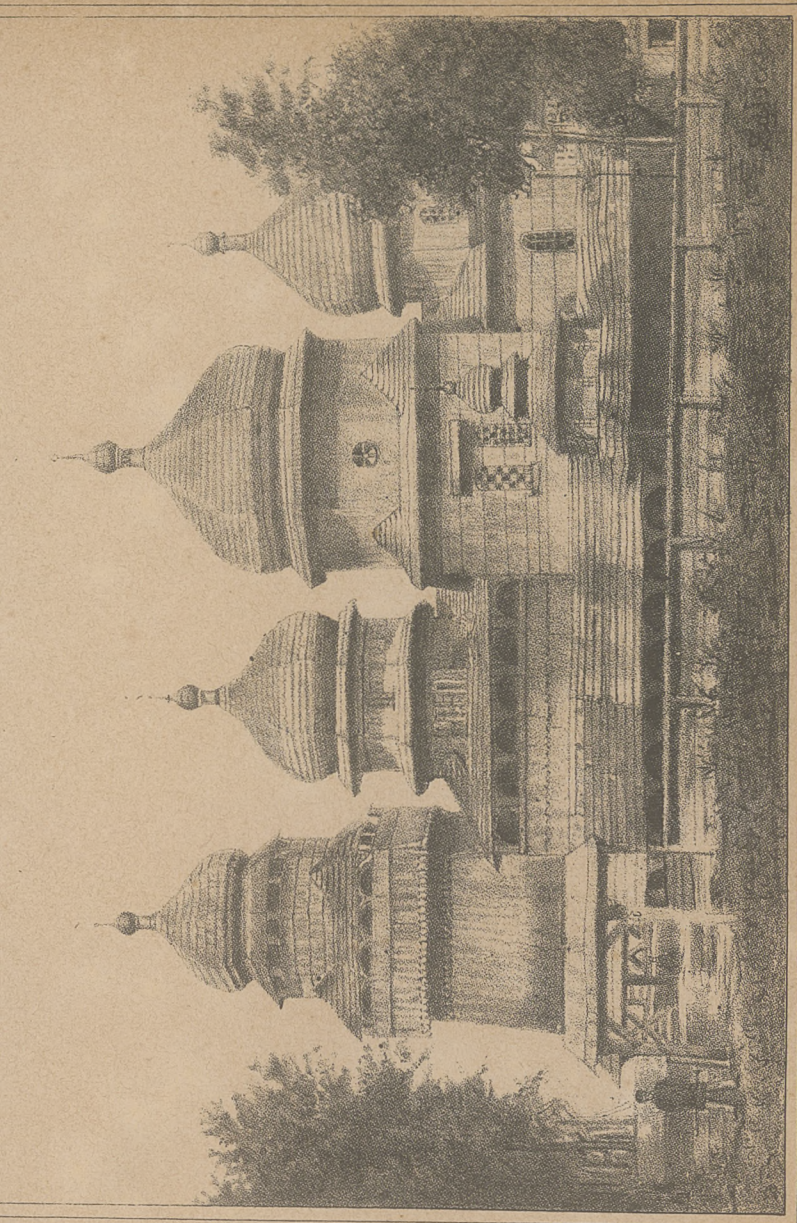
O stylu nadwiślańskim i wzorze do niego napiszemy w przyszłym roczniku; tu niech nam wolno

---

\*) Pod tym tytułem otwieramy niniejszem stałą rubrykę celem opisanie i ilustrowania w naszych rocznikach budowli mniej znanych publiczności a zasługujących na opisanie bądźto ze względu na starożytność, bądź ze względu na szczególniejszą konstrukcję. I takich budowli pamiątkowych jest dosyć w Galicji, więcej może niżli przypuszczają ci co jeszcze nie zgłębiali wnętrza kraju. Z pomiędzy wielu takich budynków przytaczamy cerkiew św. Jura i kościół rzymsko-katolicki w Drohobyczu, synagogi w Dąbrowie i Żółkwi, i mamy nadzieję, że się przysłużymy publiczności, podając jej wierny opis tych zabytków przeszłości.

(Przyp. red.)





z litografii Twarczyńskiego: Lwów.

Podług fotografii Zygm. Freyda w Drohobyczu.

CERKIEW Ś<sup>W</sup> JURA W DROHOBYCZU.



będzie kilka słów o stylu ukraińskim powiedzieć, dołączając doń wzór cerkwi św. Jura w Drohobyczu.

Dowiedziona jest rzeczą, że Sławianie przez małą Azję i przez Kaukaz do Europy z Indyj się dostali; dowiedziona jest dalej rzeczą, że Sławianin nadzwyczaj powoli nabywa nowych darów świata go otaczającego, ale za to również powoli zapomina i zaniedbuje już raz nabyte i przyjęte.

Jeśliby nawet i innych dowodów na to nie było, że Sławianin z Indyj do Europy przybył, to styl ukraiński budowli domów Bożych przypominający tak żywo style indyjskie, mianowicie co do układu świątyń i co do ilości jakoteż formy kopuł, byłby na to istotnie nader dostatecznym dowodem. — Znając religijność Sławian i tychże charakter zachowawczy, nie wahamy się twierdzić, że budują obecnie jeszcze swe świątynie jak przed kilku tysięcy lat.

Nieznany nam jest stan architektonicznej zachowawczości na Ukrainie — bo trudny tam obecnie przystęp dla usamowolnionego życia konstytucyjnym w Austro-Węgrzech — Polaka lub Rusina — a zaś zajmowanie się zabytkami tego rodzaju architektonicznych zabytków, dopiero obecnie w nas się rozpowszechniać poczyna; nie możemy zatem pisać o stylu tym na Ukrainie — ale u nas w Galicji, osobliwie w ostatnich lat dziesiątkach, to tak styl ten ukraiński pomasakrowano rozmaitego rodzaju naleciałościami, że się niemal rzadkością staje ów styl czysty w naszych stronach.

Wspomniemy tylko owe cerkwie t. z. Józefińskie, które kamera stawiała według wzoru w Wiedniu sfabrykowanego. — wzoru wyglądającego na urlopnika wracającego do swej rodzinnej wsi — w „Holzmütze“ i wytartych kusych szarawarach, lub na proste owczarnie bez stylu i estetycznego smaku, — nigdy jednak na domy Boże. W skutek takich wzorów i niedouczonej tumanów inżynierskich, poczynają się u nas zacierać pierwotne typy ukraińskiego stylu cerkwi naszych i styl ten bywa zastępywany szatrami renesansowymi z niezgrabnie i niefortunnie ponacze pianiami fatalnemi cybulami u dachu, zwanemi jeszcze zawsze, acz beczelnie „kopułami.“ — Ten sam zarzut dotyczy i dzwonnicy. —

Wypełniając więc miły obowiązek, nałożony na nas przez miłość ojczyzny i jej zabytków, podajemy niniejszem ilustrację cerkwi św. Jura na przedmieściu Zawieźna w Drohobyczu według fotografii Zygmunta Freya, jako pierwowzór stylu ukraińskiego zachowanego do tej pory mimo trzechwiekowego zaniedbania i braku wszelkich rozumnych fachowych restauracyj.

Cerkiew ta stawiana według ludowego podania r. 1525 za Zygmunta Starego z inicjatywy królowej Bony — z drzewa modrzewiowego na pniakach dębowych, niemal cała gontem kryta w formie krzyża, mierzy 20 metrów długości a 12 metrów szerokości, oraz 20 metrów wysokości. — Składa się ta cerkiew z trzech kopuł na głównej nawie i dwóch kopułek na bocznych kapliczkach. Na przedłużnym ośmiogranie, przedzielonym czworobokiem głównej wieży, wspina się czworobok obu bocznych wież większych, które znów ośmiogrannymi się stają. — Tak samo i dzwonnica.

Zwracamy uwagę na prześliczne formy wszystkich sześciu kopuł, a mianowicie na zachodnią samej cerkwi i na kopułki, oraz formę małych bocznych kapliczek. Wewnątrz cerkiew ma jak zwykle wieki ołtarz i carskie wrota — jakoteż dwa inne ołtarzyki, ale śladów starożytności trudno dopatrzeć pod grubym narzutem późniejszych naleciałości. Jedyne chór malowany w roku 1621, jak świadczy napis ruski, do dziś dnia dobrze zachowany — zwraca uwagę niezwykłym umieszczeniem w środku między zachodnią a środkową kopułą na pierwszym niejako piątrze. Małe rozmiary wnętrza rozszerzono gankiem na dole w okół cerkwi i na górze zewnątrz w około zachodniej kopuły. Skoro zaś chór malowano i ten fakt zapisano osobno w r. 1621, to musiała cerkiew niezawodnie stanąć pierwiej. Bądź co bądź, starość jej przebija się z każdej linii i ze stanu materiału modrzewiowego. Aktów starych ani śladu. —

Ponieważ cerkiew ta grozi obecnie upadkiem a starożytność tejże zwraca na siebie uwagę, więc konserwator pomników Dr. Wojciech hr. Dzieduszycki zajął się odnowieniem i tego zabytku sztuki naszej rodzinnej, a odnowienie ma się w roku przyszłym

przeprowadzić pod nadzorem inżyniera — architektury Edmunda Leona Ostoji Soleckiego, autora niniejszego artykułu i odnowiciela r. k. kościoła w Drohobyczu, stawianego w pierwszych latach 15-go stulecia w stylu romańskim ostrołukowym.

---

## Wiara, nadzieja i miłość

(z Zedlitza.)

---

Wiara świętą niech uzbroję serce,  
A nadziei promyk niech mi lśni  
O miłości niechaj dusza śni  
W rozłączeniu w bólach i w rozterce:  
A choć z niebios grom  
Mój zapali dom,  
Promień boży będzie tłał w iskierce.  
Tak! zaklinam się na wszystkie logi!  
Na te pieśni, które Bóg mi dał,  
Na ten dziki namiętności szal,  
Wierzę w stałość, w wierność mojej drogiej!  
To nie zmysłów gra,  
Co nas złączyć ma.  
Miłość nie zna skruchy, ani trwogi!  
Nie! nie zmysłów próżna to uluda,  
Co mię pchnęła w niezgłębioną toń;  
Namaszczenie odświeżyło skroń,  
To niebiosów święte były cuda,  
Boga to był głos.  
Co mi wytknął los,  
Ani żaden fałsz, ni też obłuda!  
Niech obłudą cały świat przegnije,  
Światła promień bije z oczu Jej,  
Przenikając głębie duszy mej;  
W rysach tych obłuda się nie kryje!  
Prawdy jest to blask,

Słońca zdroj i łask,  
Prawdą słowa, jeśli prawdą czyje!  
Więc nadzieja w sercu się ułoży,  
Wiara w Ciebie się rozgości w niem!  
W blasku jutrzni boskiem tchnieniem Twem  
Ty mię olśniesz jak gołabek boży;  
Duszy chorej zmrok  
Twój rozprószy wzrok  
I pokrzepi w smutku uśmiech hoży.  
Spłyn z niebiosów na stroskaną głowę,  
Tchnieniem boskiem ulecz serca wrzód,  
Balsamiczny niech nań wionie chłód;  
Niech znów serce bije wolne, zdrowe.  
Niech Twój wzrok mi lśni  
Wśród pochmurnych dni,  
Jak wśród nocy światło księżycowe.  
Już nadzieja błoga mi zaświta,  
Serce budząc z odwiecznego snu;  
Odrodź się, wesela piękny dniu,  
Niech cię dźwięk wesolej pieśni wita!  
Światło cudne! świeć!  
Promień boży wznieć!  
W tobie niebo duszy mej zakwita!  
Ha! już zdradza serca silne bicie,  
Jakiej mój przemiany doznał los;  
Wszak to ona, co poznała głos  
I do serca mię przyciska skrycie!  
Czując szczęście swe  
Bije łono me,  
Zdrój wesela tryska zeń obficie!  
Światło boże! źródle cnót i wiary,  
Co oświecasz życia mego noc;  
Twórcy święta cię wskrzesiła moc,  
Tchnieniem Jego wzrastasz ty bez miary!  
Chłoń mię, światło, chłoń!  
W twą niech skoczę toń,  
Ginąc w świetle jak w ogniu ofiary!  
Czemuż tak uboga moja mowa,  
Ze dla duszy słów natchnionych brak?  
Czemuż pieśnie me brzmią zimno tak?  
Na uczucie me czyż nie ma słowa?  
W sercu tli się żar,

Lecz mi obcy dar,  
Wypowiadać o czem myśli głowa!  
Ale Ty, o luba! wiesz czem życie,  
Gdy miłości wątek zacznie snuć,  
Pocałunku da nam słodycz czuć,  
Dwojga serc czuć przyspieszone bicie;  
Wśród tęczywych snów  
Ty nie słyszysz słów,  
Lecz wymowę czujesz ich obficie.  
Czujesz ją i ramię Twe przyciska  
Przyjaciela w szale niemym, w śnie,  
Tak jak się po drzewie w górę pnie  
Winokrzewu gałąź młoda, ślizka:  
Wśród całunów, łez  
Szczęścia nadszedł kres  
I nadgrodeń świętą miłość zyska!

(Sambor, 25. Kwietnia 1881.)

*G. Kohn.*

# Jak sobie kto pościele, tak się wyspi.

Powieść z rzeczywistego życia

przez

*Marję Grochowalską.*

W roku 1857 miałem lat 23. głowę pełną ideałów najpocziwszą i bez granic kochającą mnie matkę ładną i dobrą kuzyneczkę Jadzię, która wraz z matką przysięgała, że mało jest podobnie pięknych mężczyzn, jak najniższy sługa najszanowniejszych czytelniczek, do tego wioskę intratną i bez długów a w bliskiej perspektywie kilkadziesiąt tysięcy spadku po wuju mateczki mojej, — oprócz kuzyneczki z bławatnemi oczkami i z rumianą buzią — jedynym krewnym, jakiego posiadałem na całej kuli ziemskiej.

No, przyznacie mi państwo, że położenie moje nie było bardzo pożałowania godne i droga do szczęścia zdawała się gładka i pewna: wyciągnąć tylko rękę po nie a mogłem to pierzchliwe ptaszę, szczęściem zwane złapać łatwo, bo samo lgnęło do mnie w postaci... ej! dajmy spokój... na co wspominać o tem, za czem serce płacze... Lepiej już, mając chęć zapoznać łaskawych czytelników ze sobą, zróbmy to porządnie, jak Bóg przykazał — bo już też z tego wszystkiego, co napisałem, najmądrzejszy mądrym nie będzie.

Matka moja była jedynaczką wypieszczoną, wycackaną od starego ojca, któremu ukochana żona po jednorocznem z nim pożyciu, zostawiła na pamiątkę w spuściznie śliczną Helusię i którego tylko dziecię to



zatrzymało przy życiu po śmierci żony. Wtedy bo moje państwo, ludzie jakoś inaczej kochali, mniej było westchnień i szalu, mniej przysiąg nawet, ale gdy małżeństwo skojarzyło się z prawdziwego przywiązania a Bogu podobało się, śmiercią ich rozłączyć, to często pozostały wdowiec lub wdowa póty tęsknili, aż Bóg zmiłował się i złączył ich znowu w lepszym świecie. I dziadek mój po śmierci żony długo oprzytomnieć nie mógł, śmierć jej bowiem spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Szczęście jeszcze, że o mie-dzę od niego mieszkał dawny, a lat kilka młodszy przyjaciel, który nie odstępował go prawie tak dalece, że gdy dziadek chwilami usnął, on oglądał co się z nim dzieje, wyłajał, nakrzyczał, często i czynnie wytuzował kogo. Ekonomowi przemówił do sumienia, zmienił bieliznę, oglądał psy i konie faworyty i co prędzej powracał do osłupiałego z bólu serdecznego przyjaciela, do kołyski małej sierotki, do której pro-wadził ojca, zwracał jego uwagę na uśmiech aniołka, na rączki malutkie, na płacz, którem się upominała dziecina o część miłości ojca spadłej na nią w spu-szczeniu po matce. I tak dziecię w spółce z przyjacie-lem dowodzili swego; bo nareszcie dziadek kazał ko-lebkę wnieść do swojego pokoju i usypiał dziecinę piosen-ką, która się zwykle kończyła łzami. Maluska zaś Helusia w przymierzu z panem Kiryckim sprowadzili dziadka znowu na pole działania i pracy, do stanu normalnego. I rosła dziewczynka kochana, pieszczona, dogad-zana w życzeniach swoich. Odgadywano jej myśli, spełniano marzenia, a kłócili się jeszcze obaj przyja-ciele między sobą o to, że za mało ma wygod, za mało miłości, i na tem polu często powstawały głośne sprzeczki, przychodziło nawet do uniesień starych wia-rusów, a kończyło się na bratnim podaniu dłoni, łzie spadającej na sumiaste wąsy i całowania po białut-kich rączkach Halusi. A gdy dziewczynka skończyła lat dziesięć, przyszło nareszcie na myśl ojcu i przy-jacielowi, że chociaż nauka utrudzi i zmęczy jasną główkę, przecież nie podobna, żeby choć pisać i czy-tać nie umiała.

Ile też to było narad i kłopotów pod tym wzglę-dem. O oddaniu dziecka z domu nie pomysłano je-

dnak ani półstówkiem. Najprzód więc sami obaj przyjaciele wzięli się do tego trudnego zadania; ale dziewczyna śmiała się z nich obydwóch a od książki uciekała i godzinami całemi szukać ją musiano.

I znowu minął rok cały, a Halusia ani z jedną nie zapoznała się literką, pióra ani w rękę nie miała, lalki spoczywały w kącie bez sukienek, bo igła była jej wstrętną; ale za to skacząc i biegając cały dzionek boży, śpiewała jak skowronek, wiedziała która krówka najwięcej mleka daje, która czubatka najlepiej się niesie i kto we wsi najbardziej potrzebuje chleba. Smarzyła doskonale makagigi i różnokolorowemi wstążkami przystrajała długie jasne warkocze. I zdaje się, że dziewczyna dorosłaby była w tej zupełnej nieświadomości nauki, gdyby przypadek nie był się wmięszal w tę sprawę.

Miejscowy paroch obrządku grecko-katolickiego, staruszek zgrzybiały umarł, a na miejsce jego przybył ksiądz młody jeszcze, wdowiec mający także jedną tylko córeczkę Malunię, o parę miesięcy młodszą od Halusi. Ksiądz Hładyewicz był wprawdzie nie bardzo przyjaźny narodowości laszej, w małej cerkiewce przeprowadzał wiele odmian, na które w milczeniu choć niechętnie patrzył ludźk zgromadzony; był to jednak człowiek nowej szkoły, inteligentny i posiadający wiele nauki a kochający jedyne dziecko z całym zaparciem się uczuć nawet ojcowskich. Kochając i ceniąc naukę, dalekim był od tych, którzy twierdzą, że kobiecie jest ona ani przystępna ani potrzebna, choć więc serce jego rwało się do ukochanego dziecięcia, potrafił zapanować nad uczuciem i rozłączył się z córeczką, oddając ją do najlepszego pensjonatu w stolicy.

Dziewczynka wątła i delikatna, choć w równym prawie wieku z Halusią, niższą była od niej o pół głowy, bledziutką lecz ładną i zajmującą przedwczesnem moralnem i umysłowem rozwinięciem, które tryślało z pełnych wyrazu ciemnych oczek, a przytem była istnem przeciwieństwem z śliczną, białą i rumianą, pełną życia i zdrowia, lecz pozbawioną wszelkiej nauki Halusią.

Gdy na wakacje z pierwszym celującym stopniem przywiózł ją ojciec szczęśliwy do domu, a po kilku

dniach wypoczynku wziął ją ze sobą do dworku dziadka mojego, zawstydzili się i posmutnieli obaj przyjaciele, patrząc na swoją pieszczoszkę, która wzrostem i pięknością o tyle wyżej, o ile wychowaniem niżej stała od bladej, mądrej córeczki parocha. Halusia złotem serduszkim swoim prędko przyłgnęła do pierwszej towarzyszki, jakie jej niebo zesłało, nie mogła ją jednak pociągnąć swawolą ku sobie, natomiast bezwiednie zapragnęła czegoś, czemby mogła dorównać jedynej przyjaciółce, która z rozumem i powagą matki zajęła się wkrótce wychowaniem Halusi — a ta, która przez rok cały nie mogła się nauczyć czytać ani pisać, nim skończyły się wakacje, czytała płynnie i pisała zawzięcie a nawet dowiedziała się nareszcie, że jest jakiś świat inny niżli solwark rodzica, przeszłość dawniejsza jak jej życia i przyszłość, do której się dąży Bożą łaską, lecz własną wolą i rozumem. Fenomenalne bo też to było dziecko, ta ciemnowłosa Malunia — cicha i spokojna — zdawało się cała w sobie zamknięta, a jednak po kilku słowach wyrzeczonych, zdumiewać się trzeba było nad przemianą, która w niej następowała. Głos cichy i nieśmiały zwykle, brzmiał donośnie, oczy pały, twarzyczka się rumieniła szkarłatem; zdawało się, że wszystko co miała w sobie, magnetycznie wlewa w nierozumiejącą ją, lecz korzącą się przed nią mimowoli Halusią, której ojciec jakoteż p. Kirycki, obaj zacni i szlachetni charakterem nieposzlakowanej prawości, lecz zacofani pod względem wyobrażeń wiedzy, prawie się bali, jakby jakiegoś nienaturalnego zjawiska, a jednak błogosławili, że ich Halusia z taką łatwością tyle rzeczy przyswoiła sobie od niej.

Gdy się wakacje skończyły, Malunia odjechała a Halusia posmutniała. Nie biegała już tak często do krówek i czubatych kurek swoich, nie znajdowała już tyle przyjemności w zabawie z wiejską czeladzią i pytała często ojca i ojczuszka (jak nazywała p. Kiryckiego) o wytłumaczenie rzeczy, na które biedacy, choć się pocili od wstydu, odpowiedzieć jej nie mogli. Znowu więc złożono walną naradę, której tą razą przewodniczył ks. Hładyewicz i nie tylko uradzono, ale sprowadzono do domu daleką kuzynkę, która się

nareszcie zajęła wychowaniem dziewczynki. Halusia o ile przedtem niechętna, tyle teraz pragnąca nauki, wzięła się do niej szczerze, by koniecznie stać się podobną ideałowi swojemu Maluni, z którą jednak jedne już tylko wakacje spędziła. Ksiądz Hładyewicz bowiem postarał się o lepiej dotowane probostwo, które otrzymawszy, odjechał w dalekie strony. Trzy lata minęły od tej pory i ani się nie spostrzeżono, kiedy Halusia rozwinęła się w piękną piętnastoletnią panienkę. Od roku odjechała już nauczycielka do jedyne go wdowiatego syna, wzywającego matkę do pomocy przy wychowaniu pięcioro drobnych sierot a ojciec i opiekun zawyrokowali, że umie aż nadto już wiele, że i tak rumiane liczko spęzło od zbytniego natężenia przy nauce, które gdyby trwało dłużej, mogłoby zagrozić utratą zdrowia. Halusia więc w 15tym roku bujała wolna jak ptaszek, a tak jej dobrze było na świecie w cichym zakątku, że nawet myślą nie wybiegła dalej. Ale wszystko ma nareszcie swój koniec. Ojciec zaczął coś niedomagać, traktował to lekko, bo niechorując nigdy, nie znał niebezpieczeństwa choroby, w lekarzy nie wierzył, a gdy po kilku tygodniach posłano nareszcie po cyrulika, by krew puścił — krew sączyła się już tylko czarnym sznureczkiem, obsitym za to potokiem płynęły łzy po schorzałej twarzy, łzy żalu i trwogi o najdroższe dziecię. — — —

— Czuję że umieram — rzekł do zmartwiałego z bólu przyjaciela. Cóż się stanie z moim dziecięciem biednym? — i łamał wychudłe ręce z rozpaczą.

— Twoje dziecię będzie mojem, jeżeli się Bogu podoba, zabrac cię prędzej jak mnie z tego świata — jęknął Kirycki łkając prawie.

— Bóg ci zapłaci, szepnął chory — o jakbym spokojnie umierał, gdyby — i zamilkł nagle, jakby zdumiony własnym pomysłem.

— Gdyby? — powtórzył przyjaciel. Powiedz jeżeli jest coś, co ci może choć chwilę spokoju okupić, postaram się o to, bądź pewnym...

— Gdyby — rzekł szeptaając prawie osłabły — gdyby Halusia została żoną twoją...

Pięćdziesięcioletni Kirycki aż odskoczył od łóżka chorego.

— Zlitujże się! — zawołał, jam stary!

— Ale ona młoda i aż do roztrzepania żywa i kapryśna. Piętnasty rok, mój Boże! Majątek jak taki jest... życia i ludzi ona nie zna... Pierwszy lepszy owałdnie dziewczyną — obalamuci — a potem ona oczy wypłacze... bo tak jak ja i ty nikt kochać jej nie będzie — dogadzać i pieścić... Biedne, och biedne moje dziecko!...

Nie skończył jeszcze słów tych chory, gdy wbiegła Halusia w jasnej sukience i niebieskich wstążkach u jasnych warkoczów, z uśmiechem na ustach korallowych a łzami w modrych oczętach, trzymając w rękę białego jak śnieg kotka.

— Widzisz tatuńciu — i ze skargą przytuliła się do ręki ojcowskiej — ktoś złamał Mirce nóżkę.

A wymawiając te słowa, nie przeczuwała nawet sieroctwa, które nad nią wisiało.

— Połóż kota, dziecię i posłuchaj mnie — słabym lecz stanowczym głosem rzekł ojciec. Lada chwila umrę — a ty biedaczko zostaniesz samą — sierotą...

Dziewczynie kotek jak śnieg biały wysunął się z rączek, a żywy rumieniec zmienił się w błądź śmiertelną. Oczy stały się większe wyrazem przestachu, osunęła się na kolana przy łożu ojcowskim, obejmując jego nogi z strasznym wykrzykiem: „Tatuńciu!“ i boleśne łkanie rozdarło piersi dziewczęcia....

— Nie płacz! — szepnął ojciec, któremu nie wiedzieć z kąd w chwili przedśmiertnej energii przybyło... nie płacz, dziecko jedyne i najdroższe moje... Nie odbieraj mi jękiem swoim przytomności umysłu przed pojednaniem się z Bogiem... Bóg łaskaw... nie opuści cię...

— Tatuńciu! tatuńciu! — jęczało dziewczę, całując kostniejące już nogi jego.

— Halusiu! Halusiu! — szeptał Kirycki chcąc podnieść łkającą i myjąc łzami białe ręce dziewczęcia...

— Jeżeli mnie kochasz, Halusiu, uspokój się — mówił cicho umierający... każdy człowiek umierać musi, i mnie żal rozstawać się z tobą... ale cóż robić! Bóg ojcem sierot... Tyś szczęśliwsza od innych... zostaje ci przyjaciel i opiekun kochający cię tyle pra-

wie co ja... Nie zostajesz samą — Halusiu — dodał ciszej jeszcze głosem prośby... Zostań jego żoną... spokojniej umrę...

— Zostań moją żoną — ciszej jeszcze jak umierający szepnął Kazimierz, wstydząc się narzuconej roli. Zastąpię ci ojca i dbać będę tylko o szczęście twoje, Halusiu...

Rozpłakana dziewczyna jedną ręką obejmowała nogi chorego, drugą sięgnęła po dłoń zacną, która miała ją poprowadzić przez życie, i jak tyle razy tak i teraz poniosła ją do ust swoich. Tak się odbyły zaręczyny przy konającym na łożu boleści ojcu piętnastoletniej Hali i 50-letniego Kazimierza. Bóg ulitował się nad umierającym i zatrzymał go jeszcze przy życiu przez kilka tygodni, w których odbył się ślub najmilszej mu pary, a on błogosławiąc im, był prawie szczęśliwy, bo tak mu się polepszyło, że ludzono się nawet powrotem jego do zdrowia. Halusia była wesoła i szczęśliwa tak nadzieją wyzdrowienia ojca, jak powagą, którą chciała sobie koniecznie przyswoić. Kazimierz tylko był jakby odurzony, onieśmielony i zawstydzony.

W kilka dni po ślubie dopaliła się słabo tlejąca lampa życia chorego, młodzi małżonkowie siedzieli i czuwali przy śpiącym spokojnie popołudniu, gdy raptem usłyszeli jakieś mocniejsze chrapnięcie — głowa zsunęła się niżej, a Kazimierz na rękach wyniósł z pokoju omdlałą żonę. Opisywać żalu córki i przyjaciela nie poważałbym się nawet: kto nie doznał chwil takich, ten nie pojmie boleści ogromu nad trumną ukochanej istoty; kto zaś przeszedł przez ten czyściec na ziemi, ten odczuje jęk sieroty przy martwych zwłokach rodzica. Ale wszystko mija przecież, a od czegoż ten skarb największy: młodość? Hali otarły łezki pieszczoty i dogadzania męża, którego kochała jak pierwaj przywiązaniem od dzieciństwa i wdzięcznością bez granic za jedwabne życie, jakim ją otoczył a które ozłociło się jeszcze jaśniejszym promykiem po roku, gdy w kolebce zakwilił z pełnej i zdrowej piersi bohater tej powieści i najpokorniejszy sługa szanownych czytelników i pięknych czytelniczek.

Przyjście na świat pierwородnego dziecięcia, czy to w pałacach bogaczy czy w lepiance ubogich, jest zawsze oczekiwane z upragnieniem i witane radośnie, cóż dopiero gdy dziedzic mienia i imienia przybywa niespodziewanie już dla człowieka, który stojąc w latach późnej jesieni samotnie, przestał już nawet marzyć o szczęściu ojcowstwa. Ojciec mój bowiem kochając raz w życiu całą duszą panienkę nieprzystępną dla niego pozycji, gdy ją pomimo łez biedaczki, wydano za kogo innego i gdy ta po kilku latach nie szczęśliwego pożycia umarła, zrobił rozbrat z myślą nawet o małżeństwie przechowując wiernie w sercu pamięć ukochanej. Gdy po kilkunastu latach jedyny jego przyjaciel a mój dziadek owdowiał, patrząc na jego ból serdeczny, dziękował Bogu za to, że jako kawaler nie był wystawiony na stratę podobnie dotkliwą, a do malutkiej Halusi przywiązał się jak do własnego, najdroższego dziecięcia; dla niej przeznaczył swój mająteczek, mysl o niej i jej przyszłości zapelniała wszystkie jego życia chwile, i nie przeczuwał nawet, że bliższem jeszcze węzłem wola umierającego przyjaciela z nią go zwiąże. Z początku też zmiana stosunku opiekuna i prawie ojca na męża 15 letniej, ślicznej i ukochanej dziewczynki onieśmiałała go i zawstydziała prawie. Widząc jednak młodzietką żonę wesołą, szczęśliwą i z każdym dniem okazującą mu więcej przywiązania — cóż dziwnego, że gdy ta ukochana i uroczą istotką obdarzyła go oprócz swej miłości jeszcze synem, ojciec mój padł na kolana, dziękując Bogu za szczęście, na wysłowienie którego słów nawet znaleźć nie był w stanie.

Wyobraźcie więc sobie, łaskawi czytelnicy moi, w jakich warunkach i pod jakimi wpływami upłynęły pierwsze moje lata dziecięce pod nadzorem kochającego ojca i matki, nie pojmującej nawet, że dziecię można prowadzić inaczej niż samą miłością.

Musiałem rzeczywiście z krwi ojca i mleka matki mieć w żyłach moich nie małą dozę szlachetności i prawości, ponieważ przy takim wychowaniu nie stałem się uosobionym nicponiem. Sześć lat miałem, gdy nastąpiła straszna katastrofa nagłej śmierci ojca. Pamiętam jak dziś, siedzieliśmy przy wieczerzy, ja przechodziłem

z ramion matki do ojca, gdy naraz usłyszeliśmy krzyk przenikliwy na dziedzińcu. Wybiegli rodzice i ja za nimi, choć byłem już tylko w koszulce. Jeden z parobków ze skrwawioną okropnie głową, przypadł do nóg ojca, skarżąc się na zbyt srogą karę karbowego, który biegł za nim, wywijając harapem i głośnym krzykiem oskarżając go o jakieś złodziejstwo. Ojciec zirytował się okropnie bo czego nigdy nie widziałem — uderzył kilka razy w twarz karbowego, matka płakała odciągając go siłą mocą do pokoju, ja krzychałem w niebogłoso, wtorując obydwom pobitym.

Nad ranem zbudziła mnie stara piastunka zapłakana, wzięła opierającego się na ręce i poniosła do drugiego pokoju. Scena która mi się przedstawiła, zanadto była bolesna, by kiedykolwiek wyjść mogła z mej pamięci. Ojciec leżał na sofie czerwony barwą fioletu, po pas obnazony. Ekonom i furman z całej siły tarli mu pierś szczotkami, matka jak widmo blada w nocnym kaftaniku z szeroko rozwartymi oczyma, stała przy nich bez głosu w piersi, bez łzy w oku. Piastunka widokiem moim chciała ją do przytomności doprowadzić i udało się pocziwej słudze, bo gdy moją rękę w trupiozimną jej dłoń włożyła i zanosząc się od płaczu rzekła: „Pani! a dziecko?” — matka moja porwała mnie na ręce i załkawszy boleśnie, krzyknęła: „Sierota!” Obudziła się jednak ze stanu martwoty i została uratowaną. Słowa wkrótce przybyłych lekarza i księdza wywarły także wpływ zbawienny na biedną kobietę, gdyż sprowadziły ją na drogę rozumnej i chrześcijańskiej rezygnacji, wskazując obowiązki jakie teraz podwójnie zaciężyły na jej barkach względem wychowania jedyne go syna.

Matka więc moja w 22m roku została wdową i wolną, panią dość znacznej fortunki po własnym ojcu i nierównie znaczniejszego majątku po mężu, gdyż tenże zaraz po ślubie notarialnie zapisał jej wszystko, ani przeczuwając, że Bóg pobłogosławi pocziwe ich stadło dziecięcim, jak też w późniejszym szczęściu nie dopuszczając nawet myśli tak nagłej śmierci.

Nim upłynął czas żałoby nawet, liczni wielbicieli poczęli się ubiegać o rączkę i majątek młodej i ładnej wdówki, która wróciwszy wkrótce do dawnej wesoło-



ści, przyjmowała gości i śmiała się z oświadczeń, nie wybierając nikogo, aż pomału znudzeni wyczekiwaniem i widocznym lekceważeniem tej, do której zwracali swe zabiegi, mnodzy konkurenci opuścili swe stanowiska zaczępane i usunęli się na bok.

Matka moja cała mnie się tylko oddała, zapomniawszy zupełnie o własnem należącym jej się jeszcze szczęściu. Miałem już lat 14 i mieszkaliśmy już wtedy dla mej edukacji w mieście, gdy zaczął często u nas bywać młody, przystojny i posiadający szacunek i zaufanie ogólne sąsiad nasz, bo lokator tej samej kamienicy, doktor. Nie poważyłbym się uchylić rąbka tajemnicy w sercu mej ślicznej i drogiej mateczki — wiem tylko, że nigdy nie była piękniejszą jak wtedy, gdy on wchodził do pokoju, nigdy jej modre oczy i różane usta nie śmiały się rozkoszniej, jak w rozmowie z nim i nigdy niecierpliwiej nie spoglądała na wskazówki zegara, jak gdy 7ma uderzyła a młodego doktora, którego i ja bardzo lubiłem, nie było.

Bywał już dwa lata u nas, codzień milej widziany, gdy po długiej raz z matką moją rozmowie, z której oboje wyszli bladzi i jakby pochyleni smutkiem, bywać u nas zaprzestał. W parę tygodni później zaglądał raz jeszcze do nas, zmieniony do niepoznania, pożegnał nas kilkoma słowy zaledwie, i tego samego dnia wyjechał zupełnie, przenosząc się w dalekie strony. Po jego odejściu, matka moja wyszła do drugiego pokoju i usłyszałem płacz jej i łkanie gwałtownie tłumione. Łzy mojej matki paliły mnie gdyby roztopione żelazo, a miałem już wówczas lat 16 i pojmowałem, że we łzach, nad którymi nie miała siły zapanować, rozgrywał się dramat serdeczny. Ukłakłem więc przed nią i zapytałem z wyrzutem :

— Mateczko! dla czego mu pozwalasz odjeżdżać?

— Bo ci nie chcę dać ojczyzna, moje dziecko najdroższe! Nie, nie, nie chcę, choćby serce z bolu pęknąć miało. —

I ta święta matka moja zawisła na mojej szyi, jakby w uścisku tym szukała siły i oparcia! A ja, czy wywdzięczyłem się też matce kochanej za dobro-

wolne jej zrzeczenie się szczęścia, które jej się przecież należało w życiu?! Och! dzieci, dzieci! Jakże łatwo zaciągacie święte obowiązki względem rodziców a jak niesumiennie je wypełniacie! —

Upłynęły lata od tego czasu. W epoce, w której zacząłem moją powieść, miałem — jakem powiedział — lat 23, mieszkałem we Lwowie, z ukochaną moją i piękną dziś jeszcze mateczką i kuzyneczką Jadzią, milutką, ładniutką i tak czule na mnie spoglądającą bławatnemi oczkami, że chwilami jakieś nader miłe uczucie mną owładnęło. A muszę też pięknym moim łaskawym czytelniczkom powiedzieć, z kąd się właściwie w domu naszym wzięła ta spadła nam z nieba kuzynka.

Darujcie staremu gadule, że chętnie zatrzymując się na wspomnieniach, powodowany własnym egoizmem sędzę że i was nie nudzę i nie chcę ani wiedzieć ani słyszeć waszego ziewania. Przebaczcie i wierzcie, że gdy i wasze jasne i ciemne warkoczce szron jesieni popruszy, to i wy chętnie odgrzebywać będziecie wspomnienie chwil minionych, chociażby ono wam łzy do ocz napędzało.

Mając cokolwiek zdolności i idąc za popędem własnego upodobania zapisałem się do kółka literatów zajmując wśród nich bardzo skromne stanowisko. Lubiano mnie jednak i chętnie zużytkowywano płody mojego pióra. Nie wiele zapewne w utworach moich było wartości pod względem wiedzy, ale było za to nie mało niekłamane go zapału, uczucia miłości, które przeczuciem dopiero pierś młodą rozpierało i lekkości stylu, który jeden z luminarzy naszej literatury a surowy krytyk nazwał „salonowym,” co mi nie małą wziętość u innych zjednało.

Otóż wróciwszy raz z jakiegoś śniadania sutego, na którym wiele miano radzić a skończono na sutej zastawie i rześzystych kielichach, wbrew zwyczajowi zastać matkę moją wesolą i uśmiechniętą — widziałem ją zafrasowaną i ze śladami łez w oczach.

— Co się stało, mateczko moja? — zapytałem, całując jej rękę.

— Nic, moje dziecko — odrzekła. Odebrałam wiadomość, że cioteczna siostra mej dalekiej ze strony

matki krewnej umarła a szesnastoletnia jej córka, której nawet nie znam, pomimo pięknego majątku została zupełnie osierocona, bo ojciec dawniej już umarł. Co to biedactwo samo pocznie, mając nikogo już z rodziny? — i łzy potoczyły się po licach mówiącej.

— Weź ją mamó do siebie — odezwałem się bezmyślnie. Otoczmy ją ciepłym rodzimym kącikiem i dobrze jej z nami będzie.

— Dobrze, pocziwe moje dziecko! — zawołała matka i przytuliła mnie do siebie z miłością.

W godzinę później wrzucałem do skrzynki pocztowej list, napisany w imieniu mej matki a zapraszający z całą serdecznością w dom nasz osieroconą cioteczno-wujeczną w szóstym stopniu kuzynkę. Oczekiwaliśmy ją przez dwa tygodnie, spodziewając się codziennie jej przybycia, zamiast którego nareszcie odebraliśmy list zroszony łzami, a wyrażający nam wdzięczność piszącej, ale oraz oznajmujący, że czując szczerze powołanie do życia klasztornego kuzynka nasza Bogu się poświęca. Matka moja zapłakała, ale unosiła się równocześnie nad bogobożnym postanowieniem szesnastoletniej dziewczyny, ja zaś w skrytości serca przesłałem jej krzyżyk na drogę w mury klasztorne i odetchnąłem swobodnie, bo tak mi dobrze było we dwoje z matką kochaną, że intruz który miał się między nas wcisnąć i zmieszać porządek codziennego życia wcale nie był dla mnie pożądany, zwłaszcza że jako 20 letni mężczyzna uważałem ją za podlotka za ledwie. Po kilku dniach zapomnieliśmy o tej, która dni czternaście nas zajmowała sobą. Jakież było więc zdziwienie moje, gdy w niespełna półroku potem wróciwszy z teatru, zastałem przy herbacie matkę moją rozinawiającą z jakąś bardzo szykowną panienką w żalobie.

— To zapewne Witold! — zawołała porwawszy się z krzeselka i podając mi małą rączkę. A to ja — Jadzia, byłabym umarła w klasztorze; toż tak im dokuczałam, aż mnie wypędzili. Cha cha cha! — śmiała się pusto. Nie, nie! tak źle nie było, a opowiedziałam opiekunowi, że się uduszę, jak mnie tam dłużej zostawi, straszylam że się zamorzę głodem, nawet cały

dzień nic nie jadłam, musiał mnie odebrać i otóż jestem. Kuzynku! nie gniewasz się na mnie?

I śmiała się, szczebiotała, płakała mówiąc o matce, zrywała się do wszystkich czynności w domu, przy czem nie jedno wylała, stłukła, podarła. Nie wiem, czy byłaby dla niej większa kara jak kwadrans posiedzieć beczynnje na miejscu, przez sen nawet mówiła. W parę dni byliśmy ze sobą, jakbyśmy od pieluch razem się chowali. Kuzyneczka była ładna i podobała się, nie tylko mnie — ale wszystkim bardzo; marzeniom moim jednak nie odpowiadała, bo była uosobieniem życiem, wesołością, naiwnością i miłością, której nie mogła ukryć patrząc w moje oczy. Matka moja niezmiernie ją pokochała i napewno cieszyła się nadzieją skojarzenia nas. Ja zaś, pomimo tego, że lgnąłem do lubego dziewczęcia, broniłem się jak mogłem uczuciu, bo marzyłem w snach moich o kobiecie z wyższym połotem myśli i wyobrażeń, smutnej i bladej ze złamanymi skrzydłami zapoznanego anioła, do czego rumiana, wiecznie śpiewająca i śmiejąca się Jadzia w żaden sposób się nie nadawała.

Dwa lat minęło już od przybycia jej w dom nasz, gdy naraz otrzymałem list od wuja mej matki, starego, znudzonego, lecz majątnego kawalera, wzywającego mnie, bym koniecznie przybył do niego na kilka tygodni. Owoż z tym listem wszedłem do pokoju, w którym matka moja własną ręką ocierała z kurzu różne drobne figurki, stojące na komódce. Śmiejcie się ze mnie, łaskawi i kochani czytelnicy, ale przyznam się wam, że strasznie głupio w tej chwili było w mojem sercu. Pomimo lat dwudziestu i trzech nigdy dłużej jak kilkanaście godzin nie byłem rozłączony z matką ukochaną, która dotąd otaczała mnie troskliwością i opieką jak małe dziecię. Wiedziałem dobrze, że na wezwanie wuja jechać wypada a nie wiedziałem nawet, jak oznajmić to matce, której badawcze oko od razu coś niezwykłego we mnie spostrzegło. Postawiła na bok porcelanowego pieska, nieotartego naleźycie i rzekła z niepokojem :

-- Toldziuniu! (nie powiedziałem bowiem państwu dotąd, że się nazywam Witold) jesteś jakiś zmieszany. Co cię spotkało?

— Nic mateczko — odpowiedziałem, przynajmniej nic złego. Otrzymałem list od wuja Ignacego, w którym wzywa mnie na kilka tygodni do siebie... więc...

— Odjeżdżasz? — zawołała matka a w głosie jej brzmiało zapytanie i potwierdzenie bolesne... Sam! na kilka tygodni! och Boże mój!

W tej chwili zjawiła się na progu od kuchni, chowając pod różowy fartuszek rączki skropione sokiem wiśni, które drelowała, Jadzia. Śpiewka niedokończona rozpląnęła się w powietrze a zdziwione oczęta wypatrzyła na nas.

— Coś zasłyszałam o odjeździe — zawołała, kto odjeżdża?

— Witold — odrzekła biedna matka takim głosem, jakbym co najmniej do Ameryki się wybierał.

— Witold? po co? na co? dla czego? — zapytała prawie bez tchu kuzyneczka, — gdzie? na jak długo?

— Na kilka tygodni daleko aż koło Czerniowiec — bąknąłem i ze wstydem się przyznaję, o mało się nie rozbeczałem. I to już jutro, bo tam konie czekać będą, a do stacji cztery mile kamienistej drogi.

Odwrociłem się chcąc zobaczyć, jakie to wrażenie robi na pytającej, ale już jej nie było na progu, mateczka tylko moja chociaż ze łzami w oczach otworzyła komodę i zaczęła bieliznę moją wybierać. Przy obiedzie Jadzia coś wiele mówiła, śmiała się głośno i nareszcie w głos się rozplakała.

— Co ci się stało, Jadziuniu? — zawołała zaniepokojona moja matka.

— Sparzyłam sobie rękę w kuchni — odpowiedziała, i mocno mnie boli.

— Pokaż! pokaż! trza przyłożyć watę z oliwą — prosiliśmy oboje.

Ale Jadzia nie chciała nawet słyszeć o tem, okręciła małą, białą rączkę serwetą i płakała. W kilka godzin później wróciwszy z pożegnania od moich znajomych, zastałem kuzyneczkę prasującą kołnierzyki dla mnie.

— Już nie boli rączka, siostrzyczko? — zapytałem opierając się o stół bliźutko niej. Któraż to rączka?

Postawiła prędko żelazko i schowała obydwie zaczerwieniwszy się jak pensjonarka złapana na czytaniu romansu Dumasa. Dziwnie miło mi się w tej chwili zrobiło, wyciągnąłem z pod fartuszka różowego obydwie maleńkie białutkie rączka i obydwie na raz całowałem — a nawet — przyznaję się do zbrodni, ukradłem całuska na rumianej buzi, i wstydliwie przymkniętym oczętom nie darowałem, a w uszko szepnąłem słówko znać miłe dla broniącej się, bo odszepnęła jak echo to samo i gorące jasne czoło schowała na piersi mojej.

Nazajutrz odjechałem, odwieziony na dworzec kolei przez obydwie moje panie, pozapinany szczelnie na wszystkie guziki przez moją matkę. Żebym broni Boże! się nie zaziębił i pożegnany tak czule i z takimi łzami, jakbym się gotował na wyprawę z dzikimi. Sto razy ucałowałem ręce matki i uściśkałem białe rączki kuzyneczki; chciałem być chętnie powtórzyć wczorajszy ustęp z naszego życia, ale niestety! ani chwili już sami nie byliśmy, a chociaż matkę moją byłoby uszczęśliwiło spełnienie jej nadziei, nie miałem odwagi do tego, do czego i tak nie wiem skąd ją zaczerpnąłem.

Gdy pociąg ruszył a ja obejrzałem się i zobaczyłem w licznej lecz zupełnie obcym mi towarzystwie, usunąłem się w kącik przy oknie z lewej strony, i zamajaczyły mi tak miłe jasne bławatne oczka, taki jakiś uczulem rozkoszny smak po wczorajszym musnięciu mojami ustami lubej twarzyczki, jakiego po najlepszych ciastkach u Rothlendera nigdy nie doznawałem. To też w myśli mojej złorzeczyłem niedodarowania szalonemu uporowi mojemu, z jakim przeszło już dwa lata żyjąc obok uroczej kuzyneczki, trzymałem się od niej na uboczu.

— No! ale teraz jak wrócę — myślałem dalej. Och! żeby już prędko wracać! Otóż jak wrócę, tego samego dnia — zaraz — natychmiast oświadczę się jej oficjalnie i zaraz pocałuję... nie raz... ukradkiem, ale dziesięć razy w same śliczne usteczka, choćby przy mojej matce... Narzeczonym przecież wolno...

I byłbym Bóg wie jak długo na ten temat śnić cudownie, gdyby nie głos gruby jak trąba archaniola przebudził mnie.

— Co to za stacja, panie ?

Było to moje vis-à-vis, które pytało w postaci kolosalnych na wzdłuż i szerz rozmiarów kobiety. Twarz ogromna o dwóch podbródkach, czerwona i błyszcząca kroplami potu, ręce jak do pałasza, pełność kształtów olbrzymia wprawiły mnie w jakąś treść; to też najcięższym moim głosem odrzekłem

— Nie wiem, pani ! pierwszy raz jadę tędy.

— Cóż pan piszczesz jak piszczałka popsuta — gromkim swym głosem rzekła znowu. Czy cię kto dusi ?

Jak żyję, nie słyszałem takiego głosu. O mały włos nie wyskoczyłem przez okno ze strachu, spojrzałem błagalnie w okolo i teraz dopiero przeliczyłem moich towarzyszków podróży. Oprócz pani o kolosalnych rozmiarach i głosie basowym i mnie, siedziały w coupé: młody może ośmnastoletni młodzieniec z cygarem w ustach i ponsową różą w dziurce od jasnego kraciastego surduta, dalej staruszka jakaś z zielonym daszkiem nad oczyma, młoda i piękna około 26 lat mieć mogąca kobieta zamysłona, niespokojna i widocznie zajęta czemś, co wszystkie jej myśli absorbowało i nie pierwszej młodości i nie ładna, lecz dziwnie sympatycznej powierzchowności i inteligencji druga dama z książeczką w ręku i ogromnym bukietem z jesiennych kwiatów na kolanach.

— Cóż się pan tak przypatrujesz, jakbyś ludzi nie widział ? — odezwała się znowu moja pulchna sąsiadka, którą widocznie gniewało moje milczenie.

Zmieszalem się powtórnie i nareszcie kilkakrotnie zaczepiany, zawiązałem z nią rozmowę, którą w prędkce przerwawszy zwróciłem się do pani z olbrzymim bukietem i z pogadanki tejże odniosłem nie tylko miłe wrażenie, ale i przekonanie, że dobre wychowanie i dowcip mogą się nawet obejść bez młodości i urody.

Jak w latarni fantasmagorycznej, tak w czasie mej podróży mieniały się różne osoby wsiadając i wysiadając. Otyła i absolutna jejmość pożegnała nas po kilku stacjach, sympatyczna młoda panna z żalem

moim trochę później, nareszcie zostaliśmy en deux z piękną młodą kobietą. Ona zdawała się mnie nawet nie widzieć, stawała się coraz więcej niespokojną, zrywała się co chwila, to znowu padała prawie na kanapkę i zakrywała oczy rękami. Chwilami widać jakieś myśli ją paliły, bo płomień ognia okrywał czoło i twarz całą a usta stawały się aż czarne z wewnętrznej gorączki. Nie mówiła ani słowa, a ja nie śmiałem przemówić. Wydobyła z bocznej kieszonki zmięty list jakiś, czytała i drżała na całym ciele. Chwilę siedziała jak nieżywa, bez tchu i ruchu, nareszcie krzyknęła okropnym głosem i zemdlła. Wyobraźcie sobie państwo moje położenie. Zmrok wieczorny, pociąg pędzi, kobieta młoda i piękna zemdlona a ja sam jeden nie mający wyobrażenia, co w podobnym wypadku zrobić.

Zacząłem i ja krzyżeć, dmuchać na rozpalone jej czoło. wstrząsać sztywną i martwą prawie. Ocknęła się na koniec, odetchnęła głęboko, popatrzyła na mnie, poruszyła ustami, jakby chciała dziękować i rozplakała się na nowo. Chciałem już przemówić do niej i pytać się o stan jej zdrowia. gdy konduktor krzyknął nazwisko stacji, do której przybyliśmy i pociąg się zatrzymał. Ona szarpnęła drzwiczkami, przy których jak z pod ziemi wyrósł młody i piękny porucznik od ułanów. Porwał ją za drżącą rączkę, wyszeptawszy jedno tylko słówko: „Enfin!” ale dźwiękiem tak czułym, że młoda kobieta rozkosznie się uśmiechnęła i przytuliwszy się do jego ramienia, spuściła gęstą, podwójną, białą zasłonę na twarz i znikła z nim razem.

Zacząłem rozmyślać. Byłże to mąż czy kochanek? Gdy w tem spostrzegłem koło siebie zmięty liścik, którego wysunął się z dłoni zemdlonej. Podniosłem i choć to może nie ładnie, zacząłem czytać:

„Najdroższa! Ostatni raz cię błagam i zaklinam: przyjedź! Mąż się nie dowie, powiedz że jedziesz do siostry. Skądżeby mu przyszło na myśl, że kilkanaście godzin zatrzymasz się wśród drogi? a za te kilkanaście godzin ja ci na klęczkach dziękować będę. Eugenio! tak że ci trudno zrobić dla mnie tę ofiarę? Więc mnie nie kochasz? Gdy nie przyjedziesz w sobotę, w niedzielę odbierzesz kartę inożą pogrzebową. Bez



twej miłości nie ma dla mnie życia, a przekonam się, że mnie nie kochasz. Przecież się zlituj nademną.

Rafał.“

Biedna, nieszczęśliwa kobieta! pomyślałem. Walczyła i uległa występnej miłości, z której zostanie jej tylko wspomnienie hańby i smutne może następstwo, jeżeli mąż się dowie.

Długo myślałem o tej nieznannej i młodym, najwyżej dwudziestoletnim pięknym poruczniku, który lekkomyślnie wciągnął kobietę zamężną w grę straszną, bo kto wie czy nie śmierci męża lub kochanka.

Dojechałem nareszcie do ostatniej stacji, przy której czekał na mnie furman z eleganckim faetonikiem i końmi rosleni bułanej maści i lokaj z jakimś okryciem podobnym do starego szlafroka rannego, by mnie siłą mocą podług rozkazu pana okryć przed chłodem wrzesniowej nocy.

Kołysany ruchem jazdy a nieprzywykły do niej, usnąłem wkrótce i obudziły mnie dopiero głosy:

— Proszę panicza! przyjechaliśmy.

Otworzyłem szeroko oczy, ziewnąłem potężnie i wyskoczyłem raźnie. Pomimo nocnej pory stał na ganku dziadek i powitał mnie uprzejmie.

— A toście jechali! jak stara baba, co wiezie jaja na targ. Czekam i czekam, aż mnie nudy biorą. No, chodź panie Witoldzie! herbata stygnie, kotlety wysychają, a młody żołądek kurczy się od głodu. Co? nie? — I śmiał się i klepał mnie po ramieniu.

Dziadka mojego znałem jeszcze, gdy byłem chłopcem dziesięcioletnim. Wtenczas to on proponował mej matce, by mnie jemu w opiekę i na wychowanie oddała, obiecując w zamian zrobić mnie za to dziedzicem swojego dość znacznego majątku. Matka moja jednak za cenę nawet królewskiej fortuny nie byłaby się ze mną rozłączyła. ani oddała cudzej pieczy. Ztąd nastąpił rozstrój pomiędzy nami. Co roku na nowy rok i na św. Ignacego pisała matka moja do wuja listy pełne szacunku, i ja pocić się musiałem nad złocnemi papierami, na których najpiękniejszym pismem mojem gryzmołem to wierszami, to prozą życzenia.

Wuj także raz do roku na imieniny matki pisał list obojętnej treści i załączał wtedy zawsze 50 złr. na książki dla mnie. Choć jednak raz na kilka lat był we Lwowie, do nas nie przychodził; nie widziałem go więc już lat dwanaście i wyobrażałem go sobie starcem pewnie już zgrzybiałym. Gdyśmy jednak weszli do pokoju obszernego, elegancko umeblowanego i oświetconego dwiema lampami, zupełnie inaczej dziadek mi się przedstawił. Był to słusznego wzrostu i silnej budowy mężczyzna, wyglądający najwyżej na lat 50, z włosami ciemniejszymi jak przed laty dwunastu, bez zarostu żadnego, z siwymi przenikliwymi oczyma i uśmiechem na pół szyderyczym, na pół dobrodusznym.

Ucałowałem jego ręce. On uściśnął moje, wpatrując się we mnie badawczo.

— No — rzekł, ciekawym jak to się mieszczuchowi u mnie na wsi podoba? A umiesz jeździć na koniu?.. Co? nie? Mam ładnego dla ciebie wierzchowca. A strzelać umiesz? bo zwierzyny tu podostatkiem... Głodnyś chłopcze? co? nie? Niech podają wieczerzę! — zawołał rozkazująco. i w kilka chwil później wszedł ten sam lokaj, którego mnie przywiózł z oznajmieniem, że herbata nalana. Nawiasem powiedziawszy wiadomość ta była dla mnie bardzo pożądana. Przeszedłszy przez kilka pokoiów, znaleźliśmy się nareszcie przy stole suto zastawionym, ze srebrnego czajnika rozchodził się zapach aromatycznej herbaty, z dużego mosiężnego samowaru buchała para. Przyznam się, że rad byłem przytknąć już usta moje do nęcącego napoju, jakoteż zapoznać się bliżej z całą zastawą, która lechtała powonienie zgłodniałego długą podróżą, a dziadek jak stanął przy jednym krześle, tak ani myślał siadać, małym grzebykiem gładził włosy i poprawiał kołnierzyk lub krawatkę.

Myślałem że może tu zachowywały się jeszcze patryarchalne zwyczaje i przed jedzeniem odmawiać będą modlitwę; chciałem już nawet sam zacząć, gdy drzwi się otworzyły i weszła kobieta w długiej, wlokącej się po za nią czarnej sukni. Tak byłem pewny, że w domu dziadka nie spotkam się z podobnym zjawiskiem, że na widok wchodzącej formalnie zgłupiałem. A było to wcale niepospolite zjawisko. Bardzo

wysoka i szczupła o tyle, o ile prześliczna figura tego wymagała, niezmiernie wdzięczna w każdym poruszeniu, miała na czole majestat królowej a w dużych czarnych oczach płomień wulkanu.

Skłoniła mi się wdzięcznie głową strojną w koronę z kruczych włosów i uśmiechnawszy się tym uśmiechem, od którego traci się zmysły, rzekła do dziadka :

— Nareszcie doczekaliśmy się oczekiwanego gościa. Zechcesz mnie pan przedstawić kuzynowi swojemu...

Dziadek skłonił się jej z uszanowaniem, i zwracając się do mnie powiedział z naciskiem :

— Pani Irma Galaczy, moja najlepsza przyjaciółka i gospodyni mego domu.

Skłoniłem się także mimo woli i usiedliśmy do wieczerzy, którą jednak nie połykałem z takim apetytem, z jakim się poprzednio do niej przysposabiałem. Byłem jakby skrępowany, zły i zawiedziony. Wyjeżdżając ze stolicy, rachowałem na to, że kilka tygodni spędzę, jak Francuz mówi „sans gêne” swobodnie, przechadzając się do południa w bonżurku kraciastym i w czapeczce paciorkami haftowanej — darze mej miłej kuzynki — potem zaś położywszy się wygodnie na sofie odprawiać będę poobiedną siestę, a o 9tej wieczór usnę już snem błogosławionych, by wypocząć i nabrać sił do miastowych niezbędnych utrudzeń — a tu wciska się pomiędzy te wszystkie piękne projekta jak intruz niepotrzebny kobieta o kruczych włosach i palącym spojrzeniu, i ta kobieta któż jest właściwie? Przyjaciółka i gospodyni domu starego bogatego kawalera!! A! dziadku! dziadku! — pomyślałem, a! pani Irmo! Czy na to wysiliła się natura udarowując cię tyloma wdziękami, byś takie stanowisko zajmowała?! Odpowiadałem półsłówkami i nie wiem do dziś, o czem mówiono i z czego się śmiano. Widziałem tylko, że po wieczerzy dziadek mój złożył pocałunek na jej ręce, oczyma dając mi znać, bym podobnie postąpił.

Przytknąłem więc usta do białej, arystokratycznej rączki, zły na siebie, na nią a najbardziej na dziadka i rozeszliśmy się na spoczynek.

Na drugi dzień zeszlśmy się przy śniadaniu a było dwoje nas tylko, bo dziadek pijał kawę w łóżku u siebie. Przypatrzyłem się jej, była więcej jak piękna, więcej jak czarująca, nie zdobna puchem rozkwitającego kwiatu, ale w pełni wdzięku tegoż. Nie była młodziutką, zdawała się jednak nie mieć więcej jak lat dwadzieścia kilka, pełna dowcipów, któremi tryskała na około, manjer dystyngowanych i wielkoświatowych, śmiała tą śmiałością, która przechodząc od razu w nastrój przyjacielski, trzyma zdala od zbytnej poufalości. Wkrótce przestałem gniewać się na jej pobyt w domu dziadka, szukaliśmy się wzajemnie i znachodzili zawsze, z tą tylko różnicą, że ona była zawsze swobodna i wesola, ja zaś straciłem humor przez gorączkę, która mnie trawiła.

Po dwóch tygodniach przenosząc się myślą w niedaleką przeszłość i wywołując wspomnienie kuzynki Jadzi, z niemiłym uczuciem spostrzegłem, że bławatne jej oczy były dziwnie spokojne i bez wyrazu, rumieniec nadto trywialny i całe ułożenie zbyt naiwne. Nawet ten ukradziony całus nie nęcił mnie już do powtórzenia go, a słówko „kocham“ które cała ponsowa, bo rumieńcem dziewiczego wstydu oblana, mi szepnęła, było dla mnie jakby ironią.

— Ona wie, co to kochać! — mówiłem sam do siebie ona! tak jak i ja wtedy wiedziałem... Teraz .. och! gdyby Irma... gdybym od niej to słowo usłyszał! Jej oczy palą i mówią tyle, obiecują tyle, że oszaleć można a usta śmieją się i drwią tylko. A jednak... dziadku! pociś mnie tu sprowadził? Nienawidzę cię za to, a jednak... Irma... bez niej żyć już nie mogę i nie chcę!

Podobne monologi dolewały tylko oliwy do ognia namiętności, z którą ani chciałem ani umiałem walczyć.

Pobyt mój u dziadka przeciągał się, ani ja, ani ona nie wspomnieliśmy o odjeździe. Uważałem, że dziadek śledził mnie pilnie i zwracał badawczą uwagę na każde słowo, każde wejrzenie moje. Z Irmą nie postąpiłem ani na krok naprzód w stosunku, w jakim postawiła mnie po dwóch dniach naszego poznania. Zdawało się, że bezemnie obejść się kilka godzin nie

może, mówiła w głos, ale ze śmiechem, że nie może pojąć, jak pół roku mogła być na wsi bez mego towarzystwa, mówiła także, że jest tak starą, że mogłaby być moją matką, dorzucając z jakimś piekielnym uśmiechem i spojrzeniem, że kocha mnie jak syna i że ja ją powinienem kochać. Raz nawet za przepisanie jej jakichś francuskich wierszy pogłaskała mnie po kręconych włosach i zagłębiając w nich palce swoje, rzekła do dziadka:

— Popatrz no pau, jakie pan Witold ma miękkie włosy... jedwabne, jak u dziecka... śliczne jednym słowem!...

Raz znowu za rozlanie kawy na czystą serwetę kazała mi za karę klęczeć. Ukląkłem u jej nóg, dziadek zaś drzemał w fotelu, zasłoniwszy twarz gazetą. Klęczałem bez uśmiechu, zapatrzony w nią. Wyraz ócz moich musiał jej wiele powiedzieć, bo krwawy płomień prześliznął się po jej licach, oczy sypnęły tysiące iskier i szepnęła: — „Cichutko! ani słowa! wstań!”

Od tej chwili zdawała się mnie unikać, igrając przy tem z uczuciem, które mi piersi namiętnością rozpierało, jak kot z myszą, skazaną na pożarcie. Jej spojrzenia paliły mnie co raz więcej, półsłówka które nic nie powiedziawszy, pozwalały się wiele domyślać, sprawiały, że noce trawiłem bezsenne, od czego twarz moja straciła cerę zdrowia a oczy nabrały niezwykłego im dotąd wyrazu. Nie poznawałem sam siebie. Postępowanie dziadka ze mną było dziwne, zostawiał mi wszelką swobodę działania, a jednak jak ciężkiemi kajdanami krępował zachowaniem swoim. Stary i doświadczony w podobnych sprawach nie mógł nie dostrzedz, co się w sercu 23-letniego, kochającego po raz pierwszy młodzieńca działo, nie mógł się nie zatrzeć o skarb swój, zrobiwszy porównanie między mną a sobą, a jednak zdawał się nic nie widzieć, ani się domyślać.

Czas upływał, matka nalegała o powrót, użalając się na tęsknotę za jedynakiem, kuzynka Jadzia zbrojna usłyszaniem odemnie słówkiem a może i wspomnieniem popełnionej kradzieży, dopisywała drobniutkiemi literkami, że we Lwowie nudno, smutno i pusto

jakby nikogo nie było, a kończyła zawsze słowem: „Do prędkiego widzenia,“ co mnie nieskończenie gniewało, i zwykle darłem listy ręką drogiej matki pisane, niedokończywszy czytać dopisku. Na kilka listów odpisywałem jeden i to tak lakoniczny i obojętny, że padały na niego lzy mej najlepszej matki. Jak wielka wina moja, tak i wielką pokutę czynię publicznie, wyznając przestępstwo moje. Siedzieliśmy raz wszystko troje przy herbacie, gdy Irma rzekła:

— Tak dawno nie dosiadałam mojej Lipki! Jeżeli będzie jutro pogoda, równo z dniem przejadę się trochę.

— Sama? — zapytał dziadek i popijając herbatę widziałem, że patrzył na mnie.

— Sama — odrzekła wahając się.

— A wstyd tobie, kawalerze — zaśmiał się dziadek zwracając się do mnie. Wstyd! Co? nie? pozwolić pięknej kobiecie samej narażać się na niebezpieczną ekskursję. Gdybyś pani niekoniecznie pragnęła tak rano ją odbyć, sam towarzyszyłbym jej... Pfe, panie Witoldzie! otóż to terazniejsza młodzież, panie dobrodzieju! co? nie?

— Jeżeli tylko pani Irma pozwoli — odrzekłem, będą szczęśliwy ..

Przerwałem, bo tchu mi zabrakło na myśl, że sam na sam spędzę parę godzin wśród lasu i pól szerokich z kobietą, którą kochałem.

— Biorę pana za słowo — odrzekła wesoło, proszę tylko nie zaspać, o piątej czekam.

I ja czekałem całą noc, nie spałem a serce mi biło jak pod młotem. O czwartej byłem już w stajni... Poranek był przesłiczny, słońce wstawało i promieniami swemi muskało trawkę, na której świeciły brylantowe krople rosy. W powietrzu była cisza przerywana tylko śpiewem ptasząt, i w mej piersi śpiewało uczucie wezbrane, które nareszcie dzisiaj musiało się słowami wyznania wylać.

Kazałem okulbaczyć pięknego gniadego wierzchowca, a sam oczekując jej nadejścia, przechadzałem się po gazonie ozdobnym różnymi kwiatami. Otworzyły się drzwi wchodowe nareszcie i stanęła w nich Irma, gotowa już do przejażdżki. Miała na sobie długą

czarną sukienkę amazonkę, czarny wysoki kapelusz z ciemno-zielonym długim welonem i takąż krawatką po mężku związaną pod wązkim kołnierzykiem. W jednej ręce, ubranej w czarną rękawiczkę, trzymała elegancki batożek, drugą wzniosła nad czołem, jakby zakrywając oczy od blasku słońca. Widzę ją dziś jeszcze. Gdyby ją malarz był zobaczył, wtedy byłby jej winien swą sławę i unieśmiertelnienie. I ja jej zostałem winien — dług złamanego życia.

Zobaczyła mnie, zbiegła ze schodów, długi ogon amazonki deptał kwiaty bardziej jak jej chód lekki i elastyczny. W mniej jak minutę stanęła przy mnie, podała mi rękę i rzekła:

— Dobry dzień! śliczny dzień! więc jedźmy.

Milcząc podałem jej ramię, poprowadziłem przed stajnię, gdzie służący przeprowadzał dwa konie osiodłane. Pomogłem jej wsiąść na śliczną, jak mleko białą Lipkę, wskoczyłem na kasztana i pocwałowaliśmy oboje tak, że tentent kopyt końskich głucho rozlegał się za nami.

Pędziliśmy tak bez przerwy, aż się zobaczyliśmy w samotności wśród rozległych łąnów. Ściągnąłem cugle koniowi i osadziłem na miejscu. Ona mknęła dalej.

— Irmo! — zawołałem nagle.

Odwróciła się i stanęła także. Za chwilę byłem przy niej, koń przy koniu, ręką moją sięgnąłem po jej dłoń.

— Irmo! — powtórzyłem znowu Kocham cię.

Nie wiem skąd w tej chwili nabrałem śmiałości powiedzenia jej tych słów, a powiedziałem je głośno i śmiało, nie spuszczając ócz przed płomieniem jej wejrzenia.

Widocznie nie przypuszczała, żebym się na to zdobył, sądziła że korzystając ze sposobności będę jak zawsze wzdychał, a najwięcej jeżeli się zdobęde na jakieś czułe aluzje. Wyznanie stanowcze, którego prawdę wyczytała w mojem spojrzeniu, pomimo całej pewności siebie zmieszało ją, chciała je w żart obrócić, przechyliła się na siodle i z uśmiechem drwiącym chciała coś odpowiedzieć, gdy w tem uściśnięłem jej dłoń, aż wykrzyknęła z bólu i rzekłem:

— Irmo! kocham cię! Nie znam twej przeszłości, nie chcę patrzeć w terażniejszość; rzuć ją bez żalu dla mnie, Irmo! a przyszłość nam się uśmiechnie. Powiedz że mnie kochasz, niech usta twoje nie zadają oczom kłamu, Irmo! ja cię kocham!

Przyciągnąłem ją do mej piersi i upiłem się pocałunkiem jej ust purpurowych. I zsiadliśmy z koni naszych i dłoń w dłoni zsiadaliśmy razem wśród cieni-stego lasu, zmieniawszy na raz role nasze. Ja byłem wesół i szczęśliwy, mówiłem wiele spowiadając się jej z całej mej dla niej miłości; ona zaś jakby zaambarasowana i nieśmiała, szeptała co chwila: „kocham,“ ciszej jeszcze dodawała: „ja się boję“ i drżała te-brycznie.

— Boisz się przy mnie? czego? gołąbko moja! — pytałem i drżącą tuliłem w objęciu. Mogę powiedzieć że „i ja byłem w Arkadji.“

Słońce poczęło dopiekać i trzeba było wracać. Nie galopowaliśmy już teraz, lecz jechaliśmy powoli. Ona paliła mnie znowu wulkanem spojrzenia, a ja wróciłem do dawnego stanu ze zbliżeniem się do domu, na którego ganku oczekiwał nas dziadek.

— No co? jakże się tam udała przejażdżka? — rzekł pomagając zsiąść jej z konia, dziesiąta godzina, pięć godzin jeździliście. Cóż tam, panie Witoldzie! nie spadłeś gdzie z konia? nie potknąłeś się gdzie w drodze i nie oberwałeś guza? co? nie? — i śmiał się jakimś diabelskim śmiechem.

Od dnia tego zaczęły się dopiero rozkoszne tortury moje. Szczęśliwy kto nie znał kobiet, które jak upiory, odbierając nam zmysły, wysysają krew naszą i życie, podniecając uczucie spotęgowane ich palącym wejrzeniem a szyderyczym śmiechem, drżeniem miłym głosu a słowami jak lód zimnemi.

Widziałem jaki stosunek nieprawy i hańbiący łączył Irmę z moim dziadkiem, pogardzałem nią, a jednak oddałbym był wszystkie szlachetniejsze uczucia moje za posiadanie jej. Już i jesień żółtymi liśćmi uścieliła ziemię, a ja siedziałem na wsi ani myśląc o odjeździe a bojąc się jedynie, by mnie nie wypędzono.



Jednego wieczora po rozmowie z nią na wpeł samotnej, w której pytała mnie, czy kochałem też już kiedy, czy potrafiłbym kochać i t. d., jakby na urąganie mej miłości, którą czytała w oczach, której nie śmiałem w tej chwili rzucić jej tak jak przed kilku tygodniami w lesie — bo dziadek o parę kroków siedział od nas i zdawał się zajęty rachunkiem — nie mając siły zapanować dłużej nad sobą, wyszedłem i rzuciwszy się w moim pokoiku na sofkę, myślałem o samobójstwie i kto wie, czy byłbym tej myśli nie wykonał, bo patrzyłem pożądliwie na rewolwer, wiszący nad mojem łóżkiem, gdy w tem drzwi się otworzyły i wszedł jak najmniej w tej chwili spodziewany dziadek.

Zerwałem się na równe nogi. On usiadł na miejscu, z którego dopiero co powstałem i puszczając siny kłęb dymu z cygara, rzekł drwiąco:

— Cóż się tak zerwał, panie Witoldzie, a tak zmieszał, jakbyś się kogo innego spodziewał? Co? nie? Może cię pani Irma obiecała odwiedzić?

— Dziadku! — zawołałem gwałtownie, i jeszcze gwałtowniejszy rumieniec oblał twarz moją.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się — no, no, nie taki ja przecież głupi, jak ci się zdaje. Widzę ją dobrze, co się święci; aż nadto widoczna twoja miłość dla niej. Co? nie? Nie wypierajno się, zwłaszcza że ja nic nie mam przeciw temu, i właśnie przyszedłem, rozmówić się z tobą w tym względzie. Usiądźno, usiądź! Cóż tak stoisz pomieszany jak student, złapany przez profesora na paleniu cygara? Cha! cha! cha! co? nie? Jak Boga kocham, terażniejsza młodość funta kłaków nie warta. Wstydzi się jak piętnastoletnie dziewczę, że romansuje z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedy widział. A toż trzebaby być bałwanem bez krwi chyba, żeby mieszkając parę miesięcy z taką Irma, nie roztopić się, choćby lodem obłożone było serce. Co? nie?

Wstałem i słuchałem, nie umiejac sobie zdać sprawy, czy to się dzieje we śnie, czy na jawie?

Dziadek mówił dalej:

— Siadajże, siadaj, panie Witoldzie, i pomówmy rozumnie. Sądzisz zapewne, że jestem wujaszkiem

z komedji, srogim i jak Argus strzegącym swojego skarbu? Mylisz się, kochanku! Nie jestem ani tak złym, ani tak zacofanym pod względem wyobrażeń. Poczciwy ze mnie dziadek i zaraz ci tego dowiodę.

Usiadłem nareszcie i wlepiłem w niego bezmyślne oczy, bo przysięgam na Boga, że żadna myśl nie mogła się skupić w moim mózgu w jakąś całość. Nie byłem w stanie postawić sobie pytania, do czego mowa dziadka zmierza.

Dziadek zapalił drugie cygaro, wyciągnął się wygodnie na sofie i mówił dalej:

— No przyznaj kochanku! że Irma diabelnie ładna... znałem dużo kobiet... ha! ha! ha! na tem człowiek zęby zjadł, ale takiej jak ona nie pamiętam. Coś w niej jest takiego, żeby papieża samego skusić mogła. Musiszbo wiedzieć, że to nie jest zwyczajna kobieta. Z domu baronówna Li..., chowała się bez matki, bo ta uważała za stosowniejsze, puścić się w podróż na około ziemi z młodym rotmistrzem od dragonów, kolosalnie bogatym synem bankiera, jak oddać się nudnemu wychowaniu córki i nudniejszemu jeszcze pożyciu ze starym, zatabaczonym mężem, za którego poszła li tylko dla tego że będąc piękną, lecz ubogą szwaczką miała dwie tylko drogi przed sobą: uczciwą i ciężką pracę, lub życie wytworne, kupione wdziękami niepoślednimi, a które byłaby z pewnością wybrała, gdyby nie była jej się nastęrczyła trzecia, pośrednia między temi, a to w kształcie ręki, majątku i imienia starego barona Li..., któremu żal się zrobiło dziewczęcia, znajdującego się już prawie na pochyłej drodze, a który zapragnął wdzięczność jej kupić sobie. Mieszkała z nim 4 lata, oszukując go na każdym kroku — aż pewnego pięknego poranka dała nurka zabrawszy a właściwie obrabowawszy męża prawie ze wszystkiego. Nawiasowo powiedziawszy mąż wolał ponieść stratę niż dłużej wieść z nią życie wspólne, które piekłem się dla niego stało. Dał jej więc krzyżyk na drogę i nie myślał wcale ani ją poszukiwać, ani też upominać się o nią u pięknego dragona przesłażając mu wspaniałomyślnie serdeczne życzenia na drogę.

Została mu trzechletnia córka, którą kochał do szaleństwa, a że było co kochać, wiesz z własnego doświadczenia. Irma rosła i kształciła się precudownie tak fizycznie jak umysłowo (bo ojciec nie skąpił na najlepszych nauczycieli), aż wyrosła na śliczną 18-letnią pannę. Prócz kilku starych jak ojciec nie znała więcej mężczyzn, bo ten obawiając się, by nie poszła śladem matki, która w kilka lat po opuszczeniu męża i dziecka, opuszczona nawzajem przez kochanka i przeszedłszy rozmaite drażliwe sytuacje, nareszcie w szpitalu umarła, o czym urzędownie zawiadomiono męża — trzymał dziewczynę pełną krwi i życia odosobnioną prawie od ludzi a właściwie od mężczyzn.

— Podajno mi, panie Witoldzie! swoje cygara; bo moje ani rusz palić się nie chcą. Dziękuję. Słuchajże dalej: zajmująca historia, prawda?

Otóż nie można się dziwić, że gdy dziewczyna skończyła lat 18 i zobaczyła w zwierciadle odbitą swoją postać, przyszła jej myśl, że nie na to przecież Bóg takie piękne kobiety stwarza, ażeby wdzięki ich kwitły tylko w ukryciu. Zapragnęła doświadczyć potęgi czarnych, płomienistych ocz spojżenia i tak jej się to od razu udało, że oszalał na piękne od tego czaru stary, trzy razy tyle co ona lat mający bogaty węgier Galaczy, za którego naparła się iść koniecznie, i w kilka miesięcy później poszła.

Zamężciem tem otworzyła sobie wrota do szerszej areny świata, do którego się rwała i ku któremu pożądliwie wyciągnęła ramiona. Ojciec umarł, a pokazało się, że mało więcej zostawił majątku jak długów; reszta zaś — starczyła córce zaledwie na kilka wystawnych przyjęć i parę sukieu balowych. Mąż zaczął uchodzić za tyrana, bo nie chciał pozwalać na szalone wybryki i marnotrawstwa żony. Znaleźli się pocieszyciele ślicznej kobiety, aż jeden z nich zaproponował dla otarcia łez, w których się kąpały czarne oczy — rozwód, składając po nastąpieniu tego u stóp wolnej czarodziejki rękę i życie.

Rozpoczęto rozwód — Bóg wie na jakich podstawach i otrzymano go nareszcie. Pokazało się jednak, że koszt rozwodu i książece utrzymanie pięknej pani

tak żarłocznymi zębami nadszarpały fortunę czulego adonisa, że trzeba się było ograniczyć teraz na cichej miłości wśród wiejskiego zacisza, co się nie podobało wcale przywykłej do życia wystawnego lwicy. Podziękowała wielbicielowi zrujnowanemu za jego miłość i ofiary, zabawiła się w szlachetność, że go nie warta i po kilku miesiącach opuściła, ślizgając się nóżką w atlasowy bucik obutą lekko i swobodnie przez życie.

Będzie rok temu, jak ją w Kijowie poznałem. gdzie chwilowo samotnie przebywała, dowiedziałem się wszystkiego i zaproponowałem, czyby nie chciała podjąć się prowadzenia domu u mnie. Zgodziła się i przyjechaliśmy razem. Musisz wiedzieć, że pomimo tego że jest piękna, jak nie wiem co — bo już też nie jak anioł — ma już lat 32 i zapewne dla tego pozytywniej na życie się zapatrując, przystaje na nudnym życiu wiejskiem. No? cóż ty na to, panie Witoldzie? gadajże? co? nie?

Nie odpowiedziałem nic, bo cóż miałem odpowiedzieć? Siedziałem jak skamieniały. W moich marzeniach sądziłem Irmę inaczej. Odpowiadała ona snom moim, królowała w nich jako anioł upadły, któremu skrzydła złamano i z wysokości obłoków strącono w przepaść. Ona — bezwiednie skalana — wyciągała do mnie ramiona, by w mojem objęciu oczyścić się z błota, w które ją pchnięto. I wyrastałem na bohatera i wracałem ją światu i życiu, o którym mówiłem. Patrzcie! skąpała się w mej miłości, w czystości uczucia prawdziwego i wyszła z tej kąpieli biała i czysta lilii czystością. Wszak powiedziano, że większa radość w niebie z jednego nawróconego, jak z 99 sprawiedliwych. Niechże się cieszą anieli, bo w ich grono wprowadzę tę, którą kupiłem miłością moją! W długich nocach bezsennych podobnie marzyłem, w niedoświadczeniu młodzieńczem biorąc jej ze mną zachowanie za szlachetną walkę, jej magnetyczne przeciąganie i krępowanie mnie za uczucie, którego pomimo woli zwyciężyć nie mogła, a tu dowiaduję się jej historii przeszłego życia, które zhańbiła samowolnie, której to hańby nie mogła niczem nawet wytłumaczyć i w której trwa dotąd frymarcząc swemi wdzię-

kami z cynizmem obrzydłym, kierując się zasadą „kto da więcej?” dla tego tylko by drogiemi, błyszczącemi łachmanami okryć swą hańbę i poniżenie wypiętnowane na jej czole! — Okropność! a jednak kochałem tę kobietę, kochałem... W tej chwili pogardzałem sobą więcej, jak nią, i z rozkoszą nożem moim byłbym wtłoczył napowrót całą tę powieść w pierś tego, który mnie z nią obeznał, zburzył gmach piękny i wzniosły, w którym ją umieściłem i napoił goryczą, jakiej nie doznawałem dotąd.

— Alboś warjat, albo ci mowę odjęto — usłyszałem słowa dziadka. Cóż u diabła wybałuszyłeś oczy na mnie, jak zając, i ani be, ani me... Co? nie? przecież odpowiadaj! Kochasz Irmę? Chcesz się z nią żenić?

Zbudziłem się; ale prócz jednego słówka: „Dziadku!” nic więcej wymówić nie mogłem.

On wstał, ziewnął szeroko, niedopalone cygaro rzucił w kąt, napił się szklanek wody i siadając na powrót na to samo miejsce, rzekł:

— Grajmy odkrytymi kartami, mój chłopcze! Ja kocham Irmę, już ciż zapewne nie w ten sposób, bym godzinami całemi wdychał do niej, patrząc w jej czarne oczy — ale kocham z uporem 60-letniego człowieka, któren chce posiadać piękną i miłą mu kobietę. Przyznam ci się, że biorąc Irmę do siebie i licząc na jej przeszłość, wcale nie byłem przygotowany na jej zręczny opór: pani Irma jednak porachowawszy się z latami, zdaje się że dziś ma już inne cele, do których dąży, a to ażeby zniknąwszy z horyzontu jako Irma Galaczy, nadto znana, wystąpiła jako prawa i zacna małżonka tego, kto jej da swoje nazwisko — kto wie — zaręcza nawet, że kochana przezeń, potrafi kochać go i sprzykrzywszy już sobie awanturnicze życie, zagrzebie się chętnie z ukochanym w zaciszu domowem. Byłaby to cudowna sielanka, gdybym ja tylko mniej miał lat i doświadczenia i w to wierzył — ale co ùte que co ùte — nie na to ją wzięłem przecież, żeby sam przed sobą się zbłaźnić zwłaszcza że kocham tę kobietę, tak jak kochać umię i mogę. Ty kochasz ją także, zapewne mocniej i inaczej jak ja, bo masz lat 23; — więc oprócz krwi i namiętności coś tam je-

szcze i w piersiach tłuc się musi, to co nazywają sercem. Co? nie? — i zaśmiał się, poklepawszy mnie po ramieniu.

— Nie mogę zrozumieć, do czego to wszystko zastosowane? — odezwałem się nareszcie.

— Cierpliwości, kochanku! W gorącej cię widzę wodzie kąpano. Nie od razu przecież Kraków zbudowany. O! popatrzno przez okno — dodał, rzuciwszy w nie spojrzenie. Za nudno panie Irmie bez ciebie, a może bez nas obydwóch, bo niecierpliwie przechadza się po gazonie, na czem najgorzej wychodzą moje biedne astry, które jej stopa depce bez miłosierdzia. Może wyjdiesz? Nie? co? No, to słuchaj dalej. Skończę w krótkości.

Jeżeli kochasz Irmę, tożeń się z nią, ja wraz z majątkiem moim ci ją ustępuję na własność, zostawiając gotówkę tylko dla siebie. Żeń się z nią, ale naturalnie — (tu pomimo całego cynizmu spuścił przecież oczy) — naturalnie pod warunkiem, że ja przy was zamieszkać, ciesząc się waszem... to jest... wspólnem naszym szczęściem...

Cedził wszystkie te słowa bardzo powoli, kroplę po kropli wlewając truciznę we mnie. Zerwałem się jak piorunem rażony, wszystko co było szlachetnego we mnie, zadrgało na myśl całej ohydy którą mi proponowano i którą miałem kupić kobietę i majątek. Przystokoczyłem do dziadka i przez zaciśnięte usta zasycałem:

— Milcz! ani słowa więcej, bo zapomnę, kim jesteś i że twe włosy siwe!

Dziadek powstał i uśmiechnął się.

— No! tak to lubię! rozmówiliśmy się dobitnie, i nic już więcej sobie powiedzieć nie mamy. Gdy nie kochasz Irmę o tyle, żebyś się z nią chciał żenić, nie bałamuc że jej dłużej, proszę cię.

— Jutro odjeżdżam -- zawołałem.

— A! na to nie pozwolę; tak nam tu z tobą miło i dobrze! Zanudziłaby mi się pani Irma. Co? nie? Czemu odjeżdżać? Od dziś ani słowa nie wspomnę o tym całym interesie, i będziemy się kochać jak przedtem. Spodziewam się jednak — dodał dobi-

tniej, że na spadek po mnie odtąd liczyć nie będziesz?

— Nigdy nie liczyłem nań! — zawołałem i zaczerwieniłem się, bo mówiłem nieprawdę. (I matka moja i ja liczyliśmy bowiem na to na pewno, bośmy byli jedynymi krewnymi jego.)

Uśmiechnął się dziadek ironicznie i swobodnie ciągnął dalej:

— Rad jestem bardzo, że wiemy już obydwaj, na jakim gruncie stoimy. Irmie trochę to zapewne przykro będzie. No! ale cóż robić? Ma przecież rozum. Chodźże, chodź, bo się nareszcie pogniewa. A jaka śliczna, gdy się gniewa!

Nie chciałem iść z nim razem. Wyszedł w najlepszym humorze mówiąc: „Przychodź wkrótce, a o odjeździe nie myśl nawet, bo nie puszczę.”

Zostawszy sam, nie wiem jak długo zostałem się jakby pod wrażeniem sam okropnego, coś nakształt zmory gniotło mi piersi, tak jak ja gniotłem czoło i głowę, by z nich jakąś jaśniejszą myśl wydobyć.

Zawołano do kolacji, powlokłem się, zdawało mi się, że nic się nie zmieniło w kółku naszym. Oboje byli jak dawniej, ja tylko snu jeden połykałem wszystko aż do zadławienia się, by nie mówić i nie słyszeć wesołych głosów. Na drugi dzień zobaczyłem Irmę przy śniadaniu z zaczerwienionymi powiekami; widocznie noc musiała spędzić we łzach, bo twarz jej była blada i zmęczona. Milczała prawie ciągle, chwilkami tylko, gdy podniosła oczy na mnie, w oczach tych czytałem wyraz żalu i wyrzutu. Traciłem głowę. Mogła być moją i odrzuciłem ją. Byłaż to miłość prawdziwa, która uległa zimnemu rozsądkowi i honorowi obrażonemu? A jednak serce moje do niej się rwało; za otarcie łez tych ustami mojemu byłbym może oddał życie. Po śniadaniu, które dla mnie wieki trwało, wyszedłem do ogrodu, suche i żółte liście szeleszczały pod moimi nogami, na skrócie alei oko w oko z nią się spotkałem. Płakała. — Irmo! zawołałem — chwytając ją za rękę, Irmo moja!

— Postąpiłeś szlachetnie — odrzekła cicho. Cenisz siebie jak człowiek prawy powinien. Pogardzasz mną, jak zasłużyłam. A jednak kocham cię i serce

mi pęka. W tej chwili dopiero po raz pierwszy w życiu żałuję — och! z głębi serca płacząc za utraconą i zdeptaną cnotą. Okropnie jestem ukarana, bo cię kocham, Witoldzie!

— Irmo! nic nie stracone! Ty wiesz, że ja cię kocham, och! jak kocham! Zapomnę wszystko. Ani różnica wieku, ani twa przeszłość nie odstrasza mnie zupełnie. Przyszłość do nas należy. Bądź moją — ale niech o n... ten... tamtem nigdy — nigdy progę naszego domu nie przestąpi — rzekłem, trzymając obydwie jej białe, piękne ręce w mojej dłoni.

— Żegnacie się państwo? — ozwał się w tej chwili głos dziadka o kilka kroków od nas — przecież nie na długo pani Irma nas osieroca, prawda? Co? nie?

Zwróciłem ku niej pytające wejrzenie.

— Za parę dni wrócę — rzekła jakby na odpowiedź. Mam nadzieję, że pana zastanę jeszcze, dla tego do widzenia.

Skłoniłem się jej w milczeniu, potwierdzająco.

W parę godzin później odjechała. Dziwne miało mną uczucie po jej odjeździe: każdy dzień zdawał mi się być rokiem. Nie mogłem miejsca swobodnego znaleźć dla siebie, a jednak kontent byłem, że jej nie ma, bo robak zazdrości nie toczył mego serca. O! gdyby nie wróciła! gdyby nie wróciła! — modliłem się prawie.

I nie wracała. Tydzień minął i drugi dobiegał do kresu, a jej nie było. Nie spostrzegłem nawet, by dziadek jakie listy od niej odbierał. Raz tylko siedzieliśmy przy obiedzie, gdy oddano mu telegram, po przeczytaniu, którego uśmiechnął się z zadowoleniem, lecz ani słowem nie nadmienił o treści tegoż. Chciałbym być, właściwie czułem, że powinienem nareszcie odjechać. Listy mej biednej, stęsknionej matki błagały prawie o mój powrót. Czegoż zresztą czekałem? A jednak czekałem. Chciałem ją jeszcze raz widzieć, raz jeden usłyszeć z ust jej, że mnie kocha. A wtedy... cóż wtedy? pytałem sam siebie. Uciec z nią, choćby na koniec świata, ożenić się wbrew woli i błogosławieństwu matki, wbrew opinii świata, wbrew własnemu przekonaniu i poczuciu honoru. Czy ja wiem zre-



szta, co myślałem, czego oczekiwałem i czego się spodziewałem?

Ostatnie dwa listy mej matki leżały nierozpieczętowane Pogardzałem sam sobą, nienawidziłem siebie. Wiłem się w okropnych torturach, które mi szalona namiętność mnie dławiała. Trzy tygodnie minęło od wyjazdu Army. Chyba nie żyje — myślałem. Gdzie jest? co robi? czemu nie wraca? — pytałem sam siebie. Może nie wróci i nie zobaczę jej już nigdy! Samo to przypuszczenie mąciło mi zmysły. Dziadek był wesół jak nigdy, a dla mnie z każdym dniem stał się więcej uprzejmym — rzekłbym prawie — uprzedzającym. Coraz lepsze sprowadzał cygara, codziennie wytworkniejsze dysponował obiady, a mnie każdy dzień witał bledszym i mizerniejszym

Jednej nocy po długiej bezsenności zasypiając nareszcie, usłyszałem turkot zajeżdżającego powozu. Wyskoczyłem z łóżka i stanąłem przy oknie. Noc była ciemna i wietrzna. drobny deszcz listopadowy bił w szyby, przez które nic nie widziałem. Irma powróciła! tętniło mi w uszach, w sercu, w skroniach. Irmo! szeptałem i z imieniem tem na ustach usnąłem, z imieniem tem na ustach przetarłem rano oczy. Nie śmiałem zapytać lokaja, który mi wniósł rzeczy, kto przyjechał?

Zeszedłem do śniadania.

Dziadek był sam. Nie wiem dlaczego odetchnąłem z głębi piersi. Mówiliśmy o wszystkim, tylko nie o Armie. Nareszcie rzekł dziadek:

— Mamy gościa. Przyjechał mój dawny a jedyny przyjaciel, ks. Łukasz, gwardjan zakonu OO. Bernardynów i stary człowiek, ale bardzo miły i wesół... Co? nie? Spi jeszcze, bo późno przyjechał — musiałeś słyszeć...

— Słyszałem — bąknąłem i umilkłem.

— Świątobliwy to bardzo człowiek i za nic w świecie nie rozpocząłby dnia bez odprawienia mszy świętej: to też z łóżka prosto do cerkwi pospieszy. Wypada i nam być. Mógłby naszą niebytność uważać za lekceważenie. Co? nie? Spodziewam się, że i ty pojedziesz ze mną.

— Najchętniej — odrzekłem. Połknąłem herbatę i rozeszliśmy się o gtej mając się udać na mszę św. Razem szliśmy i razem stanęliśmy na progu przybytku Pańskiego. Było zaledwie kilkoro wiejskich ludzi, był to bowiem dzień powszedni i wszyscy zajęci pracą. Sędziwy kapłan stał już przy ołtarzu. Z wejściem naszym rozpoczął oficium. Gdy skończył już i zgromadzonych pobłogosławił, dziadek postąpił ku ołtarzowi, a bocznemi drzwiami weszła Irma. Była w czarnej aksamitnej sukni, zamiast wianka i welonu miała nad czołem w kruczych włosach diadem z pereł i kamieni jakby koronę królowej, a długi ogon aksamitnej sukni zamiałał płyty kamienne.

Weszła sama, nie podniosła ócz na nikogo. Pewnym krokiem stanęła przy dziadku, potem oboje ukłękli i rozpoczęła się ceremonia ślubna. Tarłem oczy, ostremi paznogciam krwawiłem ciało moje, by się przebudzić ze snu okropnego i zbudził mię głos donośny księdza, który rzekł:

— Wszystkich tu zgromadzonych, biorę za świadków, jako oficjalnie odbył się ślub na mocy indultu pomiędzy panią Irmą Galaczy i panem Ignacym W... Kto umie pisać, proszę stwierdzić to własnoręcznym podpisem.

Podpisałem ja i sługa kościelny. Tak się zapewne podpisuje cyrograf na duszę szatanowi. Gdybym był największym niedowiarkiem, musiałbym w cud uwierzyć, że potrafiłem wyjść z cerkwi, że nie straciłem zmysłów, że nie padłem trupem. Przez myśl mi nigdy nawet nie przyszło, że dziadek — dziadek może się z Irmą ożenić, że Irma może pójść za niego! Czy więcej ją kochał odemnie? czy więcej posiadał cywilnej odwagi do brawowania opinii świata? A ona — ona — sprzedała się starcowi za trochę mienia, za nazwisko! Ach jakże często kobiety nie warte imienia kobiety! Wszystko to tłumnie wirowało w mej głowie, a ponadto wszystko dręczyła mnie myśl... „Stracona dla ciebie! sam tego chciałeś!..“

W czasie obiadu wesoły staruszek, gwardjan OO. Bernardynów opowiadał rozmaite dykteryjki, zastosowane do okoliczności. Wszyscy się śmieli i ja się śmiałem. Potem wniósł zdrowie państwa młodych — pod-

niosłem kielich — miałem chęć rzucić nim o ziemię lub w twarz ich, opamiętałem się jednak; traciłem w ich kieliszki i duszkiem spełniłem toast. A ona była wesółą jak 18-letnia oblubienica w chwili spełnienia swych najgorętszych pragnień, zalotnie pochylała się ku staremu mężowi, który nareszcie nabył prawa, do-  
tąd przez nią z wyrachowaniem zabronione mu.

Nienawidziłem ją w tej chwili stokroć razy więcej jak jego. Okradła mnie podwójnie — ze szczęścia i wiary — i z majątku, mej matce przyrzeczonego i prawnie należącego się jej. Och! jakże nią pogardzałem!

Wstaliśmy od stołu. Że się nie rozchorowałem z tego jedzenia, to doprawdy dziwić się trzeba. Nastawiła swe śliczne purpurowe usta do pocałunku starcowi, który też skorzystał z tego, i z tryumfem spojrział na mnie. Zapieкло mnie w gardle, żalowałem w tej chwili, że nie jestem Hiszpanem i nie mam puginalu przy sobie. I zamajaczyła mi w pamięci owa chwila w lesie, gdy tuliłem ją w mem objęciu, tę zręczną komedjantkę, szeptającą mi raz jeden wtedy miłośne słowa, którym młody szaleniec uwierzył, i uczułem żar jej pocałunku, którym teraz paliła usta starca o wprawionych zębach i farbowanych włosach — i to w obecności mojej.

— Proszę mię od dzisiaj babcią nazywać — usłyszałem głos jej metalowy obok siebie, i podała mi rękę, zaśmiawszy się pusto. I ja popatrzyłem na nią i zaśmiałem się także. Wpiła we mnie swe czarne, lśniące namiętnością oczy, i śmiech w połowie się urwał. Spuściłem oczy, nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia.

W nocy dostałem silnej gorączki: jak słaby byłem moralnie tak i fizycznie siły moje nie mogły wytrzymać tych mąk tantalowych, które przebywałem. Od straszego bólu głowy traciłem chwilami przytomność, od bólu serdecznego pierś mi pękała. Leżałem tydzień w malignie. Dziadek codziennie posłał po lekarza, codziennie dwa razy on i Irma sparci jedno na drugim przychodzili mnie odwiedzać. Ona pochylała się nademną, miękką atlasową dłonią dotykała rozpalonego czoła, jak doktor liczyła uderzenia pulsu...

Szalałem, a jednak nie oszalałem. Zdawało mi się, że nienawidzę tę kobietę, a ją ją kochałem do szaleństwa; wmawiałem w siebie, że nią pogardzam, a całą siłą woli walczyłem ze sobą, by nie paść przed nią na kolana.

Dziadek był szczęśliwy i rozpromieniony i tem mnie do wściekłości doprowadzał. Po tygodniu wstałem z łóżka. Ona obydwie dłonie podała mi radośnie, pielęgnowała jak dziecko, uprzedzała chęci. W parę dni rzekłem wujowi, że chcę jechać do matki i prosiłem o konie do stacji.

— Czyż koniecznie? — zapytał. Myśleliśmy, że zabawisz z nami do nowego roku i razem pojedziemy. Co? nie? Zostań, panie Witoldzie!

— Jakto? dziadek także do Lwowa? — zapytałem zdziwiony.

— No, jakże chcesz? trudno przecież, kobietę młodą i piękną, przywykłą do życia świetnego, skazywać na zimowe nudy wiejskie. Co? nie? Najgorszy to sposób byłby. zatęskniłaby i pożałowała przeszłości, znieawidziłaby może nawet starego męża i zapragnęłaby wolności. Wierz mi — co? nie? Owoc zakazany zawsze najlepiej smakuje. Dała tego przykład Ewa w raj. Gdybym był np. poprostu wyprosił cię z domu, zaręczam ci, byłaby cię pokochała — a tak przyznała mi się, żeś jej się podobał, że na przechadce w lesie na twoje gorące wyznania miłości — chcąc skrócić nie nową dla niej, więc nader nudną scenę — bąknęła ci także, że cię kocha a teraz dziękuje Bogu serdecznie, żeś ją nie chciał, gdyż najprzód że jesteś dzieciuch dla niej, a powtóre żeś ślamazarny. Co? nie? Tak ona twierdzi przynajmniej, a to kobieta jak iskra, trza ci wiedzieć...

Czy też choć jedna osoba z tych, co to czytać będą, pojmie co się ze mną działo, jakie męki ja przebyłem.

Uparłem się jechać koniecznie pomimo prośb obojga małżonków, pomimo jej palącego spojrzenia, a raz nawet przy słowach „pojedziemy potem razem“ coś jak łza zaszklilo się w jej oku. Na wyjezdnej rzekła:

— Zapraszam więc pana w imieniu mojem i mego dobrego, kochanego męża (przy tych słowach objęła jego szyję) na wszystkie soboty w czasie karnawału do nas i angażuję do tańca, bo ja — choć babka zapamiętała tańczę — i zaśmiała się śmiechem szczęścia.

Przyrzekłem i odjechałem.

Oboje odprowadzili mię do stacji. Siedziałem naprzeciw niej, czarowała mnie magnetycznym spojrzeniem, upajała smutkiem, który zdawał się wiać z jej postaci. Ściskając ostatni raz dłoń jej na pożegnanie, czułem rozkoszne drżenie tejże, słyszałem zaproszenie usilne... Gdy pociąg ruszył, zdawało mi się, że na moim własnym grobie słyszę stuk spadających grudek ziemi. Chciałbym był wyskoczyć i wrócić do tych męczarni piekielnych, które jednak były opromienione jej widokiem. Nie zwracałem nawet uwagi na towarzyszków mej podróży. Teraz już wszędzie i zawsze sam być miałem na świecie. Jakże odmienny wracałem po kilku miesiącach! Odjeżdżałem ze Lwowa najlepszym synem, zajęty całkowicie lubem dziewczęciem, z którym tak łatwo mogłem ręka w rękę pójść jasną drogą żywota. Odjeżdżałem pełen wiary we wszystko co piękne i wzniosłe, pełen nadziei w przyszłość wyśnioną, cały przepelniony miłością dla ludzi. Wracałem pół-trupem, odarty ze wszystkich skarbów uludy, jak wulkan płonący ogniem namiętności, której niezaspokojone żądze gorącą lawą wypiekały nieszlachetne uczucia.

Była niedziela, o IIej rano wchodziłem do drzwi mieszkania mej matki. Otworzyłem je... Na środku pokoju stała kuzyneczka Jadzia, ubrana w ciemną suknię — znać nową — bo w zwierciadle przeglądała się takowej. a obok leżał kapelusz i płaszcz.

Zobaczyła mnie i krzyknęła radośnie :

— Witold ! ciociu ! Witold !

Przyskoczyła do mnie i obydwie podała rączęta, cała rumieńcem szczęścia oblana, które się zamaństwo uśmiechem na różanych usteczkach i łzami w bławatnych oczętach.

W sekundę potem biegła moja matka z otwartymi ramionami witać marnotrawnego syna, który na-

reszcie powrócił pod strzechę rodzinną, i całowała mnie, śmiejąc się i płacząc razem.

Zauważały, że jestem blady i mizerny, tłumacząc to długą podróżą.

— Widzisz, ciociu! cioteńko moja droga! a gderałaś na mnie, że się tak powoli zbieram do kościoła. Byłby przyjechał i nas nie zastał. Podziękuj teraz, przeproś... — szczebiotała panienka i nastawiła rumianą buzię ustom mojej matki, patrząc przytem figlarnie, jakby wzywając mnie do pozazdroszczenia tej pieszczoty.

Niestety! nie robiło na mnie dziś nawet wspomnienie skradzionego całuska żadnego wrażenia — ciałem ja tylko byłem między niemi, duszą i sercem przy czarnookiej hurysce. W jednym z krótkich listów moich doniosłem matce, że dziadek się ożenił; sądziłem że wiadomość ta boleśniej ją dotknie, jak teraz zauważałem.

— Ożenił się więc wuj Ignacy — mówiła wesoło przy obiedzie, nakładając mi olbrzymią porcję pieczeni. A no, ożenił się na starość, prawdziwie może i dobrze zrobił. Smutne takie życie samotne, przynajmniej gdy zachoruje, będzie miał przy sobie wierną przyjaciółkę, gdy umrze, ktoś zapłaci szczerze na jego grobie. Dla czego jednak dawniej tego nie zrobił? I jakaż to kobieta? Pisałeś że jeszcze dosyć młoda. Czy przyjemna? dobra gospodyni? pocziwa? Z pewnością uboga, kiedy się zdecydowała pójść za 60 letniego człowieka? Ale prawda! ja byłem młodziutką i miałam ładny posag, a przecież poszłam za starego. Daj jej Boże, by była tak szczęśliwą, jak ja byłem z twoim ojcem!

Z tych słów poznacie, czytelnicy moi, zacny charakter kochanej mej matki. Nic dla siebie, wszystko dla drugich: to było jej godłem. Strata materialna nie bolała ją.

— Dobrze zrobił, że się ożenił — mówiła w kilka dni później znowu, gdy oboje byliśmy tylko w pokoju. Mamy tyle, że przy łasce bożej, gdyby nawet nie przybyło więcej, wystarczy na spokojne życie dla ciebie — a przecież (dodała z uśmiechem) — a przecież i Jadzi posag wcale okrążyły.

— Cóż nas jej posag obchodzi? — odrzekłem opryskliwie prawie.

— Nie wypieraj się, synu, nie — mówiła matka dalej ze śmiechem. Wiem ja wszystko i cieszę się serdecznie... Wszak to już rok trzeci, jak karmię się tą nadzieją. Nie możesz ani ty sobie lepszej żony, ani ja lepszej córki życzyć. Jakie to ciche, wesołe, gospodarne — trzpiot trochę, ale od czegoż młodość? Doprawdy! czaruje chyba tak ją wszyscy kochają. Ale ona ze wszystkich drwi, bo ciebie kocha całym sercem. Po twoim odjeździe nie mogło biedactwo wytrzymać, bo u tego dziewczęcia co w sercu, to i na ustach, i wypowiedziała mi swoją tajemnicę serdeczną, o której ja dawno wiedziałam. Wypowiadała się i z ukradzionego buziaka i ze słówka „kocham,” które jej ktoś szepnął przy prasowaniu. A pfe, panie synu! czy to ładnie, bałamucić pupilkę poza plecyma matki? — i śmiała się i całowała mnie, a jam się wściekał ze złości. Nienawidziłem tę Jadzię, tę papłę, która nie miała nic lepszego do czynienia, jak pochwalić się przed matką moją z głupstwa mojego. Panienska — myślałem, nie dość, że się daje całować, ale rozpowiada to sama! O jaka skromna!

Chciałem odpowiedzieć matce i wręcz wyznać, że nie kocham Jadzi i nigdy się z nią nie ożenię, gdy w tej chwili licho nadniosło gości, i matka moja odeszła uradowana i pewna skojarzenia naszego związku.

Mijały tygodnie, ja byłem coraz smutniejszy i bledszy, tęsknota mnie trawiła, oczekiwanie nużyło, nadzieja tylko przyjazdu Armii podtrzymywała zdrowie. Dla mej najlepszej matki stałem się obojętny, dla Jadzi często posunąłem się aż do niegrzeczności. Całe dnie przepędzałem za domem w kółku kolegów literatów, tam przynajmniej nikt mi nie naprzykrzał się pytaniami: „Czyś nie chory? co ci jest? co będziesz jadł? poradź się lekarza” i t. d. Ale w krótkce i kolegów zacząłem unikać, bo ci prześladowali mnie kuzyneczką Jadzią, śmiejąc się ze mnie, że pewnie kocha mi dała, gdy w tak cierpkim zawsze jestem humorze, czego i muza moja się ulękała i uciekała ode mnie.

— Ty Witoldzie! to jesteś jak pies, który sam kości nie gryzie i drugiemu zbliżyć się nie pozwala — rzekł jeden. Kuzynka twoja taka luba i ładna, że nie jeden by się posunął...

— A żeńcie się z nią wszyscy do milion diabłów! — zawołałem ze złością.

— Oszalał — słowo daję — oszalał! zakrzyczano i śmiano się ze mnie, mówiąc że m z zazdrośny o skarb swój.

Nadeszła wigilja Bożego Narodzenia, ten najuroczystszy wieczór w całym świecie chrześcijańskim, wieczór który zwykle zgromadza w domu rodzicielskim rozpierzchną rodzinę. Rodzina nasza — to byłem ja i matka moja, ta matka najlepsza, która wyrzekła się własnego szczęścia dla niewdzięcznego dziecka. Pocóż więc wcisnęła się pomiędzy nas ta trzecia, która wzięła mi połowę miłości mej matki i prześladowała mnie czułymi spojrzeniami i łagodnością anielską, na jakie zdobyć się może tylko szlachetne serce, kochające.

Siadłem rozżłoszczony temi myślami do wieczery, a po przełamaniu opłatka z matką i ucałowaniu rąk jej, które mnie z miłością do siebie przytuliły, zbliżyłem się z opłatkiem do kuzyneczki Jadzi i rzekłem:

— Życzę ci, kuzynko! prędkiego i szczęśliwego zamełcia, a spodziewam się, że jako družba oddam cię w ramiona kochającego cię męża.

Choć lat tyle już od tej chwili minęło, widzę teraz jeszcze, jak uśmiech znikł z różanych ustek, wypatrzyła biedaczka na mnie niebieskie oczęta i dwie grube łzy stoczyły się po jej licach. Otarła je prędko i rzekła cichym, serdecznym głosem:

— A ja ci życzę, byś był bardzo szczęśliwy w życiu twojem, kuzynku...

Od nowego roku byłem ciągle rozgorączkowany, codziennie zachodząc do portjera pewnego hotelu, do którego zawsze zajeżdżał dziadek i pytając czy nie przyjechał, a tak minęło święto trzech króli, a ich nie było. Każden dzień oczekiwania zdawał mi się być wiekiem, życiem mojem byłbym zapłacił ich przyjazd. I przyjechali nareszcie. Portjer dał mi znak.



Poleciałem. Na wschodach jednak stawałem co chwila, bicie serca tamowało mi oddech. Wziąłem nareszcie za klamkę, otworzyłem drzwi i zobaczyłem ją stojącą przed lustrem w białym, rannym, bogato koronkami obszytym kaftaniku i czeszącą pyszne, długie, krucze włosy. Była sama.

— Ah! Bien le bon-jour, kochany Wunciu! — zawołała. Jesteś grzeczny i uprzejmy, że zaś nie patrzyłeś na zegarek i nie domyśliłeś się, że to za rano jeszcze na odwiedziny, będziesz za to ukarany, bo musisz poprzestać na widzenie mnie w negliżu. Najgorzej na tem ja wyjdę, bo ci się zaprezentuję bez żadnych pretensyj jak prawdziwa babka — śmiała się, pozwalając mi całować swe ręce.

Kazała usiąść przy sobie i mówić cicho, bo mąż, znudzony drogą, spi jeszcze. Włosy swe niesplecione niedbale zwinęła, spiąwszy je jakąś świecąca szpilką nad czołem. Taką śliczną nigdy ją jeszcze nie widziałem. Malarz chcąc wyobrazić na płótnie czar i pokusę, ją powinien był w tej chwili widzieć i wziąć za model.

— Wczoraj przyjechaliście, państwo? — zapytałem, aby nareszcie coś powiedzieć.

— Ciszej — szepnęła, niech spi mój stary pocciwy. Czy się mnie boisz, że tak się usuwasz w kąć sofki? Czym taka straszna? — i pochyliła się ku mnie, straszniejsza dla mnie swemi wdziękami, jak wszystkie potwory świata swoją szkaradą.

— Irmo — szepnąłem, obydwie jej białe ręce trzymając w mych dłoniach, Irmo! miałaś ty litość nademną?

— A ty — odszepnęła ciszej jeszcze i przesywając mnie namiętmem spojrzeniem, wszak odtrąciłeś mnie, choć cię kochałam, i dobrze się stało. Patrz! włosy mi już szarzeją... Uśmiechnęła się i odgarnąwszy włosy na skroni, kazała mi szukać kilka srebrnych promieni.

Znalazłem i przytuliłem je do ust mych.

— Irmo — odezwał się głos dziadka z drugiego pokoju. Chodź no tu, kotko! daj pysia na dzień dobry...

Uwolniła włosy swoje z mych palców i ani patrzywszy na mnie pobiegła, a po chwili słyszałem głośne całowanie.

— Zburcz też twójego kuzyna, proszę cię — mówiła głośno żartując. Wyobraź sobie, od kwadransu już jest tutaj, i ja się ubrać nie mogę przez niego. Patrz! jeszcze nieuczesała.

— Witold tutaj? A chodźże no tu — panie Witoldzie! chodź! Nie wstydz się go. Tyś i tak ładna, może jeszcze ładniejsza niż w stroju, a żebyś go zapytała, ręczę żeby potwierdził. Co? nie? No, jak się masz? co tu słyszać? Zaczęliście się już bawić? jak? co? gadajże! obskrob nas trochę z wiejskiej pleśni. No, siadajno tutaj i rozповідаj, a ty, kotko, poszlijno po kawę. Napijesz się z nami, prawda? Co? nie? ej! napijesz, jak cię kocham.

Od dnia tego byłem prawie ich nieodstępnym towarzyszem. Dotąd nie mogę sobie wyobrazić, jak się działo, że dziadek nie był o mnie zazdrośny. Gdyśmy dłużej ze sobą rozmawiali, mówił ze śmiechem.

— No, no! nie romansujcie tylko, moi państwo, to nie las, tylko Lwów, to nie Irma Galaczy, lecz Irma, twoja babka. Pamiętaj, młokosie!

Śmiał się on, śmieliśmy się oboje i byliśmy ze sobą zawsze na jednej stopie. Ja kochałem ją wszystkimi uczuciami mojemu, ona ośmielała mnie gorącym tchnieniem, rzucanemi słowami przeszłości, spojrzeniami palącemi — i nagle zimnem szyderstwem, lub lekceważeniem oblewała jak lodem. O matkę moją dziadek nigdy ani zapytał, i ja swej matce nie wspominałem o tem, że oni są we Lwowie. Gościem tylko rzadkim byłem w domu.

Przyszedłszy raz do domu późno już w nocy, gdy się położyłem i miałem właśnie usypiać, słyszałem że drzwi się otworzyły i zobaczyłem matkę moją na progu ze stoczkiem w ręku.

— Nie spisz jeszcze, mamó? — zapytałem i usiadłem na łóżku.

— Czekałam na ciebie, moje dziecko — odrzekła łzawym jakimś głosem, tak rzadko cię teraz widzimy w domu.

Zabolał mnie ten cichy wyrzut, zły demon jednak podszeptał mi słowa:

— Nie jestem przecież dzieckiem, moja mamo, i z każdego kroku mojego nie potrzebuję się spowiadać.

— Zapewne — odrzekła po chwili matka (och! jak ją też zabić musiały te słowa!). ja też nie żądam, byś robił osiarę ze siebie, dotrzymując nam niekiedy towarzystwa za którym tęskni twoja stara matka... Chciałam tylko z tobą pomówić o Jadzi

— O Jadzi? — zawołałem gniewnie prawie. Ale cóż mnie Jadzia obchodzi?

Matka pochylała smutnie głowę.

— Nie obchodzi cię nic to słodkie, kochane i ładne dziecko, które cię tak serdecznie kocha, a które i ty kiedyś kochałeś? Nie chcę się wdzierać w twoją tajemnicę, gdy nie osądziłeś mnie godną twego zaufania, ale ze wszystkiego wnoszę, że kochasz inną. Ta inna jestże godniejsza nazwy mej córki, którą to nazwę trzy lata już w sercu mojem dałam Jadzi? — i rozplakała się matka moja

Zabolało mnie coś w sercu, pochyliłem się do jej rąk i ucałowałem.

— Matko moja! — rzekłem, przebacz twemu synowi i nie odtrącaj go za grzeszne nieposłuszeństwo, ale ja Jadzi nie kocham i nigdy się z nią nie ożenię. Nigdy, droga matko! nigdy syn twój nie rozweseli serca twojego małżeństwem!

— Biedne, biedne moje dziecko! — rzekła matka płacząc i tuląc do siebie. Nieszczęśliwy! złamałeś własne życie jakąś miłością, nie godną ciebie. Otwórz twe serce przed matką, a lżej ci będzie. Ona cię zrozumie i zapłacze wraz z tobą!

— Nie żądaj matko! och! nie żądaj tego odemnie. Nie mówmy więcej o tem, lecz wzmocnij mnie twojem przebaczeniem.

— Niech cię Bóg wspiera łaską swoją. — wśród łkania mówiła matka. Niech prowadzi kroki twoje ku szczęściu i niech ci dodaje siły do niesienia tego krzyża, jaki przeczuwa dla ciebie serce, pełne przebaczenia i miłości matczynnej!

Nakreśliła ręką krzyż na mem czole i odeszła

Szał mój dla Irmy dochodził do szczytu. Po każdym balu, na którym ją widziałem strojną i piękną i w tańcu cisnąłem w moich ramionach, w których ona drżąca i uśmiechnięta spoczywała prawie bezwiednie, ja traciłem zmysły. Były chwile, w których taką do dziadka czułem nienawiść, że bałem się sam siebie, by szatan mnie do zbrodni nie popchnął.

Pewnego dnia siedząc przy obiedzie w domu, podniosłem bezmyślnie oczy na Jadzię i zdumiałem się nad zmianą, jaką w niej spostrzegłem. Ani śladu owych żywych rumieńców, ani rozkosznego na ustach uśmiechu, oczy bławatne nawet jakby spełzły od łez zapewne. Nie kręciła się i nie szczebiotała jak zwykle, siedziała cichutko ze spuszczoną główką, pochylona cała, jakby ją smutek do ziemi przyciskał. Oczy moje zwróciły się ku matce i przelekkłem się zmiany, jaką zobaczyłem w jej twarzy. Przed kilkoma miesiącami nikt nie chciał wierzyć, że jest moją matką, tak młodo i świeżo wyglądała, dziś — zmarszczki twarzy jej pokryły, usta poblady jak i lica, a oczy okrążyła sina obwódka. Serce we mnie lodem się ścięło na myśl że to ja przyczyną smutnej zmiany tej matki kochanej, tej kuzyneczki poczciwej. Zacząłem zwracać baczniejszą na nie uwagę od tej chwili. Matka z każdym dniem stawała się mizerniejszą, Jadzia zaczęła pokaszliwać tym krótkim, urywanym kaszlem, który w młodym wieku jest złą przepowiednią.

Mijały tygodnie i nadszedł dzień nareszcie, dzień straszny dla mnie — i dla biednego dziadka. Irma poszła śladem matki, sprzykrzyła sobie życie ze starym, choć poczciwym, ale rubasznym i cynicznym mężem. Myśl powrotu na wieś i życie ciche, jednostajne, którego kosztowała rok prawie, przestraszyły ją. Wtedy była po burzliwym życiu spragniona wypoczynku, oprócz tego bawiła tylko jako gość w domu dziadka, który był cały na jej skinienie, oboje mieli cel przed sobą; teraz osiągnąwszy go, on żądał, by wracać już do domu i by piękna pani stała się nareszcie rzeczywistą gospodynią domu, ona zaś nie miała najmniejszej ochoty, zakopać się na wsi i zejść do tej roli, tem bardziej teraz po wypróbowaniu powtórnem czaru swoich wdzięków, któremi jak dawniej świe-

tniała we wszystkich towarzystwach, odnosząc zwycięstwo nad innymi kobietami tak urodą, jak pięknem wychowaniem i umiejętną sztuką zalotności. Przekonała się więc dowodnie, że ma jeszcze przed sobą kilka lat bogatych w świetną i lekką przyszłość, i nie chciała ich zamienić za ekspiację przeszłości, za uzyskany szacunek, za wypełnienie obowiązków, których zrozumieć nie chciała. Człowiek o siwych włosach, który dał jej uczciwe swe nazwisko, by niem osłoniła własne, okryte hańbą, dał jej dobrobyt, ażeby ją nędza nie popchnęła na dawną drogę, dał jej przywiązanie swoje i opiekę na dalsze lata życia, nie obchodził ją zupełnie, jak też nie obchodził ją młodzieniec, z którego pierwszym uczuciem igrała niegodnie, wiedząc aż nadto dobrze, że on konał powolnem konaniem z miłości dla niej. Znalazł się inny piękny, młody, bogaty — ze sfery wyższej jak nasza — który nie serce i rękę (bo serca dawno się pozbył, a ręka jego od dwóch lat należała do pięknej i zacnej jego małżonki z krwi jak on hrabiowskiej), ale świetne utrzymanie, brylanty, koronki, podróż do Włoch i t. d. u nóg jej złożył i tem ją sobie kupił. Zawiązała z nim romans, mąż naczynie przekonał się o jej niewierności, nastąpiła scena gwałtowna, gwałtowniejsza nawet, jakiej człowiek inteligentny dopuścić się powinien. W parę godzin później Irma rozświecała już swojemi czarnemi, jak wulkan płonącemi oczyma inne ksiązące prawie apartamenta.

Ja siedziałem przy dziadku, który w najwyższem rozdrażnieniu tłukł i darł co mu pod rękę wpadło, czasem głową tłukł o ścianę, chwilami śmiał się jak szalony. A co się ze mną działo — nie wiem. Doznawałem uczucia podobnego zapewne temu, gdy się komu ziemia z pod nóg usunie i zobaczy się w głębi przepaści bez nadziei wydobyć się kiedy, skazany na śmierć głodową.

Po kilku dniach dziadek odjechał do domu, chciał koniecznie zabrać mnie ze sobą, nie pojechałem jednak, nie czułem się na siłach — i dobrze się stało, bo w kilka dni natura moja uległa cierpieniom moralnym, i ciężka choroba powaliła mnie na łożo boleści. Matka, święta matka moja z pomocą dobrej, bladej i smutnej Jadzi dnia i noce trawiły przy mnie,

znając dziś już całą grzeszną tajemnicę, która ich mojego pozbawiła serca.

Na Wielkanoc pierwszy raz dopiero wstałem z łóżka, matka moja ze zmartwienia i bezsenności o jakieś 10 lat się postarzała, kuzynka Jadzia chwiała się tylko na nogach i wyglądała tak jak gdyby sama powstała dopiero z długiej choroby.

Ocknąłem się nareszcie z letargu duchowego, zabolalo mnie serce, i sumienie gorzkie czyniło wyrzuty. Nie mogłem się jednak jeszcze otrząść zupełnie ze szalu, który złamał całe moje życie, i tak z porady lekarza, jak i na usilne prośby matki mojej pojechałem z wiosną do wód, by te zbawiennie pokrzepiły siły me fizyczne. I w istocie zbawiennie to kilkumiesięczne oddalenie i przebywanie wśród rozlicznych towarzystw wpłynęło na mnie. Pomału zacierała się pamięć niegodziwej awanturnicy, której pozwoliłem być zająć całe moje serce a z za cienia tejże wychylała się świetlana postać ładnej i dobrej mej kuzyneczki, owianej aureolą młodości i cnót niewieścich. Wstydzilem się sam przed sobą i spieszyłem z powrotem, gnany rozbudzonem uczuciem dla tego anioła, pragnąc na kolanach błagać ją o przebaczenie wielkich win moich i prosić o serce i rączkę, które to skarby tak niebacznie odtrąciłem.

Matkę moją zastałem zmienioną — postarzałą prawie. Włosy jej zbielały, tak niedawno jeszcze gładkie czoło pomięły fałdy, ciężki smutek pochylił kształtną postać. Uczulem się zbrodniarzem, brzydziłem się samym sobą, bo wiedziałem aż nadto dobrze, że ja byłem sprawcą tego wszystkiego! Pocięszyłem się jednak widokiem Jadzi; była to znowu ta sama swywolna figlarka — czy bławatne świeciły znowu, ale nie łzami, tylko uczuciem radośnem, z różanych ustek nie schodził śmieшек i jak skowronek nuciła dnie całe, a głos jej czysty, melodyjny wesołym śpiewem jak modlitwą płynął ku niebiosom. Zdawało mi się że wypiękniała, twarzyczka biała zaokrągliła się znowu, a róże zapewne zazdrościć jej musiały świeżości i krasy. Droczyła się ze mną i chichotała dzień cały, ja jak winowajca poddawałem się wszystkiemu, i tak mi było jakoś dobrze i rozkosznie, że

od dnia do dnia odwlekałem oświadczyzny, chcąc wpiery z nią formalnie w tym względzie pomówić i matkę moją ucieszyć już pewnością naszego związku i wzajemnego szczęścia.

Jednego dnia matka wyszła do chorej swej znajomej, ja w moim pokoju pracowałem nad jakimś artykułem do dziennika gdy w tem biała rączka ujęła za klamkę i w pół uchylonych drzwiach ukazała się rumiana twarzyczka, a głosik miły, choć jakiś niby drżący, zapytał:

— Czy wolno?

— A! kuzyneczko! — zawołałem i porwałem się od stolika. Możesz zapytać? Ty — w każdej chwili jesteś mi miłym i pożądanym gościem — i ująwszy małą rączkę ze szczerem uczuciem, poprowadziłem Jadzię ku kanapie.

— Kuzynku — rzekła wahajaco i zmiészana, co się jej nigdy nie trafiało — kuzynku! przyszłam do ciebie w zaufaniu twej życzliwości, prosić o radę.

I popatrzyła na mnie tak rzewnie i błagajaco, że me serce silniej uderzyło w piersiach.

— Rozporządzaj mną, Jadziu — szepnąłem prawie i pocałowałem jej rękę.

Nie odpowiedziała nic, tylko zaczerwieniła się aż po białka ocz i za całą odpowiedź podała mi mały liścik, którego mięła dotąd w rączkach.

W mgnieniu oka przebiegłem oczyma tych kilka wierszy:

„Pani! Że cię kocham całą potęgą pierwszej i czystej miłości, Jadwigo! wiesz aż nadto dobrze i wierzysz mi, tak jak ja wierzę w słowo „kocham,“ które mi powiedziałaś, a za szczęście, jakim mnie tem wyznaniem napoiłaś, bądź błogosławiona, najdroższa moja! Czegoż mamy czekać jeszcze i okradać życie z najwyższego szczęścia? Pozwól, Jadwigo! bym się z prośbą o rękę twoją udał do zacnej twej opiekunki, zbrojny twem pozwoleniem. Dziś jeszcze uchylę przed wami czoła z przeświadczeniem, że wielkie i prawdziwe uczucie moje uzyskało potwierdzenie mej prośby. Jadwigo moja! mój ty skarbie jedyny! pozwól!

Twój

Zdzisław,“

Zadławiło mnie coś w gardle. pociemniało przed oczyma. Zwróciłem się do niej i zaledwie dosłyszałym głosem szepnąłem:

— Więc ty go kochasz, kuzynko?

— Kocham — odrzekła śmiało i z prawdą w głosie, choć ciemny rumieniec dziewiczego wstydu oblał ją całą, kocham, bo jest rozumny, szlachetny i kocha mnie bardzo.

— Nie miałaś więc dla mnie nigdy uczucia serdeczniejszego, Jadziu? — zapytałem ciszej.

— O! wiesz dobrze, kuzynku, że cię bardzo kochałam! — odrzekła bez wahania i oczy zalśniły się mimowoli łzami. Aleś ty odepchnął serdeczne uczucie moje, zadrwiłeś sobie z biednej dziewczyny, która nie znając szkoły życia, nie umiała nawet ukrywać miłości swojej. Staralam się o twoją dwa lata, ty obchodziłeś się ze mną obojętnie, a potem szepnąłeś mi słowo, które dla mnie było bodźcem do cudnych marzeń. Pieściłam się niemi jak dziecko cackiem, które się skruszy za lada dotknięciem. I moje sny piękne rozprysły z twej woli. Rozwiła ją kobieta, która ani cię, ani mnie nie warta. Cierpiałam okropnie, myślałam że umrę. Zdzisława sam oddawna wprowadziłeś w nasz dom. Ja na niego nie zważałam, jak ja tobie, tak on mnie był obojętny; ale on mnie pokochał i sercem kochającym odgadł moje cierpienie, otoczył mnie staraniem, krzepił wiarą, podtrzymywał nadzieją, umacniał miłością. Tyś z choroby powstał zimniejszy niż byłeś, moja obecność — widziałam to — stała ci się nienawistną prawie. Obudziła się duma kobiety, i z serca wyparłam uczucie miłości, z którym ty obchodziłeś się jak z natrętnym intruzem. Spojrzałam w zwierciadło i przestraszyłam się sama siebie, zbrzydłam do niepoznania. Uczułam ból w piersi, kaszłałam... Dobra, zacna matka twoja płakała nademną, robiąc sobie gorzkie wyrzuty, że z przyczyny jej syna przedwcześnie do grobu się chylę. — Nie, rzekłam wtedy sama do siebie, od czegoż rozum i wolę Bóg dał człowiekowi? Czyż kobieta ma żyć sercem tylko, i uczuciem, którym pogardzono, zasłonić sobie świat cały? od czegoż szlachetna duma i godność niewieścia? — W modlitwie szukałam ulgi



i siły — i znalazłam je, bo przekonałam się dowodnie, jak bardzo drogą jestem Zdzisławowi. Łzy oschły z ocz moich i świat znowu cudnemi zajaśniał barwami. Jestem szczęśliwą, bo kocham — kochana!

Siedziałem o dwa kroki od niej, patrzyłem w rozpromienione jej oczy, odczuwałem prawdę w głosie. Każde jej słowo było jak gdyby odczytaniem wyroku skazanemu na wieczne więzienie. Nie mogłem słowa przemówić.

— Przyszłam do ciebie, kuzynku kochany — rzekła po chwili, prosić cię — nie o radę — bo gdzie jest prawdziwa i głęboka miłość, oparta na szacunku i nieskazitelności człowieka, godnego tej nazwy — tam rada trzeciej osoby, a do tego chorej chorobą słabości charakteru, przydać się nie może — i rezolutnie z uśmiechem politowania i ironii podniosła główkę. Chcę cię tylko prosić, byś wpłynął na twoją matkę o danie odpowiedzi. Matka twoja wie o miłości naszej, pragnie jednak odwlec oświadczenie ostateczne Zdzisława, bo się ludzi nadzieją dawno przez nią wymarzonego związku. Wylecz ją więc z tych mrzonek uroczystem zapewnieniem, że między nami nic już nigdy wspólnego być nie może oprócz szczerzej życziwości braterskiej. Do widzenia więc, braciszku! poruczam ci sprawę mego serca i życzę całym sercem, byś był tak szczęśliwy, jak my będziemy.

Podąła mi małą aksamitną rączkę, kiwnęła główką i znikła. Siedziałem jak skamieniały. Byłem tak zarozumiały, że nie przyszło mi nawet na myśl, żeby Jadzia mogła kogoś innego jak mnie pokochać. Szalony! sądziłem że wolno mi katować to biedne serce, ile mi się podoba, a potem nareszcie uśmiechnąć się tylko i podać jej rękę na wspólną doczesną pielgrzymkę życia, a ona z rozkoszą i wdzięcznością rzuci się w moje objęcia! — O jakże okrutnie, choć sprawiedliwie ukarała mnie! Zdzisław, młody, piękny i wykształcony człowiek, od lat kilku był w domu naszym, przyszłość mu się uśmiechała, bo dziś już posiadał ogólny szacunek i zajmował w urzędzie wysokie stanowisko, co zawdzięczał tak swym znakomitym zdolnościom, jak i promocji ojca wysoko położonego w sferze biurokratycznej. Cóż dziwnego,

że Zdzisław ją ukochał, cóż dziwnego, że ona wydarła z serca uczucie, które mnie mogło uszczęśliwić a które ja poniewierałem? Och szalony! szalony! O Irmo! szatanie mojego życia! ty odpowiesz kiedyś przed sądem Boga za złamane życie moje!

Rzuciłem się na sofkę, z której ona powstała i załkałem boleśnie. Płakałem jak dziecko a cierpiałem jak mąż dojrzały i czujący, że sam winien temu, że na ścieżce jego żywota uschły już kwiaty, zostawiając po sobie li tylko zwiędłe badyle. Zrobiłem jednak, co chciała. Prosiłem matki, by nie stawiała zapory szczęściu kochających się. Matka biedna płakała rzewnymi, choć cichymi łzami, a całując mnie tkliwie, szepnęła z litością:

— Jakiś ty biedny, moje dziecko drogie, żeś nie mógł pokochać tej słodkiej, dobrej dziewczyny! Jacy my biedni, że ten skarb w obce przechodzi posiadanie i że pod cudzą strzechą wesoły ten skowronek uściele sobie gniazdko! Ha! widać żeśmy tego dziecka niegodni!

Nie ja wart byłem jej miłości, to prawda, ale jakże się matka moja myliła, sądząc że ja Jadzi nie kocham!

W kilka miesięcy potem prowadziłem do ołtarza kuzyneczkę Jadzię, którą czy to śnieżny strój ślubny i dziewiczy wieniec oblubienicy, czy szczęście podzielonego uczucia czystej a serdecznej miłości czyniło jeszcze piękniejszą. Ścisnąłem młodym małżonkom ręce i życzyłem szczęścia całym sercem, bo cierpienie oczyściło już duszę moją z niskiego uczucia zazdrości, a choć nieraz gdy patrzyłem na ich pieśczoły, zapiekło mi coś w piersi, rzekłem sobie stanowczo: „Milcz serce! nie wolno ci upominać się o prawa, które niebacznie potargałeś”

Wiele już lat od tego czasu upłynęło, dla mnie jednak lata nie przyniosły zmiany. Życie me upływa jałowo ze smutną myślą, że nikomu nie jestem potrzebnym do szczęścia. Och! panowie młodzi! nie roztrwajacie uczucia dla kobiet, które nie warte tej szczytnej nazwy! Szczęśliwy kto jak Zdzisław pokocha czystą dziewczę, która jak kapłanka strzedz będzie ognia domowego, i wniesie w domowe progi pociechy i rozko-

szy raj u wraz ze skarbem wszystkich cnót niewieścich. Bóg też im błogosławi.

Dziś Zdzisław piastuje już wielką godność i prowadzi dom na stopę pańską, a wszyscy spieszą tam, gdzie uprzejmi, gościnni i dziś jeszcze jak przed laty kilkunastu kochający się małżonkowie otwierają serca i podwoje gościom swoim. Do wszystkich łask swych dał im Bóg jeszcze troje dzieci, trzech synów zdrowych, ładnych i jak rodzice pocziwych. Mateczka moja droga żyje dotąd i mieszkając razem, krzepimy się nawzajem, a jak nam smutno samym, to idziemy oboje do pp. Zdzisławów po wesołość i dobre myśli, których to leków mają oni nieprzebraną miarę i dziela się z nami niemi, tak jak i sercem pocziwem.

Dziadek umarł, zapisawszy majątek na cele dobroczynne a przekazawszy nam znaczny legat, Irmę zaś bardzo często spotkać można w stanie pół-trzeźwym. obdartą i niczem nie przypominającą owej świetnej piękności, włóczącą się po hotelach i wyzyskującą jako ofiara niehumanitarnego męża — podróżnych. O życie! życie! jakież to proste a trafne przysłowie: „Jak sobie kto pościele, tak się wyspi.“

K O N I E C.

# WIZNOG I OSŁAW

(około 860—863 roku).

\*

## Spiew historyczny,

z okoliczności tysiącletniej pamiątki napisany

przez

Nárbrzana Bętkowskiego.

Dáwneto dzieje: gdy w zamierzchtë wieki  
Przysła dla Polan chwila naznaczona  
Aby z pogańskiej, ciemnej ich powieki  
Piérwszą ciemnoty spadła im zasłona,  
I by surowych ludów obyczaje,  
W baśniach skalaną wiarę w wszelkiej mierze  
Wznieść do tój cnoty, co najwyżej staje,  
I przed światłością Boga klęknąć w wierze.

Wschód się już oblał blaskiem owój wiary  
Sypiąc tysiączne cnot owoce błogich,  
Kędy się Sławian pień rozpostarł stary,  
Silny w odrámach i konarach mnogich.  
Chrobry Lach tylko, twardy w swojej wierze  
Dzierzył się jeszcze przodków swych podania,  
Korne do Słońca odmawiać pacierze,  
Świdne czcząc bogi, i czarnym się kłania.

Cyryl z Strachotą wszedł w Morawskie kraje  
Wnosząc płonące boskich praw pochodnie;  
Czarty wywraca, klucz do niebios daje,  
Miłość niebiańską rozniecając godnie.

Pomny bratniego serca w Lachów łonie,  
Posły wysyła na Chroboty Białe,  
Z błogosławieństwa bratnie wściągą dłonie  
Szczęście im przesłać chcąc na wieczność trwałe.

Wiznog i Osław niosąc swoje kroki  
Gdzie wśród jeziora Gopła wełci czystych  
Zamek Popiela kapął się wysoki  
Cieniem rzucając wież swych wiekuistych,  
Z mirem na uściech chcą pozdrowić pana,  
I dom anielską napęłnić słodyczą,  
Ale im droga dumnie odkázana,  
I w upominek gorycz oddziedzicza.

A więc z obuwiá proch spłóknąwszy w wodzie,  
Aby mu szkody w tém nie uczynili,  
W dumnym książęcia zostawiwszy grodzie,  
Do Piasta chatki głowę swą zniżyli.  
Piast i Rzepicha mirem pozdrowieni  
Gości witają z czołem nachyлонém,  
Radość im szczérá z lica się promieni,  
Miodu osędziem raczą ich spełnioném.

Ciężki chléb rolny obok misy kładą,  
Proszą serdecznie by się posilili  
Nim dostojniejszą uczczą ich biesiadą,  
Czém chatka można. z sercem ugościli.  
Byłto w Piastowój zácny dzień w rodzinie,  
Rodem piérwszego syna postrzyżyny,  
Ci go krztem świętym znaczą w téj godzinie,  
W pośród zebranéj w hoży tłum drużyny.

Ojca, jak syna, również błogosławia,  
Wielkich przeznaczeń mu przerzeką chlube,  
I nad Popiela wyżej Piasta stawia  
Sławę rokując, jak tamtemu zgube.  
Tu lud zebrany kornie na ziem pada  
W wielkiém poczuciu anielskiéj pociechy,  
Ni się z radości serca nie posiada  
Mieniać niebiany, gości swojskiej strzechy.

Święte, ojczyście, Sławiańskie obrzędy  
Nietylko w Czechach. Śląsku, jak Morawie,  
Brzmią i w Chrobotów lackiéj ziemi wszędy  
Gdzie ci posłowie w téj wstąpili sprawie.

Gdzie prąd ognisty łaski z niebios wionął,  
 Serca roztopił, i miłość zapalił,  
 Tam Lach pocziwy w łasce tej utonął,  
 Zmiękczył obyczaj, i cnotę ustalił.

\* \* \*

Pisano 9. lutego, 1861.

## DOPIS.

Jedni piszą: SŁOWIANIE, drudzy: SŁAWIANIE, co pochodzi z niefortunnego wymijania, a właściwego prawdziwej polszczyźnie niższego (przywar-tego)  $\dot{A}$ ; jedni od SŁOWA, drudzy od SŁAWY wywodząc to imię. Jednakże, tak „słowo“ (vox, verbum, sermo), jako i „sława“ (gloria), z jednegoż staro-sławiańskiego: SŁU+TY, (clarum esse), staropolskiego SŁY+Ć, (sły(+n)+ać), a dziś w piśmie powszechnie już tylko używanego: SLY(+N)AĆ pochodzą pier-wiastka. Tak więc różnica ta już sama przez się upada. Jak w słowie n. p., ROB(+IĆ, i RAB(+I)AĆ; MÓW)+IĆ i MAW(+I)AĆ, i tym podobnie, w czę-stokrotnym torze, O przetwarza się na niższe  $\dot{A}$ , (co być inaczej bez błędu nie może); — taktież wyraz: SŁAW(I)ANIN, od częstokrotnego idący toru, musi mieć  $\dot{A}$  niższe: wy)+SŁAW(I)AĆ, (i wysławiać się), t. j. słowem wyrażać, (i wyrażać się), wyższe A jest tu błędem nieorganicznym; — ( o +  
 co innego zaś w znaczeniu:  $\left\{ \begin{array}{l} \text{wy)+SŁAW(I)AĆ (sła-} \\ \text{wę roznosić, głosić, rozgłaszać).} \\ \text{roz+} \end{array} \right.$  powinno być A wyższe.

Ci, co za wpływem cudzoziemszczyzny utracili poczu-cie prawdziwych własności polskiej mowy, niechcąc, czy nie będąc zdolnymi pojąć prawdziwej nauki, za-dają jój uporczywie klęskę po klęsce. A jednak różnica

tu jest taka, jak „wystawiać się,” (gloriarari.) co w pochodzeniu nazwiska narodu (samemu się słaćić,) chęćić, jest absurdum, i nie z tąd też zwą się SŁAW(I)ANIE; — a „rozumieć się,” porozumięwać „słowem,” przez mowę pomiędzy sobą, jak ludzie; z kąd też ogólna, prawdziwa etymologia SŁAWIAN, (Slavi, Slavorum), Sławiańszczyzna, (Slavonia), nie Sclavonia, (jak przeciwnicy i nieświadomi rzeczy, nieraz radzi, mawiali i pisali.) — a zaś szczególna: SŁOWAKÓW i SŁOWIĘNCÓW, (Sloveni, kraina terra, Slovenorum), SŁOWACKA, (Słowacko, Słowacczyzna) gens Slovenorum.

O wadliwości przesadnej w grubej ludowej mowie, na innem miejscu.

---

## O torpedach elektrycznych

(z dwoma drzeworytami)

wykonanemi w drzeworytni Artura Napierkowskiego  
w Krakowie.

---

Z początkiem sierpnia r. 1882 przepelniane były dzienniki szczegółami o zbombardowaniu Aleksandryi, i ztąd dowiedzieliśmy się, że w przeciągu kilkunastu godzin zniszczono w Egipcie piękne, wielkie i bogate portowe miasto. Dzieło to zniszczenia udało się bezkarnie flocie angielskiej jedynie dla tego, że Egipcyanie nie mieli dobrze zorganizowanej obrony portów, a admirał Seymour nie czekał aż Arabi Basza otrzyma zamówione z Europy torpedy; wiadomo zaś, że w terażniejszych czasach już tylko za pomocą torpedów można obronić brzegi i miasta portowe od zgubnych działań nieprzyjacielskiej floty.

W roku 1876, podczas wojny turecko-rosyjskiej, miałem sposobność poznać konstrukcyę niektórych najnowszych torpedów, a przytem porobiłem sobie miniaturowe tychże modele, rysunki i różne notatki. Pracowałem bowiem wówczas w fabryce aparatów fizykalnych w Berlinie, kiedy właśnie, na kilka miesięcy przed wspomnianą wojną, zamówił u nas rząd pruski znaczną ilość różnych torpedowych części. Równocześnie otrzymały podobne zamówienia i dwie inne prywatne fabryki berlińskie. Dowiedzieliśmy się też niebawem, że gotową naszą robotę, wysłał rząd pruski przez arsenał spandawski wprost do Rosyi. \*)

Z początku ukrywano przed nami całe urządzenie torpedów, chowano wzory i rysunki, a oficerowie pruskiej marynarki byli często obecni przy rozdzielaniu i wykańczaniu niektórych robót. Ale później, gdy na wschodzie wojna z całą grozą już wrzała, i gdy nam różnego rodzaju torpedy do naprawy przysyłano, i zaczęto naglić, byśmy jak najwięcej gotowej dostarczali roboty, mogliśmy już swobodniej badać konstrukcyę i układ torpedów.

Zanim przystąpię do bliższego opisu torpedów, muszę wpierrw na podstawie wiarogodnych źródeł podać historyczną o nich wiadomość.

Już za Napoleona I., mówiono i pisano o wynalazku podwodnej miny, która miała służyć do niszczenia okrętów wojennych; jednakże wynalazcę ówczesnego wyśmiano, i wynalazek jego puszczone w niepamięć.

Lecz gdy w ciągu bierzącego stulecia okręty wojenne do niesłychanej doprowadzono doskonałości, i zamieniono niejako w groźne pływające twierdze, wyteżać też poczęli ludzie siły umysłowe, aby wynaleźć środki niszczenia morskiej potęgi. Z pancerników bowiem tegoczesnych można nietylko skutecznie ostrzeliwać i niszczyć miasta portowe i nadbrzeżne fortyfikacje, ale nadto pod osłoną ich strasznych pocisków,

---

\*) Wiadomo, że rząd pruski wysłał w ówczas cichaczem do Rosyi kilkatysięcy torpedów; neutralność więc Prus była co najmniej dwuznaczną.



można całe armie wysadzić na nieprzyjacielskie brzegi. Przymusić zaś armatami lądowemi, pancerną flotę do odwrotu, trudno, bo chociażby ugodziła kula armatnia w stalowy pancerz okrętu, to albo się odbije, albo utkwii w grubych ścianach tegoż. \*)

Dla zabezpieczenia się przed flotą nieprzyjacielską, do niedawna jeszcze urządzano z wielkim mozolem podwodne barykady, które robiono w ten sposób, iż zatapiano gruz, kamienie, stare okręty, wbijano słupy pod wodę i przymocowywano do nich łańcuchy i belki; ale uciążliwa ta praca okazała się w nowszych czasach bezskuteczną, bo przy pomocy pary, elektryczności i dynamitu, usunąć można dość szybko podobne przeszkody. Dlatego teraz jedne tylko torpedy zdolne są trzymać nieprzyjaciela w stosownem od brzegów oddaleniu.

Nad wynalezieniem torpedów pracowali najpierw Amerykanie, i oni to nadali im nazwę „żółwia amerykańskiego,” który kształtem swoim podobny jest do pierwotnych łodzi torpedowych.

W praktyce jednak, zastosowali je najprzód Rosyanie. W r. 1854-55 podczas wojny krymskiej zanuzili oni niedaleko Kronstatu przyrządy w rodzaju torpedów, które pomimo, że miały już nieco podobieństwa do terażniejszych, posiadały jednakowoż jeszcze tyle niedokładności, że Anglikom, którzy do brzegów się zbliżyli, najmniejszej nie wyrządziły szkody.

Następnie w r. 1859, podczas wojny włoskiej, zabezpieczyli Austriacy brzegi swoje w okolicy Wenecyi, poprawnymi już przez barona Ebnera torpedami elektrycznymi; ale że Francuzi i Włosi do wyżej wspomnianych brzegów wcale się nie zbliżali, świat przeto nie mógł się dowiedzieć, jak straszną siłę posiadają te piekielne narzędzia.

O sile torpedów przeświadczono się dopiero podczas domowej wojny amerykańskiej (od r. 1862 do r.

---

\*) Na wystawie światowej we Wiedniu r. 1873, widzieliśmy stalowe części 8-10 cali grubych ścian okrętu pancernego, w których tkwiły do połowy średnie i wielkie kule armatnie.

1865) gdy w przeciągu trzech lat, zniszczono torpedami do szczytu 26 okrętów wojennych, a 9 znacznie uszkodzono.

Wydoskonalenie torpedów zawdzięczały Stany Zjednoczone północnej Ameryki chemikowi Abel i inżynierowi Maury. Ci dwaj pracowali niezmiernie przez lat kilka nad ulepszeniem torpedów i dochodzili do coraz straszliwszych rezultatów.

Po wojnie amerykańskiej zaczęły już wszystkie państwa morskie, zaopatrywać się w ową broń nowoczesną, i wszędzie nad jej ulepszeniem zaczęto pracować.

Podnoszono wprawdzie tu i owdzie głosy potępienia, uznawano torpedy za broń podstępna, nierycerską, barbarzyńską, lecz w końcu musiano się na to zgodzić, że bez torpedów o obronie wybrzeży morskich ani myśleć nie można.

Aby dać obraz siły torpedów, przytoczę tu ustęp z berl. Tagblatu z r 1876, w którym naoczny świadek opisuje próbę torpeda mniej więcej w tych słowach: „O pół mili od Konstantynopola, w obec sultana i jego świty, próbowano na morzu torpeda elektryczny, i wybrano na ten cel stary, niezdatny już okręt. Na dany znak nastąpił pod okrętem wybuch torpeda, którego huk był tak okropny, że zdawało nam się, jakoby ziemia pod naszymi nogami zadrżała, olbrzymi słup wody wznosił się z niezmierną siłą do wysokości około dwustu stóp po nad morze, porwał okręt i zdruzgotał go do tego stopnia, że po opadnięciu wody, zaledwie tylko szczątki drewniane tu i owdzie po morzu pływały. Uspokojona powierzchnia wody pokryła się brudem i tysiącami ryb zabitych, a wysepka w pobliżu tego miejsca zasypaną została piaskiem i muszelkami, które siła dynamitu z dna morskiego wyrwała. Po tak niezwykłym widowisku, sultan i jego otoczenie klaskali z zadowoleniem w dłonie.“

Dotąd pojawiły się różne systemy torpedów, ale z najwięcej używanych znane nam są cztery rodzaje.

Pierwszy i powszechnie w użyciu będący, są „torpedy obronne elektryczne;“ spoczywają one spo-

kojnie pod powierzchnią wody i dopiero po zetknięciu się z okrętem eksplodują.

Drugi rodzaj torpedów są tak zwane „obserwacyjne.” Zanurzone są one podobnie jak poprzednie, ale muszą być z brzegu za pomocą drutów elektrycznych w stosownej chwili zapalane.

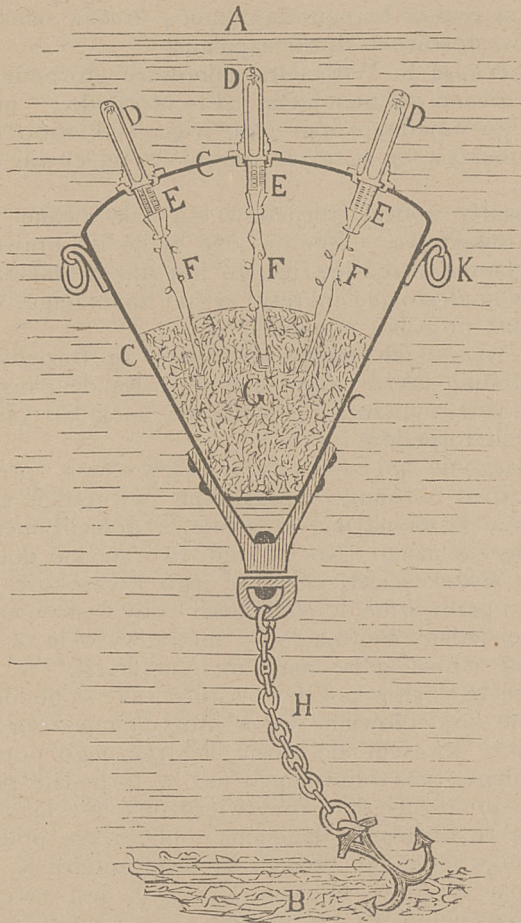
Trzeci, są to Withedata najnowsze „torpedy zaczepne” zwane po niemiecku „Fischtorpedo;” mogą one płynąć w jednym kierunku więcej jak 1000 kroków, a uderzywszy o ścianę okrętu w tej chwili eksplodują.

Czwarty rodzaj torpedów, są tak zwane „zaczepno-kontaktowe.” Bywają one tylko do brawurowych używane przedsięwzięć, to jest do podkładania torpedów pod stojące okręty, a po zanurzeniu, eksplodują już po kilku minutach.

Ze wszystkich najpotrzebniejsze są torpedy obronne, zwane także „samopalnymi.” Każde państwo mające swoje wybrzeża, posiada już po kilka tysięcy podobnych torpedów.

Załączony pierwszy drzeworyt przedstawia torpedę obronną w przekroju. Zewnętrzna jej skorupa C, zrobiona jest szczelnie z półcentymetrowej blachy żelaznej. Kocioł ten tworzy ku dołowi obrócony stożek ścięty, objętość jego i wysokość jest rozmaita, i przeważnie do głębokości wody zastosowana, najczęściej jednak bywają do 1½ metra wysokie a powierzchnia ich u góry ma 1 metr średnicy. W powierzchnię tę, czyli w pokrywę wkrębowane są podobne do palców rurki ołowiane D, w których mieszczą się flaszeczki z kwasem do stosu elektrycznego potrzebnym. Palców tych ołowianych jest w torpedzie po 5, po 7, lub po 9. U dołu przytwierdzony jest łańcuch z kotwicą H a długość łańcucha oblicza się podług głębokości wody. Po bokach są dwie antaby K do zawleczenia sznurów. Wewnątrz torpeda jest 100 do 400 funtowy nabój G, który składa się z mieszaniny, prochu, dynamitu i bawełny strzelniczej. U góry w połączeniu z rurkami ołowianymi są puszkki mosiężne E, w których mieszczą się właściwe elektryczne stosy połączone z nabojem drutami miedzianymi F. Reszta zaś próżni w torpedzie wypełnioną jest zgęszczonem

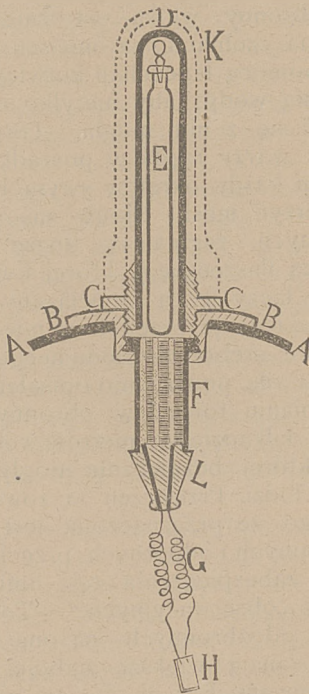
Fig. 1



powietrzem, aby torped nie upadł na dno. Na tymże drzeworycie odznaczone są wreszcie powierzchnia wody A, i dno morza lub rzeki B.

Dla ułatwienia opisu, w jaki sposób udziela się iskra elektryczna ładunkowi, załączona jest druga rycina przedstawiająca w większych rozmiarach, kompletny stos galwaniczny w  $\frac{1}{5}$  naturalnej wielkości.

Fig. II.



Lit. A, oznacza część blachy żelaznej z przykrywy torpedowej; B, flanca czyli mutra miedziana do pokrywy przylutowana; C, kapsułka z dwoma gwintami, w którą wlotowaną jest rurka ołowiana D; w rurce tej mieści się napełniona kwasem chromowym i siarczanym flaszeczka E. Puszka miedziana F, mieści w sobie trzy tabliczki cynku i trzy węgla retortowego, do nich przymocowane są dwa gutaperką powleczone

druty miedziane G. Druty te przechodzą najpierw przez korek kauczukowy L, a końce ich połączone są blaszką srebra eksplodującego H. Kropkami zaś odznaczony mosiężny futerał bezpieczeństwa K służy tylko do tego, aby przy transportowaniu i przy zatapianiu torpeda nie uszkodzić cienkiej rurki ołowianej; futerały te odśrubowują się dopiero na miejscu zatopienia.

Torped obronny wloką ostrożnie na sznurach pomiędzy dwoma czołnami na miejsca przeznaczone, i zatapiają za pomocą łańcucha i kotwicy tak głęboko pod powierzchnią wody, aby nie tylko okręt, ale łódź większa zetknąć się z nim mogła. Torpedy obronne układają zwykle w trzy rzędy w porządku krzyżowym, a tym sposobem każdy okręt w swym biegu, o jeden z torpedów uderzyć musi. Skoro zaś potrafi jedną z rurek ołowianych, zagina ją, tłucze wewnątrz się znajdującą cienką flaszeczkę, z której kwas spływa do cynku i węgla, łączy je, a wywiązany z tego prąd elektryczny przebiegając przez druty miedziane, zapala w naboju blaszkę srebra eksplodującego i następuje wybuch, którego się poprzednio opisałem

Przy zatapianiu torpedów obronnych, potrzeba zawsze zostawić kilkadziesiąt metrów wolnej na morzu przestrzeni, po której bezpiecznie mogłyby kursować własne okręty i łodzie. Przestrzeń ta zowie się „drogą zaczepną“ dlatego że przeznaczona jest do robienia wycieczek zaczepnych i odpornych przeciwko nieprzyjacielowi. Dla zabezpieczenia tej linii używa się innych torpedów „obserwacyjnych“ Torpedy te nie różnią się wiele od obronnych są one większe i silniej zbudowane, mają większe naboje, i nie mają wcale rurek ołowianych, ani stosów galwanicznych. Zatapia się je podobnie na kotwicy, ale tak głęboko, ażeby żaden okręt dotknąć ich nie mógł. Torped obserwacyjny zapala się o jakie ćwierć mili z brzegu; w tym celu prowadzi od każdego torpeda do stacyj obserwacyjnych podwodny kabel, to jest drut miedziany obciążony gutaperką, drutami żelaznymi i smolnem przedziwem; przez kabel puszcza się w danym razie prąd elektryczny, który zapala nabój w torpedzie Stacje obserwacyjne, których zawsze jest po

dwie; zbudowane są zwykle na brzegach portu lub zatoki morskiej. Inżynierowie marynarki zaopatrzeni tam są w teleskopowy aparat obserwacyjny, który wykonany jest z wielką dokładnością. Teleskop przy-mocowany jest na słupku mosiężnym, który obraca się w poziomo ustawionej tarczy; do słupka przy-twierdzona jest w kierunku teleskopu wskazówka, która na tarczy pokazuje różne cyfry, odznaczające miejsca, w których torpedy są zatopione. Przy każdej cyfrze jest guzik kontaktowy, który gdy potrzeba, łączy ustawioną obok baterię elektryczną z podmorskim kablem i zatopionym torpedem. Oficer śledzący teleskopem zbliżający się okręt nieprzyjacielski, uważa równocześnie i na wskazówkę, która go naprowadzi na miejsce jednego z zatopionych torpedów, po nad którym przepływa okręt, w tejże chwili potrzebuje tylko pociśnąć guzik kontaktowy, a prąd elektryczny przelatuje do torpeda, i następuje eksplozja silniejsza jeszcze od eksplozji torpeda obronnego.

Całe urządzenie tychże torpedów i stacyj obser-wacyjnych jest połączone z wielkimi kosztami, a co gorsza nie można jeszcze dotąd na nich zupełnie po-legać. Pomimo tego w wielu razach bez torpedów obserwacyjnych obejść się nie można, dlatego też państwa nadmorskie łożą dotąd znaczne sumy na ich ulepszenie.

Przed wynalezieniem aparatu teleskopowego uży-wano wielkich, ukośno ustawionych luster, na których poznaczone były miejsca zatopionych torpedów, i do-piero podług tych znaków puszczono iskrę elektry-czną do torpeda. Później baron Ebner zastosował na wybrzeżach morza adryatyckiego wielką ciemnię „ca-mera obscura“, przez którą rzucał obraz powierzchni morza na wielki biały ekran, na którym były wykre-słone miejsca zatopionych torpedów, ale pomysł tele-skopowego aparatu okazał się dotąd najpraktyczniej-szym.

Trzeci rodzaj najnowszych „torpedów zaczep-nych“ Withedata poznałem tylko powierzchownie, przysłano nam bowiem skorupę jego do polerowania i niklowania. Był to cylinder stalowy, bardzo dokła-dnie wykonany, blisko  $2\frac{1}{2}$  metra długi, o 35 cm.

średnicy; ściany jego nie były więcej jak dwa ctm. grube, wewnątrz był czysto wiercony, zewnątrz toczony i polerowany; już samo zrobienie takiego cylindra musiało nie mało kosztować. Po obu jego końcach przystosowane były zakończenia żelazne podobne do głowy cukru.

Podoficer marynarki tłumaczył mi, że w pierwsze zakończenie zwane czołem, wkłada się nabój dynamitowy, w drugim zaś umieszcza się aparat nadający ruch, jak się wyrażał „gwintowy“ całemu torpedowi. Machinka ta wprawioną bywa w ruch zapoinocą kwasorodu, który z pewnych połączeń chemicznych w torpedzie sam się wywiązuje.

O ile z różnych źródeł dowiedzieć się mogłem, Anglik Withedat wyrabia swoje torpedy na własną rękę, i zbywa je, podobnie jak Krupp swoje armaty, za drogie pieniądze. Dorobił on się już milionowej fortuny, bo za samo odprzedawanie tajemnicy torpedowej otrzymuje po kilkadziesiąt tysięcy franków. Główną fabrykę posiada w Fiume nad morzem adryatyckim, i tam dla nabycia torpedów i nauczania się ich użycia, zjeżdżają się do niego oficerowie marynarki ze wszystkich prawie państw nadmorskich.

Torped jego posiada te zalety, że płynie szybko i cicho w prostym kierunku, zanurza się tyle, że ponad powierzchnię wody bardzo mało wystaje, a gdy uderzy czołem o okręt, eksploduje natychmiast i niszczy wszystko w około siebie.

W Ameryce, przed trzema laty, mieli torped ten tak dalece już ulepszyć, że za pomocą drutów elektrycznych kierują nim z dala wedle upodobania.

Jeden torped Withedata kosztuje około 5.000 franków, ale zważywszy, że można nim zniszczyć pancernik wartujący więcej niż 5.000.000, to cena jego nie wyda się zbyt wysoką.

Czwarty rodzaj: „torpedy kontaktowe“ były do niedawna najmniej używane, ale w ostatniej tureckorosyjskiej wojnie, gdy Moskale torpedami tymi nie małą Turkom wyrządzili szkodę, okazały się one także praktycznymi.

Torped kontaktowy podobny jest do torpeda obserwacyjnego, tylko że jest o wiele mniejszy i lżejszy.



Z powodu, że słabszy ma nabój, nie może okrętu wysadzić w powietrze, ale może go tylko znacznie uszkodzić, a nawet i przedziurawić.

Bywa on zwykle z łodzi torpedowej pod okręt nieprzyjacielski podrzucany, albo na długiej żelaznej żerdzi naprzód wysuwany.

Wewnątrz torpeda umieszczony jest oprócz naboju stos elektryczny, połączony z tak zwanym kontaktem cukrowym, ostatni zaś ten przyrząd umieszczony jest zewnątrz torpeda. Jest to puszka okrągła z twardego kauczuku, składana z kilku części, 20. ctm długości i 5 ctm. średnicy. Wewnątrz tej puszeki umieszczone są dwie spiralnie zwijane sprężyny mosiężne, po końcach dwoma platynowymi talerzykami zaopatrzone; pomiędzy wspomniane talerzyki wciska się kawałek cukru, który jak długo torped jest na powietrzu, izoluje prąd elektryczny. W ścianach tej kauczukowej puszeki jest kilkanaście małych otworów, któremi, gdy torped się zanurzy, dostaje się woda do cukru, rozkłada go, i w miarę jak cukier się rozplęwa, zbliżają się platynowe talerzyki ku sobie, a w chwili gdy się zetkną, prąd elektryczny przelatuje do naboju i następuje eksplozja.

Zamiast cukru próbowaliśmy także soli kamiennej z Wieliczki, ale okazało się, że ona się za pomалу w wodzie rozplęwa.

Używają też niekiedy tego samego torpeda w ten sposób, że stos elektryczny pozostawia się w łodzi torpedowej, a dopiero w stosownej chwili przesyłają z łodzi po drucie miedzianym iskrę elektryczną do podrzuconego torpeda. Poprzedni jednakże sposób jest dla tego lepszym, że podczas rozmakania cukru, łódź torpedowa ma dosyć czasu, aby się od zagrożonego okrętu jaknajprędzej oddalić.

W każdym razie podkładanie torpedów pod okręty nieprzyjacielskie, lub też atakowanie ich łodziami torpedowymi, jest rzeczą bardzo ryzykowną; łódź bowiem naraża się na podwójne niebezpieczeństwo. Może ona być zniszczoną, albo przez eksplozję własnego torpeda, albo też, gdy ją nieprzyjaciele zawczasu spostrzegą, strzałami armatnimi zaczepionego okrętu;

kule bowiem karabinowe, łodzi torpedowej nie są w stanie uszkodzić. \*)

Torpedami kontaktowymi zatopili Moskale Turkom w r. 1876 trzy okręty wojenne; załogi zaś składające się z kilkuset żołnierzy i majtków zaledwie z życiem ujsć zdołały. Później już byli Turcy przezorniejsi.

Gdy okręt ich zarzucił kotwicę, obstawiali go natychmiast zwykłymi łodziami, które łączono z sobą łańcuchami; a gdy jaka łódź moskiewska się zbliżyła, uderzyła o łańcuch, czem zaalarmowana załoga miała dosyć czasu, aby strzałami armatniami do ucieczki ją zmusić. Tym sposobem powiodło się Turkom kilka moskiewskich łodzi wraz z ludźmi zatopić.

Anglicy znowu aby się zabezpieczyć przed torpedami, obmyślili siatkę żelazną, zwaną kryoliną. Stanowi ją krata żelazna zapuszczona w morze na kilka metrów, a przytwierdzona do okrętu również w kilkumetrowej odległości. Użycie tej siatki, dobrem było dlatego, że torped czy to obronny, czy zaczepny, uderzyć musi wpierw o siatkę, przez co przedwcześnie eksploduje, i jakkolwiek dozna okręt silnego wstrząśnienia, jednak ocalonym zostaje.

---

\*) Łodzie torpedowe opisał w r. 1877, korespondent „Dziennika Poznańskiego,” jak następuje:

Puszczone na Dunaj rosyjskie łodzie parowe, których zadaniem jest podkładanie torpedów, są 8 metrów długości a 2 szerokości; na każdej znajduje się mała śrubowa machina parowa o sile siedmiu koni, prócz tego są na łodziach pokłady. Ochrona pokładów składa się ze ściśniętej mocno smoły, opiłków drzewa i kauczuku, co zbite w jedną masę przykrywa się jeszcze workami elastycznymi. W takim ukryciu, którego tarczy nie przewierci kula karabinowa, znajduje się dostateczne miejsce dla 8 do 15 ludzi, którzy pochyleni nieco, mogą się swobodnie poruszać w środku łodzi, pokład zajmuje bowiem tyle tylko przestrzeni, że tak przód statku, jak i tylnia część na 1 i pół metra są zupełnie swobodne. Wolna ta przestrzeń potrzebna dla robienia 4-funtowym działem i na umieszczenie przyrządu torpedowego. Po obu stronach łodzi przymocowane są właściwe narzędzia dźwigające torpedy; są to silne sztaby mające po 6 metrów długości, opatrzone po końcach w torpedy. Wybuchowe te narzędzia są zastosowane w ten sposób, że w razie potrzeby mogą wystawać na pięć metrów przed właściwy przód statku.

Przeciw rzeczonej siatce postawili inisi nowy pomysł; urządzali bowiem przy torpedach zaczepnych, malutkie, do bomb Orsiniego podobne torpedy. i temi wpierw przerywając siatkę, uskuteczнили, że torped wielki mógł uderzyć o okręt.

Rzut oka na wszystkie powyższe wydoskonalenia min podmorskich przekonywa nas wymownie, że wojna na morzu po pewnym przeciągu czasu. będzie tylko polem dla popisu chemików i mechaników, a męztwo i poświęcenie jednostek przejdzie do tradycyi.

W Drohowyżu, 1882.

*Zambelli.*

---

# Z D R A J C A.

POEMAT

przez

**Sonę.**

---

I.

Hej, stój młodzieńcze, nie pędź tak szalony!  
Patrz, ledwieś rzucił rodzinną zagrodę,  
A koń twój piersią bryzga — już zmęczony,  
Choć on tak silny jak ty orle młody.  
Patrz — jak się księżyc z chmury z ciebie śmieje,  
A smętne gwiazdy wróżą ci, że zginiesz  
I kwiat wzruszony twym biegiem łzy leje,  
Czyż ty sam tylko bez łzy wszystko miniesz?  
Tam, w chatceś rozdarł serc twych ojców dwoje  
I poza chatką stare dębu wrota, —  
To płaczą wszyscy, płaczą drzewa twoje  
I cała chata płacze jak sierota.  
I mroczną myślą smętna twoja niwa  
W starości ojców opuszczona płacze,  
Dla ciebie gwiazdka tu weszła szczęśliwa  
Więc czemuż biegniesz wieść życie tułaczę?  
Pozostań lepiej, zwolnij konia w biegu  
I tu nie hulaj z wichrem orle hoże,  
Czarnego morza nie ujrzysz ztąd brzegu,  
Tu — nie step dziki, tu — nie Zaporozę.  
Tu każde drzewo, każdy kłos i trawa  
Na krwi i pocie ojców twoich wzrosła,  
To nie dla dzieci kozaczych zabawa,  
Tu się pochyła nawet skroń wyniosła!

I kędyż bieżysz? boje wrzeć przestały,  
A kto dziś wiernym synem swej ojczyzny,  
Kto chce jej pomsty i życia i chwały,  
I chce najwcześniej dawne zgoić blizny —  
Ten podeptany wrażemi kopyty  
Ziemie — piastowym, starym pługiem żyzni  
I sieje ziarna zanim błysną świty,  
Aż się duch wzmocni i ciało zablizni.  
Lecz ty nie słuchasz! Opadniesz na siłach,  
Czekaj młodzieńcze! pogawędzimy trocha  
O przyszłym życiu i starych mogliściach!...  
Nie słucha — pobiegł... on się pewno kocha.

## II.

Wieczór — i cicho tak było w błękicie  
I tak spokojnie było tu na ziemi,  
Jak gdyby od niej naraz wszystko życie  
Odbiegło z światy poigrać innemi. ..  
W gaju — smętniejsza od wieczoru cieni  
I czystsza niżli majowa krynica —  
I od gwiazd wszystkich jaśniejsza promieni  
Z tęskną źrenicą siedziała dziewica —  
Cicho — i tylko spokój czasem skłóci  
Z piersi dziewicy rwące się westchnienia  
I liść zerwany z wróżbą — czy powróci  
I takie w rosie cicho brzmiające pienia:

Była ptaszyna w gniazdku u matki

Czysta jak dziewic łąza --

I tak urocza jak w maju kwiatki

Była ptaszyna ta.

Co dnia się piosnką Bogu modliła,

A głos jej w łązach rosy drżał,

Była wesola, swobodna była —

I z oczu blask szczęścia tłał.

Przybył w tę stronę raz orzeł młody:

W piersi mu ognie wrą,

Ognie zapału, męztwa, swobody...

Ujrzał, pokochał ją!

Pokochał ptaszę, zabrał jej serce

Obiecał szczęścia raj,

Rozświecił płomień co tlił w iskierce  
I uwiódł w ułud kraj!

A potem odbiegł w kraj gdzieś daleki  
I nie powrócił już,

A ptaszę tęskni i czeka wieki  
Na krzaku białych róż.

Matka jej zmarła smutkiem ptaszyny

A jej nie było łzej,

Ona wciąż prosi za orła winy.

By Bóg dał cierpieć jej.

A w smutnych piersiach ptaszki tęsknota

Coraz tak mocniej gra,

Aż z łzą ostatnią padła sierota

I pozostała łza! . . .

Nagle zadrżała ziemia poruszona

I pod końskimi zajękła kopyty,

I znikła rosa jej drzeniem strącona

I pieśni ucichł głos jękiem rozbity. . . .

Już stanął rumak — już jeździec zmęczony

U stóp tęskniącej spoczywa dziewicy

I już szczęśliwy i siłą natchniony

Łzą co go z modrej witała źrenicy:

— Luba ma droga, aniele mój złoty!

Ty czekasz jeszcze — taka późna pora,

Ach, czemuż wichrów nie niosły mię loty?

Ty drżysz, o luba, w tym chłodzie wieczora?

— Orle mój biały, to nic, jam szczęśliwa,

Ty znowu przy mnie, ty mię kochasz jeszcze?

Już po raz siódmy cień ziemię zalewa

Jak ja tu każdym szmerem ucho pieszcę,

Każdy cień śledzę tęsknemi oczyma,

A echo zawsze mówi mi złowieszcze:

Niema i niema, jeszcze ciebie niema,

I znów nadziei szmer mi zaszeleszcze —

Lecz to minęło, -- ja znów widzę ciebie

I z duszy pierzchły czarnych złudzeń roje

I jam znów szczęsną, tak szczęsną jak w niebie.

— Dziewczyno moja, złote szczęście moje,

Jam całą duszą pragnął być tu z tobą,

Bo tam bez ciebie żyć mi jest jak w grobie

I świat w około ściele się żałobą, —

Jam nie mógł przybyć, — lecz luba co tobie?

Tys taka blada! podaj mi twą rękę —  
Czemuś żrenice we łzach ukapała?  
Gdym tu przybywał, słyszałem piosenkę —  
Czemuś tak smutno, tak rzewnie śpiewała?  
— To nic, to matka taką piosnkę nuci,  
Jam się od matki piosnki nauczyła,  
Ona ją śpiewa, gdy się w przeszłość wróci,  
Jam ją w przyszłości marzeniach nuciła,  
Bo jakoś straszno było w mojej głowie,  
Kiedym wieczorne mówiła pacierze  
I myśl błędziła w czarnych widm osnowie,  
Ach! takich strasznych, lecz ja im nie wierzę.  
Ja wierzę w szczęście i w ciebie i w Boga  
To były tylko przeczucia dziewicze,  
Co tak zwodnicza ich wróżba złowroga  
Jak są te ognie w pustyni zwodnicze.  
Teraz już spokój w mojej duszy gości  
I od łez szczęścia wilżą się powieki  
I serce drżące nadmiarem radości,  
Bo wszak ty zemną już będziesz na wieki?  
— Posłuchaj dziewczę: Ja — jestem już mężem  
I jestem synem tej biednej ziemicy,  
Której nie mogę służyć dziś orężem —  
I takiej jak ty kochankiem dziewicy.  
Lecz jam was bóstwa moje nie wart jeszcze  
I nie dosłużę was się na tej niwie.  
Mnie stwórca w duszę włożył myśli wieszczce,  
Zapał i meztwo w mojej piersi żywię  
I jakaś żądza moje łono pali —  
To żądza sławy i jej się dosłużę,  
Niechaj nikt po mnie się tutaj nie żali,  
Bo się nikomu życiem nie zadłużę.  
Więc nie mnie krajać pługiem ojców niwę  
I własnych pragnień, własnych żądz być katem  
I nie mnie jeszcze wieść chwile szczęśliwe,  
Ja muszę pierwej pasować się z światem!  
I dzisiaj jeszcze biegnę w kraj daleki,  
A gdy powrócę — godny Polski syna  
I godny ciebie — twój będę na wieki!  
Tylko wierz, kochaj i módl się, jedyna! —  
Dziewczę powstało i jak gdyby siła  
Jakoś to wszystko co w jej piersi żyło

W marmur posągu do razu zmieniała,  
Tyle spokoju z jej oblicza lśniło  
I tak wraz mężną i tak silną była.  
— Przebacz mi, rzeczce, duszy niepokoję,  
Przebacz zbyt nagłe serca uderzenia  
I takie słabe w piersi siły moje  
I te niewczesne przebacz mi pragnienia,  
Bom ja myślała, że wyroki Boże  
Pełniąc, to każdy w swym maluczkiem świecie  
Spełnić dziejowe posłannictwo może,  
Ale nie danem jest sądzić kobiecie!  
Więc ty mi przebacz, żem ja dotąd tylko  
Kochać i marzyć o szczęściu umiała.  
Dziś duch mi urósł w siłę jedną chwilką  
I na cierpienia pierś się pasowała.  
Jedź gdzie cię Bóg twój i Ojczyzna woła,  
Dziewczę twe smutne zatęskni po tobie,  
Lecz spokój nigdy nie zniknie z jej czoła  
I z piersi miłość nawet w śmierci dobie.  
Bądź zdrów, — tu serce czekać będzie ciebie,  
Tam — myśl i modła pogonią za tobą,  
By się Bóg na cię nie żalił tam w niebie  
I każdy czyn twój był Polski ozdobą,  
A to pragnienie dziś moje jedyne —  
Byś czcił ojczyznę, wierzył w ojców Boga  
I dokąd możesz kochał twą dziewczynę  
I chował w myśli, dokąd będzie droga!  
Bądź zdrów, to wszystko, po więcej nie sięgam  
I jak talizman daję ci te słowa...  
— Będę czcił, wierzył i kochał, przysięgam  
Wiecznie; a teraz — dziewczyno bądź zdrowa!

### III.

Czemże są duszy młodzieńczej zapały?  
Młodzieńczej piersi żar uczuć tajony?  
Na cóż by one przysiądz się wahały —  
I w co uwierzyć? — a czemu są one?  
To w świecie życia jest wulkanu lawa,  
Co taka wrząca, gdy wybucha z łona,  
Że zda się wszystko życiem opromieni,



Lecz gdy wybuchnie, prędko bardzo skona  
I wszystko z żaru w około skamieni  
I tylko po nich pamięć pozostawa.  
Czemże są pychy młodzieńczej podmuchy,  
Te żądze sławy, wielkości i chwały,  
Co zapalają i szlachetne duchy?  
Po cóż by one sięgnąć nie zdołały?  
Niby duch przez nich staje się nam większy,  
Lecz często kurczy się struna zerwana  
I jadem laurów, który skronie piększy  
Nie jedna piękna twarz brzydnie skalana.  
One — to burzy w wszechświecie żywioły,  
Co w miejsce uczy ogniem gromów świecą,  
A gdy pochwycą ziemię w tan wesoły —  
W życiu przyrody obraz skonu niecą  
I pozostawią zimnej tęczy łuki,  
Ze złamanego drzewa i kamienia  
Rzeźbione, martwe pomniki dla sztuki  
I w łonie ziemi straszny gład zniszczenia,  
A cóż zostanie z złotych zbóż i kwiatów?  
Zginą — i krwią ich ziemia się rozblizni  
I tylko po nich zapłaczą niebiosa —  
I czasem gleba jałowa się zżyźni  
Gdy w łzach niebieskich upadnie nań rosa.  
A ileż w ludziach takich burz i światów?

#### IV.

Wiecież wy wszyscy, co życie w stolicy,  
Ten wir szalonych uciech w wielkim świecie,  
To — jakby tchnienie morowej dziewicy,  
Co jadem swoim skarby ducha zmiecie.  
Ale wy — coście jego niewolniki,  
Wy go nie znacie, bo siebie nie znacie,  
Nie śmiecie zajrzeć w dusz waszych tajniki  
I wyście biedni, bo tam próżnię macie.  
Ej — gdzie tam próżnia, w tém szaloném życiu  
Co tak urokiem młodą duszę nęci —  
W tém tętn rozkoszy i blasku powiciu,  
Co kiedy porwie, aż w myśli się kręci, —  
Tam być coś musi, — bo choć cnota zaśnie,  
To martwe ciało jej stamtąd nie spadnie

I może z niem tam jeszcze pełniej właśnie,  
Lecz kto nie zajrzał — któż to naprzód zgadnie.  
Biedny młodzieńcze. coś z duszą ognistą  
Wszedł tutaj szczęścia szukać i uwierzył,  
Bo już nie wyjdiesz z piersią swą tak czystą.  
Czemużes wprzód sił swoich nie zmierzył,  
Z tą niby raję piekielnego hydry?  
Czyś zdolę oprzeć się jej sił potędze,  
Czy ci jej szpony — uczucia nie wydrą  
I nie zagrają w twojej piersi jędze?  
Bo tu gdzie szatan obłudy zasiada,  
Prawdy na żadnem nie wyczytasz czole,  
To życie złudy, ciągła maskarada  
Maski się kręcą jak w zakłętym kole.  
I kiedy widzisz na licu szlachetność,  
To poza maską jej — szukaj podłoty.  
I szukaj nędzy, kędy widzisz świetność,  
I szukaj zbrodni pod obliczem cnoty.  
Głupstwo się szatą mądrości odziewa.  
Z lic pięknych duszy przeziera brzydota  
I gład ci zimny o uczuciu śpiewa  
I pali zewnątrz lód skrzepłego błota;  
A rzeczywistość możesz ujrzeć tylko  
W czasie zapustnym, na balu maskowym.  
Przypatrz się wtedy choćby jedną chwilką  
Tym tak dziwacznym postaciom godowym;  
Przysłuchaj piskom i śmiechom i gwarom  
I tym krzykliwym gawędom bez treści,  
Ohydny żartom i zajadłym swarom,  
Ileż występku i głupstwa się mieści  
Tam, — ale nie myśl, że te łudzą ciebie!  
Bo oni wtedy podobni do siebie!

Lecz już zapóźno, — tyś otwarł mi serce,  
Ty już twem życiem dziś do nich należysz  
I pokochawszy twych zasad morderce  
Idziesz nie wiedząc, że na zgubę bieżysz.  
Tyś tutaj wszedł z tęsknotą na czole,  
Aby w nich znaleźć twoich prawd czcicieli,  
Z dumą zasiadłeś przy godowym stole,  
By im zożyć to, czem żyć tu śmieli.  
Tyś śnił, że stoisz wysoko nad tłumy  
I że ich dźwignąć już możesz z upadku,

A myśl pod wpływem twej młodzieńczej dumy  
Śniła o laurach w wdzięczności zadatku.  
Tyś chciał czyn zasiać z twej myśli wyżyny,  
A sam popadłeś w tego życia kręgi  
I dziko śmieją ci się piekła syny :  
Hej, mój młodzieńcze, gdzie są twoje czyny  
I gdzie twej lubej czynione przysięgi ?

Lecz ty nie słyszysz, kto ci prawdę śpiewa,  
Boś się w głos wsłuchał szatana kobiety,  
Co swem bezwstydem lice ci odziewa  
I w sercu szuka dla zmysłów podniety,  
Tyś zda się cały w jej postać wpojony, —  
Głupi czyż myślisz, że te wdzięki twoje ?  
Ona dziś kocha klucz w tobie wcielony,  
Co jej do złota otworzy podwoje.

## V.

Oto słuchajmy, jak czasem na świecie  
Szatan w kobiecie obiera siedlisko  
I jaki często mieszka fałsz w kobiecie,  
I jak po podstęp sięga czasem nisko,  
I jak bezczęści w sobie tchnienie Boże,  
Jak w pięknem ciele czarny duch być może.  
Ona — mówiła :

„Kochanku luby, duchu ducha mego !  
„Ach, ja tak tęsknie na ten świat patrzałam,  
„Tak smutno było wpośród życia tego  
„Zanim myśl bratnią i ducha poznałam —  
„W tobie najmilszy; dziś jakżem szczęśliwa,  
„A taki szczęścia raj i tobie stworzę,  
„Bom ja jest twoją dokądem tu żywa  
„I całą siebie u stóp twoich złożę. —  
„Patrz! tu pierś pełna, co dla ciebie bije,  
„Niechaj twe żądze wszystkie zaspokoi,  
„Z ust mych rozkosze niech mój luby pije,  
„Niech się mym duchem jego duch napoi.  
„Lecz ty mię kochasz? O powtórz to luby,  
„Ja nie chcę ślubów święconych w kościele,  
„Bo słowa twoje, to są dla mnie śluby,  
„A te całusy — to moje wesele. —

„O tyś już moim, tyś moim na wieki,  
„Wyrzuć wspomnienie, co się w duszy kręci,  
„To sen był tylko, tyś odeń daleki,  
„A moje imię zapisz w twej pamięci.  
„Wszak mi swą przeszłość poświęci mój luby,  
„Bo ja mu przyszłość do chwały otworzę  
„I od niechybnej uchronię go zguby  
„I złotą mitrę na skronie mu włożę,  
„I jego siostrą będzie moc i sława —  
„On — mi da za to tylko myśli swoje ;  
„Słuchaj, dziś wieczór u księcia zabawa,  
„Ja ci książęce otworzę podwoje.  
„Książę jest łaskaw, poznać ciebie pragnie  
„I mieć poufnej rozmowy choć chwilę,  
„Luby się dla mnie do szczerości nagnie  
„I powie wszystko ! wszakże się nie mylę ?  
„Zapoznasz księcia z buntowńczyków zgrają,  
„Zapoznasz jasno z spisków tajemnicą,  
„Bo ty wiesz wszystko, oni ci ufają,  
„A słów twych prawdy jam jest zakładnicą ;  
„Za tę przysługę odbierzesz w zapłatę,  
„Kiedy z przeszłością duch się twój rozbrata,  
„Twoją kochankę i dary bogate  
„I order złoty z rąk carskiego brata.“  
— „Ha ! coś wyrzekła nieszczęsna o carze  
„I o wielkości, co dumę zwycięża,  
„O tajemnicy, o bogatym darze !  
„Co — jaż mam zdradzić ? nie ! jak żądło węża,  
„Pierś by spaliły młodzieńcze zakłęcia...“  
— „Bądź zdrow — dziś wieczór czekam cię u księcia.“

. . . . .

## VI.

Kobieta znikła, a w piersi młodziana  
Długo piekielnym ogniem walka wrzała  
I gardło dławił dziki śmiech szatana,  
I oko — dziwna jakaś łza kapała.  
We wrzącem łonie szły z sobą w zawody :  
Miłość i rząda, duma i szlachetność —  
I tchnienie sławy i tchnienie swobody ; —  
I świetność w życiu i za grobem świetność !

A w myśli — snuły się różne postaci :  
To laur na skroni, to carskie ordery —  
To złote mitry, to czerwoni kaci —  
To wśród Sybiru lud wychudłej cery,  
A czasem wieczór pośród lipy cieniu  
I blade dziewczę o łzawem wejrzeniu..  
Lecz czyż myślicie, że kto na tym świecie  
Ujęty został pod pychy sztandary  
I kto tu złamał raz wiarę kobiecie —  
Może ojczyźnie swej dochować wiary ?  
O nie! na próżno, bo gdy w kwiecie cnoty  
Jedną łodygę podły robak struje,  
To tak kwiat cały tym jadem podłoty  
Zachorzy, zwiędnie, taki ból odczuje,  
Że go — duch z piersi przezeń cierpiąc — wydrze  
I sam porzuci — czarnej piekła hydrze.  
Tylko zostanie — robak i zgnilizna —  
I od sumienia — krwawa w piersi blizna. —

. . . . .  
Był bal u księcia, a na balu wrzawa  
I była tłuszcza krzykliwa, pijana —  
I tan ochoczy i pusta zabawa —  
I śmiech szyderczy w odgłosie szatana.  
Był bal, — spytacie — co było po balu ?  
Był szczęk kajdanów, krwi polskiej strumienie  
I po nad grobem ostatni jęk żalu  
I już ostatnie wolności westchnienie..  
I znowu cicho — tylko od krwi parno,  
I znów wesoło — tylko w myśli czarno...

## VII.

W bogatym dworze i od herbów lśniącym,  
W komnacie strojnej w złoto i purpury  
Człowiek sam jeden był jak grób milczącym  
I jak grób zimny, i jak grób ponury.  
Jeden — a gdzież tam, przecie mitra była,  
I były z carskiem imieniem ordery,  
Co od nich szata jakby od gwiazd lśniła  
I były różnych zbrodni narzędzia cztery :  
Pierwsza — to szabla ze stali wykuta,

Ostra lecz lekka — to broń na kobietę,  
Drugie — to strzała ciężka, bo zatruta  
To jest narzędzie zdrady w ziemię wbite,  
Trzecie — to strzelba wystrzałem dymiąca  
I ciepłą lufą ku niebu zwrócona,  
I na tych trojga była krew ciekąca,  
Czwarte — to czara jeszcze przepelniona  
Jadem trucizny... A więc zbrodni troje  
I ty już jesteś trójcy przemieszany.  
A skądże trójcy? Pierwszych znamy dwoje:  
Te zbrodnie kraju i kobiety serca.  
Trzecie? Ha! ducha kto zdradził i syna,  
Czyż może ojcu tylko dotrwać w wierze?  
O, już za wielką pono była wina,  
By za nią mogły zapłacić pacierze.  
Próżno! głos zbrodni Boga nie poruszy,  
Więc lepiej wszystko stargać ręką własną,  
Może huk strzału odgłos gromu zgłuszy  
I dym zaciemni gwiazdę niebios jasną.

Ha — młody zdrajco! jesteś choć szczęśliwy  
Tu w pośród bogactw sam jeden, samotny?  
Kędyż cię odbiegł głos przyjaciół tkliwy  
I głos kochanki tak niegdyś zalotny?  
Poszli, boś ty im służył za narzędzie,  
A tyś — syt bogactw i syty zaszczytów,  
Czemuż to one, choć ich pełno wszędzie,  
Nie stworzą tobie jaśniejszych błękitów  
I żywszą myślą nie natchną ci ducha —  
Wszak tyś ich pragnął! Tu z nimi tak ciemno  
I jakby w grobie taka cisza głucha  
I myśl zgryzotą gniecie cię tajemną  
Powstał i biegnie, przed kimże ucieka?  
Martwe się za nim nie poruszają głązy,  
A życie — mieszka kędyś ztąd z daleka  
Jakby się bało śmierci, lub zarazy.  
A drżące wargi jakimś słowem szczekły.  
Słuchajmy jego: „Ha, jędze okrutne, —  
„Precz! bom od jadu waszych żądał wściekły  
„I wy przeszłości precz ztąd widma smutne.  
„Precz ztąd! słyszycie? ja wołam, ja księżę!  
„Ja was potęgi mej tchnieniem przerażę,  
„W żelazne pęta was wszystkich powiążę

„I w lochy więzień powrzucić was każę!  
„Cóż nie zadrżycie? Ha — one się śmieją!  
„A więc do czynu, wy wierni poddani!  
„Niech zaraz w waszym uścisku zemdleją.  
„Nuże ty złoto, kaci i tyrani!  
„Cóż nie słuchacie kiedy pan was woła?  
„Ha, podłe! tylko gnieść i piec umiecie?  
„Więc precz, was z mego porozrzucam czoła  
„I pod mą stopą ja zgmiotę w was życie!  
„Wy podłe węże z tem carskiem obliczem,  
„Wy blaski zimne, jam nie wasz już przecie,  
„Ha! ale bez was — czemże jestem — niczem,  
„O — jak to smutno samym być na świecie.  
„Tylko te widma, jakże straszno z niemi!  
„Gdyby przed Bogiem choć paść na kolana...  
„Co — łza upadła? precz z nią, bo na ziemi  
„Nie ma innego Boga prócz szatana!  
„Więc — zdrowie wasze — szatani i piekło!  
„Może już większych bólów nie wymarzysz  
„Nad tę męczarnię tutaj taką wściekłą  
„I sługę twego spoczynkiem obdarzysz!...“

.....

Pochwycił czarę i do dna wychylił  
I rzucił z trzaskiem i pobladł jak chusta,  
Padł — i coś długo wymówić się silił,  
Aż — „zdrajca“ — jękły konające usta,  
A w zbitej czarze pono po raz czwarty —  
Szyderskim śmiechem zaśmiały się czarty!

### VIII.

W ubogiej chatce wpośród lipy cieniu  
Mieszka dziewczica smutna i samotna  
Z modłą na ustach i łezką w wejrzeniu,  
I tylko róża zajrzy doń zalotna —  
I nikt prócz róży, bo biedna sierota  
I pordzewiały już jej chatki wrota...  
A dziewczę co dnia snąc swoim zwyczajem  
Na drogę zwraca takie tęskne oczy,  
Jakby tęskniła za straconym rajem,

Co dnia obrywa z listków kwiat proroczy  
I co dnia rzewną zaśpiewa piosenkę,  
Co dnia tych czystych kilka łez uroni,  
Co czasem spłaczą ciężką duszy mękę  
Aż się z niej boleść spokojniej wyłoni.  
I co dnia także z wieczora i ranka  
Modli się rzewnie i modli się długo —  
O szczęście, sławę i powrót kochanka,  
Co czoło okrył dla kraju zasługą, —  
Za swej ojczyzny i wiary obrońcę...

Ej — źle ty pono modlisz się, dziewczyno!  
I wysłuchania nie zejdzie ci słońce —  
I modły twoje bez echa zagną...  
Pomódl się lepiej za zdrajcę ojczyzny, —  
A może szatan łaskawszy tam będzie  
I w przebudzenie zmniejszy zbrodni bliźny  
I nić łaskawszej męki mu uprzedzie..  
Cóż to — nie słuchasz? — Co tobie, dziewczyno?  
Czyliż cię doszło echo mego słowa?  
Jak perły z nici łzy z twych oczu płyną  
I na ramiona padła martwa głowa.  
Snać że tu boleść twe życie prześcigła  
I tyś skonała pod nią nieszczęśliwa,  
Pod jej ciśnieniem pierś twoja zastygła,  
I tyś już martwa, a łza twoja żywa, ...  
Dwa groby polskiej przybyło ziemicy:  
Jeden — na drogach rozstajnych zabójcy,  
Drugi — w święconym smętarni dziewczicy  
Tuż przy kościółku małym świętej Trójcy.  
Na pierwszym głosem straszliwie rażącym  
Hyjena zbrodni i ludzi prześmiewa,  
Na drugim — słowik pod drzewem płaczącem  
O łzach sierocych i o sercu śpiewa. —

Rok 1881.

---



# Święty Augustyn.

---

Z powodu nader bliskiego związku myśli historyosoficznej św. Augustyna z zasadami historyosofii polskiej dobrze jest znać żywot i stanowisko w dziejach piśmiennictwa tego męża.

Augustinus Aurelius jest niepospolitým w dziejach piśmiennictwa powszechnego zjawiskiem. Jest on przedstawicielem dwóch wielkich światów dziejowych: konającego świata pogaństwa i wzrastającego w siły świata chrześcijańskiego. Z najrozwiązlejszego poganina stał się najgorliwszym chrześcijaninem.

W Numidyi w miasteczku Tagaste dnia 13. listopada 354 r. ujrzał światło dzienne. Ojciec jego Patrycyusz był pogaaninem, matka Monika chrześcijanką. Koleje życia i charakter Augustyna są najlepszym przykładem potęgi wychowawczych wpływów rodziców: wpływ ojca moralnie zrujnowanego i wpływ matki, świętej matrony, walczą przez całą młodość o przewagę w duszy Augustyna, a zwycięstwo wpływów matki jest dowodem tój wielkiej pedagogicznej prawdy, że matka wszczepia pierwsze zarody etyczne w duszę dziecka i że te nadają dziecku moralny życia kierunek, jeżeli szczepicielka sama była na wskróś zacną. Święta Monika sama dała synowi elementarne wykształcenie, a klasyczne wykształcenie odebrał w Madaurze i w Kartaginie. Tu oddał się rozpuście. Owocem jego miłośnych z pewną damą zwaną Melanią stosunków był syn później Adeodatem (Bogdanem) zwany. Co może zdziałać dobra książka, świadczy następne życie Augustyna. Czytanie Cyceronowego Hortenzyusza zapaliło jego umysł, żądny wiedzy, do

studyum filozofii. Ponieważ jednak w organizacyi jego ducha przeważała potęga uczucia, więc nie mógł znaleźć stałego upodobania w studyum filozofii i około r. 374 po śmierci ojca przystąpił do sekty manicheuszów, której zasady przez 10 lat wyznawał. Do sekty tej wprowadził Alipiusza, Honorata i innych znakomitych mężów, z którymi żył w przyjaźni. W przeciągu lat 10 nie dostąpił jednak w sekcie tej stanowiska ani nauczyciela, ani ucznia t. j. wybrańcy, ale w rzędzie słuchaczy czyli katechumenów ciągle pozostawał.

Ale duch jego, pełen uczuć żywych, opatrzony polotnemi skrzydłami fantazyi, nie mógł w nauce manichejskiej mimo usilnego szukania znaleźć tego, czego szukał t. j. prawdy. Ale dogmatyka tej hearyi złożonej z gnostycyzmu i nauki Zoroastra o walczących ze sobą dwóch potęgach t. j. potęgi światła i ciemności, a jeszcze więcej etyka jęj dążąca do wyzwolenia duszy od więzów cielesnej natury wstrząsnęły do głębi duchem Augustyna i stworzyły w nim burzę rozpacz. Rozczarowany zwątpił już o prawdzie, gdy przypadkiem wpadły mu do rąk w łacińskim tłumaczeniu dzieła Platona i Neoplatoników. Czytanie tych dzieł do nowego życia powołało jego ducha. Wysoko wykształcony udał się w r. 383 do Rzymu, a stąd r. 384 lub 386 do Medyolanu. W obu tych miastach uczył wymowy, jako nauczyciel retoryki, do którego to zawodu już się był w Kartaginie zaprawiał. Na stanowisku nauczycielskiem w Medyolanie nastąpił zwrot w życiu Augustyna. Tameczny biskup święty Ambroży, mniemany autor chrześcijańskiego dytyrambu „Te deum laudamus,” na którego kazania Augustyn bardziej ciekawością poznania daru wymowy, niż nauki chrześcijańskiej wiedziony uczęszczał, nauczył go szanować chrześcijaństwo.

Cnota i wysoka nauka tego świętego biskupa zachwiały w posadach ducha, wskazały w dali światło prawdy i pokoju, którego dotąd w mądrości praktyki pogańskiej rzymskiej, w filozofii platońskiej i nowoplatońskiej, wreszcie w doktrynach manichejskich daremnie szukał; czytanie listów św. Pawła zachwycało chciwą pozytywną nauki duszę retora, a prośby,

ły i modły matki, tego anioła opiekuńczego, niestrudzonego w pracy nad pozyskaniem dla nieba ducha swego syna dokonały reszty ; Augustyn odmienił swoje myśl i serce, zmienił życie i wszedł na drogę chrześcijańskiej świętości. Kościół chrześcijański poczył to wielkie zdarzenie w życiu Augustyna uroczystością obchodzoną dnia 3. maja. Z Medyolanu udał się na jakiś czas na puszcę, napisał tam kilka dzieł i przygotował się do sakramentu chrztu św., który w r. 387 w dzień wielkanocny przyjął wraz z swoim synem Adeodatem z rąk św. Ambrożego. Ochrzczony wrócił po śmierci matki do Afryki. Sprzedał swoje dobra i zostawiwszy sobie tylko tyle, ile wystarczyło na skromne utrzymanie, resztę rozdał między ubogich. Pozbywszy się ciężaru fortuny, pędził życie w zaciszy ojcowskiej willi w ścisłej samotności.

Roku 391. przybył sędziwy biskup Walery do Hipponu (dziś Bona), oświadczył ludowi w kościele chęć wyświęcenia kapłana, któryby mu pomagał w trudach biskupiego urzędu a potem po nim ten urząd objął. Lud zwrócił się do Augustyna z prośbą, aby przyjął święcenia kapłańskie. Tak tedy Augustyn został kapłanem, nauczał z namaszczeniem Ducha św. pomagał biskupowi w pasterskich trudach, r. 395 sam został biskupem koadjutorem, a w r. 396 po śmierci Walerego samoistnym biskupem w Hipponie. Umarł dnia 28. sierpnia r. 430, w czasie pierwszego oblężenia Hipponu przez Wandalów. Chcąc zwłoki świętego biskupa ochronić przed zniewagą aryjskich Wandalów, przenieśli je uczniowie wierni na Sycylię, a gdy ta wyspa dostała się w ręce Saracenów, wykupił święte zwłoki z rąk niewiernych Liutprand, król longobardzki i złożył w kościele św. Piotra w Pawii. W r. 1812. przeniesiono je do Algieru i pochowano na ruinach Hipponu. Nad grobem wystawili francuscy biskupi wspólnie pomnik świętemu Augustynowi.

Chociaż nie pierwszym był biskupem w Afryce, to jednak wywarł św. Augustyn stanowczy wpływ na dzieje kościoła tej prowincyi, położył fundamenta dogmatyki tegoż i przeznaczył tory dla dziejów kościoła nietylko afrykańskiego, ale nawet całego zachodu. W sporach dogmatycznych z Arianami, Pryscylliani-

stami, a szczególnie z Donatystami, Pelagianami i Semipelagianami stał on, niby naczelny zóraw na czele bojowego szyku prawowiernych, zwycięsko odpierając heretyków zarzuty. Czém św. Paweł w dziejach apostołskich, tém był św. Augustyn w dziejach ówczesnego kościoła. Bystrość i głębokość jego umysłu, powaga jego myśli, siła jego spekulacyi w platonizmie zdobyta, demoniczna potęga wiary wyniesionéj z krętych dróg i burz żywota, twórczość pomysłów rodzących się z olbrzymiego rozumu i porywającéj szaleń fantazyi, mimo braku wszechstronności i precyzyi, nadały jego słowu miecz płomienisty, jego pismom czarowną moc zwycięstwa, jego działalności pastérskiéj dyktatorską władzę. Świat ówczesny patrzył na niego, i szedł za nim, jak Izrael za słupem gorejącym na puszczy. Potęga wpływu słowa jego przetrwała dni jego życia, potęga wpływu pism jego przeszła przez krańce wieków i trwa po dziś dzień wycisnąwszy swe piętna nietylko w prawowiernym chrześcijańskim kościele, ale nawet w odłamach jego zreformowanych — w kalwinizmie i luteranizmie. Byli może uczeńsi od niego ojcowie kościoła, ale nie było ojca kościoła z potężniejszym umysłem, któryby umiał serce ludzkie tak zapalić do religii. Malarze jego wizerunku dają mu téż za godło płonące serce. Obdarzony głębokim rozumem, tkliwem sercem, żywą wyobraźnią, jest w pismach swoich filozofem i poetą zarazem, dogmatystą i moralistą, ascetą i przewodnikiem praktycznego życia. On dał miecz wierze, miłości ogień, nadziei grób. Burzliwość jego umysłowéj organizacyi stworzyła niejednen błąd w chrześcijańskéj dogmatyce i etyce, ale błędów tych nie chce widzieć prawowierny kościół — tak mu imponuje geniusz hipponeńskiego biskupa, który zresztą nie może o te błędy być inkwirowany, gdyż je nie w złéj wierze (mala fide) popełnił. Na tych dwóch błędach sparli reformatorzy swoje nauki: na jego ślepéj konieczności wiary („Credo quia absurdum est“) oparł Luter swoję dogmatykę, na jego konieczności woli oparł Kalwin swoję etykę, którój główną zasadą jest przeznaczenie, czyli predestynacya. Oto słowa św. Augustyna: „Et quoniam nec velle quisquam potest, nisi admonitus et vocatus sive intrinsecus, ubi nullus hominum videt,

sive extrinsecus per sermonem sonantem aut per aliqua signa visibilia, efficitur, ut etiam ipsum velle Deus operetur in nobis." (De div. qu. 83. 63. 5.) Zasada ta jest fundamentalną zasadą etyki Tomasza z Akwinu, zasada ta odbiła się echem i w filozofii pierwszego wyzwolonego myśliciela, Deskartesa, w t. z. assistentia divina. Zdanie św. Augustyna o woli ludzkiej sprzeciwia się fundamentalnej nauce kościoła chrześcijańskiego streszczonęj w tych słowach: „Bóg stworzył człowieka i zostawił go w ręce rady jego. Przydał mandaty i przykazania swoje. Jeżeli będziesz chciał mandaty zachować, zachowają Cię. Położył przed Ciebie ogień i wodę, do czego chcesz sięgnij ręką swoją. Przed człowiekiem żywot i śmierć, dobre i złe, co mu się podoba, będzie mu dane!" (Ekl. XV. 14.)

Nie tu miejsce rozbierać krytycznie teorye św. Augustyna. Powiedzieliśmy o nich tyle ile uważaliśmy za potrzebne do należytego zrozumienia stanowiska dziejowego tego ojca kościoła. Dodać wypada jeszcze i to, że św. Augustyn i w dziejach zakonów i klasztorów chrześcijańskich ważne zajmuje stanowisko. On to bowiem przeniósł zakonne życie z Italii do Afryki, gdzie kilka klasztorów założył. Z pism jego, („De moribus clericorum," „De opere monachorum" i innych) utworzyła się reguła zakonnego życia, którą papież Inocenty IV. w wieku XIII. nadał kilku stowarzyszeniom klasztorным, z których w r. 1567 Pius V. utworzył zakon Augustyanów czwarty z rzędu w kościele katolickim.

Św. Augustyn pozostawił niezmierną moc dzieł pisanych, na których czele postawić należy — „Retractionum libri II.", i „Confessionum libri XIII.", które stanowią niejako wstęp ułatwiający zrozumienie reszty pism jego. Dzieła św. Augustyna dzielą uczeni na księgi (libri), listy (epistolae) i rozprawy (sermones). Księgi zaś dzielą się na filozoficzne, dogmatyczne, polemiczne, egzegetyczne i moralne. Księgi filozoficzne są następujące: a) Contra Academicos II, III. b) Liber de beata vita. c) Libri duo de Ordine. d) Soli loquiorum II, II. e) Liber de quantitate animae. f) Libri sex de musica. — Do ksiąg dogmatycznych należą: a) Liber de vera religione, b) L. de fide rerum quae

non videntur, c) L. de fide et symbolo, d) Enchiridion ad Laurentium, e) L. de agone Christiano, f) L. de fide et operibus, g) Libri XV. de Trinitate, h) Libri II. de coniugiis adulterinis, i) L. de cura gerenda pro mortuis, k) De resurrectione mortuorum tractatus duo. Z dzieł polemicznych najważniejsze jest: „Libri XXII. de civitate Dei.“ Polemizował piórem z Żydami, Manichejczykami, z Pryscylianistami i Origenistami, z Parmenianem, z Kreskoniuszem Gramatykiem donatystą, z Petylianem, z Donatystami, z Pelagiuszem, z Arynami. — W pismach egzegetycznych rozbierał i objaśniał genezę, heptateuch, księgę Job, psalmy, ewangelie, kazanie na górze, list pierwszy św. Jana, listy św. Pawła do Rzymian i do Galatów. Do dzieł moralnych należą traktaty o kłamstwie, o cierpliwości, o wstrzeźliwości, o korzyściach małżeństwa, o świętości panieństwa, o korzyściach wdowicństwa, o zadaniu mnichów i w. i. Rozpraw pozostawił 364. listów 218. Najważniejsze wydania pism jego są: paryzkie z r. 1679—1700 w 8 tom. a II częściach, antwerpskie z r. 1700—1703 w 9 tom. a 12 częściach, wydanie przez Benedyktynów dokonane w Paryżu w r. 1835—1839 w II tomach. Ważniejsze dzieła wychodziły także osobno „De civitate Dei l. XXII.“ wydał Strange w Kolonii 1851 w 2 tom. Dombart w Lipsku w r. 1863 w 2 tom. „Confessionum libri XIII.“ wydał Neander w Berlinie r. 1823, Bruder w Lipsku w r. 1837 i K. Raumer w Stuttgardzie r. 1855. Pierwsze z tych dzieł tłómaczył na język niemiecki Silbert (Wiedeń r. 1826), drugie Silbert (Wiedeń 1860.) Rapp (Stuttgart 1863) i i.

Najlepszy żywot św. Augustyna napisał Poujoulat „Vie de Saint Augustin,“ (Paryż 1852, 2 tomy), który na język niemiecki przełożył Hurter (Schaffhausen 1847), Cloth „Der heilige Kirchenlehrer Augustinus“ (Aachen 1840, 2 tomy) Bindemann „Der heilige Augustin“ (Berlin 1844.)

Na język polski przetłómaczył „Wyznania św. Augustyna“ ks. Piotr Pękalski św. t. dr. kan. stróż św. Grobu Chrystusa i drukował w Krakowie w drukarni uniwersyteckiej 1847 r. Przekład ten dedykowany S. L. Łętowskiemu, biskupowi joppejskiemu i administratorowi dyecezyi kielecko - krakowskiej, jest ze

wszech miar znakomitym a wartość jego podnosi żywot św. Augustyna dodany do niego p. t. „Roczniki czyli życie św. Augustyna porządkiem lat zebrane (str. 427—474).

Księgi: „De civitate Dei“ przełożył na język polski ks. Mateusz Gładyszewicz kan. kat. krak. ale tylko pierwszych 5 ksiąg p. t. „S. Aureliusza Augustyna o Mieście Bożem pierwszych ksiąg pięcioro przełożył ks. Mat. Gładyszewicz, Kraków. Drukiem Józefa Czecha 1835.“

Z myślą polską styka się myśl św. Augustyna wyrażona w najwspanialszem jego dziele: „De civitate Dei.“ Dzieło to uważane ze stanowiska historycznego jest natchnioną, seraficzną obroną chrześcijaństwa, ze stanowiska filozoficznego jestto pierwszy utwor historyosoficzny. W literaturze klasycznych narodów nie masz historyosoficznego dzieła, bo ani Grek ani Rzymianin ani Żyd ani żaden naród starożytny nie znał idei ludzkości, którą światu dopiero obwieścił Chrystus. Na pole badań historycznych przeniósł tę ideę św. Augustyn. Już w Wyznaniach tłumaczy dyaletycznie Trójkę św.: „Radbym, aby ludzie zwrócili uwagę na trojakię w nich samych będącę zjawisko; podobieństwo wprawdzie nieskończenie różne od Trójcy św. ale przywodzę je pod ich rozagę, abym im dał poznać i uczuć tę niezmierną jego odległość.“ Oto jest to potrójne zjawisko: być, wiedzieć, chcieć. Albowiem jestem, wiem i chcę!“ (ks. XIII. r. II.) Oto jest Cieszkowskiego: Byt, Myśl, Czyn — Epoka Ojca, epoka Syna, epoka Ducha św. — Filozoficznie wykształcony i wszystkie starożytne wiary znający jest on pierwszym z historyosofów, których poczet zamyka polski geniusz August hr. Cieszkowski, autor Prolegomenów i Ojcie-Naszu. Wszyscy oni wskazują drogi, któremi ludzkość zdąża do ideału swego — do Boga. Drogi te ilustrował poezją Zygmunt Krasiński.

Tarnów, d. 7. stycznia 1879.

F. H.

## NOĆ JEŚCIENNA.

---

Smutku pełna — i pełna żaloby,  
Noc jesienna chmurami pospiesza,  
Nigdzie żadnej nie widać osoby,  
Ziemia cała w tumanach się miesza...

Biała lipa się srebrem nie mieni  
I nie szumi już jawor wspaniały,  
Ni kalina się wstydem rumieni,  
Gdy ją powój uściska zuchwały;  
— Coraz ciemniej — potracam coś nogą,  
Zeschły konar — dreszcz przejął złowrogo,  
— Noc jesienna! nie widać nikogo....

I całuny z bieluchnej zasłony  
Na murawy mgła gęsta pokładła,  
Weszła gwiazda z pod chmurnej opony,  
Zaświeciła — i błysła — i zbladła....  
Czasem księżyc wysunie się z chmury,  
Jakby ciekaw obaczyć naturę,  
I z ironją popatrzy i z góry  
I ze śmiechem się schowa za chmurę.  
— Ziemia ciemną okryła się togą,  
Patrzę — słucham — coś szumi złowrogo,  
— Noc jesienna! nie widać nikogo....

Wicher tylko złorzeczy okrutny,  
Spłoszyć liście się kiedy odważy,  
I przeciągle zawyje — i smutny,  
Jakby wionął z nad grobów smętarzy.  
Widzę kwiatów ostatnie podrygi,  
Już zapachem swym silnym nie syca;  
Tylko zeschłe, sterczące łodygi  
Świecą rosą, jak gdyby gromnicą...



Serce bije, przejmuję coś trwogą  
I powietrze tchnie wonią złowrogą...  
— Noc jesienna! nie widać nikogo...  
    Jam chorobie, ach! strasznej poddany.  
    Nawał myśli gnie duszę samotną,  
    I robaki już wietrzą me rany,  
    I podemną czuć ziemię wilgotną...  
    Jak w uśmierceń poczęciu godzinie,  
    Tak mi straszno i łzawo i ciemno.  
    Widzę cienie!... jak w duchów krainie...  
    Boże! zmiłuj się zmiłuj nademną!  
        Głos w duszy:  
    „Stąpaj śmiało cierniową tą drogą!”

---

— Noc jesienna! już lekko mi, błogo,  
Chociaż nigdzie nie widać nikogo...

Czerniowce, 2. listopada 1882.

*Alfred.*

## Żegnani!

---

Żegnani was złote marzenia,  
Młodości mej ideały!  
Żegnani was — szwały, wzruszenia,  
Coście mą pierś wstrząsały; —  
    I was dziś żegnani, lzy moje,  
    Wy duszę moją rzeźwiły,  
    Jak rosy niebiańskiej zdroje  
    Zwiędły kwiatusek mogiły.  
Dziś zmarła dusza gorąca  
I oschły z łez mi powieki;

Jak głaz, ni czuła, ni drżąca,  
Żegnam was, czucia, na wieki.

Lwów, 25. grudnia 1882.

I. 7

## W NOC ZIMOWĄ.

Obrazek z natury.

Księżycowa noc śród zimy,  
Wyiskrzzone gwiazdy świecą,  
Czar zalega kąt rodzimy  
I zachwyca okolicą.

Śnieg na polach jak wzrok sięga  
Iskier siejbą miga w oczy,  
W dali rzeka srebrno-wstęga —  
Za jej lodem bór się mroczy

Drobne okna jak rubiny  
Wieńczą światła rzędem góry,  
Ze strzech dym się zrywa siny  
I jak widmo pnie w lazury.

Wieś spokojna na kształt duszy,  
W którą spokój Boski wnika —  
Czasem tylko ciszę wzruszy  
Żalobliwy głos wartnika,

Wzdłuż przy drodze płotów ślady  
Śnieg w bezładne stroją wzory,  
Za chatami w śniegach sady  
I stodoły i obory.

Na zakręciu serce siola :  
Kościół — i dzwonica z cegły,  
Nagie drzewa dookoła ;  
Nad drzewami w świat rozległy,

Co w eterach gwiazdy pławi —  
Wzniósł ramiona krzyż kościelny

I wioszczynie błogosławi,  
A lud krzyża — nieśmiertelny.

Wies spokojna nakształt duszy,  
W którą spokój Boski wnika,  
Czasem tylko ciszę wzruszy  
Jak sumienie głos wartnika.

. . . . .  
Za wsią droga niby rzeka  
Gdzieś przez góry — gnie się, łamie —  
To wypłynie — to w głąb znika . . . .  
Zanim kornie przy załamie,  
(Gdzie figurę widać krzyża  
Zbrojną w męki Pańskiej godła)  
Grzbiet lodowy w przepaść zniza,  
Zkąd na bory szlak powiodła.

Przy figurze w lasów zmroku  
Na pochyłym góry stoku,  
Cmentarz wioski z skarby swemi:  
Z wszystkim, co byt przeboleło.

— Rozeprzejmy wzrok po ziemi!  
Cały świat się nosi biało;  
Góry, lasy, wód przezrocza  
Z perlej masy — rzekłbyś kute —  
W okół cisza wciąż urocza . . . .  
Gwiazdek prawie słyhać nutę  
Albo przelot myśli Boskiej,  
Która w sfer krążeniu chyżem  
Lud przyciąga znaczny krzyżem.

Lecz jeżeli szczerą wolę  
I chęć radną masz po temu,  
To się powierz dniu jasnemu  
I wejdz ludu sprawdzić dolę.  
Pochyl czoło — zawiń szaty,  
Nizki — wazki próg jest chaty;  
Więc pokornie wchodzić trzeba  
Jak — daj Boże — wejść do nieba.

*Władysław Ciesielski.*

# KOCHAJ BLIŹNIEGO

(z Freiligratha.)

---

O kochaj, póki kochać czas!  
Daleki jeszcze życia kres!  
Nadejdzie czas, gdy zimny głąz  
Strumieniem krwawych zrosisz łez.

Niech serce twe miłością tchnie,  
Niech żywi ten żywota kwiat,  
Dopóki z serc pokrewnych ci  
Uśmiecha się czułości świat.

Kto ci się zwierzy z bolem swym,  
O! podaj temu bratnią dłoń,  
Nie zasmuć go wyrzutem czczym  
I uściel kwiatem życia błon.

Języka zaś jak ognia strzeż:  
Złe słowo wyrzec — łatwa rzecz:  
Obrażać go nie chciałeś nim;  
Lecz w sercu tkwi obrazy miecz.

O kochaj, póki kochać czas!  
Daleki jeszcze życia kres!  
Nadejdzie czas, gdy zimny głąz  
Strumieniem krwawych zrosisz łez.

Nad grobem wówczas klękiesz ty;  
W mogiłę wśród cmentarnych róż  
Skron wciśniesz, roniąc tęskne łzy;  
Lecz jego nie zobaczysz już.

I rzekniesz: Spójrzyj z błogich gwiazd,  
Świecących na niebieskiem tle,  
O przebac mi dorywczych słów,  
Nie chciałem, luby, zrazić cię.

Lecz zmarły nie powstanie z snu,  
By koić ból, co w sercu tkwi,  
A wielce upragnionych słów  
Nie słyszysz: Jam przebaczył ci.

Przebaczył on ci dawno już —  
Choć uczuł boleść w sercu swem  
Przez ciebie i złe słowo twe,  
Lecz dziś już spi wieczystym snem.  
O kochaj, póki kochać czas!  
Daleki jeszcze życia kres!  
Nadejdzie czas, gdy zimny gład  
Strumieniem krwawych zrosisz łez.

15. stycznia 1883.

*N. . . . l Kohn.*

---

## LITANIA do POLSKI.

---

Polsko! świątynio miłości!  
Biała gołąbko bez winy,  
Przytułku biednej ludzkości,  
Polsko! módl się za tve syny!  
Polsko! czaro miodopłynna!  
Pełna stoisz wśród ruiny.  
O! rzeko krwawa, niewinna,  
Polsko! módl się za tve syny!

Polsko! kapłanko braterstwa,  
Wielka przesławnemi czyny,  
Bezprzykładem bohaterstwa,  
Polsko! módl się za tve syny!

Modlitwa tej doniosłości  
Wpłynie w niebieskie przestwory.  
Nim zejdzie słońce wolności,  
Polsko! módl się za tve córny!

Módl się z ducha przekonaniem,  
Modlitwa Stwórcę doleci,  
O! módl się przed zmartwychwstaniem,  
Polsko! módl się za twe dzieci!

I módl się po zmartwychwstaniu  
Panu na niebie i ziemi,  
Gdy wolność drzemie w zaraniu,  
Módl się za nami wszystkimi!

*Marya z Rusiłowa.*

---

## KLOPSTOCKOWA POEZJA

(z Lessinga.)

---

Któż Klopstockowych rymów nie pochwali,  
Lecz czy choć setny czyta jego dzieła?  
Nie chcemy, by nas znawcy wychwalali,  
Lecz by publiczność nami się zajęła.

*G. Kohn.*

---

## Sprawozdanie z czynności moich.

---

Niniejszem składam jako wynik ostateczny tego wydawnictwa, dla dwóch towarzystw dobroczynnych samborskich, dla każdego z osobna 40 złr., t. zn. razem 80 złr. czystego dochodu. Byłoby może więcej i nie potrzebowałbym liczby arkuszy z 20 uszczuplić na 18, gdyby nie ten szczegół, że prenumeratoro-

wie zalegają u mnie w tej chwili jeszcze z sumą ogólną 72 złr. 40 ct. Skutkiem tego niektóre prace, przeznaczone pierwotnie dla VI. rocznika, odłożono na rok następny, jakoto: mój opis wystawy czasopism w Kołomyi; podanie o Krasnopuszczy Zamorskiego; kazanie ks. Metodego, miane w Samborze z powodu 50letniego jubileuszu powstania listopadowego; nowelkę p. t. „Ukarana“ W. Sakiewiczowej i wiele innych cennych rzeczy. Spodziewając się, że zwolennicy mego pisma i nadal pozostaną mu wiernymi, zwracam ich uwagę już teraz na szczegól, przemawiający na korzyść mego wydawnictwa: wszystko, papier, druk i ilustracje „Rocznika samborskiego“ są krajowym fabrykatem. Nawet te niewinne zboczenia drukarskie, które „Różowe Domino“ tak zgorszyły, nie są z zagranicy języka polskiego sprowadzone, również jak i niedorzeczności „Różowego Domina“ i zboczenia umysłowe jego współpracowników czystokrajowym wyrobem są, którego zagranica z pewnością szczęśliwemu wynalazcy nie pozazdrości.

Sambor, 7. lutego 1883.

*G. Kohn.*

---

## Spis przedpłacicieli.

Bochnia i powiat bocheński: ks. Dr. Grzegorzek, w Bochni i Dr. Wojciech Mossór, w Wiśniczu.

Bohorodczany: Karol Sobota i Józef Szeliński, w Bohorodczanach.

Brody i pow. brodzki: Dr. Braun, Paulina Fruchtman, W. Gabrigel, Bronisław Garwoliński, Franciszek Gaudnik, Ignacy Goldlust, Julian Gomoliński, burmistrz miasta Brodów, Adolf Inlender, N. Kallir, Filip Koliszer, ks. Kowalski, Wilhelm Kuhnen, Józef Łobos, Józef Łukaszewicz, Zygmunt Nawratil, Iguacy Nicolaii, Justyn Podoliński, Antoni Popiel, Radoszewski, Jan Weyde, Antoni i Bronisław Witosławscy, w Brodach, Władysław Gniewosz, w Kontach, Józef Miączyński, w Palikrowach, Szczepan Padlewski, w Suchodołach, Oktaw Sala, w Wysocku, Artur Schnell, w Starych Brodach i Karol Słotwiński, w Berlinie.

Brzeżany: Józef Bissinger, Antoni Dzbański, Mateusz Kurowski, ks. Ostrowski, Eugenia Przestrzelska i Dr. Albert Zauderer w Brzeżanach.

Brzozów: Robert Fredrich, c. k. Starosta w Brzozowie.

Buczacz i pow. buczacki: Józef Bojarski, Michał Borecki, Stanisław Cieński Karol Hanik, Dr. Hubrich, Stanisław Konasiewicz, Dr. Krzyżanowski, Maurycy Mosler, Aleksander Nęcki, Dr. Ferdynand Obtulowicz, Karol Schrayer, Bernard Stern, burmistrz miasta Buczacza, Konstanty Stupnicki i Józef Szujski, w Buczaczu, Biesiadzki, Szymon Chełpiński, M. Heldenburg, hr. Józef Młodecki, Leonard Smolik, ks. Józef Turkiewicz i Gustaw Zucker, w Monasterzyskach.

Pow. cieszanowski: Ludwik Żychliński, w Bruśnie.

Czortków: Adam Bieńkowski, Jan Borzemski, Józef Cieślikowski, Czekoński, Pepi Deim, Ludwik Noss, burmistrz miasta Czortkowa, Józef Próchnik, Ruszczyński, Stanisław Rybicki, Dr. Stöckl i Stefan Tanczakowski, w Czortkowie.

Dąbrowa: ks. Ludwik Kozik, Dr. Marynowski, Zygmunt Brochwicz Rogoyski, c. k. Starosta w Dąbrowie, Szczerbiński, Trzeciecki, burmistrz miasta Dąbrowy, Dr. Wąsikiewicz, Dr. Wolf, Mikołaj Zagórski, Ludwik Żakrzewski i Dr. Zaręba w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Aleksander Bieńczewski, Dr. Cwiklicer, Czytelnia dobromilska, Alojzy Schneider, Bolesław Szyszkowski i Piotr Zaychowski, w Dobromilu.



Dolina: Michał Jankowski, Wincenty Kossakiewicz, Wilhelm Soja, Franciszek Stobiecki, burmistrz miasta Doliny i H. Weiss, w Dolinie.

Drohobycz: Karol Bayer, Dr. Alfons Bieńczewski, Dr. Jakób Fruchtmann, Jan Minich, E. L. Solecki, Gustaw Szeliński, Emeryk Turczyński, Ignacy Wierzbicki, Maciej Własek i Maksymilian Wolski, w Drohobyczu.

Gorlice i pow. gorlicki: Wojciech Biechoński, ks. Edward Dziubek, Ludwik Klemensiewicz, Mizerski, N. N., Dr. Śleczkowski, Towarzystwo przyjaciół oświaty i Dr. Bronisław Wydrychiewicz, w Gorlicach, Feliks Skrochowski w Ropie.

Gródek: Rafał Nowosielski, w Gródku.

Grybów: Stanisław Chełmicki i Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Jarosław i pow. jarosławski: Ignacy Bajan, Henryk Bohus, Konstanty Bubella, L. Czyński, Dr. Julian Ruczka i Aurelia Starkel, w Jarosławiu, Wł. Janicki, Aleksander Krafft i Marcei Świchowski, w Radymnie.

Jaśło: Dr. Abdon Bieńczewski, Romuald Palch, Andrzej Rudkowski i Klemens Sieńkiewicz, w Jaśle.

Jaworów: Dr. Jakób Dorożyński, w Jaworowie.

Kałusz: Dr. Frydryk Dzikowski, Karaś, Hipolit Lewicki, Juliusz Łempicki, Dymitr Mochnacki, Nikolaus, burmistrz miasta Kałusza i Baltazar Szopiński, w Kałuszu.

Kamionka strumiłowa i pow. kamionecki: Kazimierz Macieszkiwicz, w Kamionce strumiłowej i Józef Filarski, w Busku.

Kołomyja: Jan Dębicki, Dr. Teofil Dębicki, Doboszyński, J. Funkenstein, ks. Koblański, S. Kohn, Dr. Władysław Piaskiewicz, Adela Raschowa, Alojzy Schindler, Honorat Sendzimir, Jan Sidorowicz, Karol Smolik, M. Thürmann, Dr. Maksymilian Trachtenberg, burmistrz miasta Kołomyi i Salamon Wieselberg, w Kołomyi.

Kossów i pow. kossowski: Stanisław Bursa, Zygmunt Gawłowski, Wacław Głazewski, Dr. Antoni Pietrzycki, Hipolit Sabat, c. k. Starosta w Kossowie, Ksawery Sielecki, Towarzystwo kasynowe, Jan Winiarski, Józefa Wiśniowska i Dr. Karol Wurst, w Kossowie, Leszek Zagajewski, w Kutach.

Kraków i pow. krakowski: Dr. Asnyk, Władysław Bartynowski, Dr. Zygmunt Blatteis, Dr. Blumenstock, Jan Bociański, Emil Borkowski, Karol Estreicher, Dr. Ichheiser, Dr. Jordan, Józef Łepkowski, Henryk Müldner, Artur Napierkowski, Dr. F. Piekosiński, Tadeusz Romanowicz, Dr. Józef Rosenblatt, Władysław Rozwadowski, Dr. Tadeusz Rutowski, Karol Rząca, Walery Rzewuski, M. Schlesinger, Seinfeld, Adam Tański, Dr. Ferdynand Weigel, Prezydent miasta Krakowa i Dr. Fryderyk Zoll, w Krakowie, Stanisław Homolacs, w Balicach.

Krosno i pow. krośnieński: A. Dziewolski, w Krośnie, Ludwik Dłużniewski, Juliusz Fiebert, Głuszkiewicz, Maurycy Goldhammer, Dr. Karol Horak, hr. Cezar Męciński, Florjan Minkusiewicz, F. Nowakiewicz, Gabryel Orzakiewicz i Staruszkiewicz, w Dukli.

Lwów i pow. lwowski: Dr. Henryk Berliner, Dr. Józef Blumenfeld, Dr. Emil Byk, Piotr Czapczyński, Antoni Czarowski, Tadeusz Czarkowski, Dr. Józef Czeszer, M. Diamond, Fanny Ehrensaal, Mikołaj Epstein, Zygmunt Frey, Dr. Bernard Goldmann, Dr. Henryk Gottlieb, Grabiński, Dr. Piotr Gross, Dr. Robert Hefern, Dr. Edwin Herschmann, Dr. Wilhelm Holzer, Samuel Horowitz, Józef Iwanicki, Kazimiera Jarosówna, Aleksander Jasiński, Dr. Maurycy Jেকেles, Klipunowski, Dr. Józef Koliszer, Władysław Kostro, Mikołaj Krasucki, Maurycy Lazarus, Phöbus Losch, Ławrowski, Teofil Łucki, Dr. Leon i Marceli Madeyscy, Zdzisław Marchwicki, M. Markheim, Jerzy Mayer, Maurycy Muszkat, Petronela Okmińska, Jakób Piepes, Klemens Pierzchała, Ignacy Podolski, Posner, Antoni Przyszlak, Kornel Puzdrowski, Michał Pyszyński, Juliusz Reiss, Dr. Wł. Rieger, Dr. Aleksander Rogalski, Alfred Rosenberg, ks. Konstanty Rzeczkowski, Dr. Szymon Schaff, Dr. Tadeusz Skałkowski, Karol Sklepiński, Skulski, Piotr Solecki, Antoni Sołtykiewicz, Marceli Studziński, ks. Justyn Szaflarski, ks. Leon Trusiewicz, Dr. Adolf Weiss, Jan Welichowski, A. L. Wierzbicki, Wł. Wojnarski, Franciszek Wolski, Liberat Zajączkowski, Dr. Józef Zbyszewski i Dr. Filip Zucker, we Lwowie, Karol Berchard, w Szczercu i Zygmunt Groblewski, w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Dr. Gustaw Bielański, Jan Cetnarski, Józef Gaweł, burmistrz miasta Łańcuta, E. S. Glasz, Dr. Gustaw Haiter, Antoni Hanusz, Filip Kahane, G. Lisowski, Leonard Sitowski i Towarzystwo „Mrówki“ w Łańcucie, Aleksander Czepielewski i Władysław Świtalski, w Przeworsku.

Nowy Sącz: Konstanty Jaroeki, Juliusz Kuhn, Mikula, Feliks Ritter, Franciszek Romański, Aleksander Runge i Dr. Henryk Schornstein, w Nowym Sączu.

Pow. pilzneński: Sadowski, w Dembicy.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Alfred Dajewski, Piotr Kuryś, Władysław Łoś i Szczurowski, w Podhajcach.

Przemyśl i pow. przemyski: Dr. Baumfeld, Dr. Czajkowski, Karol Dobrzański, Dr. Franciszek Doliński, M. Dornwald, Dr. Aleksander Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, Dr. Tadeusz Dworski, Gawiński, Marya Hild, A. R. Janeczek, Gustaw Jeleń, Ferdynand Kula, Kwaśniewski, Nowy młyn parowy, Dr. Józef Orłowski, Dr. Rosenbach, Andrzej Skala, Konstanty Stupnicki, Dr. Tarnawski, Karol Tomkiewicz, Dr. Walery Waygart i Marjan Władczyński w Przemyślu, Kazimierz Dworski, w Sielcu i Adolf Medveczky w Nizankowicach.

Rohatyn: Franciszek Cholewiński, R. Düll, Kasyno rohatyńskie, W. Kwaśniewska, I. Ostern, Sawczyński i Mikołaj Torosiewicz, w Rohatynie.

Ropczyce i pow. ropczycki: Antoni Deisenberg, Dymitr Korytko i Władysław Papięski, w Ropczycach, Fr. Mayerberg, Moczydłowski, ks. Sapecki i Dr. Sędziłowski, w Sędziszowie.

Rudki i pow. rudeński: Wł. Janowski, ks. M. Kamiński, Kazimierz Kurek i Piotr Zbrożek, w Rudkach, Włodzimierz Łuszczyński, w Komarnie.

Rzeszów: Dr. Als, Dr. Józef Barzycki, Dr. Józef Fechtdegen, ks. Stanisław Gryziecki, Wojciech Kalinowski, burmistrz miasta Rzeszowa, Władysław Kaniewski, Michał Markiewicz i Henryk Massacz, w Rzeszowie.

Sambor i pow. samborski: Dr. Alfred Biegelmeier, Wilhelm Kasperek, burmistrz miasta Sambora, G. Kohn, Józefa Krynicka, ks. Metody, Dr. Niedźwiedzki, Ferdynand Pawlikowski, Franciszek Piasecki, Beata Scherff, Pinkas Sobel, Jan Streeb i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, Ludwik Balicki, w Wykotach, bar. Albert Brückmann, w Majniezu, Dr. Ludwik Dolański, w Rakowej i Helena Majewska, w Maksymowicach.

Sanok i pow. sanocki: Dr. Jan Gaweł, Jan Hantschel Ichel Herzig, Dr. Iskrzycki, Ludwika Kahane, Brunon Langner, Ignacy Łagodziec, Aleksander Piech, Janusz Rypuszyński, Dr. Wł. Skalski, Leon Studziński, c. k. Starosta w Sanoku, Ludwik Świerczyński, Walenty Wróbel i Jan Zarewicz, w Sanoku, Berta Spira, w Łukowej, ks. Chilla, Dr. Dukiet, hr. Anna Potocka i A. Striegel, w Rymanowie.

Pow. skałacki: Salamon Buber, M. Finkelstein, H. Goldlust, Goldstern & Löwenherz, Hirschhorn & Zinkes, S. Kądzieski, Emil May, Resch i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyn: Maciej Bäcker, F. Howorka, Tomasz Kolasiński, ks. Jakób Nowobielski, Teofil Statkiewicz i Zadurawicz, w Śniatynie.

Pow. sokalski: Marja z Rusiłowa, w Starogrodzie.

Stanisławów: Albin Amirowicz, Tadeusz Artychowski, Michał Bogdanowicz, Józef Borecki, Melania Dąbrowska, Dr. Elias Fjochler, Tadeusz Grabiński, Dr. Ignacy Kamiński, burmistrz miasta Stanisławowa, Dr. Ludwik Katzenellenbogen, Felician Milerowicz, Dr. Zygmunt Mroczkowski, Dr. Przemysław Niementowski, Marjan Rybczyński, Piotr Sedelmeyer, Józef Słotwiński, Dr. Walery Szydłowski, Dr. Kazimierz Szczurowski, Juliusz Turczyński, Dr. Maurycy Wurzel, Dr. Eustachy Załeski i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto i pow. staromiejski: ks. Sylwester Dzierżyński, Emil Hochleitner, Jerzy Koudelka i Eugeniusz Kuryłowicz, w Staremieście. Jan Załęski, w Chyrowie.

Stryj: Aleksander Barabaś, Dr. Filip Fruchtman, burmistrz miasta Stryja, Leon Gaertner, Józef Kosterkiewicz i Artur Malewski, w Stryju.

Tarnopol i pow. tarnopolski: Jakób Blumentfeld, I. Brand, Adolf Damask, Dr. Delinowski, Dr. Eckhardt, Jakób Gall, H. Greif, Dr. Horowitz, Ks. Janer, Celestyn Jaworski, M. Kahane, Kajetan Kopacz, Wilhelm Krochmal, Lucjan Krynicki, Prezydent sądowy w Tarnopolu, Józef Lacek, Dr. Jonasz Mantel, Emil Michałowski, Piatkowski, Izidor Rossin, Józef Saphir, Dr. Schmidt, Alfred Silkiewicz, Walenty Stachiewicz, Dr. Sternklar, Dr. Józef Weisstein, Wł. Wszelaczyński, Jan Konrad hr. Załuski, w Tarnopolu i Leon Willner, w Białe pod Tarnopolem.

Tarnów: Dr. Elias Goldhammer, M. Grabowski, Fr. Habura, Herman Hirsch, Ludmiła Hupkówna, Dr. Karol Kaczkowski, Dr. Wilhelm Lerner, Franciszek Łazarski, Herman Merz,

Albert Nunberg, J. O. ks. Ludwik Łódzia Poniński, c. k. Starosta w Tarnowie, E. Rank, Dr. Adolf Ringelheim, Rudolf, Jan Ruszczyński, Dr. Febus Salomon, Dr. Józef Stojalowski, Alojzy Szklarski, Jan Włodarski i Ryszard Zawadzki, c. k. Prezydent sądowy w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Józef Chrzanowski, Oktaw. Doschot, Karol Jakubczy, Gabryel Katzenellenbogen, Feliks Kirchner, Alfred Ornstein, Feliks Sierpiński, w Tłumaczu, Ładomirski w Markowcach, Godziszław Kobuzowski i Teofil Witośławski, w Tyśmienicy.

Trembowła: Ks. Kaliniewicz, Kiesel, Stanisław Lipnicki, Aleksander Maksymowicz, Dr. Julian Olpiński, burmistrz miasta Trembowli, ks. Piaskiewicz, Jan Potocki, c. k. emerytowany Starosta i Ludwik Tobiaszek, w Trembowli.

Powiat wadowicki: Tadeusz Elterlein i ks. Rufin Gąsior, w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu.

Wieliczka: Józef Kędziński, Leopold Płaziński, c. k. Starosta i Jakób Schornstein, w Wieliczce.

Wiźnica (na Bukowinie): Dionizy de Chalbazany, Alma Kováts, Józef Rudkowski i Antoni Sworakowski, w Wiźnicy.

Zaleszczyki: A. Bielański, A. Gross, Maciej Kubelka i Dr. Jerzy Omeiss, w Zaleszczykach.

Zbaraż: Dr. M. Bieler, Dudziński, Kazimierz Koczorowski, Kożuchowski, Edward Kruch, Kukawski, Al. Łabęcki. Wł. Macieszkiewicz, ks. Mansuet, Juliusz Opolski, burmistrz miasta Zbaraża, Pawlikiewicz, Dr. Tyralski i Alojzy Wilczek, w Zbarażu.

Złoczów i powiat złoczowski: Dr. Heyne, Dr. Homme, Dr. Misky, Ferdynand Pluschk, c. k. Starosta. Karol Poglies, c. k. Prezydent sądowy i Dr. Wesołowski, w Złoczowie, Stanisław Dąbrowski, Wł. Raciborski, Teofil Radołowicz i ks. Zakorczmęny, w Zborowie.

Żydaczów i pow. żydaczowski: Manasterski, w Żydaczowie, Erazm Hoszowski, Stroński, ks. Świstelniczy, Tyszkiewicz i Uziębło, w Drohowyżu, Antoni Beer, Stecher i Wawrzyniec Zaremba, w Mikołajowie, Wincenty Bałaban, Dr. Jan Chomiczy, Czytelnia żurawieńska, Dr. Bernard Sztencel i Piotr Tyszkiewicz w Żurawnie.

---

## T R E Ś Ć.

	Str.
Alfred Noc jesienna, wiersz . . . . .	274
Antoniewicz Mikołaj Monolog księżyca, wiersz . . . . .	166
A. P. z Żukowic Romuald Traugut, poemat epiczny . . . . .	17
Arbuzowski Bonifacy But artysty, humoreska . . . . .	167
Bętkowski Narbrzan Dwa brytany i wilk, bajka . . . . .	11
"          "          Aforyzmy, II. . . . .	176
"          "          Wiznog i Osław, śpiew historyczny . . . . .	238
Ciesielski Władysław W noc zimową, obrazek z natury wierszem . . . . .	276
Dokument urzędowy do spraw administracyjnych Galicyi z r. 1809. . . . .	13
F. H. Święty Augustyn, szkic . . . . .	267
Grochowalska Marja „Jak sobie kto pościele, tak się wy- spi,“ powieść . . . . .	186
Hanka Mściwoj II., książę Obotrytów, poemat history- czny z X. wieku . . . . .	129
I. T. Żegnam! wiersz . . . . .	275
Kohn G. Rzut oka na działalność literacką Agatona Gillera (z litograficznym portretem tegoż). . . . .	1
"    Porządek społeczny (z Zedlitza) . . . . .	10
"    Co jest wiekotrwałe? wiersz . . . . .	128
"    Wiara, nadzieja i miłość (z Zedlitza) . . . . .	183
"    Klopstockowa poezja (z Lessinga) . . . . .	280
"    Sprawozdanie z czynności moich . . . . .	280
Kohn N. . . . . Kochaj bliźniego (z Freiligratha) . . . . .	278
Kołąkowski Klemens Kochanie Zosi, balada . . . . .	83
Marya z Rusiłowa Litania do Polski, wiersz . . . . .	279
Merzbach Henryk Redakcyja „Ojczyzny“ w odpowiedzi tym, co zwinąć to pismo radzą, wiersz . . . . .	5
"          Polskie kwiaty do siostr na wygnaniu, wiersz . . . . .	165
S. Marcelli ze Śniatyna Paż królowy, wiersz . . . . .	174
Sfinx Marzyciel, wiersz . . . . .	16
Solecki E. L. Nasze budowle pamiątkowe w Galicyi. I. Cer- kiew św. Jura w Drohobyczu (z litografią tejże) . . . . .	180
Sona Zdrajca, poemat . . . . .	254



## SPIS POMYŁEK.

Str.	wiersz :	zamiast :	czytaj :
24	1	Kobryński,	kobryński,
61	10	ruchu,	ruchem.
92	6	pieczołowistością,	pieczołowitością.
92	37	szkołą,	szkołą.
96	34	Naśladujemy,	Naśladujmy.
100	18	nadmieniających,	nadużywających.
110	ostatni	cel początek.	cel a początek.
118	36	fizycznych,	fizycznych.
137	24	świcie	święcie
141	26	niczułej,	nieczułej
154	19	i następujące zamiast :	

I rzekł: — Jakież to dziwo że te pany harde,  
 „U których ja zebrałem, kalając się w błocie.  
 „I we krwi moich braci wśród szału ślepoty,  
 „Co niedawno u stóp swych deptały mię w pyle.  
 „U których ja zebrałem w zdradzie i podłocie,  
 „I wyzebrałem tylko jałmużną sromoty, —

czytaj:

I rzekł: — „Jakież to dziwo, że te pany harde,  
 „Co niedawno u stóp swych deptały mię w pyle,  
 „U których ja zebrałem, kalając się w błocie  
 „I we krwi moich braci wśród szału ślepoty,  
 „U których ja zebrałem w zdradzie i podłocie  
 „I wyzebrałem tylko jałmużną sromoty,

210	32	życie,	życie.
217	18	sam,	snu.
217	23	snu,	sam.
240	28	cudzoziemszczyzny,	cudzoziemszczyzny.
245	19	już,	już.
249	1	średnika przecinek byłby	na miejscu.
282	21	Fredrich,	Foedrich:
283	5	E. L. Solecki nie mieszka już w Drohobyczu,	lecz w Przemyślu.
286	25	Kruch,	Kruh.

BIBLIOTH. UNIV.



JAGELLONICAE



# GŁÓWNY SKŁAD

Nasion

# TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie

przy placu halickim l. 15 w gmachu Banku hipotecznego

poleca zupełnie świeże w kiełkowaniu pewne

Nasiona najszlachetniejszych Jarzyn i Kwiatów, Traw, Lucerny francuskiej, Buraków pastewnych i Marchwi, Traw i wszelkich nasion gospodarskich i przemysłowych, Nasiona Drzew szpilkowych i liściastych, Drzewka i krzewy owocowe, Róże szczepione, Georginie i t. p. Szparagi Erfurtskie, Zaród pieczarek.



Cennik Główny odseła na żądanie franco.

